

NAJWIĘKSZY MISTRZ POWIEŚCI PRZYGODOWYCH ŚWIATA

Cykl
FARGO

NOWY
BESTSELLER

CLIVE CUSSLER

ROBIN BURCELL


AMBER



PIRAT

Clive Cussler
Robin Burcell

Pirat

Przekład: Jacek Złotnicki
Tytuł oryginału: Pirate



Spis treści

PROLOG

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Rozdział 37

Rozdział 38

Rozdział 39

Rozdział 40

Rozdział 41

Rozdział 42

Rozdział 43

Rozdział 44

Rozdział 45

Rozdział 46

Rozdział 47

Rozdział 48

Rozdział 49

Rozdział 50

Rozdział 51

Rozdział 52

Rozdział 53

Rozdział 54

Rozdział 55

Rozdział 56

Rozdział 57

Rozdział 58

Rozdział 59

BOHATEROWIE

ROK 1216

Norfolk, Anglia

William Marshal - hrabia Pembroke, w służbie króla Jana

Robert de Braose - rycerz króla Jana, okazał się zdrajcą

Hugon Fitz Hubert - zaufany rycerz Williama Marszala

John de Lacy - członek straży przybocznej króla Jana

król Jan - król Anglii (znany jako Jan bez Ziemi)

CZASY WSPÓŁCZESNE

Potomkowie Williama Marszala i ich adwersarze

Grace Herbert - daleka krewna sir Edwarda Herberta

sir Edmund Herbert - (postać fikcyjna) nieślubny syn
Edmunda Mortimera, drugiego lorda Mortimer

Hugon Despenser - domniemany kochanek króla Edwarda II,
adwersarz Rogera Mortimera

kapitan Bridgeman - pseudonim pirata Henry'ego Every'ego,
spowinowaczonego z Hugonem Despensere

Henry McGregor - kuzyn Grace Herbert, odziedziczył
posiadłość w Nottingham

Antykwariat Pickeringa

Gerald Pickering - antykwariusz z San Francisco, wujek Bree

Marshall

pan Wickham - kot Pickeringa

Bree Marshall - pracownica Remi Fargo, odpowiedzialna za zbiórki pieniędzy

Larayne Pickering-Smith - kuzynka Bree, córka Geralda Pickeringa

sprawca napadu - rozpoznany później jako Jakob „Jak” Stanislav

Zespół Remi i Sama Fargo

Sam Fargo

Remi (Longstreet) Fargo

Zoltan - pies Remi, przywieziony z Węgier owczarek niemiecki

Selma Wondrash - asystentka i zaufana doradczyni Fargo

Sandra - stewardesa prywatnego samolotu Fargo

profesor Lazlo Kemp - pomocnik Selmy, pochodzi z Wielkiej Brytanii

Pete Jeffcoat - podwładny Selmy, chłopak Wendy Corden

Wendy Corden - podwładna Selmy, dziewczyna Pete’a Jeffcoata

Dawni pracownicy DARPA

Ruben „Rube” Hayward - oficer prowadzący, Dyrektoriat Operacji CIA

Nicholas Archer - właściciel firmy ochroniarskiej Archer Worldwide Security

Ekipa Avery'ego

Charles Avery - biznesmen zajmujący się przejęciami firm i ratownictwem morskim

Colin Fisk - szef ochrony u Avery’ego

Martin Edwards - dyrektor działu finansowego u Avery'ego

Alexandra Avery - żona Avery'ego

Kipp Rogers - prywatny detektyw Alexandry Avery

Winton Page - prawnik Charlesa Avery'ego

Jak Stanislav - jeden z pomagierów Fiska

Marlowe - pomagier Fiska

Ivan - pomagier Fiska

Victor - nowy pomagier Fiska

Rogen - nowy pomagier Fiska

Naukowcy i nauczyciele akademicki

profesor Ian Hopkins - literatura angielska XVI i XVII wieku,
Arizona

Meryl Walsh, „Miss Walsh” - kustosz, Muzeum Brytyjskie

Madge Crowley - bibliotekarka, Kings Lynn

Nigel Ridgewell - przewodnik wycieczek po King's Lynn, były
nauczyciel akademicki, specjalista od staroangielskiego

profesor Cedric Aldridge - wydział historii Uniwersytetu
Nottingham

Percival „Percy” Wendorf - emerytowany profesor,
Uniwersytet Nottingham

Agatha Wendorf - żona Wendorfa

Restauratorzy hotelarze i przewodnicy wycieczek

SAN FRANCISCO

Bryant - kierownik zmiany, recepcja hotelu Ritz-Carlton, San
Francisco

ARIZONA

Marcellino Verzino - właściciel Marcellino Ristorante,

Scottsdale

Sima - żona Verzina

JAMAJKA

Melia - kelnerka w restauracji, Jamajka

Jay-Jay - właściciel baru dla motocyklistów, Jamajka

Kemar - pracownik wypożyczalni samochodów, Jamajka

Antwan - motocyklista w barze Jay-Jaya

Billy - motocyklista w barze Jay-Jaya

BRAZYLIA

Antonio Alves - prywatny kierowca, student uniwersytetu,
Sao Paulo, Brazylia

Henrique Salazar - wujek Antonia Alvesa

kapitan Delgado - kapitan „Golfinha”

Nuno - najmłodszy członek załogi „Golfinha”

Funkcjonariusze policji

sierżant Fauth - detektyw, Wydział Kryminalny, policja San
Francisco

sierżant Trevino - partner sierżanta Fautha, policja San
Francisco

szeryf Wagner - zastępca szeryfa Carteret County

PROLOG

Bishop's Lynn, Norfolk, Anglia

9 października 1216 roku

Bure niebo sypnęło pierwszymi płatkami śniegu. Zapadał zmierzch, gęstniał mrok, narastał dojmujący chłód. William Marshal, hrabia Pembroke, ściągnął wodze i wstrzymał swego rączego wierzchowca. Towarzyszący mu rycerze poszli w jego ślady. Las wokół nich zmienił się w groźny labirynt szeleszczących cieni, pośród których nie sposób było rozpoznać drogi.

Nie widząc jeźdźców, którzy odłączyli się od nich tego wieczoru wcześniej, William zastanawiał się przez chwilę, czy aby nie pobłądzili. Jednak nie. Po lewej stał wykrzywiony dąb, tak jak go zapamiętał. Wraz z trzema rycerzami William wyruszył przodem, aby przepatrzeć szlak dla pozostałych, którzy nazajutrz mieli wieźć tędy królewski skarb. Choć on sam był przeciwny przenosinom przed przybyciem posiłków, ugiął się pod naciskiem królewskich doradców, dla których najważniejsze było bezpieczeństwo skarbu, zwłaszcza teraz, kiedy francuski książę Ludwik zajął Londyn i ogłosił się królem Anglii. Król Jan, na wieść, że połowa jego baronów sprzymierzyła się z Ludwikiem przeciw niemu, nie chciał dopuścić do przejęcia klejnotów koronnych przez uzurpatora.

William obejrzał się na Roberta de Braosea, który zatrzymał się obok niego.

- Moi ludzie powinni już tu być.
- Być może ten ziąb ich spowolnił.

William uciszył go uniesieniem dłoni. Ledwie słyszalny szmer przykuł jego uwagę. Nadstawił ucha.

– Posłuchaj...

– Nic nie słyszę.

I znów jakiś szelest. To nie był szum wiatru w gałęziach drzew.

Tuż obok usłyszał dźwięk metalu, gdy Robert dobył miecza ze skórzanej pochwy. A potem okrzyki kilku jeźdźców, którzy wypadli z lasu z obnażoną bronią. Jego koń, spłoszony niespodziewaną szarżą, szarpnął się w tył. William z trudem utrzymał się w siodle. Nagle rozległ się przenikliwy świst powietrza. Miecz Roberta zatoczył łuk i zmierzał prosto ku niemu.

Instynktownie uniósł tarczę. Za późno. Ostrze głowni trafiło go w żebra. Ciasno pleciana kolczuga wytrzymała, ale ból przeszył go na wskroś.

Czyżby Robert przez pomyłkę wziął go za wroga?

Niemożliwe, pomyślał, wyciągając miecz. Obrócił się i potężnym ciosem powalił najbliższego jeźdźca. Ciało upadło tuż obok ciała jego najmłodszego rycerza, Arthura de Clare'a.

Ogarnięty wściekłością, zwrócił się do Roberta.

– Postradałeś zmysły?! - krzyknął, wciąż nie mogąc uwierzyć, że wpadł w pułapkę zastawioną przez jednego z najbardziej zaufanych ludzi króla.

– Przeciwnie, wreszcie odzyskałem rozum - odrzekł Robert. Spiął konia i ponownie natarł na Williama, ale utracił już element zaskoczenia. Głownie dwóch mieczy zwarły się z metalicznym szczękiem.

– Napadając na mnie, dopuszczasz się zdrady wobec króla. Co ci z tego przyjdzie?

– To twój pan, nie mój. Ja złożyłem hołd księciu Ludwikowi.

A więc zdrada zataczała coraz szersze kręgi.

– Byłeś mi przyjacielem.

Robert wbił ostrogi w boki wierzchowca i zamachnął się mieczem, pochylony do przodu, po czym wyprostował się w

ostatniej chwili.

William spodziewał się podstępu, czekał więc tylko na dogodny moment. Gdy ten nastąpił, z całej mocy uderzył Roberta tarczą i wysadził go z siodła. Ogier spłoszył się i umknął. Z tyłu Hugon Fitz Hubert, także spieszony, położył już trupem jednego ze zbuntowanych rycerzy, a teraz ściągnął na ziemię jeźdźca, który przeganiał pozostałe konie. A zatem dwóch na dwóch, ale tylko William wciąż pozostawał w siodle. Ten układ sił mu odpowiadał, więc zawrócił wierzchowca i zatrzymał się naprzeciw Roberta.

– Szkoliłem cię. Znam twoje słabe strony.

– A ja twoje.

Księżycowa poświata przedarła się przez szczelinę w chmurach, połyskując na głównej broni preferowanej przez Roberta. Jednosieczna głównia łączyła w sobie moc i ciężar topora z wszechstronnością miecza. Jej szeroki, lekko wygięty sztych kończył się śmiertelnie niebezpiecznym szpicem, który, co William widział na własne oczy, mógł przebić najciaśniej plecione kolczugi.

Cięższy oręż dawał Robertowi przewagę nad stosunkowo lekkim, prostym mieczem Williama. Jednak cięższa broń oznaczała szybsze zmęczenie, zwłaszcza że teraz Robert musiał walczyć pieszo. Ledwie ta myśl przemknęła przez głowę Williama, gdy Robert rzucił się do ataku, wymachując mieczem jak toporem i biorąc za cel nogi jego konia.

William cofnął się. W pełni zdawał sobie sprawę z zagrożenia. Nawet jeśli uda im się przeżyć, bez koni nie zdołają wrócić na czas, by ostrzec króla.

Rezygnacja z przewagi nie była łatwą decyzją, ale nie miał innego wyjścia. William zeskoczył z siodła i klepnięciem dłoni odesłał wierzchowca. Zadźwięczało żelazo. To Fitz Hubert i rycerz buntownik starli się ze sobą.

Stanął naprzeciw Roberta. Krążyli wokół siebie. Posypały się

cięcia, zasłony i riposty. William wpatrywał się w metalową tunikę przeciwnika w nadziei, że znajdzie się w niej jakaś skaza.

– Dlaczego? - spytał pomiędzy ciosami. Zamierzał zwyciężyć, więc potrzebował odpowiedzi.

Robert popatrzył na niego, ważąc oręż w dłoni.

– W królewskim obozie jest dość złota, by wystawić całą armię i odzyskać to, co przepadło na skutek poczynań twojego nieudolnego króla.

Miecze znów zwarły się ze sobą, krzesząc iskry.

– Czynił, co uważał za stosowne, a tobie nic do tego.

– Mój ród stracił wszystko - odrzekł Robert, krążąc wokół Williama. Wypatrywał sposobności, czyhał na jego błąd. - Król wypchał swe szkatuły naszym złotem, naszą krwią. Przyrodnich braci moich wtrącił do lochu. - Natarł, zadając cios za ciosem. - Ten skarb nam się należy i gdziekolwiek trafi, my go znajdziemy.

William męczył się szybko, czuł, jak omdlewają mu mięśnie. Robert przytłaczał go, był młodszy i silniejszy. Zwarli się ze sobą, dysząc ciężko. Już nie widział Fitz'a Huberta ani drugiego buntownika, tylko słyszał ich gdzieś w ciemnościach.

– Przegracie - wysapał William.

– Nie. Król właśnie żegna się z tym światem.

Ogarnął go lęk, który zarazem dodał mu sił. Po raz ostatni wzniósł miecz i zatoczył nim łuk. Zgodnie z jego oczekiwaniem przeciwnik sparował uderzenie. Miecz odbił się w górę, a wtedy William zadał mocarne pchnięcie. Ostrze przebiło kolczugę pod pachą Roberta, a impet uderzenia powalił go na ziemię.

William stanął nad nim, nadepnąwszy mu na rękę wciąż dzierżącą broń. Na twarzy pokonanego dostrzegł strach połączony z odrazą. Oparł miecz na jego gardle i spytał:

– Cóż rzekniesz teraz?

– I tak zwycięstwo jest nasze.

– Mimo twojej rychłej śmierci?

Jeden ruch dzielił go od zabicia zdrajcy. To była chwila triumfu, zwłaszcza że Fitz Hubert właśnie wyszedł spomiędzy drzew bez widocznego uszczerbku na zdrowiu.

Tymczasem Robert, choć oddychał z trudem, uśmiechnął się do Williama.

– Jak myślisz, kto nakłonił króla do przeniesienia skarbu w bezpieczne miejsce, a potem zastawił pułapkę? Jam ci to sprawił... Teraz księżę Ludwik, prawowity władca panujący w Londynie, zbierze owoce zachłanności twojego fałszywego króla... Skarb będzie nasz. - Zaczerpnął głęboko powietrza do płuc. - Mamy szpiegów na wszystkich dworach... Każdy klejnot z korony, każdy okruch złota posłuży wsparciu kampanii Ludwika. Anglia legnie u jego stóp... Nim ten tydzień przeminie, ty i tobie podobni będziecie bić mu czołem.

– Do niczego takiego nie dojdzie - powiedział William. Docisnął miecz do oporu i obrócił głownię, by mieć pewność, że ostatnie pchnięcie będzie śmiertelne. Zostawił trupa tam, gdzie leżał, i spojrzął na Fitz Huberta.

– Ranili cię?

– Złamane żebro, obawiam się.

– Słyszałeś wszystko?

– Tak jest.

Został im tylko koń Williama, uradzili więc, że to on pojedzie ostrzec króla, tym bardziej że Fitz Hubert był ranny. Kiedy dotarł do obozowiska w Bishops Lynn, zafrasowane twarze napotkanych ludzi potwierdziły jego ponure przypuszczenia. Przed królewskim namiotem spotkał Johna de Lacy'ego, który nie chciał go wpuścić do środka.

– Król jest chory. Nie życzy sobie nikogo widzieć.

– Mnie przyjmie. Zejdź mi z drogi, bo pożegnasz się z życiem.

– Ale...

William odepchnął go i wszedł do namiotu. Cuchnący zaduch uderzył go w nozdrza. Królewski lekarz i dwaj służący stanęli na

baczność. Migotliwe płomienie świec rozstawionych wokół posłania rzucały przyćmiony blask na leżącą na nim nieruchomą postać. William przeraził się, że król właśnie zmarł. Jednak kiedy podszedł bliżej, dostrzegł, jak jego pierś porusza się w rytm płytkiego oddechu.

– Panie mój - powiedział, klękając obok łoża i pochylając głowę. - Zawiodłem cię.

– Jak to? - spytał król, ledwie uniósłszy powieki. Jego czoło pokrywał perlisty pot.

– To, co powiem, jest przeznaczone tylko dla twoich uszu.

Król Jan milczał przez dłuższą chwilę, wpatrując się w Williama. Wreszcie nieznacznie poruszył dłonią.

– Wyjdźcie. Wszyscy.

William poczekał, aż namiot opustoszeje. A kiedy już zostali sami, niechętnie przekazał królowi złe wieści.

– Nie zdołałem wykryć zdrajcy w twoim otoczeniu. Być może jest ich więcej. Chodzi o Roberta de Braose'a. Powiedział mi, że umierasz, a przecież nie mógł wiedzieć o twojej chorobie.

– To dyzenteria.

– Raczej nie.

Król zamknął oczy. William przestraszył się, że może się już nie obudzić.

– Kto śmiał to uczynić? - wyszeptał król.

– Tego nie wiem. Ale ci, którzy odpowiadają za tę ohydłą zbrodnię, dobrze wiedzą, że masz przy sobie cały skarb Korony. Chcą nim wesprzeć roszczenia Ludwika do tronu Anglii. Wiedzą, że przewozisz skarb w inne miejsce. Twoja choroba miała odwrócić uwagę i ułatwić jutrzejszą kradzież.

– Mój syn... - Król wyciągnął rękę i chwycił Williama za ramię słabym, gorączkowym uściskiem. - Co z Henrykiem?

– Jest bezpieczny. Będę go strzegł za cenę życia. - Najstarszy syn króla, chłopiec ledwie dziewięcioletni, nie był winien szalbierstw i niegodziwości popełnianych przez kilku ostatnich

władców, nie wyłączając jego ojca i wszystkich krewnych. Jeśli dla Anglii miała jeszcze zaświtać jakakolwiek nadzieja, następca tronu nie powinien być opętany zachłannością ani mieć rąk splamionych krwią. - Skarb stwarza ogromną pokusę, a to może uniemożliwić młodemu księciu sięgnięcie po władzę.

- Będzie go potrzebował, aby wziąć odwet i odbić utracone ziemie.

- Panie, wybacz mi, ale pozwolę sobie na szczerość. Dopóki ten skarb będzie istniał, dopóty zawsze znajdą się tacy, których jedynym pragnieniem będzie dostanie go w swe ręce. Książę Ludwik jest tylko jednym z wielu. Nie zapominaj też, że zbuntowani baronowie, z którymi walczysz od kilku miesięcy, to ludzie niegodni zaufania, zwłaszcza gdy nęci ich blask złota i obietnica niezmiernych bogactw. - Przerwał na chwilę, by mieć pewność, że jego słowa zostały wysłuchane i rozumiane. - Władza nad ubogim krajem jest dużo mniej atrakcyjna i pożądana. Co więcej, młody król, który ledwie dorósł do rządzenia swoim biednym państwem, dla nikogo nie będzie stanowił zagrożenia...

- Do czego zmierzasz?

- A gdyby tak tej nocy skarb przepadł w grzędawisku podczas przeprawy przez mokradła? Pozbywając się skarbu, pozbędziesz się wrogów swego syna.

Król milczał, słyhać było tylko jego płytki oddech.

- Umierasz, panie. - Choć bronił się przed tą myślą, wiedział, że ma rację. To nie była dyzenteria. Widział już podobne przypadki. Wolno działająca trucizna zżerająca wnętrzności. Król pożyje jeszcze tydzień, może kilka dni dłużej, cierpiąc nieznośne bóle i modląc się o śmierć. - W ten sposób zapewnimy bezpieczeństwo młodemu Henrykowi.

- A jeśli kiedyś, gdy będzie starszy, zechce wykorzystać ten skarb?

- Nie zechce. Dopóki zaginiony skarb się nie odnajdzie, będzie

bezpieczny.

Król odezwał się dopiero po dłuższej chwili.

– Dopilnuj, aby tak się stało.

Rozdział 1

San Francisco, Kalifornia

czasy współczesne

Remi i Sam Fargowie przeciskali się przez tłum turystów, wypełniających chodnik. Kiedy wyszli z Chinatown przez zieloną, przypominającą pagodę bramę, za którą nie było już tak wielkiego tłoku, Remi wyświetliła mapę na swoim telefonie.

– Mam wrażenie, że musieliśmy gdzieś skręcić w złym kierunku.

– Prosto do tej restauracji - odrzekł Sam, ściągając z głowy nobliwą panamę. - To najprawdziwsza pułapka na turystów.

Popatrzyła na męża, przeczesującego palcami opromienione słońcem, ciemne włosy. Był od niej o głowę wyższy, miał szerokie bary i atletyczną budowę ciała.

– Jakoś nie słyszałam, abys narzekał, kiedy podali wieprzowinę mu shu.

– Więc gdzie zbłądziliśmy?

– Zamawiając wołowinę po mongolsku. To była pomyłka.

– Chodzi mi o miejsce na mapie.

Remi powiększyła obraz, by odczytać nazwy ulic.

– Zdaje się, że idąc skrótem przez Chinatown, nadłożyliśmy kawał drogi.

– Trzeba było powiedzieć mi chociaż, dokąd idziemy. To mogłoby ułatwić sprawę.

– Choć raz podczas tej podróży chciałam ci zrobić niespodziankę - wyjaśniła Remi. - Ty nie zdradziłeś mi, co planujesz.

– Mam swoje powody. - Sam włożył kapelusz, a Remi przysunęła się do jego boku i szli dalej, trzymając się pod rękę.

Sam zorganizował ten wyjazd, bo ich ostatnie wakacje na Wyspach Salomona wbrew planom przekształciły się w niebezpieczną przygodę. - Obiecuję ci wyłącznie wypoczynek i relaks oraz to, że przez ten tydzień nikt nie będzie próbował nas zabić.

- Siedem dni nieróbstwa. - Westchnęła i przywarła mocniej do niego, bo słońce właśnie skryło się za chmurą, a wraz z nim ulotniło się całe ciepło wrześnieowego popołudnia. - Kiedy ostatnio przytrafiło się nam coś takiego?

- Nie przypominam sobie.

- To tutaj - powiedziała Remi, spostrzegłszy antykwariat. Łuszczące się złote litery na szybie głosiły: „U Pickeringa. Książki używane i białe kruki”. - W ramach wdzięczności za to, że towarzyszyłeś mi w tej znoonej wędrówce, nie każę ci wchodzić do środka.

Oczywiście żartowała. Nieżyjący już ojciec Sama, inżynier z NASA, kolekcjonował rzadkie książki, a Sam, także inżynier, odziedziczył po nim to zamiłowanie.

Teraz popatrzył na witrynę, a potem na żonę.

- Jako troskliwy mąż nie mogę na to pozwolić. A jeśli wewnątrz spotkałoby cię coś złego?

- No tak, książki są bardzo groźne.

- A żebyś wiedziała, sądząc po tym, jak zlasowały ci mózg.

Przeszli przez ulicę do antykwariatu. Na dźwięk dzwonka, który odezwał się, kiedy Sam otworzył drzwi przed Remi, syjamski kot, leżący na stosie książek za szybą, uniósł łeb i popatrzył na nich wyniośle. Wewnątrz pachniało piżmem i starymi papierami. Remi prześliznęła się wzrokiem po półkach, ale nie dostrzegła nic ciekawego, poza używanymi starymi książkami w twardych oprawach i aktualnymi tanimi wydaniem. Ukryła rozczarowanie przed Samem w nadziei, że nie przyszli tu na darmo.

Starszy, siwowłosy mężczyzna w złotych okularach wyszedł z

zaplecza, wycierając dłonie w zakurzoną ściereczkę. Zauważył ich i się uśmiechnął.

– W czym mogę pomóc? Szukają państwo czegoś konkretnego?

Rozległ się sygnał komórki. Sam wyciągnął telefon z kieszeni i powiedział do Remi:

– Odbiorę na zewnątrz.

– Doskonale, w końcu to ma być niespodzianka.

Remi poczekała, aż zamkną się za nim drzwi, po czym zwróciła się do antykwariusza.

– Pan Pickering?

Mężczyzna skinął potakująco głową.

– Podobno ma pan egzemplarz *Historii piratów i korsarzy*.

Jakiś cień przemknął przez jego uśmiechniętą twarz.

– Oczywiście, proszę za mną.

Pickering wskazał jej półkę, na której stało kilka identycznych tomów. Co prawda były to ewidentne reprinty, ale złocone oprawy ze sztucznej skóry sprawiały, że wyglądały jak woluminy, które można było znaleźć w bibliotece przed wiekami.

Antykwariusz zdjął z półki jeden z egzemplarzy, przetaił go z wierzchu ściereczką i wręczył Remi.

– Skąd pani wiedziała, że to mam?

Uznała, że lepiej nie mówić mu wszystkiego, zwłaszcza teraz, kiedy okazało się, że książka jest jedynie przedrukiem.

– Od znajomej z pracy, która wie, że mój mąż interesuje się zabytkowymi przedmiotami i białymi krukami. - Otworzyła książkę i podziwiała szczegóły, imitujące oryginalne wydanie. - To doprawdy piękna kopia, ale... nie o to mi chodziło.

Pickering poprawił okulary na nosie.

– Chętnie kupują je dekoratorzy wnętrz. Nie są zainteresowani antykami, raczej przyozdobieniem stolika kawowego. Owszem, czasem wpada w moje ręce tom o większej wartości historycznej. Może pani znajoma miała na myśli *Historię*

najsłynniejszych piratów Charlesa Johnsona? Faktycznie, mam tę pozycję.

– My także. Miałam nadzieję, że uzupełnię naszą kolekcję o *Historię piratów i korsarzy*. Znajoma zapewne pomyliła te tytuły.

– Nie dosłyszałem, jak nazywa się ta osoba?

– Bree Marshall.

– Ach tak. No cóż... - Przerwał, zaskoczony nagłym ruchem powietrza i brzękiem dzwonka. Oboje popatrzyli w stronę drzwi. Remi spodziewała się Sama, lecz zamiast niego na tle okna wystawowego ujrzała kontur dużo niższego, krępego mężczyzny.

Antykwariusz zerknął na przybysza i uśmiechnął się do Remi.

– Przetnę ją z kurzu i zapakuję dla pani - powiedział i, zanim zdążyła go powstrzymać wyjaśnieniem, że nie jest zainteresowana zakupem reprintu, wyrwał jej książkę z rąk. - Zaraz wracam.

Jej przyjaciółka Bree musiała pomieszać tytuły, gdy poinformowała ją o książce, którą rzekomo posiadał jej wujek antykwariusz. Nieważne. Ta kopia naprawdę była piękna i będzie ładnie wyglądała w gabinecie Sama. A on na pewno ucieszy się z prezentu. Doszedłszy do takiego wniosku, postanowiła skrócić sobie czas oczekiwania przeglądaniem innych półek. Zauważyła osiemnastowieczny traktat o teorii muzyki Galeazziego. Wszystko wskazywało na to, że jest to pierwsze wydanie, dlatego zdziwiła się, że leży w zwykłej szklanej gablotce na froncie lady.

– Pani tu sprzedaje? - spytał nowy klient.

Odwróciła się do niego, prześlizgując się wzrokiem po ciemnych włosach, brązowych oczach i kwadratowej szczęce, gdy mężczyzna wyszedł ze smugi światła padającej z okna.

– Nie. Właściciel poszedł na zaplecze zapakować mój prezent.

Skinął głową i zniknął za regałem. Pickering wrócił z pakunkiem, okrążył kontuar i podszedł do kasy. Przybysz stanął

z boku, z rękami w kieszeniach czarnego skórzanego płaszcza. Jego obecność drażniła Remi, choć nie potrafiła określić dlaczego. Może dlatego, że wydawał się śledzić każdy jej ruch, no i nie wyjmował rąk z kieszeni. Zawsze czuła się niepewnie, gdy nie widziała czyichś rąk.

Pickering położył paczkę owiniętą w szary papier na ladzie i przesunął w jej stronę. Zauważyła lekkie drżenie jego kościstych palców. Wiek albo nerwy, przemknęło jej przez myśl.

– Dziękuję. Ile płacę?

– A, właśnie. Czterdzieści dziewięć dziewięćdziesiąt pięć, plus podatek. Pakowanie gratis.

Co prawda Remi nieco inaczej wyobrażała sobie opakowanie książki przeznaczonej na prezent, ale głośno powiedziała:

– To miłe zaskoczenie, spodziewałam się wyższej ceny.

– Wydrukowana w Chinach - wyjaśnił Pickering, uśmiechając się nerwowo.

Remi zapłaciła i wsadziła paczkę pod pachę. Syjam wylegający się na wystawie spojrział na nią i poruszył ogonem. Remi pochyliła się, by go pogłaskać. Kot zamruczał, a ona zerknęła ukradkiem na nieznanomego, który wciąż stał nieruchomo.

Nagle wyciągnął z kieszeni pistolet i wycelował w jej kierunku.

– Trzeba było wyjść, paniusiu, kiedy był na to czas. Nie wykorzystałaś szansy, więc teraz trzymaj ręce tak, żebym miał je na widoku.

Rozdział 2

Po zakończeniu telefonicznej rozmowy z dyrektorem hotelu, który potwierdził, że schłodzony szampan wraz z upominkiem dla Remi został dostarczony do ich apartamentu zgodnie z zamówieniem, Sam zerknął na zegarek, a potem przeniósł wzrok na witrynę antykwariatu. Zachodził w głowę, dlaczego Remi jeszcze nie wyszła. Znając swoją żonę, przypuszczał, że wdała się w ożywioną dyskusję na jakiś bliżej nieokreślony temat z właścicielem i klientem, który wszedł chwilę później. Bardzo ekscytowała ją perspektywa zdobycia tej tajemniczej książki, bo była pewna, że chciałby ją mieć w swoich zbiorach. Ale w końcu jak długo można kupować książkę?

Trzeba będzie dać jej do zrozumienia, by się pospieszyła, bo zanim wróca, szampan gotów osiągnąć temperaturę pokojową. Zajrzał przez okno, ale nie dostrzegł nikogo, nawet kota, który wcześniej leżał na stercie książek przy drzwiach. Na ladzie zauważył jedynie torebkę Remi, stojącą na zawiniętej w papier paczce.

Przemknęło mu przez głowę, że Remi nie ma zwyczaju rozstawać się z torebką. Otworzył drzwi i przy dźwiękach dzwonka wszedł do środka.

– Remi?

Sklep wyglądał na opustoszały.

– Remi?

Spojrzał na jej pozostawioną bez nadzoru torebkę i obszedł pomieszczenie, zaglądając między regały. Wreszcie ujrzał ją w drzwiach prowadzących do biura lub magazynu na tyłach sklepu.

– Tu jesteś.

– Zdaje się, że miałeś poczekać na zewnątrz.

– Wszystko w porządku?

– Znalazłam książkę kucharską, za którą się uganiałam. Właściciel poszedł ją zapakować. A teraz wyjdź, bo popsujesz sobie niespodziankę.

Popatrzył na nią przez dłuższą chwilę, nie mogąc wyczytać niczego z jej twarzy ani z zielonych oczu, wyrazistych niczym u pokerzysty.

– Czekam przed sklepem, ale pośpiesz się.

Uśmiechnęła się do niego słodko, nie ruszając się od drzwi.

– Dobrze.

Skierował się z powrotem do wyjścia. Dzwonek zabrzączał podczas otwierania, a potem zamykania drzwi wejściowych, ale Sam został w środku.

Remi nieźle radziła sobie w kuchni, jednak gotowanie nie należało do jej ulubionych czynności. Właśnie zdał sobie sprawę, że chyba nigdy nie kupiła książki kucharskiej, a już na pewno za żadną się nie uganiała. Przynajmniej, odkąd się pobrali.

Najwyraźniej wpakowała się w kłopoty.

Akurat teraz, kiedy nie miał przy sobie broni. Zwykle nosił rewolwer smith & wesson .357 magnum, ale znaleźli się w San Francisco wyłącznie w celach rozrywkowych, więc zostawił go w samolocie.

Co teraz? Dzwonić po policję i liczyć na to, że zjawią się na czas?

Nie zamierzał narażać życia żony. Wyciszył dzwonek w komórce, odłożył kapelusz na ladę i zaczął przeglądać szuflady w poszukiwaniu czegoś solidniejszego od jego kieszonkowego scyzoryka. Znalazł składany nóż z dziesięciocentymetrowym ostrzeni. Rozłożył go, czując, jak główka blokuje się w pozycji otwartej. Był dość ciężki, dobrze wyważony i zakończony

idealnym szpicem. Przypuszczalnie używano go do otwierania paczek, sądząc po lepkiej substancji na krawędzi ostrza. Teraz musiał tylko wrócić niepostrzeżenie.

Wsunął rękę do torebki żony, wymacał kosmetyczkę i wyjął z niej puderniczkę. Otworzył ją, przetaił pokryte resztkami pudru lusterko o spodnie i zaczął się skradać w głąb sklepu, uważając, aby regały z książkami oddziaływały go od drzwi na zaplecze.

– Ty stary ośle! - wykrzyknął ktoś grubym głosem.

Sam znieruchomiał.

– Zabiję cię, jeśli jeszcze raz pomylisz kombinację!

– Przepraszam. - Sam rozpoznał głos antykwariusza i ruszył naprzód. - Denerwuję się.

– Proszę nie wymachiwać tym pistoletem - powiedziała Remi. - Nie ma takiej potrzeby.

– Zamknij się! A ty, staruchu, otwórz wreszcie ten sejf!

– Robię, co mogę - wyjąkał Pickering.

Sam starał się uspokoić oddech. W pomieszczeniu na zapleczu była jego żona i jedyne, czego pragnął, to wpaść tam i ją uwolnić. Jednak działając nierozważnie, mógł narazić ją na śmierć. Składany nóż przeciwko bandycie uzbrojonemu w broń palną. W chwilach takich jak ta cieszył się ze szkolenia w zakresie bezpieczeństwa i posługiwania się bronią, które przeszedł jako pracownik DARPA.

Dotarłszy do końca przejścia między regałami, zatrzymał się i za pomocą lusterka spróbował zajrzeć za róg.

Światło zza drzwi na zaplecze padało na zielone linoleum. Sam przywarł do regału, starając się nie rzucać cienia. Poruszył lusterkiem, aby zorientować się, co dzieje się we wnętrzu pomieszczenia.

Ulga, jaką poczuł na widok żony siedzącej przy zagraconym biurku, nie trwała długo. Przekręciwszy lusterko, ujrzał niskiego śniadego faceta, który mierzył z pistoletu w plecy antykwariusza. Mężczyźni stali przed dużym, wolno stojącym

sejfem. Właściciel sklepu obracał pokrętko. Gdyby Sam spróbował zaatakować z miejsca, w którym się znajdował, Remi znalazłaby się dokładnie pomiędzy nim a bandytą. Nie spodobało mu się to, ale nie miał wyboru.

No dalej, Remi, odwróć się. Popatrz na mnie...

Spróbował błysnąć jej w oczy lusterkiem. Niestety, patrzyła w drugą stronę. Charakterystyczne kliknięcie obwieściło, że zamek sejfu został odblokowany. Pickering otworzył drzwiczki. Wewnątrz znajdowała się zgrabna drewniana skrzynka, w której mogły się zmieścić dwie butelki wina.

Bandyta podszedł bliżej.

– Co jest w tej skrzynce?

– Stara książka. Zabytek - odpowiedział Pickering.

– Postaw ją na blacie.

Antykwariusz spełnił polecenie i położył skrzynkę na biurku obok Remi.

Sam ujął nóż za ostrze, stanął w świetle drzwi, wycelował i rzucił.

Wybrał wyjątkowo niefortunny moment. W tej samej chwili Remi zerwała się z krzesła i porwaną z biurka mosiężną lampą uderzyła bandytę w rękę. Nóż trafił mężczyznę w ramię. Huknął strzał i pistolet wyleciał mu z dłoni.

Sam ruszył na niego, ale złoczyńca pchnął Pickeringa na Remi, chwycił skrzynkę i walnął nią Sama w głowę, po czym wybiegł przez drzwi.

Sam nie był pewien, czy jazgotliwe dzwonięcie spowodowane zostało otwarciem drzwi wejściowych, czy uderzeniem w głowę.

– Sam?

Chwilę trwało, zanim zdał sobie sprawę, że to głos jego żony.

– Wszystko w porządku? - spytał.

– To ja się pytam, jak się czujesz? - odpowiedziała pytaniem Remi.

– Świetnie... - Pomacał się po głowie. Kiedy oderwał rękę, na

palcach miał krew. - Wygląda na to, że tym razem przegrałem.

Remi położyła pistolet na biurku i posadziła męża na tym samym krześle, na którym przed chwilą siedziała. Sam poczuł miękkie dotknięcie jej ciepłych dłoni na policzkach. Zajrzała mu w oczy, by się upewnić, że nie stało mu się nic złego.

- Dla mnie zawsze jesteś zwycięzcą. Wezwać pogotowie?

- Nie ma potrzeby.

Kiwnęła głową, obejrzała z bliska ranę na głowie, a potem zwróciła się do antykwariusza, który wstawał z podłogi, przytrzymując się blatu biurka.

- Pomogę panu, panie Pickering.

- Nie trzeba - odpowiedział starzec. - Gdzie jest Pan Wickham?

- Pan Wickham? - zdziwiła się Remi.

- Mój kot. Wickham, chodź tu, kici, kici...

Chwilę później syjam wmaszerował na zaplecze, a Pickering wziął go na ręce.

- A więc wszyscy cali - oznajmiła Remi. - Czas wezwać policję.

Kiedy uniosła słuchawkę do ucha, Pickering łypnął na telefon.

- Czy to konieczne? - spytał.

- Wręcz niezbędne - odparła, wybierając numer na klawiaturze.

Stróże porządku przyjechali po pięciu minutach na sygnale, choć zgłaszając napad, poinformowała, że sprawca uciekł z miejsca przestępstwa.

Jeden z policjantów wziął Sama na bok w celu złożenia zeznania. Po wysłuchaniu go spytał, w którym miejscu stał bandyta w chwili, gdy wypalił jego pistolet. Sam podszedł do biurka i zademonstrował ruchy przestępcy po tym, jak Remi uderzyła go lampą w rękę. Policjant stanął na jego miejscu i się rozejrzał.

- A gdzie się pan znajdował w chwili wykonywania rzutu nożem?

- W drzwiach.

– Proszę tam stanąć.

Sam zrobił to.

Policjant podszedł do niego i dotknął palcem futryny.

– Pocisk utkwiał w tym miejscu.

Sam obejrzał się i zdał sobie sprawę, że to zaledwie kilkanaście centymetrów od jego głowy.

– To mój szczęśliwy dzień.

– Panie Fargo. Co prawda mam wiele uznania dla państwa postawy, ale na przyszłość zalecałbym wezwać policję.

– Na pewno to zrobimy, jeśli znów przytrafi się nam coś takiego.

Sam wiedział, że w większości przypadków Remi wybrałaby aktywne działanie.

To jedna z wielu rzeczy, za które tak bardzo ją kocham, pomyślał, zerkając w kierunku wejścia do sklepu. Remi już złożyła zeznania i czekała cierpliwie przy drzwiach.

Sierżant Fauth, ubrany po cywilnemu śledczy z wydziału kryminalnego, przesłuchiwał Pickeringa, który sprawiał wrażenie nieobecnego - nic dziwnego, zważywszy na jego wiek i okoliczności.

– Czy zginęło coś jeszcze?

Starzec otworzył drzwiczki sejfów.

– Nie. Tylko skrzynka z książką. Nie trzymam tu niczego wartościowego. Kilka starych monet. Hiszpańskie złote dublony, nic wielkiego... nie ma o czym mówić. Zresztą są tutaj.

– Co to była za książka?

Pickering wzruszył ramionami.

– Kopia starej książki o piratach. Nie przedstawiała większej wartości. Zresztą mam jeszcze kilka takich samych. Pokażę panu. - To mówiąc, wyszedł z zaplecza, zdjął jeden egzemplarz z półki i wrócił, po czym położył tom na biurku.

– A sama skrzynka, czy była droga?

– Nie.

– Więc dlaczego trzymał ją pan pod kluczem?

– Może w nadziei, że ktoś uzna ją za cenną i nie zwróci uwagi na bardziej wartościowe rzeczy.

Sierżant Fauth zerknął do notesu, a potem popatrzył na antykwariusza.

– Czy może pan podać jakiś powód, dla którego ten mężczyzna pokusił się o obrabowanie pańskiego sklepu?

Pickering otarł pot z czoła drżącą ręką. Najwyraźniej napad kosztował go wiele nerwów.

– Być może ma to coś wspólnego z plotką, jakobym posiadał oryginalne wydanie tej książki. Nie wiem, kto i dlaczego ją rozpuścił. Jednak skradziona książka to tylko reprint, taki sam, jak ten leżący na biurku. - Poklepał zdjęty z półki egzemplarz *Historii piratów i korsarzy*.

Sierżant podziękował mu i schował notes do wewnętrznej kieszeni marynarki. Technicy kryminalistyczni właśnie zabrali się do zabezpieczania odcisków palców i robienia zdjęć. Śledczy wręczył wizytówki Samowi i antykwariuszowi.

– Gdyby coś jeszcze się panom przypomniało albo mielibyście jakieś pytania, tu macie mój numer. - Ruszył do wyjścia, ale zatrzymał się i zwrócił do Pickeringa: - Chciałby pan, abym zadzwonił do kogoś z pańskiej rodziny albo do przyjaciół? Może wezwać kogoś do pomocy?

– Nie trzeba. Dam sobie radę.

Śledczy wyszedł, skinąwszy głową Remi stojącej przy drzwiach.

Sam popatrzył na techników, potem na Pickeringa, zastanawiając się, czy powinni zostawić go samego z tym wszystkim.

– Może jednak moglibyśmy panu w czymś pomóc?

– Nie, dziękuję, panie Fargo. Kiedy już tu skończą, mam zamiar pójść na górę i uciąć sobie dłuższą drzemkę.

Remi podeszła do starca i uściskała go.

– Bardzo mi przykro z powodu tego, co się stało.

Pickering odetchnął głęboko i się uśmiechnął.

– Nie wiem, jak państwu dziękować. Być może wasza odwaga uratowała życie nam wszystkim.

Sam wręczył Remi torebkę, by skłonić ją do szybszego wyjścia.

– Idziemy? - spytał, przytrzymując drzwi.

– Oczywiście.

– Chwileczkę! - zawołał Pickering. - Zapomniała pani o paczce. Jeszcze tego brakuje, aby po tych wszystkich przejściach zostawiła pani swoje zakupy.

– Dziękuję. - Wzięła od niego pakunek. Od razu po wyjściu ze sklepu wręczyła go mężowi.

– Domyślam się, że to nie jest książka kucharska - mruknął Sam.

– Niestety, nie jest to też książka, po którą tu przyszłam. Cóż, przynajmniej nie wrócimy z pustymi rękami. Sądzę, że będzie ładnie wyglądała na stoliku w twoim gabinecie.

– Z czasem nabierze dla nas wartości jako pamiątka tej przygody.

Przeszli przez ulicę, zmierzając spacerkiem do hotelu Ritz-Carlton. Bywali już wcześniej w tarapatach i najprawdopodobniej będą jeszcze niejeden raz. I choć Sam nie wątpił w to, że jego żona doskonale potrafi o siebie zadbać, nigdy nie zdoła przestać się o nią martwić.

Za każdym razem tylko utwierdzał się w tym przekonaniu. Wziął ją za rękę, a ona przytuliła głowę do jego ramienia.

– Dobrze się czujesz? - spytał po chwili.

– Świetnie. W końcu to nie ja mam rozwaloną głowę.

– Rana jest powierzchowna. Już nawet nie krwawi.

Przyjrzała mu się uważnie.

– Sprawdźmy to po powrocie do hotelu.

– Zauważyłaś te złote monety w sejfie Pickeringa?

– No właśnie. Nie dziwi cię to, że rabuś zignorował złoto, a

zabrał tylko skrzynkę z książką, której nawet nie obejrzał?

– W dodatku książka była niewiele warta. Zwykły reprint.

– Bardzo dziwne - powiedziała, kiedy skręcali w Stockton Street, prowadzącą do hotelu. - Miałam wrażenie, że Pickering celowo umniejsza wartość skradzionej książki. To bez sensu. Głupio byłoby dać się zastrzelić z powodu reprintedu. A jeśli już o tym mowa, to mam pytanie. Co z tym obiecany tygodniem, podczas którego nikt nie będzie chciał nas zabić?

– Nie miałem na myśli dzisiejszego dnia. Przecież tydzień zaczyna się jutro.

– Aha. Cieszę się, że to sobie wyjaśniliśmy.

Podeszli do stanowiska konsjerżka. Remi poprosiła stojącą za ladą dziewczynę o przesłanie książki do ich domu wraz z jeszcze jednym przedmiotem - dużym, glinianym kogucikiem. Kupiła go wcześniej w sklepie ze starociami dla Selmy Wondrash, która zawsze mówiła, że chciałyby mieć taki bibelot w kuchni.

– Życzy sobie pani ubezpieczenie albo specjalne oznakowanie paczki?

– Nie trzeba. To tylko książka.

– Na ten sam adres co kogucik?

– Tak, ten sam.

– Załatwione.

– Dziękuję.

Otwierając ich apartament, Sam przyłożył kartę do zamka, a następnie uchylił drzwi i szybko obrzucił wzrokiem wewnątrz.

– Droga wolna - oznajmił, przepuszczając ją przodem.

Na stoliku naprzeciw sofy stał talerz z pokrojonymi w plasterki zielonymi jabłkami i serem oraz kubeczek z lodem, w którym tkwiła butelka szampana Billecart-Salmon Brut Rose. Sam z zadowoleniem stwierdził, że ktoś z obsługi pokojowej zauważył ich przedłużającą się nieobecność i wymienił lód w wiaderku. Szampan był schłodzony idealnie. Obok dwóch wysokich kieliszków leżał upominek dla Remi. Sam wręczył jej

niewielkie pudełeczko w kolorze turkusowym, charakterystycznym dla opakowań od Tiffany'ego.

– A ja nie mam dla ciebie prezentu.

– Przecież kupiłaś mi książkę.

– Ale okazało się, że to tylko kopia.

Sam odkorkował szampana.

– Później mi to zrekompensujesz.

– Być może - odparła, rozwiązując wstążkę i zdejmując wieczko. W środku był złoty łańcuszek z wysadzana diamentami, stylową zawieszka w kształcie klucza.

– Czyżby klucz do twojego serca?

– Do niego nie potrzebujesz klucza.

– Mam nadzieję, że nie do naszych frontowych drzwi. - Zawiesiła na szyi łańcuszek. - Wyobraź sobie, ile by nas kosztował nowy klucz w razie konieczności wymiany zamka.

– Mając na względzie najnowsze systemy zabezpieczeń, które niedawno zainstalowaliśmy, wysadzane diamentami klucze nie byłyby znaczącym wydatkiem.

Rzeczywiście, wydali fortunę, by zamienić swój dom w prawdziwą fortecę. Zdecydowali się na to, gdy został niemal doszczętnie zniszczony w wyniku zmasowanej zbrojnej napaści. Dla spokoju ducha, pomyślał Sam, i wręczył Remi napelniony kieliszek. Następnie wzniósł swój i powiedział:

– Ponawiam obietnicę. Od jutra przez cały tydzień wyłącznie wypoczynek, relaks oraz żadnych zamachów na nasze życie. I jeszcze jedno - moja niepodzielna uwaga.

– Trzymam cię za słowo, jeśli chodzi o tę ostatnią część.

– To znaczy żadnych zamachów czy niepodzielna uwaga?

– Najlepiej jedno i drugie - odparła, stukając się z nim kieliszkiem.

– Zgoda.

Rankiem, kiedy Sam się obudził, Remi wciąż jeszcze spała. Wstał więc po cichu z łóżka i zamówił śniadanie do pokoju. Kiedy je przyniesiono, Remi wynurzyła się z sypialni w jedwabnym szlafrocжку, spowijającym jej gibkie ciało. Długie, kasztanowe włosy wciąż jeszcze miała wilgotne po kąpielu. Ucałowała męża na powitanie i zasiadła za stołem.

Sam napełnił kawę filiżankę, przesunął ją ku niej po blacie i zanim wrócił do czytania gazety, spytał:

– Wypałaś się?

– Owszem - odpowiedziała, nakładając łyżeczką porcję świeżych owoców do małej miseczki greckiego jogurtu. - Dokąd dzisiaj się wybierzemy?

– Mam ci popsuć niespodziankę? Nie powiem.

Sam otworzył „Chronicle” i zaczął przeglądać artykuły. Nagle jeden z nagłówków przyciągnął jego wzrok. *Atak serca przypuszczalną przyczyną śmierci ofiary napadu rabunkowego.*

– To zmienia postać rzeczy...

– Co mówisz?

Opuścił gazetę i popatrzył na Remi.

– Ten antykwariusz, Gerald Pickering, nie żyje.

Rozdział 3

Charles Avery rozparł się w fotelu i popijając kawę, przeglądał „San Francisco Chronicle”. Choć dobiegał sześćdziesiątki, nadal miał ciemne włosy lekko przyprószone na skroniach siwizną i, jak sam uważał, był w doskonałej kondycji jak na mężczyznę w swoim wieku. Mimo to tego ranka potrzebował już drugiej filiżanki kawy, żeby się pozbierać po wczorajszym późnym przylocie prywatnym odrzutowcem ze wschodniego wybrzeża do San Francisco.

Uśmiechnął się, przeczytawszy o śmierci antykwariusza Geralda Pickeringa. Wiadomość w najmniejszym stopniu go nie zaskoczyła. Zwłaszcza po wczorajszych wydarzeniach.

Oczywiście, wszystko to było bez znaczenia, jeśli jego ludzie nie zdołali odzyskać książki ani potwierdzić, że był to właśnie ten egzemplarz, którego poszukiwał.

Krzyżyk na drogę, Pickering, pomyślał. W tej samej chwili do gabinetu wszedł szef ochrony Colin Fisk. Niósł lśniąca drewnianą skrzyneczkę. Nareszcie.

– A więc znalazłeś - ucieszył się Avery.

– Znalazłem antykwariat, książki nie - odparł Fisk.

Avery wziął głęboki oddech, hamując narastający gniew.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Fisk postawił skrzynkę na stole i podniósł wieko. Ukazał się oprawny w skórę tom.

– Podróbka. Kiedy wróciliśmy po wyjściu policji, Pickering oświadczył, że sprzedał książkę innemu kolekcjonerowi, zanim pojawił się mój człowiek.

– Czy twój człowiek powiedział mu, kim jestem?

– Tak.

– I co mu zrobię, jeśli nie dostarczy książki?

– Tak.

– Czy przynajmniej dowiedzieliście się, komu ją sprzedał?

– Niestety, wyzionął ducha, zanim wyciągnęliśmy od niego tę informację.

Avery odstawił filizankę na mahoniowy stół, po czym znów odetchnął głęboko. Wlepił wzrok w Fiska, zastanawiając się, czy nie popełnił błędu. Nie powinien skorzystać z usług poleconych przez Fiska ludzi. Podobno mieli być najlepsi i pod pewnymi względami faktycznie byli. Wykonywali rozkazy bez zadawania zbędnych pytań, poza tym bez większych problemów znaleźli Pickeringa, choć wcześniej jego ludziom nie udało się go znaleźć. Czy to możliwe, że Pickering przejrzał jego zamiary? Czy zorientował się, że odkąd Avery dowiedział się o książce w jego sklepie, dni antykwariusza zostały policzone?

Avery szukał jej dwadzieścia lat...

Jak to możliwe, że była już tak blisko, mimo to wymknęła mu się z rąk?

Wyjął książkę ze skrzynki i otworzył na stronie tytułowej.

Bez wątpienia została skopiowana z pierwszego wydania, być może nawet z egzemplarza skradzionego jego przodkom ponad dwa wieki temu. To dlatego tak dokładnie odwzorowano zarówno mapy, jak i tekst. Jednak w reprimie brakowało czegoś, co zapewne znalazłby w tomie ukrywanym przez Pickeringa. Chodziło o klucz do szyfru, za pomocą którego wydrukowane zostały opisy na mapach. Jaki jest pożytek z mapy, skoro nie sposób odczytać zaszyfrowanych adnotacji?

– Przeszukaliście wszystko dokładnie? - spytał Avery.

– Tak jest. Niczego nie znaleźliśmy. Mamy jednak pewien trop. W policyjnym raporcie znajdują się nazwiska świadka i osoby poszkodowanej podczas napadu. Trochę powęszyłem i okazało się, że to znani poszukiwacze skarbów.

– Poszukiwacze skarbów? Kto ich sponsoruje? Wystarczy odciąć im dopływ pieniędzy, aby ich powstrzymać.

– Są samowystarczalni - odparł Fisk. - Z tego, co słyszałem, ktokolwiek próbował wejść im w drogę, marnie kończył. Państwo Fargowie nie są napalonymi amatorami, szukającymi szybkiego zarobku. To multimilionerzy, którzy swoje przychody przeznaczają na cele charytatywne.

– Altruści w rodzaju Robin Hooda? Chyba poradzimy sobie z nimi bez większych trudności.

– Wysoko wykwalifikowani altruści.

Avery sięgnął po filiżankę.

– Zdaje się, że jeszcze mnie nie spotkali?

– Nie, ale proszę ich nie lekceważyć. Przezorny zawsze ubezpieczony.

Rozdział 4

– Nadal nic? - spytał Sam, patrząc, jak Remi usiłuje dodzwonić się do Bree Marshall. Właśnie przyjechali taksówką do Komendy Głównej Policji San Francisco w Mission Bay. Wezwał ich sierżant Fauth, aby zadać im jeszcze kilka dodatkowych pytań.

– Musiała wyłączyć telefon - stwierdziła Remi i rozłączyła się. Zrezygnowała z zostawienia wiadomości. Zrobiła to wczorajszej nocy, wkrótce po napadzie, a także dzisiaj rano, za każdym razem z prośbą, aby Bree niezwłocznie zadzwoniła do nich do hotelu albo bezpośrednio na jej komórkę. Nie chciała, aby jej przyjaciółka dowiedziała się o śmierci wujka z poczty głosowej. - Zaczynam się niepokoić. Najpierw rabunek, a teraz to...

– Na pewno wkrótce oddzwoni. Ciekawe, czy detektywi zrobili jakieś postępy.

– Oby mieli dobre nowiny. Bardzo by się to nam przydało. - Smagnął ich podmuch słonawego wiatru. Remi zapięła szczelnie kurtkę, chroniąc się przed chłodem. - Jak mam jej o tym powiedzieć, kiedy zadzwoni?

– Może już wie i dlatego się nie odzywa.

Sam przepuścił ją w przeszklonych drzwiach. Po minięciu bramki, przy której kilku strażników kontrolowało wszystkich wchodzących, podeszli do okienka. Za szybą siedziała policjantka, pełniąca obowiązki oficera dyżurnego.

– Remi i Sam Fargo do sierżanta Fautha - oznajmił Sam.

– Czy jesteście umówieni?

– Tak. Chodzi o sprawę wczorajszego napadu na antykwariat.

Policjantka podniosła słuchawkę, przekazała komuś uzyskaną informację, po czym zwróciła się do Sama:

– Sierżanta Fautha nie ma. Za chwilę zejdzie jego partner, sierżant Trevino.

Po dwóch minutach z windy wysiadł ciemnowłosy mężczyzna i przedstawił się.

– Przepraszam za nieobecność mojego partnera. Coś mu wypadło - powiedział, prowadząc ich do pokoju przesłuchań. - Bardzo nam przykro, że musieliście się fatygować taki kawał drogi, ale po śmierci Pickeringa zmieniliśmy kwalifikację czynu na zabójstwo.

Sam podsunął krzesło Remi i usiadł obok niej.

– Z informacji prasowej wynikało, że przyczyną śmierci był prawdopodobnie atak serca.

– Być może tak właśnie było, ale pewność uzyskamy dopiero po otrzymaniu protokołu z sekcji zwłok. Nasze podejrzenia budzi zbieżność zgonu z napadem. Śledztwo prowadzone jest wielotorowo. Tak czy inaczej, doszło do brutalnego przestępstwa i zależy nam na schwytaniu sprawcy. - Otworzył notes i przerzucił kilka kartek. - Powiedzieliście wczoraj mojemu partnerowi, że odwiedziliście Chinatown w celu zakupu książki. Dlaczego weszliście właśnie do tego antykwariatu?

– Ktoś nam go polecił - odparła Remi. - Szukałam pewnej książki na prezent dla męża. Powiedziała mi o niej siostrzenica pana Pickeringa, Bree Marshall.

– Skąd ją pani zna?

– Pracowała kiedyś jako wolontariuszka dla Fundacji Fargo.

– Rodzinny interes?

– Raczej rodzinna organizacja charytatywna - wyjaśniła. Remi poznała Sama tuż po tym, jak odszedł z DARPA, czyli Agencji Zaawansowanych Projektów Badawczych w Obszarze Obronności, aby założyć własną firmę. Wkrótce wzięli ślub. Za zachętą Remi Sam zrealizował swój projekt argonowego skanera laserowego do wykrywania i rozpoznawania stopów metali na odległość. Wynalazek odniósł ogromny sukces rynkowy. Po

czterech latach sprzedali Fargo Group temu, kto zaproponował najwyższą cenę, i dzięki tej transakcji do końca życia nie musieli martwić się o byt. Wtedy też założyli Fundację Fargo.

– Bree Marshall pomagała nam podczas ostatniej zbiórki pieniędzy na nowy oddział biblioteki w La Jolla - kontynuowała Remi. - To właśnie ona wspomniała, że jej wujek próbuje znaleźć odpowiedni dom dla książki o piratach i morskich mapach, wydanej w początkach osiemnastego stulecia.

Trevino zerknął do notatek.

– Czyżby to miała być ta książka, która, jak sądzimy, została skradziona z sejfu?

– Nie widziałam książki wyjętej z sejfu, tylko samą skrzynkę. Wydaje mi się jednak, że Bree mówiła o pierwszym wydaniu.

– Dlaczego?

– Według niej wujek byłby bardzo rad, gdyby znalazł się ktoś, kto potrafiłby docenić wartość historyczną tej książki.

Sierżant obrzucił ich wzrokiem, trzymając długopis zawieszony nad notesem.

– Zdaje się, że jesteście zawodowymi poszukiwaczami skarbów.

– Zgadza się - przytaknął Sam - jednak wszelkie wpływy przeznaczamy na cele dobroczynne, za pośrednictwem Fundacji Fargo.

– Przyznam, że niewiele wiem na temat białych kruków. Skoro jednak była to książka o piratach i mapach, być może skradł ją ktoś, kto spodziewał się znaleźć z jej pomocą jakieś zapomniane pirackie skarby?

Remi się roześmiała.

– Wszystko możliwe. Muszę jednak powiedzieć, że gdybym nie dowiedziała się od siostrzenicy pana Pickeringa, że ma on na sprzedaż pierwsze wydanie akurat wtedy, gdy byliśmy w pobliżu, to wątpię, abym zainteresowała się tą książką.

– Założmy, że skradziony egzemplarz to rzeczywiście pierwsze

wydanie. Ile mógł kosztować?

– To zależy od stanu egzemplarza. - Remi sprawdziła to na samym początku, kiedy zastanawiała się nad kupieniem książki dla Sama. - Spotkałam się z cenami od kilkuset do dwóch tysięcy dolarów. Nie jest to jakaś wyjątkowo cenna książka, bo w swoim czasie była bardzo popularna, dlatego zachowało się dość dużo egzemplarzy pierwszego wydania. Dla nas miała raczej wartość sentymentalną.

– Otóż to - potwierdził Sam. - Oboje lubimy historię mórz i oceanów.

Sierżant Trevino zamknął notes.

– W zasadzie to wszystko z mojej strony. Chyba że, waszym zdaniem, coś przeoczyliśmy?

– W tej chwili nie mamy nic do dodania - odparł Sam.

– Zadzwonimy do pana, jeśli coś się nam przypomni - dodała Remi.

– Jeszcze raz dziękuję, że zechcieliście tu przyjechać.

Detektyw odprowadził ich do wyjścia.

Niemal w drzwiach Remi zapytała:

– A co się stanie z Panem Wickhamem?

Sierżant Trevino uniósł brwi.

– To kot antykwariusza.

– Ach tak, racja. Wzięła go do siebie sąsiadka Pickeringa. Kot będzie pod dobrą opieką do czasu, gdy córka albo siostrzenica zmarłego zadecydują o jego dalszym losie.

– Czy skontaktowaliście się już z którąś z nich?

– Jeszcze nie. Córka mieszka podobno na wschodnim wybrzeżu. Jeśli chodzi o siostrzenicę, to dała nam pani numer jej telefonu. Spróbujemy złapać ją w ten sposób.

Po raz kolejny podziękował im i poszedł do windy.

– Miałem nadzieję, że nasz krótki pobyt w San Francisco będzie bardziej relaksujący - powiedział Sam po powrocie do hotelu.

Remi westchnęła.

– To chyba przeze mnie. Uparłam się, żeby pójść do tego antykwariatu. Uznałam, że oryginalna książka przyda morskiego charakteru twojemu nowemu gabinetowi.

– Nie przejmuj się, ten reprint bardzo mi się podoba. A zwłaszcza związana z nim burzliwa historia.

– Dokąd teraz pojedziemy? - spytała po wejściu do lobby.

– Najpierw na górę po bagaże, a potem nadmorską drogą do Monterey.

– Kolacja i placek z meksykańską limonką u Roya?

Zanim zdążył odpowiedzieć, podszedł do nich kierownik zmiany recepcji ze zboląłą miną.

– Jest mi niewymownie przykro. Nie wiem, jak zdołam to państwu wynagrodzić. Jeszcze nigdy coś takiego nie zdarzyło się w tym hotelu, odkąd tu pracuję.

– Niby co się nigdy nie zdarzyło? O czym pan mówi? - spytał Sam.

– Przyszła policja z nakazem przeszukania waszego apartamentu.

– Z jakim nakazem? - zdziwiła się Remi, przekonana, że się przesłyszała. Nie pamiętała, aby w całym swoim życiu zrobili cokolwiek, co mogłoby skutkować policyjnym dochodzeniem przeciwko nim.

– Próbowaliśmy skontaktować się z państwem, ale stale włączała się poczta głosowa.

Oboje wyłączyli dzwonki swoich komórek na czas rozmowy z sierżantem Trevinem.

– Ma pan kopię tego nakazu? - zainteresował się Sam.

– Kopię?

– Policja ma obowiązek zostawić na miejscu kopię nakazu.

– Sami ich państwo o to pytajcie. Wciąż są na górze w waszym pokoju.

– Dobry pomysł - rzucił Sam i wraz z Remi ruszył w kierunku

wind. - Nic dziwnego, że na komendzie nie było sierżanta Fautha. Zajęty był grzebaniem w naszych rzeczach, podczas gdy jego partner zabawiał nas, zadając nieistotne pytania na temat napadu.

- Czego mogą szukać? - spytała Remi, gdy Sam ze złością naciskał przycisk przywołujący windę. - Przecież padliśmy ofiarami napadu, tak samo jak nieszczęsny Pickering. Powinni nas po prostu zapytać. Po co to całe zamieszanie?

Uśmiechnęła się blado do kierownika recepcji, który zdawał się wsłuchiwać w każde jej słowo. W pierwszej chwili była zaskoczona, dlaczego Sam go nie odprawił, ale uświadomiła sobie, że skoro policja robiła rewizję w ich pokoju, co zresztą wydawało jej się niepojęte i wyjątkowo upokarzające, to lepiej mieć ze sobą świadka.

Kiedy winda zatrzymała się na ich piętrze, kierownik recepcji wpuścił ich do apartamentu. Wewnątrz Remi ujrzała dwóch mężczyzn w ciemnych garniturach i lateksowych rękawiczkach. Jeden z nich sprawdzał zawartość leżącej na łóżku walizki, grzebiąc ręką w jej bieliźnie, jakby szukał jakiegoś ukrytego przedmiotu. Drugi zaglądał do szafek obok barku.

- Nie widzę tu sierżanta Fautha - szepnęła do Sama.

Ten przy barku odwrócił głowę i obrzucił ich groźnym spojrzeniem.

- Prowadzimy dochodzenie. Proszę nie utrudniać czynności służbowych i natychmiast opuścić to pomieszczenie.

Sam wyszedł przed Remi, osłaniając ją swoim ciałem.

- Nic z tego. Chcę zobaczyć wasze odznaki i nakaz przeszukania.

- Oto nakaz. - Mężczyzna wyciągnął plik złożonych kartek z kieszeni na piersi, a jego partner ruszył w ich kierunku.

Detektyw wcisnął dokumenty Samowi w ręce i zaczął popychać go na stolik przy wejściu. Sam chwycił go za ramię, zakręcił nim i rzucił o ścianę. Zaczęli się szarpać. Drugi z

mężczyzn zamierzał włączyć się do bójki i zaszedł Sama od tyłu. Sam huknął pierwszego z nich pięścią w szczękę, odwrócił się i kopnął drugiego. Ten przewrócił się na kierownika recepcji. Obaj upadli na podłogę. Remi odskoczyła, rozejrzała się za czymś do obrony i porwała ze stołu ciężką wazę. Uniosła ją i zamierzyła się, by uderzyć. Widząc to, facet leżący na podłodze rzucił okiem na Sama i swojego partnera, potem zerwał się i wybiegł z pokoju.

Sam nadal szamotał się z pierwszym detektywem. Mężczyzna zamachnął się, ale Sam zablokował uderzenie lewą ręką, prawą zaś pięść wbił w jego brzuch. Detektyw osunął się na kolana, ale na widok Sama, szykującego się do zadania kolejnego ciosu, błyskawicznie się pozbierał i czmychnął za swoim kolegą. Sam wybiegł za nimi, ale po kilku krokach zrezygnował z pościgu i wrócił do pokoju, zamykając za sobą drzwi. Popatrzył na Remi, stojącą wciąż w bojowej pozycji z uniesioną wazą.

– To na mnie czy na nich?

– Jeszcze się nie zdecydowałam.

Skinieniem głowy wskazała mu kierownika recepcji, wciąż leżącego na podłodze. Sam wyciągnął do niego rękę i pomógł mu wstać.

– Nic się panu nie stało?

– Nie, ale najadłem się strachu - odparł tamten, otrzepując ubranie. - To oburzające. Zapewniam państwa, że złożę oficjalną skargę na tych funkcjonariuszy.

– Proszę mi wierzyć, to nie byli policjanci - oznajmił Sam.

– Jak to? A nakaz?

Sam podniósł z podłogi rzekomy nakaz i obejrzał go dokładnie.

– Dokument jest fałszywy. Brakuje uwierzytelnionego podpisu. Prawdopodobnie został ściągnięty z Internetu. - Podał go Remi. Szybko przebiegła po nim wzrokiem.

– Czy oni szukali? - spytała.

– Przypuszczam, że tego samego co w sejfie Pickeringa.

Po szybkim telefonie na policję upewnili się, że mężczyźni nie byli stróżami prawa. Wkrótce w okolicy hotelu zaroilo się od umundurowanych funkcjonariuszy, poszukujących obu podejrzanych.

Niedługo pojawił się też sierżant Fauth. Przeprasił za swoją poranną nieobecność. Właśnie wracał z prosektorium z protokołem sekcji zwłok Pickeringa.

– A więc nie macie pojęcia, czego oni mogli szukać? - spytał Remi i Sama.

– Najmniejszego - potwierdził Sam. - Szczerze mówiąc, podejrzewaliśmy pana i pańskiego partnera, że celowo wezwaliście nas w celu złożenia wyjaśnień, aby wyciągnąć nas z hotelu i dokonać rewizji.

– Gdybyśmy chcieli nielegalnie przeszukać wasze pokoje, na pewno postaralibyśmy się o lepiej podrobiony nakaz. Prawdopodobnie sprawcy obserwowali was i czekali, aż wyjdziecie z hotelu. Najwyraźniej spodziewali się, że macie to, czego nie znaleźli u Pickeringa.

Remi przejrzała zawartość walizki, sprawdzając, czy nic nie zginęło.

– To, czego szukali, musiało mieć niewielkie rozmiary. Zaglądali pod podszewkę dna walizki i do małych kieszonek zamykanych na suwak. Nie zmieściłaby się tam książka, którą kupiłam.

– A właśnie, gdzie ona jest? - spytał Fauth.

– Jeśli konsjerżka wykonała moje polecenie, przesyłka z książką dziś po południu zostanie dostarczona do naszego domu.

– Czy ktoś mógłby na miejscu sprawdzić jej zawartość?

– Oczywiście. Zaraz zadzwonię do szefowej naszego zespołu badawczego.

– Będę zobowiązany.

Remi wyjęła telefon z torebki i wybrała służbowy numer

Selmy. Połączenie nie zostało odebrane, więc zostawiła wiadomość.

Kiedy się rozłączyła, sierżant Feuth powiedział:

– Ustalmy fakty. Zaraz po powrocie z komendy do hotelu kierownik recepcji poinformował was, że policja przeszukuje wasz pokój.

– Zgadza się - przytaknął Sam. - Obserwował nas od momentu, kiedy weszliśmy do holu.

Kierownik, wciąż jeszcze roztrzęsiony, pokiwał twierdząco głową.

– Kiedy pokazali mi nakaz rewizji, próbowałem się z państwem skontaktować, ale nie mogłem się dodzwonić. Co miałem zrobić? Dokumenty, które przedstawili, wyglądały na autentyczne, mieli broń, a ja...

– Byli uzbrojeni? - przerwał mu sierżant Fauth.

Hotelarz kiwnął głową.

– Może powinienem zapytać ich o odznaki, ale...

– Jak pan się nazywa?

– Bryant.

– Panie Bryant, czy powiedzieli panu, czego szukają? - spytał Fauth.

– Tak. Chcieli wiedzieć, czy może słyszałem, jak państwo Fargo rozmawiali o jakimś kluczu, o jego znalezieniu lub ukrywaniu. Pytali mnie, czy oddawali coś na przechowanie do sejfu hotelowego. Szczegółów nie pamiętam, ale na pewno szukali klucza.

– Klucza?

– Tak. Pomyślałem, że może chodzi o łańcuszek z wisiorkiem, który pani Fargo miała na sobie tego ranka, gdy wychodziła z hotelu.

– Czy jest coś, co powinnam o tym wiedzieć? - spytała Sama. Jej palce dotknęły diamentowego wisiora w kształcie kluczyka.

– Zwyczajne świecidełko, owszem, dość kosztowne, ale nic

ponad to - odparł Sam.

Remi uśmiechnęła się do sierżanta i zwróciła się do niego, nadając swemu głosowi miłe brzmienie.

– Sądzę, że możemy zgodzić się co do jednego: ci ludzie chcieli nam zabrać coś, czego nie mamy. Jeżeli nie ma pan więcej pytań, to będziemy się zbierać. Jesteśmy już spakowani.

Fauth popatrzył na ich walizki.

– Przejrzę nagrania z kamer w holu recepcji. Liczę na to, że pan Bryant mi w tym pomoże.

Sam pozamykał walizki.

– W razie czego ma pan numery naszych komórek. - Nie czekając na odpowiedź sierżanta, wyprowadził Remi na korytarz. Kierownik recepcji ruszył za nimi, ale Sam osadził go w miejscu słowami:

– Sami trafimy do wyjścia.

– Oczywiście. - Hotelarz zrobił krok w tył, a Sam i Remi poszli do windy.

– Kiedy wreszcie złączą się nasze beztrudne wakacje? - spytała Remi natychmiast po zamknięciu się drzwi kabiny.

– Czyżbym powiedział, że dzisiaj? Miałem na myśli jutro.

– Hm...

– Tak dla porządku: nikt nie próbował nas dziś zabić.

– Ale oni mieli pistolety - powiedziała Remi, patrząc na Sama spode łba - a nasze zostały w samolocie.

– To chyba dobry moment, aby ci przypomnieć, kto wpadł na pomysł wejścia do tego antykwariatu.

– Lepiej mi o tym nie przypominaj.

Rozdział 5

Sam postanowił odłożyć ich nocny wypad na półwysep Monterey, gdzie mieli zatrzymać się w hotelu Inn at Spanish Bay i zjeść kolację u Roya, zgodnie z porzekadłem „co się odwlecze, to nie uciecze”. Zadzwoił do pilotów i polecił im czym prędzej wystartować z Monterey i wracać do San Francisco. Remi była bardzo niespokojna z powodu braku kontaktu z Bree, co w połączeniu z porannymi wydarzeniami zepsuło jego plany na nadchodzący tydzień. Kilka godzin później, w lecącym na wysokości przelotowej G650, relaksowali się kojącym *Allegretto* VII symfonii Beethovena. Z esemesa przesłanego przez Selmę Remi dowiedziała się, że książka dotarła dziś rano w „dość dobrym stanie” bez widocznych uszczerbków, z wyjątkiem lekkiego uszkodzenia wewnętrznej strony okładki, być może na skutek upadku podczas transportu. W paczce nie było kluczy ani żadnych innych przedmiotów.

Wiadomość od Selmy nie uspokoiła Remi. Sam patrzył, jak sprawdza połączenia, a potem z zatroskaną twarzą odkłada telefon na stół. Niepokoiła się, że Bree wciąż nie oddzwania. Chciałby jej jakoś ulżyć w tej udreće. Nie znał zbyt dobrze Bree Marshall, ale Remi pracowała z nią ręka w rękę przez ostatnich kilka tygodni i polubiła tę dziewczynę.

* * *

Po wylądowaniu w San Diego pojechali prosto do domu Bree w La Jolla. Mieszkała na pierwszym piętrze budynku na osiedlu położonym w głębi lądu, trzy kilometry od wybrzeża. Pierzaste

liście palm obramowujących parking szeleściły w powiewach nadmorskiej bryzy. Weszli po schodach na piętro. Remi zadzwoniła do drzwi, odczekała chwilę, a potem ponownie nacisnęła przycisk dzwonka. Nie usłyszeli żadnego ruchu wewnątrz. Sam załomotał do drzwi. Za ich plecami otworzyły się drzwi, zza których wysunęła głowę jasnowłosa kobieta.

– Nikogo nie ma.

– Może pani wie, gdzie jest Bree? - spytała Remi.

– A państwo to kto?

– Nazywam się Remi Fargo, a to mój mąż, Sam. Pracujemy...

– W tej fundacji. Mówiła mi o was - dokończyła sąsiadka, otwierając szerzej drzwi. - Chciałam się upewnić, że nie jesteście jacyś obcy. A ona wyjechała, dość nagle.

– Kiedy?

– Wczoraj wieczorem. Właśnie wracałam do domu i spotkałam ją na schodach. Zbiegała w pośpiechu. Powiedziała tylko, że chodzi o jej wujka. Chyba do niego pojechała.

Sam wyjął portfel, wyciągnął z niego wizytówkę i podał kobiecie.

– Gdyby się z panią skontaktowała, proszę jej powiedzieć, żeby do nas zadzwoniła. To bardzo ważne.

– Jasne. Szkoda, że nie mogłam wam pomóc.

W samochodzie Sam zerknął na żonę.

– Prawdopodobnie już jest w San Francisco.

– Zapewne masz rację. Tak mi przykro. To musi być dla niej okropne.

– Ma nasz numer. Zadzwoni. Teraz wracajmy do domu. Przywitamy się z Selmą i obejrzymy książkę.

Mieszkali zaledwie kilka kilometrów dalej na klifach Goldfish Point w La Jolla, skąd rozciągał się widok na ocean. W garażu, gdy tylko wysiedli z samochodu, rozległ się stukot psich pazurów na płytkach ze szcztokowanego marmuru. To Zoltan, ich potężny owczarek niemiecki, wybiegł im naprzeciw i

zatrzymał się tuż przed nimi.

Remi uklękła i przytuliła psa, drapiąc go za uszami. Przywiozła go z Węgier, gdzie wraz z Samem poszukiwali grobu Attyli. Połączyła ją z Zoltanem tak silna więź, że postanowiła zabrać go do domu. Był z tym pewien problem. Pies reagował jedynie na polecenia wydawane po węgiersku. Na szczęście Selma, ich asystentka naukowa, niegdysiejsza obywatelka Węgier, która wciąż jeszcze nie do końca pozbyła się resztek obcego akcentu, postanowiła nauczyć go angielskich komend. Zwykła potem mawiać, że Zoltan jest jedynym dwujęzycznym wschodnioeuropejskim psem w okolicy.

– Dobry piesek - powiedziała Remi do wilczura. - Zaraz dostaniesz smakołyk.

„Smakołyk” było jednym z pierwszych angielskich słów, jakie Zoltan sobie przyswoił, więc natychmiast raźnie zamachał ogonem. Remi poszła do kuchni z psem przy nodze. Zoltan siadł obok szafki, w której były schowane psie ciasteczka, i wpatrywał się w nią błagalnym wzrokiem.

Chwilę później w kuchni pojawiła się Selma, ubrana w ręcznie farbowaną koszulkę z jaskrawymi niebiesko-różowymi smugami i czarne spodnie do jogi. Jej krótko ostrzyżone, ciemne włosy wyglądały na bardziej nastroszone niż zwykle, a na łańcuszku wokół szyi, zamiast szkieł do czytania, wisały panoramiczne okulary słoneczne.

– Pan i pani Fargo, witajcie w domu.

Sam sądził, że skutecznie przekonał Selmę do przejścia z nimi na „ty”.

– Czy coś się stało, że nie zwracasz się do nas po imieniu?

– Próbowалам, panie Fargo, ale jesteście moimi pracodawcami. Tak mi będzie wygodniej.

– Nie ma sprawy - zgodziła się z nią Remi.

– Proszę go nie przekarmiać, pani Fargo. Chce pani zrobić z niego kalekę? - powiedziała Selma, widząc, że Remi daje psu

drugie ciastko.

– Przecież Zoltan ma się doskonale.

– Tylko dlatego, że kiedy jesteście w domu i pani pasie go tymi smakołykami, chodzę z nim na dwa razy dłuższe spacery. Ktoś musi dbać o zdrowie biednego zwierzaka. - To mówiąc, Selma otworzyła szafkę w przedpokoju i wyciągnęła z niej smycz. Słyszając znajomy odgłos, Zoltan podbiegł do niej. Uradowany perspektywą spaceru z trudem usiadł w miejscu, kiedy przypinała mu smycz do obroży. - Jakby co, to będziemy na plaży.

– A co z książką? - zapytała Remi. - Nie zauważyłaś nic niezwykłego?

– Na pierwszy rzut oka paczka wygląda na nieuszkodzoną. Za to Lazlo jest nią zaintrygowany. - Wspomniany przez nią Lazlo Kemp wciąż dochodził do siebie po obrażeniach, jakich doznał w Meksyku podczas prowadzonych wraz z nimi poszukiwań grobowca Quetzalcoatl, i pomagał Selmie w pracy. Remi i Sam, ku swemu zaskoczeniu, zorientowali się, że Lazlo zadurzył się w Selmie, której mąż, wojskowy pilot doświadczalny, zginął ponad dziesięć lat temu. Nie byli jednak pewni nastawienia Selmy wobec Lazła, więc pozostawili ich wzajemne relacje własnemu biegowi, o ile w ogóle było coś na rzeczy.

– Czy Lazlo wypowiadał się na jej temat? - spytała Remi, chowając psie ciasteczka do szafki.

– Powiedział, że za mało o niej wie, by stwierdzić, czy warto się o nią zabijać. W dodatku to nie jego specjalność. Natomiast umówił was z emerytowanym profesorem Ianem Hopkinsem, który chętnie obejrzy tę książkę. Podobno jest bardzo kompetentny, zresztą Lazlo miał za mało czasu, żeby znaleźć kogoś lepszego. Niestety, mieszka w Phoenix, a to kawał drogi.

– Nie szkodzi. Uwielbiam Arizone jesienią - oznajmiła Remi, po czym zwróciła się do Sama. - To chyba nie popsuje twoich planów urlopowych?

– Ogromną zaletą moich planów jest elastyczność - oznajmił Sam.

– Bo nie masz żadnych planów, przyznaj się.

– Potrafię dostosowywać je na bieżąco do sytuacji. A gdzie jest ta tajemnicza książka?

– W sejfie - odparła Selma.

– Idę ją obejrzeć.

– Przynieś ją tutaj - powiedziała Remi. - Obejrzymy razem.

Książka leżała w pudełku firmy kurierskiej FedEx. Sam zastanawiał się, dlaczego Selma zamknęła ją w sejfie. Być może miało to związek z napadem na antykwariat i śmiercią jego właściciela, Pickeringa.

Kiedy wrócił z paczką, Remi wyglądała przez okno. Najwyraźniej obserwowała Selmę i Zoltana.

– Teraz, w pełnym słońcu, jej fryzura faktycznie pasuje do tej pstrokatej, niebiesko-różowej koszulki.

Zerknął za okno i stwierdził, że Remi miała rację. Zauważył we włosach Selmy ledwie dostrzegalne, jasne pasemka, których wcześniej nie było widać.

– Gdzie się podziała nasza stara, dobra Selma, która nie zawracała sobie głowy swoim wyglądem? Jak sądzisz, czyżby to...

– ...z powodu Lazła? - dokończyła Remi.

Odprawdzili ją wzrokiem, póki wraz z psem nie zniknęła im z widoku. Sam wrócił do książki, wysunął ją z opakowania FedExu na blat kuchennego stołu i odwinął szary papier, spod którego ukazała się skórzana oprawa ze złoconym tytułem. Teraz zrozumiał, dlaczego Remi tak na niej zależało.

– Piękny okaz.

Remi wyjęła z lodówki butelkę gazowanej wody mineralnej.

– Trzeba było się sporo natrudzić, żeby nadać jej wygląd starej książki. Wydrukowano ją w Chinach, aby ograniczyć koszty.

– Pickering powiedział, że to kopia?

Remi napełniła dwie szklanki.

– Tak, jedna z kilku, jakie posiadał. A co?

– Lepiej się zastanów.

– Nad czym? Chce mi się pić.

– Chodzi mi o to, co powiedziałaś o książce. - Mówiąc to, przesunął się w bok, żeby mogła zobaczyć to samo co on. - Na pewno nie jest to kopia wydrukowana w Chinach. To autentyk.

Rozdział 6

Remi przez dłuższą chwilę wpatrywała się z niedowierzaniem w wytartą, skórzaną okładkę z połączanymi zdobieniami, złożone grzbiety stron oraz litery o charakterystycznym kroju, jakże odmienne od współczesnych laserowych wydruków.

– To nie jest ta sama książka, którą mi pokazywał.

– Jak więc się to stało, że trafiła do nas?

– Nie wiem. Zapłaciłam za nią zaledwie czterdzieści dziewięć dolarów plus podatek. Ja... - Remi dotknęła książki, po czym zaraz cofnęła dłoń. - Chyba powinniśmy włożyć rękawiczki.

– Wróćmy do początku, Remi. Chcesz powiedzieć, że dałaś za tę książkę czterdzieści dziewięć dolarów? Chyba zapomniałaś o kilku zerach przed przecinkiem.

– Nie. Kiedy wszedł ten bandyta, Pickering wyrwał mi z rąk reprint, mówiąc, że idzie go zapakować. To nie była ta książka.

– Sądzisz więc, że zamienił przedruk na książkę wyciągniętą z sejfu?

– Musiał to zrobić. Widocznie przewidział zamiary tego mężczyzny w chwili, gdy tamten wszedł do antykwariatu. - Zerknęła na tom leżący na stole, wciąż nie mogąc uwierzyć w to, co widzi. - Chyba powinniśmy powiadomić policję.

– Bez wątpienia. Jeśli jednak to zrobimy, książka zostanie zarekwirowana jako dowód, a ja chciałbym dowiedzieć się, dlaczego ten właśnie egzemplarz jest taki ważny.

– A więc najpierw spotkamy się z tym ekspertem z Phoenix?

– Oczywiście. A potem powiadomimy policję.

Nazajutrz rano polecili do Phoenix na spotkanie z profesorem Ianem Hopkinsem, specjalistą od szesnasto- i siedemnastowiecznej literatury angielskiej. Po przejściu na emeryturę naukowiec oddawał się z zamiłowaniem swojemu hobby, którym była renowacja starych książek. Zastali go przy pracy nad jedną z nich. Profesor popatrzył na nich ponad oprawką okularów.

– Zapewne państwo Fargowie.

– To my - potwierdził Sam. - Remi i Sam. Prosimy, by zwracał się pan do nas po imieniu.

– W takim razie mówcie mi Ian. - Wstał i wymienił z nimi uścisk dłoni. - Mój przyjaciel Lazlo powiedział mi, że macie egzemplarz *Historii piratów i korsarzy*, zachowany w doskonałym stanie.

Remi wyjęła z torby starannie zapakowaną książkę i położyła ją na stole.

– Nie mieliśmy pojęcia, że jest jakoś szczególnie cenna, najwyraźniej jednak ktoś tak uważa.

– Pozwólcie, że rzucę na nią okiem. - Włożył białe rękawiczki i obejrzał z wierzchu tom, obracając go w dłoniach. - Skórzana oprawa i grzbiet w dobrym stanie, bez żadnych ubytków. Wciąż widoczne złoczone wzory na obu okładkach. Nienaruszone złocenia na krawędziach stron...

Położył książkę na stole i odwrócił pierwszą stronę okładki. Przesunął dłonią po przedniej wyklejce, na której widniała wydrukowana mapa, a potem odwrócił książkę i otworzył ją od tyłu. Na końcowej wyklejce także znajdowała się mapa.

– W przypadku tej książki to właśnie świadczy o wartości danego egzemplarza. Z większości tych, które widziałem, zostały usunięte wyklejki. Zauważyliście, że te mapy nie są identyczne? Ta z przodu różni się od tej z tyłu. Przez długi czas nikt nie zdawał sobie z tego sprawy.

– Dlaczego wyklejki zostały usunięte? - spytała Remi.

– Sądzę, że są na nich kopie prawdziwych pirackich map, opisanych w treści książki. Te same kopie map pojawiają się w późniejszych wydaniach, a także we współczesnych przedrukach. Być może ktoś doszedł do wniosku, że te najstarsze wyklejki po oprawieniu będą ładnie wyglądały na ścianie. Tak przypuszcza autor artykułu o zeszłorocznej kradzieży wyklejek z egzemplarza znajdującego się w Bibliotece Brytyjskiej. Było to dość zuchwałe włamanie, mając na względzie kamery i inne środki bezpieczeństwa. - Dotknął dolnej krawędzi końcowej wyklejki. Papier lekko odstawał od okładki. - Zdaje się, że wyklejki dają się usunąć bez większych trudności. Klej nie trzyma także w tym egzemplarzu.

Sam domyślił się, że właśnie o tym uszkodzeniu wspominała Selma.

– Czy nienaruszone wyklejki podnoszą wartość egzemplarza do tego stopnia, że ktoś gotów byłby zabić, aby dostać go w swoje ręce? - spytał naukowiec.

Profesor popatrzył na niego z lekkim zdziwieniem.

– Moim zdaniem nie. Jest cała masa znacznie cenniejszych książek. Jak już powiedziałem, ten egzemplarz jest w świetnym stanie. Przypuszczam, że mógłby zainteresować jakiegoś kolekcjonera.

– Ile jest wart? - naciskała Remi. - Założmy, że jesteś kolekcjonerem i chcesz go kupić.

– Jeśli reszta książki jest tak samo dobrze zachowana i niczego nie brakuje... powiedzmy cztery, może pięć tysięcy.

– Tylko tyle? - zdziwił się Sam.

– Nie jest to jakaś szczególnie rzadka książka. Owszem, jest dość stara i ze względu na treść może być atrakcyjna dla zbieracza specjalizującego się w tematyce morskiej albo interesującego się piratami. Mimo to uważam, że jej wartość nie przekracza pięciu tysięcy. A i to głównie ze względu na zachowane wyklejki.

– W sumie to niemało - powiedziała Remi, ściągnając brwi - wzięwszy pod uwagę, że dałam za nią niecałe pięćdziesiąt dolarów. Chyba będziemy musieli oddać ją policji.

– A to dlaczego? - zdumiał się profesor. - Kupiłaś ją legalnie, więc należy do ciebie.

Remi wyjaśniła mu, w jakich okolicznościach weszła w posiadanie książki.

Hopkins przesunął okrytymi rękawiczkami palcami po skórzanej oprawie.

– A więc tomik ma za sobą ciekawą historię.

– Owszem - przytaknęła Remi. - Tym bardziej zastanawiam się, czy czegoś nie przeoczyliśmy.

– Najwyraźniej tak - stwierdził Sam. - Dwóch opryszków w pokoju hotelowym, dopytujących się, czy znaleźliśmy jakiś bliżej nieokreślony klucz.

Naukowiec oderwał wzrok od strony, którą właśnie przeglądał.

– Klucz? Do czego?

– Właśnie tego, między innymi, chcielibyśmy dowiedzieć się od ciebie - powiedział Sam. - Czy ten egzemplarz jest w jakikolwiek sposób odmienny od pozostałych? Może zawiera jakieś niewidoczne dopiski? Może różni się od innych treścią niektórych stron?

– Z przyjemnością przyjrzę mu się bliżej. Zbadam go w ultrafiolecie, sfotografuję każdą stronę, a potem dokonam weryfikacji. Oczywiście za opłatą. Poza tym właśnie pracuję nad pewnym zleceniem, więc wasze będzie musiało poczekać.

Sam wyjął portfel.

– Jaką masz stawkę, Ian?

– Sto dwadzieścia pięć za godzinę. Nie sądzę, aby ta niewielka książka zabrała mi dużo więcej czasu niż godzinę, góra dwie.

– Czy ta kwota pokryje także przesunięcie nas na początek kolejki? - spytał Sam, wyciągając z portfela pięćsetdolarowy

banknot.

– Zaraz poinformuję klienta, że jego zlecenie zostanie wykonane z opóźnieniem.

– Będziemy bardzo wdzięczni - odparł Sam, zerkając na zegarek, po czym zwrócił się do Remi: - Może w oczekiwaniu na ekspertyzę wyskoczymy na lunch?

– Jak najbardziej. Czy możesz nam polecić jakiś lokal? - spytała Hopkinsa.

– Trzy kilometry stąd jest wyśmienita włoska knajpa, Marcellino Ristorante. Będziecie zadowoleni. Jeżeli sobie życzycie, mogę wam tam podrzucić książkę po zakończeniu pracy. I tak miałem odwiedzić klienta, który mieszka nieopodal.

– Doskonale - powiedziała Remi. - W takim razie do rychłego zobaczenia.

* * *

Restauracja mieściła się przy placyku na tyłach budynku stojącego nad kanałem w Old Town Scottsdale. Sam przepuścił Remi przez furtkę z kutego żelaza i otworzył przed nią przeszklone drzwi. Wewnątrz owionął ich zapach przysmażanego czosnku oraz świeżych ziół. Czarująca kobieta, która przedstawiła się jako Sima, powitała ich i wskazała im miejsca, życząc *buon appetito*.

Koło okna wychodzącego na patio były dwa wolne stoliki. Usadziła ich przy tym po prawej, bo na drugim, stojącym w rogu po lewej, leżała kartka z informacją „Zarezerwowane dla twórców i muz”. Przejrzawszy menu, Remi zamówiła na początek *insalata caprese* ze świeżą mozzarellą, pomidorami, czerwoną papryką i bazylią, a potem *cozze in bianco* - małże smażone w białym winie. Sam wybrał carpaccio z tuńczyka na posłaniu z rukoli oraz łososia z grilla, a do tego butelkę białego musującego wina Falanghina Nudo Eroico.

Remi uniosła kieliszek.

– Wypijmy za sukces profesora Hopkinsa w poszukiwaniu klucza.

– Zgoda.

Ledwie skończyli jeść, gdy podszedł do nich sam szef Marcellino. Zwrócił się do nich z silnym włoskim akcentem:

– Poznaliście już państwo moją śliczną żonę - rzekł, wskazując na Simę. - Mam nadzieję, że smakował wam lunch, ale chyba zostawiliście sobie miejsce na deser?

– Jedzenie było wyśmienite. A co do deseru... - Remi zawiesiła głos i spojrzała pytająco na Sama.

– Nie odmówię sobie tiramisu na spólkę z piękną kobietą.

– W takim razie poprosimy jedną porcję na dwoje - zwróciła się do Marcellina.

– Natychmiast - odrzekł Włoch z lekkim ukłonem i błyskiem w oku. Wkrótce wrócił z tiramisu i życzył im smacznego.

Skosztowawszy specjału, Remi stwierdziła z zadowoleniem, że nasączone kawą biszkopty, kremowy mascarpone i posypka z niesłodzonego kakao tworzą idealnie zbalansowaną całość.

– Lepszy od tego jest tylko sam pobyt we Włoszech.

– Nic nie dorówna tiramisu z Domus Magnanimi, które w zeszłym miesiącu jedliśmy w Rzymie - oznajmił Sam. Wpakował sobie całą łyżeczkę do ust i przymknął oczy, jakby kosztował wyśmienite wino, a po chwili dodał: - Wiesz co, chyba trzeba było zamówić po całej porcji.

Remi właśnie niosła do ust kolejny kęs, kiedy spostrzegła Hopkinsa, wchodzącego do restauracji z zawiniętą w papier książką pod pachą. Profesor rozejrzał się, zauważył ich i podszedł do stolika.

– Wybaczcie, że przeszkadzam wam przy jedzeniu.

– Siadaj - zaprosił Sam. - Właściwie to już jesteśmy po, ale musieliśmy spróbować tutejszego tiramisu.

– I co? Niebo w gębie?

– Zdecydowanie. - Sam zerknął na pakiet, który profesor położył na stole. - Znalazłeś coś?

– Nie od razu. Egzemplarz jest w zadziwiająco dobrym stanie. Zbadałem każdą kartkę, w świetle dziennym i w ultrafiolecie, przy różnej długości fali. Nie znalazłem niczego, co kojarzyłoby się z kluczem. Bo zdaje się, że o to chodziło, prawda?

Remi i Sam kiwnęli potakująco głowami.

– Poprosiłem kolegę, który ma wykrywacz metali, żeby wpadł i przejechał nim po książce. Sądziłem, że coś może być ukryte w grzbiecie. Nic to nie dało. Wtedy doszedłem do wniosku, że to nie musi być metalowy klucz. To w końcu książka o piratach i mapach, więc słowo „klucz” może oznaczać tak zwaną legendę, czyli opis mapy.

– Bardzo to roztropnie wykalkulowałeś - przyznała Remi.

– Zabrałem się więc od nowa do wertowania stron. Sfotografowałem też każdą z osobna, aby bezpośrednio porównać z innym egzemplarzem. Niestety, nie miałem żadnego pod ręką, więc może sami to kiedyś zrobicie, wzięwszy dla porównania wykonaną przeze mnie cyfrową kopię. Może w tym wydaniu znajdziecie coś, co nie występuje w pozostałych. Zwłaszcza na stronach z mapami. Zbadałem też tusz, żeby sprawdzić, czy przypadkiem czegoś nie dopisano. - Wziął głęboki wdech i poklepał książkę. - Wracając do klucza. Kiedy zdałem sobie sprawę, że rozwiązanie miałem cały czas pod samym nosem, nie mogłem wprost uwierzyć, że nie wpadłem na to wcześniej.

Zamilkł, po czym spojrzał na Remi, a potem na Sama.

Remi miała ochotę złapać go i dobrze nim potrząsnąć.

– Więc na co nie wpadłeś wcześniej?

– Na powód, dla którego wszystkie pozostałe egzemplarze zostały pozbawione wyklejek. Wiem już, czego szukali złodzieje.

Rozdział 7

Hopkins otworzył kartonową teczkę na dokumenty.

– Oto, co było ukryte pod wyklejką.

– Mogę? - spytał Sam, sięgając po teczkę.

– Oczywiście.

Sam trzymał teczkę tak, aby Remi mogła widzieć jej zawartość. Wewnątrz znajdował się pożółkły arkusik pergaminu, nieco mniejszego formatu niż okładka książki, na którym czarnym tuszem naniesiono mapę jakiejś wyspy. Obok znajdowało się koło z jakimiś znakami, a pod nim kwadrat z literami. Zauważył, że litery tworzą kompletny alfabet.

– Koło szyfrujące? - spytał profesora.

– Raczej jego rysunek - odparł Hopkins. - To tego musieli szukać. Gdybym nie słyszał o tych skradzionych i wydartych wyklejkach, nie przyszłoby mi to do głowy. Szczerze mówiąc, właśnie zamierzałem zadzwonić do was z pytaniem, czy chcecie, żebym podkleił uszkodzenie. I wtedy to znalazłem.

Remi pochyliła się, by lepiej widzieć.

– Ciekawe, czy Pickering wiedział, co jest schowane w książce, kiedy mi ją dawał.

Dobre pytanie, pomyślał Sam, ale nie zamierzał teraz tego dociekać.

– Nie wiem, jak ci dziękować.

– Nie musisz. Już podziękowałeś mi podwójną zapłatą za usługę. Z pewnością kryje się tu fascynująca tajemnica.

Zaświecił się ekran telefonu Remi. Zerknęła na niego i odłożyła wyświetlaczem w dół.

– Dziękujemy, że poświęciłeś nam swój czas.

– Muszę już iść. Spieszę się na kolejne spotkanie. - Profesor odsunął krzesło i wstał od stołu. Uścisnął dłoń Sama i uśmiechnął się do Remi. - Dokończcie w spokoju swój lunch.

Kiedy wyszedł, Remi chwyciła telefon.

– Bree przysłała esemesa.

– Co pisze?

– Żeby natychmiast do niej zadzwonić.

Czekając na rachunek, skończyli deser. Sam zapłacił i zostawił hojny napiwek. Po wyjściu ruszyli pędem do wynajętego samochodu.

Remi zadzwoniła, od razu przełączając telefon w tryb głośnomówiący.

– Bree? Wszystko w porządku? Martwiliśmy się, że nie oddzwoniasz.

– Nic mi nie jest. Jestem w Karolinie Północnej.

– W Karolinie Północnej?

– Przyjechałam do kuzynki, żeby poinformować ją o śmierci jej ojca.

– Bardzo nam przykro.

– Wiem. Zastanawiałam się, czy kiedy byliście w antykwariacie, wujek nie dał wam książki? Chodzi o *Piratów i korsarzy*.

Remi zerknęła na Sama, zwlekając przez mgnienie oka z odpowiedzią.

– Kupiłam ją od niego. Czemu pytasz?

– Moja kuzynka jest zrozpaczona. Okazało się, że obiecał jej tę książkę, a ja... chciałabym, żeby ją dostała. Jako pamiątkę po ojcu.

– Po tym, co spotkało twojego wujka, zamierzaliśmy oddać książkę na policję.

– O nie! Proszę...

– Bree? Czy na pewno wszystko w porządku?

– Tak... Ja tylko... Możecie sobie wyobrazić, jak ona się czuje po

tym wszystkim. Ta książka wiele dla niej znaczy. Jeśli trafi na policję, zostanie włączona do masy spadkowej, a ona w tym stanie raczej nie przyjedzie na otwarcie testamentu... - Bree wybuchnęła płaczem. Opanowała się po kilku sekundach. - Przepraszam. To takie trudne.

- Czy możemy jakoś pomóc? - spytała Remi.

- Czy moglibyście przesłać jej tę książkę pocztą? Przez wzgląd na pamięć jej ojca.

- Naturalnie, jednak wolelibyśmy dostarczyć ją osobiście.

- Ależ nie trzeba. Nie róbcie sobie kłopotu.

- Nalegamy - powiedziała Remi, zerkając na Sama, który pokiwał głową z aprobatą. - Książka jest zbyt cenna, żeby powierzać ją poczcie. Przywieziemy ją jutro, tylko prześlij nam adres.

- Dobrze. Dziękuję wam...

Usłyszeli cichy szloch.

- Do zobaczenia jutro. Przekaż od nas kuzynce wyrazy współczucia.

Sam wyjechał z podziemnego parkingu i włączył się do ruchu.

- Wygląda na to, że jest bardzo przybita.

- Trudno się dziwić - odparła Remi. - Najpierw ten napad, potem wujek umiera na atak serca. Wyobraź sobie, co musi przechodzić córka Pickeringa. Nie jest w stanie przyjechać. Dobrze, że chociaż Bree jest przy niej.

- A co z książką?

- Przemyślałam to. Uważam, że powinniśmy przynajmniej pokazać ją córce. Niech sama zdecyduje. W końcu to najbliższa rodzina. Przy okazji możemy jej wyjaśnić, dlaczego naszym zdaniem należałoby przekazać książkę policji.

Sam zatrzymał samochód na czerwonym świetle, popatrzył na żonę, a potem przeniósł wzrok z powrotem na ulicę.

- Wobec tego zmieniamy plan lotu. Następny przystanek Karolina Północna.

* * *

Zaletą posiadania własnego samolotu jest możliwość natychmiastowej zmiany planów. Selma zarezerwowała im na miejscu hotel i samochód w wypożyczalni. Po dobrze przespanej nocy i gorącym śniadaniu w hotelowej restauracji pojechali pod adres otrzymany esemesem od Bree. Wcześniej, na wszelki wypadek, Remi poprosiła Selmę o sprawdzenie tego miejsca. Poczula ulgę, kiedy okazało się, że dom należy do Larayne Pickering-Smith, która, jak ustaliła Selma, rzeczywiście była córką Geralda Pickeringa.

Mieszkała w wiejskiej okolicy w okręgu Harlowe. Kiedy jechali na wschód przez ciągnące się w nieskończoność plantacje tytoniu, niebo pociemniało, co zwiastowało nadchodzącą burzę. Sam zaparkował od frontu. Uważnie obserwował biały wiejski dom o ścianach krytych deskami. Na żwirowym podejździe parkował czarny SUV. W oknie na piętrze przez moment poruszyła się zasłona.

Remi poklepała okładkę trzymanej na kolanach książki.

– Oddajmy jej to.

– Jesteś pewna?

– Tak będzie najlepiej. Inaczej zostanie uznana za dowód albo zarekwirowana, nie wiadomo na jak długo. Może córka antykwariusza wyjaśni nam, dlaczego ta książka jest taka ważna?

Podeszli ścieżką od frontu i Sam zapukał do drzwi. Chwilę później otworzyły się na kilkanaście centymetrów i wyjrzała zza nich Bree. Miała zaczerwienione i podpuchnięte oczy, zapewne od płaczu.

– Państwo Fargowie... - Uśmiechnęła się do nich niepewnie. - Przywieźliście książkę?

Remi wręczyła jej książkę, owiniętą szarym papierem.

– Jak się czuje kuzynka?

- Niezbyt dobrze - odpowiedziała Bree, przyciskając książkę do piersi. - Zaprosiłabym was, ale...
- Nie przejmuj się - przerwała jej Remi. - Może ty wiesz, o co chodzi z tą książką? Dlaczego jacyś ludzie jej szukają?
- Nie wiem. - Bree lekko wzruszyła ramionami. - Ale bardzo wam dziękuję. Przejechaliście taki kawał drogi.
- Na pewno wszystko jest w porządku?
Bree kiwnęła głową.
- Zapadła niezręczna cisza. Remi zrobiła krok w tył i się uśmiechnęła.
- Daj nam znać, gdybyś czegoś potrzebowała.
- Chciałabym o coś spytać. Jak się czuje Pan Wickham? Nie ucierpiał podczas napadu?
- Nie.
- Bree popatrzyła na książkę, a potem na Remi.
- Proszę mu powiedzieć, że za nim tęsknię i napiszę do niego.
- Oczywiście, przekażę mu. - Remi wzięła Sama pod rękę. - Musimy już iść. Czeka nas długi lot do domu.
- Do widzenia. - Sam skinął jej uprzejmie na pożegnanie.
- Do widzenia - odrzekła Bree i zamknęła drzwi. Remi i Sam wrócili do samochodu.
- Ona ma kłopoty - stwierdziła Remi. - Słyszałeś? Poprosiła mnie o przekazanie wiadomości Panu Wickhamowi. Przecież to kot Pickeringa. Musimy wrócić i ją stamtąd wyciągnąć.
- To nie najlepszy pomysł.
- Przecież tym razem masz ze sobą spluwę.
- Jedną przeciwko ilu? Nie wiemy nawet, kto jest w środku. Gdybyś ty miała swój pistolet, moglibyśmy spróbować.
- Zmarszczyła brwi i sięgnęła po telefon.
- W takim razie dzwonię po gliny. To zwiększy nasze szanse.
- Nie przed samym domem - powstrzymał ją. - Jeśli rzeczywiście ją przetrzymują, mogą nas obserwować.
- Zjechał z krawężnika i przyspieszył. Remi zadzwoniła w

chwili, gdy zniknęli z zasięgu wzroku ewentualnego obserwatora. Dyspozytorka poleciła im poczekać na parkingu przed sklepem, oddalonym o półtora kilometra w głąb lądu. Kilka minut później, kiedy Sam parkował auto, odezwał się telefon Remi, sygnalizując esemesa. Selma prosiła ją o pilny telefon.

Remi połączyła się natychmiast, od razu przedstawiając na głośnik.

– Znalazłaś coś na zdjęciach stron książki? - spytała.

– Na razie nie. Ale nie o to chodzi. Kilka minut temu jakiś policjant pytał o państwa. Znaleźli samochód Bree porzucony przy drodze niedaleko lotniska. W środku było kilka pudeł z biletami na imprezę charytatywną oraz koperta z czekami wystawionymi na Fundację Fargo. Policjant pytał, czy zechcemy odebrać je z parkingu, na który odholowali auto.

Remi spojrzała Samowi w oczy.

– Znaleźli jakieś ślady świadczące o użyciu przemocy? - spytał.

– Chyba nie. Gdyby znaleźli, pewnie by o tym wspomniał.

– Dzięki, Selmo - powiedział Sam. - Właśnie rozmawialiśmy o niej z biurem szeryfa. Przekażemy im tę informację.

Dziesięć minut później przyjechał jeden z zastępców szeryfa hrabstwa Carteret. Kiedy wysiadł z samochodu, porywisty wiatr z głębi lądu omal nie zerwał mu kapelusza. Zaprowadził ich pod sklep, gdzie byli przynajmniej trochę osłonięci od wściekle silnych porywów. Remi w skrócie przedstawiła sytuację.

Funkcjonariusz nie krył wątpliwości.

– Może po prostu samochód jej się zepsuł w drodze na lotnisko i pojechała dalej taksówką.

– Niewykluczone - przyznała Remi. - Ale jak wytłumaczyć to, że kazała nam przekazać wiadomość kotu swojego zmarłego wujka?

– Wielu ludzi rozmawia ze swoimi zwierzakami.

Sam, widząc, że ten argument nie przemawia do stróża

porządku, zrobił krok w jego kierunku i zmierzył go wzrokiem.

– Mniejsza o przyczynę naszego niepokoju o znajomą. Czy mógłby pan po prostu zajrzeć do niej i sprawdzić, czy nie przytrafiło się jej coś złego?

– Pewnie. Nie znaczy to, że wam nie wierzę - odparł zastępca, choć z tonu jego głosu wynikało, że tak właśnie jest. - Jednak proszę mnie dobrze zrozumieć. Jestem jedynym przedstawicielem prawa w okolicy. Jeśli uznam, że poradzę sobie sam, to w porządku. W przeciwnym razie może się okazać, że będziemy musieli poczekać ze dwadzieścia minut na wsparcie.

– Oczywiście - zgodził się Sam. Wyciągnął z portfela wizytówkę i wręczył ją zastępcy ze słowami: - Tu ma pan numery naszych komórek. Na wszelki wypadek.

Funkcjonariusz wziął wizytówkę, wsiadł do radiowozu i ruszył w stronę domu córki Pickeringa.

Już mieli za nim jechać, gdy nagle Remi wskazała samochód, jadący w przeciwną stronę.

– To jest ten SUV, który stał na podjeździe pod domem.

– Jesteś pewna?

– Na sto procent.

Sam uruchomił silnik.

– Widziałaś, kto był w środku?

– Dwaj mężczyźni. Nie dam głowy, ale pasażer z profilu przypominał mi bandytę, który obrabował Pickeringa - odrzekła, kiedy ruszali za SUV-em. - Co z Bree?

– Jedyne zastępca szeryfa w promieniu dwudziestu minut pojechał to skontrolować. Sądząc po jego reakcji na twoją opowieść o kocie, nie przypuszczam, aby rzucił wszystko i ruszył w pogoń za samochodem, co do którego nie mamy żadnych dowodów, że jest narzędziem przestępców. O ile w ogóle udałoby się nam z nim skontaktować.

– Racja.

Na zwykłej, dwukierunkowej szosie trudno było pozostać niezauważonym, dlatego Sam starał się trzymać jak najdalej od śledzonego SUV-a. Wkrótce znaleźli się w przemysłowej, nadmorskiej części Beaufort. Podejrzane auto skręciło w prawo w ślepią ulicę kończącą się na nabrzeżu. Po jednej stronie stały wzdłuż nabrzeża duże hale magazynowe. Po pokonaniu zakrętu Sam zwolnił. Nie widział przed sobą SUV-a.

– Gdzie on się podział? - spytała Remi.

– Nie wiem. Albo zjechał na nabrzeże, albo schował się za którymś z magazynów.

W kieszeni Sama zadzwonił telefon. Wyciągnął go i podał Remi, a ona włączyła tryb głośnomówiący i trzymała komórkę koło ust Sama.

– Zastępca szeryfa Wagner. Sprawdziłem ten dom. Wygląda na to, że nikogo tam nie ma.

– Sam... - szepnęła Remi.

Zerknął na żonę, a potem znów wpatrzył się przed siebie.

– Dziękujemy za pomoc. Pojechaliśmy za samochodem, który wcześniej stał pod domem. Żona zauważyła, że jeden z jadących nim mężczyzn był podobny do tego, który napadł na nas w San Francisco.

– Czy w samochodzie była wasza znajoma?

– Nie widzieliśmy jej.

– Gdzie jesteście?

– Nad wodą, dziesięć do piętnastu minut na południe od Beaufort.

– Bardzo proszę, powstrzymajcie się od nierozważnych ruchów. Spróbuję ściągnąć wsparcie z Beaufort i jadę do was.

Rozłączył się, a Sam zjechał na pobocze i zatrzymał auto.

– Chyba będziemy musieli poczekać.

– Może nam zabraknąć tych piętnastu minut - stwierdziła Remi, sięgając do klamki.

Sam chwycił ją za rękę.

– Remi.

Znieruchomiała i popatrzyła na niego. Sam pochylił się, pocałował ją i powiedział:

– Chyba nie sądzisz, że puszczę cię samą?

– Oczywiście, że nie - odrzekła z uśmiechem i otworzyła drzwi.

- Poszukajmy jej.

Rozdział 8

Sam wyciągnął rewolwer z kabury przy pasku i otworzył bagażnik. Remi stała na czatach, gotowa ostrzec go, gdyby zobaczyła jakikolwiek ruch. Miał nadzieję, że broń nie będzie potrzebna, jednak instynkt podpowiadał mu co innego. Skoro Bree nie było w domu, to musiała być w SUV-ie, który ich minął. A skoro jej nie widzieli, to albo była ranna, albo martwa.

Oboje wyciszyli dzwonki telefonów, pozostawili tylko wibracje. Remi trzymała komórkę w dłoni na wszelki wypadek, Sam schował swoją do kieszeni. Oddał Remi rewolwer i wyjął z bagażnika łyżkę do opon.

– Gotowa? - spytał.

– Tak.

Zajrzał za róg.

– Czysto.

Porywisty wiatr tłumił odgłos ich kroków, kiedy za pierwszym magazynem zeszli na pomost, ciągnący się wzdłuż nabrzeża. Słysząc było krzyki mew i chlupot wody o drewniane pale.

Przy pomoście nie cumowała żadna łódź, nigdzie nie widać było żywej duszy. Magazyny wyglądały na opuszczone z drzwiami pozamykanymi od zewnątrz na kłódki i powybijanymi szybami w oknach.

Idealne miejsce do przetrzymywania porwanej osoby, pomyślał Sam. Trzymali się z Remi blisko ściany.

Jakiś ledwie słyszalny odgłos przykuł jego uwagę. Zatrzymał się, dając znak Remi, żeby zrobiła to samo.

– Posłuchaj - szepnął.

– Coś jakby skrzypienie zardzewiałych zawiasów.

Skinieniem głowy wskazał koniec magazynu, pod którym stali. Remi skuliła się, przestraszona krzykiem mewy, która przeleciała jej tuż nad głową i wylądowała w wodzie kilka kroków od niej.

Sam dał jej znak podniesionym kciukiem.

Kiwnęła głową i ruszyła za nim, schylając się pod oknem, na wypadek gdyby ktoś był wewnątrz. Niestety, nabrzeże było długie, a oni nie wiedzieli, do którego magazynu weszli śledzeni mężczyźni.

Kiedy dotarli do końca budynku, Sam wyjrzał za róg. SUV stał pomiędzy dwoma magazynami. Drzwi tego po przeciwnej stronie samochodu były lekko uchylone. Sam cofnął się o krok.

– Jest samochód.

– Ktoś w nim siedzi?

– Raczej nie. Drzwi kolejnego magazynu są otwarte. Założę się, że są w środku.

Remi kiwnęła głową i spojrzała za siebie, w kierunku, skąd przyszli, jakby miała nadzieję zobaczyć nadjeżdżające radiowozy. Sam nie tracił czasu na wyjaśnianie, że wsparcie jest co najmniej o dziesięć minut za nimi. Byli zdani na własne siły.

Sam wpatrywał się w SUV-a, świadom, że widzieli tylko dwóch ludzi z przodu. Poza nimi nie było żadnych pasażerów.

Pokazał gestem Remi, żeby została. Na czworakach podpełzł do SUV-a, prostując się tylko trochę, by zajrzeć do wnętrza przez przyciemnioną szybę tylnych drzwi.

Bree leżała na podłodze z rękami związanymi za plecami i kneblem w ustach. Bandyści skrępowali jej też nogi.

Zapukał w szybę i odetchnął z ulgą, kiedy uniosła wzrok i spojrzała na niego. Położył palec na ustach, dając jej do zrozumienia, aby siedziała cicho i czekała na ratunek.

Bree kiwnęła głową, a Sam spróbował otworzyć drzwi. Oczywiście były zamknięte. Posłał jej pokrzepiający uśmiech, rozejrzał się, by sprawdzić, czy jest czysto, i wrócił do Remi.

– Trzymają ją w samochodzie.

– Jest cała?

– Związana, poza tym chyba w porządku. Musimy najpierw zajrzeć do tego magazynu, żeby się zorientować, z kim będziemy musieli się zmierzyć.

Podeszli do uchylonych drzwi. Sam przyłożył ucho do ściany, ale nic nie usłyszał.

– Dałbym wiele za lusterko z puderniczki, którego użyłem ostatnim razem.

– Po co ci lusterko?

– Żeby niepostrzeżenie zajrzeć do środka.

Uniosła trzymaną w ręce komórkę.

– Co powiesz na aparat w telefonie?

– Twoja inteligencja dorównuje urodzie.

– Myślisz, że coś zyskasz tym pochlebstwem?

– Może... wszystko?

– Na razie dostaniesz komórkę. - Włączyła funkcję nagrywania filmów i podała mu telefon.

Sam odłożył łyżkę do opon na ziemię i przykucnął. Wsunął telefon do środka przy samej podłodze i poruszał nim, rejestrując obraz wnętrza. Mniej więcej po minucie wyprostował się, odsunął od drzwi i odtworzył nagranie.

– Są. - Wskazał postaci na wyświetlaczu. Trzej mężczyźni pochyleni nad blatem patrzyli na coś z uwagą. Prawdopodobnie na mapę z książki, którą Remi oddała Bree. Co najmniej dwaj z nich trzymali w dłoniach pistolety. Obraz był mały, ale dość wyraźny.

– Dwaj fałszywi gliniarze z hotelu - zauważyła Remi.

– I rabuś z antykwariatu.

Czekać czy wchodzić? Sam rozważał szanse. Rewolwer i kawał zakrzywionego pręta przeciwko trzem uzbrojonym facetom. Kiepsko to wyglądało. Z drugiej strony miał ze sobą Remi, z którą nie mógł się równać żaden z tych opryszków. Podniósł z

ziemi łyżkę do opon i odciągnął Remi od drzwi.

– Przede wszystkim musimy wyciągnąć Bree z tego auta - szepnął, kiedy stanęli za SUV-em.

Zamierzał bez ceregieli stłuc boczną szybę, jednak w ostatniej chwili zauważył na desce rozdzielczej migającą kontrolkę alarmu.

– Jakiś plan B? - spytała Remi.

Właściwie to jego pierwotny zamiar mógł się powieść. Samochód wyglądał na podstawową wersję swojego modelu, więc fabrycznie zamontowany autoalarm mógł mieć tylko czujnik ruchu, bez dodatkowego zabezpieczenia szyb. Wyciągnął scyzoryk i podał go Remi, a ona schowała go do kieszeni.

– Osłaniaj mnie, kiedy będę wybijał szybę. Jeśli alarm się nie włączy, poczekaj, aż przejdę na tył SUV-a, i dopiero wtedy otwórz drzwi. Jeśli się włączy, wybiegną prosto na nas. Będiesz wtedy miała zaledwie kilka sekund na przecięcie więzów i zabranie jej stąd. Ja pošlę im kilka kulek, żeby ich powstrzymać.

Remi zajęła pozycję za przednim błotnikiem z rewolwerem wymierzonym w wejście do magazynu.

Sam stanął przy szybie w drzwiach kierowcy i uniósł łyżkę do opon. Bezpieczne szyby samochodowe projektowano tak, aby pod wpływem uderzenia pękały, ale nie rozpadały się, co oznaczało, że musi uderzyć w odpowiednie miejsce, by ją roztrzaskać. Miał tylko jedną szansę. Ruch bez wątplenia spowoduje uruchomienie alarmu. Wziął zamach i uderzył końcem pręta w prawy dolny róg. Szyba rozleciała się, zasypując fotel kierowcy okruchami szkła.

Cisza. Jak dotąd wszystko szło dobrze. Opuścił rękę z żelastwem, wziął od Remi rewolwer i stanął z tyłu za SUV-em. Wycelował w drzwi do magazynu i dał żonie znak skinieniem głowy.

Remi wsunęła rękę do środka i odblokowała zamki. W chwili,

gdy otworzyła tylne drzwi, rozległ się ogłuszający ryk syreny alarmu. Sam dostrzegł kątem oka, jak Remi pochyła się, próbując przeciąć więzy Bree.

Drzwi magazynu otwarły się na oścież, ale był na to przygotowany. Ze środka wypadł ktoś z pistoletem wycelowanym w SUV-a i w Remi.

– Hola! - krzyknął Sam, naciskając spust. Zagrzmiął jego smith & wesson kaliber .357. Mężczyzna dostał prosto w twarz i przewrócił się na ziemię. Z jego dłoni coś wypadło. Kluczyki do samochodu.

Sam przykucnął, podniósł je i prostując się, krzyknął:

– Remi! Kluczyki!

Rzucił je ponad dachem samochodu. Remi chwyciła kluczyki i pchnęła tylne drzwi, zamykając je z trzaskiem. Otworzyła drzwi kierowcy, wśliznęła się do środka i uruchomiła silnik. Sam wskoczył na miejsce pasażera. Zatrzasnąwszy drzwi, ujrzał, jak pozostali dwaj mężczyźni wybiegają z magazynu i strzelają do SUV-a.

Remi nacisnęła pedał gazu. Zaczęła cofać z piskiem opon, omal przy tym nie zjechała z nabrzeża do wody.

– Remi! - krzyknął ostrzegawczo Sam.

– Wiem, co robię.

Obróciła kierownicę i zahamowała ostro, przestawiając dźwignię automatycznej skrzyni biegów na jazdę do przodu.

Sam obrócił się i popatrzył do tyłu. Drugi mężczyzna właśnie do nich celował. Sam strzelił pierwszy i zobaczył, że jego towarzysz pada na ziemię i chwytą się za lewe kolano.

Remi wcisnęła gaz do deski. Przenikliwy odgłos pocisków dziurawiących blachę karoserii wibrował im w uszach.

– No dalej - mruknęła Remi, próbując zmusić auto do szybszej jazdy.

Tyłna szyba została strzaskana.

– Schył się! - krzyknął Sam i oddał kilka strzałów przez rozbite

okno. Mężczyzna przypadł do ziemi, szukając osłony.

Remi zsunęła się w fotelu najniżej, jak mogła, i nie zwalniała aż do końca ulicy. Skręciła za róg i pomknęła z powrotem tą samą drogą, którą tu przyjechali. O przednią szybę zabębniły pierwsze ciężkie krople deszczu.

W oddali zauważyli błyskające światła radiowozu zastępcy szeryfa. Zbliżali się do siebie z dużą prędkością. Po chwili doszło ich dalekie zawrozenie syren alarmowych.

Remi zatrzymała samochód. Oboje wyszli na szosę i zaczęli machać rękami, aby zwrócić uwagę Wagnera.

Zahamował obok nich, wyłączając syrenę.

– Odbiliśmy naszą znajomą - pochwaliła się Remi. Otworzyła tylne drzwi.

Na widok nadal związanej Bree stróżowi prawa lekko opadła szczeka. Jednak zaraz się opanował i spytał:

– Czy ktoś został poszkodowany?

– Jak się czujesz? - spytała Remi, wyciągając Bree knebel z ust.

– Do... dobrze. - Bree chwyciła łąpczywie powietrze. - Co z moją kuzynką? Gdzie ona jest? Czy coś jej się stało?

– Nie wiemy - odparł Sam.

Kiedy Remi przecinała więzy scyzorykiem Sama, zastępca szeryfa pociągnął go na bok za samochód.

– O co tu chodzi?

Sam opowiedział mu w skrócie, co się wydarzyło. Pokazał też film zapisany w telefonie Remi, osłaniając dłonią wyświetlacz przed przelotnym deszczem.

– Gdzie to jest?

Sam wskazał ręką na północ.

– Jakies osiem kilometrów stąd. Przy pierwszej ulicy prowadzącej do portu stoją stare hale magazynowe. Byli w drugim magazynie.

Funkcjonariusz omiótł wzrokiem otwory po pociskach w tylnym błotniku SUV-a i rozbitą tylną szybę, potem połączył się

przez radio z dyspozytorem i zgłosił strzelaninę pod jednym z portowych magazynów koło Beaufort.

– Trzej podejrzani biali mężczyźni w ciemnych ubraniach.

Dyspozytor powtórzył otrzymaną informację.

Zastępca szeryfa ruszył do radiowozu, ale zatrzymał go okrzyk

Bree:

– Co z moją kuzynką?!

– A co ma być?

– Rozmawiał pan z nią?

– W domu?

Kiwnęła głową.

– Niestety nie, proszę pani. Drzwi były zamknięte i nikt nie reagował na pukanie.

Bree odwróciła pobladłą twarz do Remi.

– Jedźmy tam natychmiast! Pewnie coś jej się stało!

Rozdział 9

Bree chwyciła Remi za rękę.

– Proszę! Larayne może być w niebezpieczeństwie.

– Ona ma rację - poparł ją Sam. - Trzeba to sprawdzić.

– Proszę pana - zwrócił się Wagner do Sama. - Nie mam innego wyjścia, muszę panu zaufać. Właśnie posłałem swojego jedyne go człowieka na tym terenie w pościg za trzema uzbrojonymi ludźmi, a nie wiem, kogo mi tu przyślą do pomocy z Beaufort. Nie mogę go zostawić bez wsparcia.

– Rozumiem.

Zastępca szeryfa popatrzył surowo na Bree.

– Cała wasza trójka, albo czwórka, jeśli odnajdzie się pani kuzynka, stawia się jutro w biurze szeryfa w celu złożenia oficjalnych zeznań.

Powiedziawszy to, pobiegł do radiowozu i odjechał z rykiem silnika.

– Wsiadajcie - zakomenderował Sam, po czym otworzył drzwi od strony kierowcy.

– A co z naszym samochodem? - spytała Remi, zajmując miejsce obok niego.

– Zabierzemy go w powrotnej drodze - odparł Sam.

Bree usiadła z tyłu, za Remi, i zwróciła się do Sama:

– Błagam, proszę się pospieszyć.

– Zapnijcie pasy - polecił Sam, włączył wycieraczki i ruszył w kierunku Harlowe. Pęd powietrza ryczał w rozbitym tylnym oknie. Przez pozbawione szyby okno kierowcy do środka wpadał deszcz, siekąc go po twarzy i ramieniu. Drobne kropelki dolatywały nawet do Remi, która odwróciła się do Bree. Młoda

kobieta wyglądała na wstrząśniętą.

– Przykro mi z powodu twojego wujka. - Remi przekrzykiwała wycie wiatru.

– Ja... nie mogę uwierzyć w to, co się dzieje. - Po chwili Bree pochyliła się do przodu i położyła dłoń na ramieniu Remi. - Dobrze, że przyjechaliście. Dziękuję.

Deszcz wzmógł się. Sam prowadził, ale na moment przechylił się ku środkowi samochodu. Obejrzał się przez ramię na Bree.

– Dobrze, że jesteś cała - powiedział i wrócił do obserwacji drogi przed maską.

– Wiemy, że byłaś w drodze na lotnisko. Sądziliśmy, że zamierzałaś lecieć do San Francisco - odezwała się Remi.

– To prawda. Ale nie dojechałam. Zepchnęli mnie do rowu.

– Dzwoniła do nas Selma. Policja znalazła twój samochód. Szalałam z niepokoju, gdy nie miałam żadnej wiadomości od ciebie.

– Cały czas grozili mi bronią. Nigdy nie naraziłabym pani na niebezpieczeństwo.

Deszcz i wiatr wpadające przez rozbite okna nie ułatwiały rozmowy.

– Pogadamy później, jak już znajdziemy twoją kuzynkę.

Dziesięć minut później podjechali pod dom. Ledwie Sam zatrzymał samochód, Bree wyskoczyła z niego i wbiegła po schodach na ganek. Szarpnęła klamkę u drzwi, a potem załomotała w nie pięściami, krzycząc:

– Larayne! Larayne!

Remi i Sam podeszli do niej. Jeszcze na schodach Sam stwierdził:

– Poszukam drugiego wejścia.

Mimo deszczu Remi i Bree ruszyły za nim na tyły domu.

Kuchenne drzwi też były zamknięte.

– Mógłby je pan wyważyć? - spytała Bree.

– Może nie będzie potrzeby - odparł Sam, przyglądając się

zamkowi. Następnie wyciągnął z kieszeni portfel, wyjął z niego kartę kredytową, wsunął między futrynę a drzwi i po krótkim gmeraniu zatrzask zamka odskoczył.

– Kuzynka powinna zamontować dodatkową zwykłą zasuwkę - zauważył i otworzył drzwi.

Bree wpadła jak bomba do kuchni.

– Larayne! Gdzie jesteś?!

Remi i Sam ruszyli za nią. Bree zagłębiła się w korytarz. Otwierała wszystkie mijane drzwi i zaglądała do pomieszczeń.

Remi odgarnęła z twarzy mokre włosy i właśnie zamierzała wejść na piętro, kiedy wydało jej się, że usłyszała jakiś odgłos dobiegający spod schodów. Zatrzymała się i zaczęła nasłuchiwać. Po chwili rozległ się głuchy odgłos uderzenia i już była pewna, że się nie myli.

– Tutaj! - zawołała, spostrzegłszy drzwi do schowka pod schodami. Otworzyła je, a Bree, która właśnie wynurzyła się z korytarza, zanurkowała do środka i wyciągnęła stamtąd kuzynkę.

– Larayne! - westchnęła z ulgą.

Podobnie jak wcześniej Bree, i ją związano i zakneblowano. Bree wyciągnęła jej knebel z ust, dopytując się:

– Jesteś cała?

Larayne kiwnęła potakująco głową.

Sam przeciął więzy krępujące jej ręce i nogi i pomógł kobiecie wstać.

Bree otoczyła ją ramionami w mocnym uścisku i usadziła na kanapie.

– Tak bardzo się o ciebie martwiłam.

– Jak się tu dostałaś?

– Dzięki moim przyjaciołom. Poznaj panią i pana Fargów. To oni przywieźli książkę.

Larayne popatrzyła na nich:

– Nie mogę w to uwierzyć. Ja...

Gdzieś w oddali rozległ się grom nadciągającej burzy. Lunał deszcz, krople zabębniły o dach. Nagle Larayne zerwała się z kanapy, nie panując nad drżeniem rąk.

– Muszę się czegoś napić.

– Proszę nie wstawać - odezwała się Remi. - Podam pani. Może być woda?

– Dziękuję, ale potrzebuję czegoś mocniejszego.

Poszli za nią do kuchni. Larayne wzięła szklanę ze zmywarki, otworzyła lodówkę i wyciągnęła z niej butelkę wódki, po czym naląła sobie solidną porcję.

– Jesteś pewna, że to dobry pomysł? - spytała Bree z nerwowym uśmiechem. - Musimy jeszcze porozmawiać z policją.

– To najlepszy pomysł pod słońcem. Czy wiesz, jak to jest siedzieć w schowku bez żadnych gwarancji, że ktokolwiek przyjdzie cię uwolnić?

Remi, dostrzegłszy zakłopotanie Bree, otoczyła ją ramieniem.

– Trudno sobie wyobrazić, przez co obie musiałyście przejść, nie wiedząc nawzajem, co się z wami dzieje. To musiało być okropne uczucie.

– Tak było - potwierdziła Bree, patrząc w oczy kuzynce.

Larayne opuściła szklanę, jakby zaskoczyło ją to, co usłyszała.

– Przepraszam, Bree. Wybaczysz mi?

– Co?

– Przecież to ciebie porwali. To straszne, co się spotkało.

– Nie masz za co przeproszać. Miałam szczęście, że państwo Fargowie mnie uwolnili.

– Tak, to wielkie szczęście.

– Gdzie jest telefon? - zapytała Remi. - Powinniśmy zadzwonić do biura szeryfa i powiedzieć, że obie jesteście całe.

– Są tu dwa aparaty bezprzewodowe. Zdaje się, że jeden widziałam w korytarzu przy schodach.

Sam poszedł po telefon. Wrócił do kuchni, rozmawiając z dyspozytorem.

– Tak - powiedział do mikrofonu. - Rozumiem. Czekamy.

Rozłączył się i odłożył aparat na blat.

– Przyślą do nas kogoś z wydziału dochodzeniowego.

Bree kiwnęła głową, a Remi spytała:

– Wiadomo coś o sprawcach? Złapali ich?

– Może dowiemy się więcej, kiedy zjawi się ten detektyw.

Larayne zerknęła na butelkę.

– Po co go tu przysyłają? - zapytała Sama.

– Żeby nas przesłuchał i zabezpieczył dowody.

Odpowiedź Sama wyraźnie ją wystraszyła.

– Jakie dowody?

– Na przykład odciski palców.

Larayne dopiła wódkę i odstawiła szklanę na blat.

– Co za koszmar.

Bree wzięła kuzynkę za rękę.

– Złapią ich. Być może nawet już ich mają.

Po tych słowach Larayne naląła sobie kolejną porcję wódki.

Trudno mieć jej to za złe, pomyślała Remi. Najpierw utrata ojca, a teraz to. Odsunęła krzesło od kuchennego stołu i zaproponowała:

– Usiądźmy i spróbujmy się trochę uspokoić.

– Dobra myśl. - Larayne chwyciła butelkę. - Bree, weź sobie szklanę i napij się ze mną.

– Nie mam ochoty.

– Na pewno masz. Przecież o mało cię nie zabili. Strzel sobie lufę.

Bree naląła wody do szklanki i usiadła obok kuzynki.

– Nie wiem, jak możesz to pić.

– Z przyzwyczajenia - odparła Larayne, biorąc głębszy łyk.

W obawie, że młoda kobieta za chwilę doprowadzi się do stanu uniemożliwiającego rozmowę z policją, Remi postanowiła

sama zadać jej kilka pytań.

– Proszę wybaczyć ciekawość, ale co tu się właściwie dzieje?

– Sama chciałabym wiedzieć. - Larayne wzruszyła ramionami.

– Czy może to mieć jakiś związek z książką o piratach, którą miał pani ojciec?

Larayne wymieniła spojrzenia z Bree.

– Gdyby ojciec sprzedał tę książkę chętnemu, którego znalazłam, być może do niczego by nie doszło.

– Znalazła pani kupca na tę książkę?

– Tak. Kogoś, kto był gotów zapłacić za nią o wiele więcej, niż była warta.

– Kto to był? - dążyła Remi. Starła się nie zwracać uwagi na to, że Sam chodzi niespokojnie od okna do okna, a potem idzie do drzwi frontowych.

– Nie pamiętam.

– Ja pamiętam - wtrąciła się Bree. - Nazywał się Charles Avery.

– Nieważne - mruknęła Larayne, zaglądając do szklanki. - Wiem tylko, że ojciec nagle zrezygnował z transakcji, ale nie zdradził mi dlaczego.

– Niepokoił się - odparła Bree. - Wciąż ktoś do niego dzwonił z pytaniem o ten egzemplarz, a potem jeszcze ta dziwna wizyta kogoś, kto był nim zainteresowany. Chyba uznał, że to wszystko jest ze sobą powiązane.

Sam wrócił do kuchni i wyjrzał przez okno wychodzące na podjazd.

– Powiązane? - spytał, odwracając się do nich.

Bree pokiwała głową.

– Wujek dowiedział się o kradzieżach wyklejek z egzemplarzy pierwszego wydania. Być może podejrzewał, że ktoś próbuje go podejść w tym samym celu.

– Nie bez przyczyny - przyznał Sam. - A jak to się stało, że my zostaliśmy wciągnięci w tę sprawę?

– Kiedy zaczęłam pracować dla pańskiej żony, opowiedziałam

mu o Fundacji Fargo i o tym, że wpływy ze znalezionych skarbów przeznaczą na cele charytatywne. Wtedy on stwierdził, że spadłby mu kamień z serca, gdyby ta książka trafiła do kogoś takiego jak wy.

– Teraz rozumiem. - Głos Larayne brzmiał ponuro. - Zamiast temu kolekcjonerowi wolał sprzedać ją wam.

Remi przypomniała sobie okoliczności, które doprowadziły do jej wizyty w antykwariacie, i zwróciła się do Bree.

– Wydawało mi się, że wcale się nas nie spodziewał.

– To chyba trochę moja wina - powiedziała Bree z przepaszającym uśmiechem. - Zadzwoiłam do niego tego ranka, kiedy wyjechaliście do San Francisco, i uprzedziłam go o waszej wizycie, ale on był bardzo zdenerwowany. Wcześniej otrzymał telefon z pogrózkami. Pomyślałam, że kiedy pozbędzie się książki, wszystko będzie dobrze.

– Pięknie - burknęła Larayne. - A teraz on nie żyje.

Bree położyła dłoń na dłoni kuzynki.

– Tak mi przykro - szepnęła ze łzami w oczach. - Chciałam do niego pojechać tej nocy, gdy tylko dowiedziałam się o napadzie. Niestety, nie udało mi się. Kiedy jechałam na lotnisko, zepchnęli mnie do rowu. Pamiętam tylko, że ocknęłam się tu, u Larayne. - Otarła łzy z policzków i usiłowała uśmiechnąć się do Remi. - Powiedzieli, że nas zabiją, jeśli nie dostaną książki. Czułam, że nie żartują. Gdyby nie to, nigdy bym...

– Daj spokój, Bree - pocieszyła ją Remi. - Wiem, że zrobiłaś to pod przymusem.

Sam przechadzał się od okna do okna, wyglądając na zewnątrz. Za każdym razem, kiedy przechodził obok nich, Bree i Larayne patrzyły na niego z rosnącym niepokojem. Remi uśmiechnęła się do nich i wstała.

– Chyba wezmę sobie szklanę wody.

Podeszła do szafki, znalazła szklanę i napełniając ją, rzuciła do przechodzącego Sama:

– Co ty wyprawiasz? Denerwujesz je.

Sam stanął plecami do kobiet i ściszył głos.

– Z jednym rewolwerem na tym pustkowiu nie mamy praktycznie żadnych szans.

Oślepiająca błyskawica oświetliła kuchnię, a po niej przetoczył się nad nimi grom, wprawiając w drżenie szyby w oknach. Bree odruchowo chwyciła się za serce. Kiedy chwilę później rozdzwonił się telefon, obie kuzynki wlepiły w niego przerażone spojrzenia.

W końcu Larayne przyłożyła aparat do ucha.

– Halo... Halo... - Rozłączyła się i odłożyła go na stół. - Pewnie pomyłka.

Remi i Sam wymienili spojrzenia. Najwyraźniej pomyśleli o tym samym. To złoczyńcy upewniali się, czy są już z powrotem w domu. Remi poszła sprawdzić, czy kuchenne drzwi są dobrze zamknięte.

Sam wyciągnął rewolwer i spytał Larayne:

– Jest w domu jakaś broń?

Rozdział 10

Każdy odgłos, każde skrzyknięcie podłogi wydawało się głośniejsze niż w rzeczywistości. Deszcz bębnił o szyby. Suchy trzask pioruna znowu wystraszył Bree i Larayne.

Policjanci powinni pojawić się za kilka minut, ale Sam wiedział, że nie zazna spokoju do czasu ich przyjazdu. Dziwny telefon wprowadził w przerażenie obie kuzynki i choć mógł to być zwykły przypadek, ze względu na okoliczności wszyscy mieli nerwy napięte jak postronki.

Sam oddał Remi swój rewolwer i posadził wszystkie panie we frontowym pokoju. Uzbrojony w zardzewiałą strzelbę po zmarłym mężu Larayne stanął przy oknie, z którego miał widok na drogę.

Remi robiła, co mogła, by odciągnąć uwagę obu kobiet od przedłużającego się w nieskończoność oczekiwania. Zaczęła wypytywać je o książkę. Larayne, nie mogąc znieść napięcia, gotowa już była czmychnąć z domu, ale sprzeciwił się temu Sam. Remi wtedy zapytała ją:

– Dlaczego wszyscy uganiają się za tą książką?

– Ja... słyszałam, jak o tym rozmawiali - odpowiedziała Larayne, popatrując na Bree. - Ci ludzie, którzy tu się zjawili. To było tuż przed przywiezieniem Bree. Zanim kazali jej zadzwonić do was z prośbą o przysłanie książki.

– A co konkretnie mówili?

– Że mapa z książki to ostatni element, potrzebny do znalezienia klucza. Wtedy mieli dostać pieniądze i mnie wypuścić.

– Mnie powiedzieli to samo - przytaknęła Bree. - Zamierzali

nas wypuścić po otrzymaniu książki i pieniędzy. Mówili też, że muszą znaleźć klucz. Tak naprawdę, to serce waliło mi jak oszalałe, więc mogłam coś pokręcić.

– A skąd wiedzieli, że to właśnie ten egzemplarz, którego szukali?

– O to pytajcie Bree, ona orientuje się w tym lepiej ode mnie.

Dla Sama było jasne, że obie pomijają jakiś istotny szczegół związany z książką. A jedyny człowiek, który mógł wiedzieć, o co chodzi, był martwy.

– Co o niej mówił wujek, Bree?

– Twierdził, że musi ją jeszcze dokładnie zbadać. Zanim to zrobił, Larayne podsunęła mu myśl, aby sprzedać książkę Charlesowi Avery'emu.

Charles Avery... Nazwisko wydawało się Samowi znajome, ale nie mógł skojarzyć skąd. Teraz jednak co innego nie dawało mu spokoju. Chodziło o moment i miejsce porwania. Po co ściągnięto Bree na drugi koniec kraju, aby zdobyć książkę? Może dlatego, że dom Larayne stał w odludnym miejscu. To kolejna nurtująca go tajemnica.

– Larayne, jak pani sądzi, dlaczego właśnie do ciebie zwrócono się w tej sprawie? - spytał.

– To chyba jasne. Mój ojciec miał tę książkę.

– Nie o to chodzi. Rozmawiała pani osobiście z Averym?

– Nigdy go nie spotkałam. Przysłał kogoś do mnie do domu.

– Czy ktoś jeszcze odwiedził panią w tej sprawie?

Pokręciła przecząco głową.

– Dlaczego pan pyta?

– Wydaje mi się dziwne, że wszystko działo się właśnie tutaj, w pani domu.

– Chyba nie sądzi pan, że Charles Avery stoi za tym wszystkim?

– Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia. Ale warto to sprawdzić.

Larayne opadła na oparcie krzesła i popatrzyła na Bree.

– Może to był ktoś, z kim skontaktował się mój ojciec? Byłaś bliżej niego. Nic ci nie powiedział?

– Nie mówił o żadnym innym kupcu. Za to wspomniał, że coś odkrył, ale nie chciał wyjawić co, dopóki się nie upewni.

Sam wyjrzał przez okno i zauważył w oddali światła reflektorów samochodu, jadącego w ich kierunku. Zerknął na Bree, a potem znów popatrzył za okno.

– Kiedy to było?

– Wkrótce po ukazaniu się artykułu o kradzieży wyklejek z egzemplarzy pierwszego wydania. - Patrzyła na szklanę z wodą trzymaną w dłoni, obracając ją w palcach. - A potem był ten napad i... Nie chciałam, aby do tego doszło. Gdybym wiedziała, co się stanie, nigdy bym pani nie powiedziała o tej książce, przysięgam. - Uśmiechnęła się przepaszająco do Remi.

– Nie obwiniaj się o to, co się stało - odparła Remi.

Przyjechał wreszcie detektyw i wysłuchał ich zeznań. Najbardziej interesował go mężczyzna, zastrzelony przez Sama. Prawdopodobnie pod magazynem nie znaleziono jego ciała.

– Jest pan pewien, że strzał był śmiertelny?

– Zdecydowanie - odrzekł Sam.

– Widocznie komuś zależało na uniemożliwieniu identyfikacji.

W trakcie składania zeznań pojawiła się technik kryminalistyki. Larayne, coraz bardziej zdenerwowana, popijała wódkę, obserwując kobietę zabezpieczającą odciski palców. Zdaniem Remi Larayne zdecydowanie za dużo piła, choć trudno było mieć do niej o to pretensję.

Tuż przed piątą po południu śledczy zakończył przesłuchania i zaproponował Remi i Samowi, że podwiezie ich do samochodu, bo SUV, będący dowodem rzeczowym, miał zostać odholowany na policyjny parking.

Sam przyjął jego ofertę. Remi spytała Bree, czy zabierze się z nimi ich samolotem do Kalifornii.

Bree, niezdecydowana, popatrzyła na kuzynkę.

– Nie zostawię jej samej.

– O mnie się nie martw - odparła Larayne. - Zaraz wpadnie tu po mnie przyjaciel. Jedź z nimi. Poradzę sobie.

– Na pewno?

– Zresztą, nie zostaję sama. - Larayne wskazała skinieniem głowy kobietę nadal zdejmującą odciski. - Jeśli zaraz się nie zjawi, pojedę do niego z panią technik, o ile nie będzie miała nic przeciwko temu. To zaledwie półtora kilometra stąd, przy samej drodze.

Technik zgodziła się bez problemu.

– W takim razie jadę z wami - zgodziła się Bree.

Dwie godziny później byli już w hangarze, gdzie czekał na nich odrzutowiec.

Remi i Sam zmienili przemoczone ubrania, do których poprzyklepiały się kawałki szkła z rozbitej szyby SUV-a. Sam poszedł do kokpitu, aby porozmawiać z załogą o zmianie planów podróży, a Remi z Bree usiadły przy stoliku w kabinie pasażerskiej.

Bree rozmawiała przez telefon.

– Spróbuj trochę odpocząć. Zadzwoń zaraz po przyjeździe do domu, wtedy sobie pogadamy na spokojnie.

– Wszystko w porządku? - spytała Remi, kiedy Bree zakończyła rozmowę.

– Chciałam się upewnić, czy ten przyjaciel w końcu przyjechał. Okazało się, że tak. Trochę się o nią martwiłam, bo sporo wypła.

– Zauważyłam - przyznała Remi. - Ale skoro już o tym mowa, może ty napijesz się czegoś przed kolacją?

– Chętnie, o ile to nie problem - zgodziła się Bree.

– Na co masz ochotę? Kawa, herbata czy coś mocniejszego?

– Wie pani co... - Bree wzięła głęboki oddech. - Chyba coś mocniejszego, byle nie wódka. Może trochę sherry?

Stewardesa Sandra przyniosła tacę z serem i krakersami. Remi podziękowała jej.

– Poprosimy o dwie szklaneczki sherry - zadysponowała. - I może jeszcze jedną szkocką. Sam pewnie zaraz do nas dołączy.

Chwilę później Sandra przyniosła sherry i szkocką i zniknęła na zapleczu. Remi uniosła kieliszek.

– Za to, że wszystko dobrze się skończyło i znów jesteś z nami.

– Dziękuję. - Bree obdarzyła ją zmęczonym uśmiechem i napiła się, chwytając gwałtownie powietrze po przełknięciu alkoholu. - Przepraszam... trochę za duży łyk.

Remi uśmiechnęła się. Sam wrócił z kokpitu i zajął miejsce obok niej.

– Co słyszeć u Larayne? - spytał.

– Chyba wszystko dobrze. Jest trochę smutna i przeprasza za to, co się wydarzyło. Jest jej przykro, bo to przez nią zaangażował się w to Charles Avery.

Sam poczęstował się krakersem.

– Jeszcze nie wiemy, czy to on za to odpowiada.

– Larayne uważa, że właśnie on. Przypomniała sobie, że jeden z tych mężczyzn rozmawiał przez telefon z kimś o imieniu Charlie. Mówili o szukaniu jakichś znaków.

– Znaków? - powtórzył Sam.

– To się jakoś wiązało z mapą zamieszczoną w książce. Zdaje się, że chodziło o jakiś klucz, czy coś w tym stylu.

– Czy Larayne wie, jakie miejsce przedstawia mapa?

– Mówiła coś o dole i dębie na jakiejś wyspie. Była mocno wstawiona.

Podeszła do nich Sandra i uśmiechnęła się do Sama.

– Przepraszam, że przeszkadzam, panie Fargo. Otrzymaliśmy zgodę na start.

– Zaczekaj chwilę. - Sam wpatrywał się w Bree. - Czy to możliwe, że kuzynka mówiła o Studni Pieniędzy na Wyspie Dębów?

– Może i tak. Chwilami trudno było ją zrozumieć.

– Co o tym myślisz, Remi? - spytał Sam.

- Nowa Szkocja? - Chętnie zgłębiłaby tę tajemnicę, ale obawiała się o samopoczucie Bree. - Pod warunkiem że Bree czuje się na siłach.

- Oczywiście. Żaden problem.

Sam zwrócił się do Sandry.

- Powiedz pilotom, żeby zmienili plan lotu. Lecimy do Halifaksu. Stamtąd wyprawimy Bree do domu.

- Oczywiście.

- A jeśli oni czekają na mnie gdzieś na moim osiedlu? - odezwała się Bree po odejściu Sandry.

Remi uśmiechnęła się do niej ze zrozumieniem.

- Możesz zatrzymać się u nas w La Jolla, dopóki to wszystko się nie skończy.

- Nasz dom to prawdziwa forteca - dodał Sam. - Będziesz tam bezpieczna.

Bree pokręciła głową.

- Nie chciałabym się narzucać...

- Nie ma o tym mowy - przerwała jej Remi. - Mając ciebie i Selmę, być może zdołamy rozwiązać tę zagadkę. Skoro już o tym mowa, Larayne wspomniała, że wiesz więcej o historii tej książki.

- Trochę wiem. Wujek Gerald kupił ją podczas licytacji majątku od dalekiego kuzyna ze strony mojego ojca. Rzekomo związana jest z nią rodzinna historia strzeżona przez linię męską rodu Marshalów od czasów króla Jana bez Ziemi. - Zaśmiała się lekceważąco. - Oczywiście to jakaś bzdura, bo książkę wydano pod koniec osiemnastego wieku. Zresztą, dlaczego książka o piratach miałaby być przekazywana z pokolenia na pokolenie?

- A może jest taka cenna z powodu klucza, którego wszyscy szukają? - spytała Remi.

- Raczej mało prawdopodobne. W końcu to ma być klucz do map znajdujących się w książce, a są to mapy piratów i korsarzy

działających kilka stuleci po śmierci króla Jana. Sami widzicie, że niewiele mogę tu pomóc.

– Tak czy inaczej, ciekawa historia - powiedziała Remi z uśmiechem.

– Jesteście dla mnie tacy mili. Po tym wszystkim, co się wydarzyło. .. - Nie dokończyła. Próbowwała się uśmiechnąć, ale wybuchnęła płaczem.

Remi skinęła na Sama, żeby wstał i ją przepuścił. Wysunąwszy się zza stolika, podeszła do Bree, objęła ją i postawiła na nogi.

– Może się umyjesz i trochę prześpisz? Drzemka dobrze ci zrobi. Mamy czas, możemy porozmawiać później.

– Chyba tak. - Bree kiwnęła głową.

Remi odprowadziła dziewczynę do sypialni w ogonie samolotu i wróciła po kilku minutach.

– Biedactwo - zwróciła się do Sama. - Okropnie się czuję po tym wszystkim.

– Nic dziwnego, że nerwy jej puściły. Pomyśl tylko, najpierw zmarł jej wujek, a potem padła ofiarą porwania.

– Przynajmniej teraz jest bezpieczna, to najważniejsze. - Remi uniosła kieliszek do ust, ale zamiast się napić, popatrzyła na Sama. - To kiedy wreszcie zacznie się ten tydzień lenistwa i odpoczynku?

– Remi, dlaczego chcesz zepsuć ten jakże przyjemny moment? Nie co dzień mamy okazję raczyć się dwudziestopięcioletnią whisky w samolocie, stojącym na płycie lotniska w Karolinie Północnej.

– Nie chcę niczego psuć. - Łyknęła sherry, rozkoszując się chwilą. To była jedna z tych rzeczy, za które tak bardzo kochała Sama. Zdolność zachowania dobrego humoru w obliczu przeciwności losu. - Zastanawiam się tylko, czy zarezerwować sobie dodatkowe dni w moim kalendarzu.

– No dobrze, niech ci będzie. Pojutrze.

– A nie jutro? - spytała.

– Będziemy musieli załatwić masę spraw, zanim dotrzemy na Wyspę Dębów. Ponadto, zakładając, że Bree dobrze zrozumiała pijacki bełkot swojej kuzynki, możemy tam się natknąć na dwóch lub trzech opryszków, którzy tylko czekają, by zrobić nam krzywdę.

– Chyba mamy ubezpieczenie podróże?

– A niech to! - wykrzyknął Sam, strzelając palcami. - Wiedziałem, że o czymś zapomniałem.

– Co sądzisz o tym Charlesie Averym?

Sam skupił wzrok na swojej szklaneczce ze szkocką i wprawił w ruch wirowy jej bursztynową zawartość. Myślał o tym, co wydarzyło się w ostatnich dniach. Musiał to być niebezpieczny człowiek, skoro nie liczył się z ludzkim życiem. Rzecz jasna, należało przeanalizować fakty, a nie wydawać opinię na podstawie kilku incydentów.

– Kluczowe jest następstwo zdarzeń, nie uważasz?

– To samo sobie pomyślałam. Nagle zorientował się, że nie zdoła kupić tej książki, a zaraz potem doszło do napadu i porwania.

Sam osuszył szklaneczkę i sięgnął po bloczek do notatek i długopis, leżące na skraju stolika.

– Dopiszę go do listy zadań dla Selmy. Najwyższy czas dowiedzieć się nie tylko, kim jest Charles Avery, ale też skąd się wzięło jego zainteresowanie książką o piratach.

Rozdział 11

Charles Avery przeglądał zestawienie aktywów swoich ewentualnych nowych nabytków. Wykorzystywanie okazji do szybkiego zarobku miał we krwi, więc jeśli akurat nie zajmował się kradzieżą cennych, unikatowych dóbr, zaostrzał swój apetyt, wyszukując przedsiębiorstwa stojące na skraju bankructwa. Kupował je za psie pieniądze, rozwałkał doszczętnie i parcelował pozostałości. Z tego procederu czerpał obfite zyski. Owszem, każda taka akcja pociągała za sobą dość liczne ofiary w postaci pracowników skazanych na bezrobocie, ale niekorzystne skutki uboczne były nieuniknioną ceną za odniesienie sukcesu. Tak sobie myślał, przewracając kolejną stronę zestawienia. Naprzeciw niego, po przeciwnej stronie biurka, siedział dyrektor działu finansowego Martin Edwards, czekający na decyzję.

Avery uznał kwoty za satysfakcjonujące i zamknął teczkę z dokumentami.

– Czy ktoś inny wykazał jakiegokolwiek zainteresowanie?

– Jak dotąd nie, panie prezesie.

Edwards pracował w firmie od momentu jej powstania. W sprawach finansowych Avery darzył go bezgranicznym zaufaniem.

– Co proponujesz?

– Mając na uwadze podstawowe... - zaczął Edwards, ale przerwał, bo do gabinetu wkroczył Colin Fisk.

– Proszę mi wybaczyć, że przeszkadzam - powiedział tonem pozbawionym nawet cienia skruchy - ale mam bardzo pilne informacje.

Avery obrzucił go wzrokiem, próbując odgadnąć, czy to dobre,

czy złe nowiny. Jednak twarz Fiska była pozbawiona jakiegokolwiek wyrazu, więc zwrócił się do Edwardsa:

– Liczby mówią same za siebie. Chyba że kryje się za nimi coś, co umknęło mojej uwadze.

– Nie, panie prezesie. Moim zdaniem powinniśmy przejść do działania.

– Zatem bierz się do roboty. A teraz zostaw nas samych. Muszę się zająć sprawami, które najwyraźniej nie mogą czekać.

Edward pozbiierał dokumenty i wyszedł.

Avery poczekał, aż zamkną się drzwi, i zwrócił się do Fiska:

– Załatwione?

– Mamy książkę i klucz. W tej chwili są w drodze.

Avery z ulgą opadł na oparcie fotela.

– Fargowie uwierzyli w naszą bajeczkę?

– Niezupełnie. Pojechali za moimi ludźmi do magazynu.

– Rozumiem, że pozbyliście się ich.

– Uciekli. Podobnie jak dwaj z moich ludzi, więc jeszcze nie wszystko stracone.

Avery zacisnął dłonie na poręczach fotela z taką siłą, jakby chciał je połamać. Ci piekielni Fargowie, stracił przez nich już zbyt wiele czasu i pieniędzy.

– Macie się ostatecznie rozprawić z tymi celebrytami od poszukiwania skarbów.

– W tej chwili nie sprawiają większych kłopotów niż cierń w boku.

– Ciernie bywają czasem źródłem infekcji. Jeśli pojawią się choćby na obrzeżach którejkolwiek z prowadzonych przeze mnie operacji, macie ich zabić.

– Podjąłem już pewne kroki w tym kierunku.

– Jakiego rodzaju?

– Posłużyłem się tymi kobietami, córką i kuzynką Pickeringa. Trzeba przyznać, że jak dotychczas obie okazały się bardzo użyteczne. Jeśli sprawy potoczą się zgodnie z oczekiwaniem, za

dzień lub dwa powinniśmy usłyszeć dobre wieści.

Rozdział 12

Remi i Sam siedzieli naprzeciw siebie w saloniku samolotu. Korzystali ze względnej samotności w swoim ścisłym dwuosobowym gronie. Remi odświeżała sobie wiedzę o historii Wyspy Dębów i poszukiwań skarbu, ukrytego rzekomo w dole zwanym Studnią Pieniędzy, a on zapoznawał się z otrzymanymi od Selmy informacjami na temat Charlesa Avery'ego.

Po pewnym czasie Sam oderwał się od lektury i przeniósł wzrok na Remi.

– Nazwisko tego faceta wydawało mi się znajome. Teraz sobie przypominam, że czytałem o nim w „Forbesie” - oznajmił. - Dorobił się milionów na przejęciach podupadających przedsiębiorstw. W wolnych chwilach, kiedy nie kupuje firm zagrożonych brakiem płynności finansowej, zabawia się w eksperta od ratownictwa morskiego.

– Jak to się stało, że dotychczas o nim nie słyszeliśmy?

– Nie obracamy się w tych samych kręgach. Zresztą sądząc po liczbie ludzi, których wykołegował z biznesu, nie chciałbym go spotkać.

Remi uśmiechnęła się na widok wchodzącej Bree. Krótka drzemka wyraźnie wyszła jej na dobre.

– Lepiej się teraz czujesz? - spytała.

– Zdecydowanie.

Skinieniem głowy Sam wskazał jej lekką kolację stojącą na rozkładanym stoliku.

– Zjedz coś. Selma już zarezerwowała ci lot do Kalifornii na jutro po południu.

– Dziękuję. - Przejrzała dokumenty rozłożone przez Remi po

całym stole. - Wyspa Dębów? Naprawdę uważacie, że to o niej mówiła Larayne?

- To logiczne przypuszczenie. Opieramy się na dostępnych informacjach. A mapa widoczna na końcowej wyklejce przypomina tę wyspę. Znasz jej historię?

- Tylko z grubsza. Od końca osiemnastego wieku nieustannie poszukiwano tam przypuszczalnie nieistniejącego skarbu. Zaczęto go szukać, gdy kilku nastolatków dokopało się do warstwy kamieni i dębowych kłód.

- Dokładniej w 1795 roku - dodała Remi. - Mniej więcej w tym samym czasie wyszło pierwsze wydanie *Piratów i korsarzy*.

- Przypadek? - spytała Bree.

Sam podniósł wzrok znad swojej lektury.

- Moim zdaniem tak. Nigdy nie wierzyłem w istnienie skarbu na Wyspie Dębów. Potwierdzają to relacje i raporty naukowców i inżynierów, przez całe lata zajmujących się tą sprawą.

Bree podniosła jeden z wydruków o wyspie.

- Dlaczego więc wybierali się tam ludzie Avery'ego? Jeśli założymy, że to on za to wszystko odpowiada.

- Sądząc po tym - Sam wskazał dokumenty nadesłane przez Selmę - jego udział jest wysoce prawdopodobny. A dlaczego zamierzają szukać tam skarbu? Cóż, nie wszyscy ufają dowodom.

Remi przeglądała na tablecie fotografie stron książki o piratach. Znalazła zdjęcie mapy znalezionej za wyklejką i podsunęła Bree, a potem pokazała jej rzeczywistą mapę Wyspy Dębów.

- W mojej opinii, jakkolwiek nie jest ona oparta na podstawach naukowych, najwyraźniej doszli do wniosku, że mapa z książki wykazuje znaczne podobieństwo do Wyspy Dębów. - Zerknęła na Sama. - Musisz przyznać, że ją przypomina.

- Przypomina też wiele innych małych wysepek, którymi

upstrzony jest Atlantyk. Szkoda, że w tamtych czasach nie dysponowano zdjęciami satelitarnymi.

Remi nie dała się zbić z tropu.

– A co z tajemniczym kamieniem, znalezionym w dole na Wyspie Dębów? Był na nim wyryty zaszyfrowany napis, mówiący o dwóch milionach funtów zakopanych dwanaście metrów niżej.

– Masz na myśli rzekomo znaleziony kamień? Nikt go na oczy nie widział, nie mówiąc o tym, że napis na nim uznano za mistyfikację.

Remi wiedziała, że Sam nie wierzył w istnienie skarbu na Wyspie Dębów.

– Może i tak - przyznała - ale nasi porywacze najwyraźniej mieli jakiś powód, by się tam wybrać, więc powinniśmy dokładnie przekopać się przez lokalne podania i legendy związane z wyspą. A jeśli to nie jest w stanie rozbudzić twojej ciekawości, to u jej wybrzeży zalegają liczne wraki. Możliwe, że jest wśród nich ten, którego szukaliśmy.

– Chętnie wam pomogę. - Bree zwróciła się do Remi, wpatrzona w stertę papierów, zalegających na stole.

– Przyda się nam pomoc, prawda, Sam?

– Oczywiście - potwierdził i uśmiechnął się do Bree. - Remi ma rację. Nieważne, że ona i ja mamy odmienne zdanie na temat realności tego skarbu. Skoro ci faceci tam jadą, to nie bez przyczyny. Po tym jak nas ostatnio potraktowali, zwłaszcza ciebie, Bree, uważam, że powinniśmy dowiedzieć się, co ich do tego skłoniło.

Rzecz jasna, do czasu lądowania w Nowej Szkocji nie posunęli się ani o krok w odkrywaniu sekretów Wyspy Dębów. Mogli być pewni tylko jednego - w ciągu wieków utopiono miliony dolarów w Studni Pieniędzy podczas bezowocnych poszukiwań ukrytych tam skarbów. Remi miała nadzieję, że na wyspie dowiedzą się czegoś więcej.

Nazajutrz rano Bree została z załogą samolotu. Stwierdziła, że w samolocie będzie czuła się bezpieczniej. Natomiast Remi i Sam wypożyczyli samochód i wyjechali z Halifaksu, kierując się ku zachodniemu brzegowi zatoki Mahone, a następnie drogą biegnącą po grobli dostali się na Wyspę Dębów. Selma zarezerwowała im dwa bilety na wycieczkę do słynnej Studni Pieniędzy.

– Sądysz, że grupowa wycieczka to dobry pomysł? - spytała Remi, kiedy wysiedli z samochodu.

Sam objął ją ramieniem i przyciągnął do siebie w pokrzepiającym uścisku.

– Prześladowcom Bree i Larayne bardzo zależało na tym, by wszystko odbyło się bez świadków. Jeśli nawet przyłączyliby się do naszej wycieczki, co wydaje mi się mało prawdopodobne, to nie sądzę, aby zdecydowali się zrobić cokolwiek na oczach kilkudziesięciu turystów. W grupie zawsze bezpieczniej.

I rzeczywiście, nie można było narzekać na brak potencjalnych świadków. Co prawda Remi wiedziała, że wyspa jest znaną atrakcją turystyczną, ale nie spodziewała się takiej liczby chętnych na dwugodzinną pieszą wycieczkę. Pogoda była idealna, bezchmurne błękitne niebo i lekki wiaterek, szeleszczący liśćmi zimozielonych roślin, okalających parking obok centrum informacji turystycznej.

Mężczyźni, kobiety i dzieci zgromadzili się wokół przewodnika, dwudziestoparoletniego młodzieńca, który poprosił wszystkich o uwagę. Remi i Sam trzymali się na uboczu, szukając w tłumie ludzi Avery'ego.

– Spore zainteresowanie - zauważyła Remi.

– Rzeczywiście. Widzisz jakieś znajome twarze?

– Nie. Właściwie to czego my tu szukamy?

– Oto jest pytanie.

Udawali zainteresowanie, a przewodnik opowiadał szczegółową historię wyspy, prowadząc ich od strony

południowej do słynnej Studni Pieniędzy, czyli zagłębienia w ziemi w pobliżu samotnego dębu.

– Jeśli wierzyć przekazom, dwaj chłopcy, którzy odkryli to miejsce i pierwsi zaczęli kopać, natrafiali co trzy metry na przemian na warstwy nierodzimych kamieni oraz dębowych belek. Zrezygnowali po dotarciu na głębokość dziesięciu metrów. Szyb przez długie lata pozostał nietknięty, aż do czasu, gdy jeden z nich przypomniał sobie o nim na początku dziewiętnastego wieku. - Przewodnik zatrzymał się i odwrócił twarzą do grupy. - Żaden z chłopców nie mógł przewidzieć, jak wiele ludzkiej pracy i zasobów finansowych zostanie utopionych w tym dole, nazwanym trafnie Studnią Pieniędzy, w poszukiwaniu tajemnicy, jaką skrywał. Czy to skarb templariuszy? Czy może krypta grobowa dawno zapomnianego, znamienitego kapłana? - Tu zrobił dramatyczną pauzę. - Nie wiadomo. Nowi właściciele Wyspy Dębów zamierzają się tego dowiedzieć, a teraz także wy będziecie mieli okazję wyrobić sobie własne zdanie na ten temat. W tym celu pójdziemy teraz tędy, proszę za mną...

Prowadził ich w głąb wyspy do studni, kontynuując opowieść o jej historii. Jednak nie usłyszeli od niego nic ponad to, co już wiedzieli o samej studni, kamieniach z wrytymi na nich znakami, rzekomych tunelach doprowadzających wodę, która zalewała szyb, ilekroć ktoś próbował kopać głębiej.

Wyglądało na to, że zmarnowali dwie godziny. Kiedy w końcu wycieczka dotarła na przeciwległy brzeg wyspy, do pokrytej wykutymi tajemniczymi znakami formacji skalnej, która, uwiarygadniając legendę, jakoby wskazywała Studnię Pieniędzy, Sam nadstawił ucha.

– Słyszysz to?

Po wodzie niósł się głośny warkot silnika łodzi motorowej.

– To tam. - Wskazał ruchem głowy znajdującą się na wschód od nich wysepkę. Remi ujrzała płynącą w jej kierunku

motorówkę z dwoma mężczyznami.

– To oni? - spytała Sama, który obserwował łódź przez lornetkę.

– Na to wygląda. - Podał jej szkła.

Poprawiła ostrość i przyglądała się łodzi, wpływającej do zatoczki na południowym brzegu tamtej wysepki. Jeden z mężczyzn, wyposażony w plecak i łopatę, wyskoczył przez burtę i brodząc, dotarł do plaży. Zaczął się rozglądać, jakby szukał czegoś na skałach. Remi rozpoznała już jednego z nich. Widziała go pod magazynem i w pokoju hotelowym w San Francisco.

– Nasz złodziej książek i jeden z fałszywych gliniarzy.

– Najwyraźniej wiedzą coś, czego my nie wiemy.

Po kilku minutach Remi i Sam odłączyli się od grupy idącej w kierunku studni. Przeszli obok kępy drzew. Cały czas obserwowali mężczyzn na drugiej wyspie.

– Coś znaleźli - zauważył Sam. - Kopią za tym wielkim głazem.

– Proszę państwa - rozległ się głos za ich plecami. - Tutaj nie wolno przebywać.

Odwrócili się. Naprzeciw nich w odległości kilku metrów stał jeden z przewodników z ramionami skrzyżowanymi na piersiach.

– Przepraszamy... - sumitował się Sam. - Nie wiedzieliśmy...

– Proszę dołączyć do swojej wycieczki.

Mężczyzna odprowadził ich do reszty grupy.

Sam podszedł do przewodnika.

– Proszę mi powiedzieć, jak się nazywa tamta wysepka?

Przewodnik obejrzał się przez ramię i odparł:

– To jest Żabia Wyspa.

Sam podziękował mu skinieniem głowy, ale Remi zadała kolejne pytanie:

– Czy też jest związana z tajemnicą Wyspy Dębów?

– W tej okolicy wszystko jest z nią związane.

– A konkretnie?

Przewodnik popatrzył na nią, a ona obdarzyła go swym najbardziej czarującym uśmiechem.

– Chodziły słuchy, że kiedyś istniał podwodny tunel łączący obie wyspy. Nie pojmuję, jak ktokolwiek mógłby go zbudować i uniknąć zalania tunelu. Być może ktoś tam kopał w poszukiwaniu skarbu i stąd się wzięła ta plotka. - Zatrzymał się i wyciągnął rękę w kierunku brzegu. - Widzicie tę zatoczkę, w której stoi łódź? Podobno tam miało być wejście do tunelu.

Remi i Sam widzieli, jak obaj mężczyźni brną przez fale i wrzucają do łodzi łopaty i plecaki.

– Czy uważa pan, że w tych legendach jest choćby ziarno prawdy?

– Oczywiście mam taką nadzieję - odparł przewodnik i roześmiał się. - Nie chce mi się wierzyć, że tyle ludzi wydało miliony dolarów na poszukiwanie czegoś, co nie istnieje.

– Słusznie - powiedziała Remi. Pomiędzy drzewami dostrzegła odpływającą łódź i popatrzyła na Sama. - Co teraz?

– Wrócimy w nocy i dowiemy się, co ciekawego znaleźli na tej wyspie.

Rozdział 13

Po powrocie do hotelu Sam połączył się z Selmą przez Skype'a z tabletu Remi.

– Dzień dobry, panie Fargo - powitała go zza biurka. - Na początek wiadomość, która zapewne was ucieszy. Bree jest już bezpieczna na pokładzie rejsowego samolotu i wyląduje za kilka godzin.

– Świetnie - odrzekł Sam.

Remi usiadła obok niego na sofie i spytała:

– Czy zdołaliście wysnuć jakieś fascynujące teorie?

– Lazlo uważa, że koło szyfrujące odnosi się do prostego szyfru podstawieniowego.

Na ekranie za Selmą pojawiła się twarz Lazła.

– Spisaliście się doskonale - zaczął z wyraźnym brytyjskim akcentem. - Panna Marshall poinformowała nas, że w samą porę przyszliście jej z pomocą. To musiało być okropne.

– Owszem - przyznał Sam. - Udało ci się coś rozszyfrować?

– Ma się rozumieć. Moim zdaniem powinniście szukać wraku koło południowego krańca wyspy. Tak wynika z mapy. - Lazlo pogrzebał w papierach i wyciągnął fotografię mapy, znalezionej przez profesora Hopkinsa za wyklejką. - Zdołałem odczytać część tekstu, ale nie wszystko. Do tego potrzebny jest klucz. Niestety, koło szyfrujące narysowane obok mapy, którą znalazł profesor, to tylko przykładowa ilustracja tego, czego szukamy, czyli prawdziwego przyrzędu. Miejmy nadzieję, że nie wykonano go z papieru, bo jeśli znajdował się na wspomnianym wraku, to zapewne uległ zniszczeniu.

– Nie ma lekko. - Remi westchnęła.

– Wiemy coś konkretnego o tym wraku? - spytał Sam.

– Przypuszczam, że mapa pokazuje, gdzie to zostało zakopane albo miejsce zatonięcia statku. Zakładając, że prawidłowo to odczytałem, jedno słowo powtarza się dwukrotnie. *Serpens*. To po łacinie znaczy: wąż, smok albo żmija.

– Faktycznie, konkretna wskazówka - powiedział Sam.

– Tak jakby. - Lazlo obrócił tablet Selmy, aby ponownie pojawić się w kadrze. - Ogólnie chodzi o to, że trzeba tego czegoś szukać na południowym krańcu wyspy albo gdzieś w pobliżu.

Remi i Sam wymienili spojrzenia.

– To dlatego ci faceci tam kopali - zauważyła Remi.

– Kto? - spytał Lazlo.

– Ludzie Avery’ego. Zauważyliśmy ich na wysepce niedaleko południowego brzegu Wyspy Dębów. - Zrelacjonowała pokrótce, co widzieli.

– A więc wygląda na to, że wyprzedzają nas o krok w łamaniu szyfrów - stwierdził Lazlo. - Miejmy nadzieję, że jeszcze nie znaleźli prawdziwego koła szyfrującego. W tej chwili nie potrafię podać dokładnej lokalizacji. Skoro jednak tam kopią, to znaczy, że jesteśmy na właściwym tropie.

W kadrze pojawiła się głowa Selmy.

– Natychmiast damy wam znać, kiedy dowiemy się czegoś więcej.

– Liczymy na was - powiedziała Remi.

– Tymczasem będziemy potrzebowali jakiejś motorówki - rzekł Sam. - Na dziś wieczór. Coś niedużego, dla nas dwojga.

– Załatwione. Jakies dodatkowe wyposażenie?

– Nie trzeba. Mamy skafandry i sprzęt nurkowy. Powinno wystarczyć.

Sam już miał się rozłączyć, kiedy Remi dodała:

– I nie zapomnij o ubezpieczeniu.

Brwi Selmy wygięły się lekko w górę.

– Wiem, jak obchodzicie się ze sprzętem, więc zawsze

pamiętam o kupnie ubezpieczenia. A także szczegółowych map, żebyśmy w razie czego wiedzieli, gdzie was szukać.

Sam wykrzywił twarz w grymasie, udając dotkniętego do żywego.

– To przykre, sądziłem, że pokładasz w nas więcej wiary.

– Nie chodzi o was, panie Fargo, lecz o to, z jakim rodzajem ludzi się mierzycie, gdy realizujecie swoje przedsięwzięcia. Chciwość wyzwala najgorsze instynkty.

* * *

Dwie godziny przed świtem Remi i Sam włożyli skafandry nurkowe, po czym wypłynęli pięciometrową łodzią motorową Boston Whaler z Gold River Marina na północnym brzegu zatoki Mahone. Wzięli kurs na Żabią Wyspę. Łódź nie była demonem szybkości, za to nie wyróżniała się spośród innych jednostek, wypływających w morze przed świtem.

Przewodnik z Wyspy Dębów opowiedział im co prawda o podwodnym przejściu na Żabią Wyspę, ale ani Remi, ani Sam nie wierzyli, aby ktokolwiek w siedemnastym lub osiemnastym wieku potrafił zbudować taki tunel.

Ponadto zainteresowanie Żabią Wyspą intrygowało Sama z innego powodu. W poprzednich stuleciach na wodach oblewających Nową Szkocję pojawiało się wiele jednostek, od francuskich i angielskich okrętów po statki pirackie. Pogłoski o skarbie zakopanym gdzieś w tym rejonie zataczały szerokie kręgi, przy czym za najbardziej prawdopodobne miejsce jego ukrycia uznawano Wyspę Dębów.

A Żabia Wyspa? Podobnie jak większość wysepek w tym rejonie była własnością prywatną. W jej południowej części stał duży dom, przypuszczalnie letniskowy. Sam miał nadzieję, że obecnie niezamieszkały, choć i tak nie przewidywali dłuższego pobytu na wyspie.

Kierował łódź do małej zatoczki na najdalej na północ wysuniętym skrawku wyspy. Chcieli obejrzeć miejsce, w którym widzieli ludzi Avery'ego. Mogli tylko domyślać się, co tamci tutaj robili, choć Sam, wbrew temu, co sugerował Lazlo, nie sądził, aby szukali koła szyfrującego.

– Popatrz. - Remi wskazała na niebo. - Zorza polarna.

Sam zerknął w górę. W odstępach między chmurami ujrzął nikłą, zielonkawą poświatę, która zdawała się pulsować.

– Szkoda, że noc nie jest bezchmurna.

– Lepszy taki widok niż żaden. W sumie zachmurzenie jest dla nas korzystne. W świetle księżyca bylibyśmy widoczni jak na dłoni.

– Rzeczowe podejście - skomentował Sam i zmniejszył prędkość, bo zbliżali się już do zatoczki.

Remi oświetliła latarką linię brzegową.

– Tutaj kopali. Pamiętam ten kamień w kształcie serca.

– To ma być serce? - zdziwił się Sam, gdy spojrzał na masywny głaz leżący tuż nad wodą. Zredukował obroty. Łódź zwolniła, kołysząc się na fali przyboju. - Przypomina raczej grzbiet dwugarbnego wielbłąda.

– Nie ma w tobie ani krztyny romantyzmu, Samie Fargo.

– Tak? A skąd wiesz, że to nie ja zamówiłem specjalnie dla ciebie zorzę polarną?

– Chyba ktoś tu przeciągnął strunę.

– Przecież nie powiedziałem nic złego.

– Nie mówię o tobie. Czekał, to nie struna, raczej żyłka wędkarska. - Skierowała promień światła latarki tuż obok głazu.

Sam widział tylko kamienie i chlupoczącą między nimi wodę.

– Gdzie?

– Pół metra w lewo od tego... dwugarbnego głazu. Coś się na niej zaczepiło.

Teraz zauważył wodorosty zwisające z nylonowej żyłki jakieś dwadzieścia centymetrów nad wodą. Prawdopodobnie

przymocowano ją do czegoś za wielkim kamieniem. Żyłka ciągnęła się tuż nad linią brzegową po obu stronach głazu, a jej końce niknęły w mroku. Była mocno napięta. Ich łódź kołysała się na fali, a żyłka ani drgnęła.

Chcąc przyjrzeć się z bliska, Sam ostrożnie podprowadził łódź do głazu.

– Możesz uznać mnie za paranoika, ale ta żyłka wygląda całkiem jak potykacz. Zainicjuje wybuch miny.

– Chcesz powiedzieć, że zaminowali plażę?

– Czasu mieli dość. Ważniejsze jest pytanie, czy zrobili to, bo spodziewali się, że tu przyplłyniemy?

– A więc to pułapka...

Remi oświetliła niewielką stertę kamieni tuż za głazem. Sam dostrzegł błysk światła, odbitego od miedzianego drutu, niknącego między kamieniami.

– Oczywiście - powiedziała. - Daliśmy się w nią złapać jak para idiotów. Specjalnie dla nas odegrali całe przedstawienie. Użyli łodzi z najgłośniejszym silnikiem pod słońcem, aby mieć pewność, że zwrócimy na nich uwagę. Wiedzieli, że przyplłyniemy tu powęszyć...

– Dokąd ciągnie się ta żyłka? - Sam powiódł wzrokiem za światłem latarki.

Remi poświeciła w lewo, wyłuskując z mroku zwałony pień jodły, częściowo zanurzony w wodzie. Ledwie widoczna żyłka była owinięta wokół jednej z gałęzi drzewa.

– Pamiętam, jak odpływali z tego miejsca.

Sam skierował łódź w przeciwną stronę. Żyłka biegła wzdłuż brzegu, a jej koniec był przymocowany do pnia. Gdyby ktokolwiek potrącił ją, wychodząc na brzeg...

– Koniec śledztwa. Wracamy powiadomić policję. Lepiej niech zajmą się tym saperzy.

– Zgoda - przytaknęła Remi i zgasila latarkę.

Sam zawrócił na północny zachód. Kiedy zbliżali się do

północnego krańca Wyspy Dębów, zauważył płynącą ku nim łódź.

– Sam...

– Widzę.

Wykręcił na południe i dał pełny gaz. W tym momencie spostrzegł naprzeciwko kolejną łódź, zachodzącą ich od drugiej strony.

Popatrzył na jasno oświetlone centrum informacji turystycznej na Wyspie Dębów, a potem na zbliżające się łodzie, próbując ocenić szanse dotarcia do brzegu. Nagła seria wystrzelona z broni maszynowej rozwiązała jego dylemat. Powolną łodzią wędkarską nie zdążą dopłynąć do Wyspy Dębów, tym bardziej pod ostrzałem.

Remi skuliła się przy burcie.

– Teraz powinienes mi powiedzieć, że masz genialny plan wyjścia z tej kabały.

– Przykro mi.

– Nie to chciałam usłyszeć.

Obejrzał się na łodzie prześladowców i popatrzył na Żabią Wyspę. Nagle zdał sobie sprawę, że za chwilę zostaną zagonieni do zaminowanej zatoczki. I bardzo dobrze, pomyślał, kierując whalera w tę stronę.

– Remi, podaj bosak. - Obracał sterem, aby wycelować dziób łodzi w okolice głazu.

– Sam...

– Wpakuję łódź prosto w potykacz.

– Ale ciśnienie...

Jeśli mina była w wodzie, zginęliby z powodu nagłego wzrostu ciśnienia. Miał jednak nadzieję, że umieszczona została na lądzie za głazem, który miał zasłonić ją przez ich wzrokiem, bo tam zbiegały się oba odcinki żyłki. Siła eksplozji rozchodzi się w górę, w dół i na boki. Istniało jednak ryzyko, że ludzie Avery'ego podłożyli więcej ładunków.

Był tylko jeden sposób, aby się o tym przekonać. Nie zamierzał jednak informować Remi o swoich wątpliwościach. Jeśli mają zginąć, niech to się stanie szybko.

– Dasz radę dopłynąć pod wodą do tego zwałonego drzewa?

Skinęła potakująco głową. Zablokował koło sterowe bosakiem, wetkniętym między szprychy.

– Przygotuj się do skoku.

Rozdział 14

Sam obejrzał się na ścigające ich łodzie i dostrzegł błyski wystrzałów. Liczył na to, że nie zauważą dwóch postaci wypadających za burzę.

– Gotowa?

– Tak.

Sam dał nura w zimną głębię i po chwili wyczuł, że Remi płynie obok niego. Po kilku sekundach wodę rozświetlił błysk eksplozji. Łoskot przetoczył się przez całą zatoczkę. Do wody wpadały płonące rozmaite szczątki i kamienie. Przyspieszyli w obawie, że spadnie na nich kadłub łodzi. Nie wiedział, jak daleko zdolali odpłynąć, miał tylko nadzieję, że zdołają dotrzeć do zwalonego drzewa. Po kilku kolejnych mocnych wymachach Sam dotknął ręką pnia.

Odwrócił się w wodzie, chwycił Remi za rękę i przeciągnął ją na drugą stronę drzewa. Wynurzyli się, chwytając łapczywie powietrze. Unosili się na powierzchni, ukryci za pniem. Nieopodal słychać było trzaski i ryk potężnych płomieni, przez który przebijał się warkot motorów zbliżających się łodzi. Ognista poświata rozświetlała mrok.

Sam podciągnął się na jednej z gałęzi i wyjrzał zza pnia. Ich mała, wędkarska motorówka leżała na wodzie do góry dnem, paląc się oślepiającym płomieniem, podsycanym przez rozlaną benzynę. Jedna z nadpływających łodzi zbliżyła się do niej. Rozległa się długa seria z automatu. Dziesiątki pocisków przeszły płonącą motorówkę i wodę wokół niej.

Strzelec wstrzymał ogień, rozejrzał się i dał znać sternikowi. Łódź wykręciła w ich kierunku, więc Sam ostrożnie zsunął się

do wody. Obserwował, jak obie jednostki odpływają z dużą prędkością na północ.

Czekali oboje w bezruchu i wsłuchiwali się w zanikający w oddali odgłos silników. Wreszcie Sam uznał, że jest bezpiecznie. Wziął Remi za rękę i razem przepłynęli pod pniem na drugą stronę.

Eksplozja odrzuciła ich wypożyczoną motorówkę na środek zatoczki. Poza tym niewiele zostało z głazu, za którym była podłożona mina. Pękł na dwoje, z czego jedna część rozpadła się na kawałki, a druga utkwiała w głębokim dole w miejscu wybuchu.

Sam ponownie popatrzył na łódź. Wolał nie myśleć, co by się z nimi stało, gdyby Remi w porę nie zauważyła żyłki połączonej z detonatorem. Remi także nie mogła oderwać wzroku od widoku pobojuwiska.

– Ruszajmy - powiedział wreszcie Sam.

– Dokąd?

– Możemy popłynąć wpław na Wyspę Dębów. W centrum turystycznym powinien być telefon. W najgorszym wypadku dotrzemy na stały ląd pieszo, groblą.

Po przebyciu połowy dystansu, czyli około trzystu metrów, Sam usłyszał odgłos maszyn dużej, pełnomorskiej jednostki zbliżającej się od południa.

Odwrócił się w tę stronę w obawie, że wracają ludzie Avery'ego. Ale kiedy statek podpłynął bliżej, spostrzegł światło alarmowe błyskające na szczycie masztu i reflektory przeczesujące wodę. Wtedy zrozumiał, że nadeszła pomoc.

Zacząli oboje krzyżeć i wymachiwać rękami. Wkrótce z ulgą stwierdzili, że snop światła jednego z reflektorów przesuwają się w ich kierunku. Oślepił ich jaskrawy blask, a wtedy spokojnie zaczęli czekać na przybycie ratowników.

Wciągnięto ich na pokład kutra Kanadyjskiej Królewskiej Policji Konnej. Po wysłuchaniu krótkiej relacji Sama dowódca

kutra powiedział:

– Twierdzi pan, że przeżyliście podwodną eksplozję?

– Nie. Mówię przecież, że wskoczyliśmy do wody, aby przetrwać wybuch miny podłożonej na brzegu. Tam był gład - wskazał miejsce - z którego teraz prawie nic nie zostało. Osłonił nas, przyjmując na siebie większą część siły eksplozji.

– Mieliście piekielne szczęście - zawyrokował kapitan.

– To mało powiedziane.

– Dlaczego uważacie, że tę pułapkę zastawiono na was?

Sam zerknął na Remi, która siedziała po przeciwnej stronie stołu szczelnie owinięta kocem.

– Długo by opowiadać.

– Mam płatne od godziny, więc proszę się nie krępować.

Sam zapoznał go z możliwie najkrótszą wersją wydarzeń, poczynając od wycieczki do San Francisco, poprzez uprowadzenie Bree i podsłuchaną rozmowę porywaczy.

– Niesamowita historia, panie Fargo - oświadczył kapitan. - Da się ją jakoś zweryfikować?

– Bez problemu. Wystarczy skontaktować się z policją w San Francisco i biurem szeryfa hrabstwa Carteret w Karolinie Północnej.

– Sprawdzimy. A ta wasza pracownica, Bree Marshall. Jesteście pewni, że można jej ufać? Nie przyszło wam do głowy, że to ona was wystawiła?

– Co pan przez to rozumie? - spytał Sam.

– Tylko ona słyszała tę rzekomą rozmowę na temat Wyspy Dębów.

– Bezgranicznie jej ufam - obruszyła się Remi.

– A ja ufam ocenie mojej żony - poparł ją Sam.

– To pierwsze, co mi się nasunęło. Spotykałem się już z przypadkami zdrady we własnych szeregach. - Zajrzał do notatek, a potem podniósł wzrok na Sama. - To chyba wszystko, co chciałem wiedzieć, przynajmniej na razie.

– Mam jedno pytanie - odparł Sam. - Czy jest szansa, aby fakt odnalezienia nas żywych nie przedostał się do wiadomości publicznej?

– Nie bardzo rozumiem, o czym pan mówi.

– Załóżmy, że pan nas nie znalazł. Jak wtedy opisałby pan sytuację zastaną na Żabiej Wyspie?

– Na pierwszy rzut oka? Łódź spalona w wyniku eksplozji. Operacja ratownicza. Poszukiwanie rozbitków.

– Czy mógłby pan ograniczyć się do tego w komunikacie dla prasy?

Kapitan popatrzył przeciągle na Sama, jakby rozważał wszelkie za i przeciw. Po chwili kiwnął głową.

– Jasne. Da się zrobić, pod warunkiem że potwierdzimy u źródeł wasze wcześniejsze przygody.

– Będziemy bardzo wdzięczni - powiedział Sam, nie zwracając uwagi na groźne spojrzenie Remi.

* * *

Sam przyglądał się Remi, kiedy jechali z powrotem do hotelu. Choć w przedświcie budzącego się dnia nie widział wyrazu jej twarzy, wyczuwał w niej napięcie.

– O co chodzi?

– Chcesz, żeby wszyscy myśleli, że jesteśmy martwi?

– To genialny plan.

– To okropny plan. Po tym wszystkim, co przeżyła Bree, zamierzasz przysporzyć jej kolejnych cierpień udawaniem, że nie żyjemy? Naprawdę sądzisz, że to jej wina?

– Tylko przez dzień lub dwa.

– A co z Selmą i resztą naszych ludzi?

– Oczywiście im powiemy prawdę.

– Ale nie Bree?

– Słyszałaś, co powiedział kapitan. Krecia robota.

- To tylko przypuszczenie, Sam. Nie znaczy, że tak było naprawdę.
 - Wszystko, co się nam przydarzyło, jest skutkiem działań Bree.
 - Przecież ona także była ofiarą.
- Sam popatrzył na nią, a potem znów na drogę.
- Jesteś pewna?
 - Jak możesz myśleć, że było inaczej?
 - Powiedziałaś, że jej wujek wcale się nas nie spodziewał. Napadł na ciebie uzbrojony rabuś. Zostawiłaś Bree wiadomość, że zatrzymaliśmy się w hotelu Ritz-Carlton, i bardzo szybko pojawili się w nim bandyci. Potem rzekomo ją porwano...
 - Rzekomo?
 - ...i poprosiła nas o przywiezienie książki do domu swojej kuzynki. Książka została skradziona, nas omal nie zastrzelono, kiedy próbowaliśmy Bree uratować. A potem opowiedziała nam bajeczkę o Wyspie Dębów, gdzie znów o mało nie zginęliśmy.
 - Nie wierzę w to.
 - Remi... Słyszałaś, co mówił ten policjant.
 - Wszystko to jedynie pechowy zbieg okoliczności. Przecież nieraz twierdziłeś, że na myśl o skarbie budzą się w ludziach najgorsze instynkty.
 - Nie dopuszczasz do siebie myśli, że to samo mogło się przytrafić Bree?
 - Nie - odparła stanowczo, krzyżując ręce na piersi. - I zabraniam ci tak myśleć. Dlatego musisz opracować jakiś inny plan.
 - Obawiam się, że popełniamy błąd.
 - Co z tego? - prychnęła. - A bo to pierwszy raz?
- Zerknął w lusterko. Od dłuższego czasu jechał nimi jakiś samochód. Nagle przyszło mu do głowy, że ktoś może ich śledzić. Zwolnił, a samochód wyprzedził ich i szybko się oddalił.
- Chyba wpadam w paranoję, pomyślał. Miał ku temu wszelkie

powody po tym, co ich spotkało. Teraz musiał zakończyć spór z Remi, nawet jeśli oznaczałoby to pozorne przyznanie jej racji. Nie zamierzał ryzykować, kiedy w grę wchodziło bezpieczeństwo żony.

– W hotelu zastanowimy się nad planem awaryjnym.

Oczywiście okazało się, że ich plany awaryjne znacznie się różniły. Remi chciała natychmiast zadzwonić do Selmy i powiedzieć jej, że są cali i zdrowi. Sam skłaniał się ku chwilowemu zachowaniu milczenia.

– Czym to się różni od twojego planu?

– Nikt się z nią nie skontaktuje, aby powiadomić ją o naszej śmierci albo o znalezieniu łodzi.

Poszli do sypialni. Remi zatrzymała go w progu.

– Nie zdołam zasnąć, dopóki czegoś nie ustalimy.

– Co chcesz ustalić?

– To, że ja mam rację, a ty się mylisz.

Ta kobieta jest równie piękna co uparta, pomyślał, biorąc ją w ramiona i całując.

– Wiesz, że to ja mam rację.

– Czyżby? Może zagramy w kamień nożyce papier?

– To jest twój sposób podejmowania decyzji? Za pomocą gry?

– Wcześniej się sprawdzał.

Umęczony Sam opadł na łóżko.

– Dobrze - zgodził się, przymykając oczy. - Tylko daj mi chwilę odsapnąć.

Natychmiast zapadł w głęboki, choć niespokojny sen, z którego zbudził go sygnał telefonu. Zerwał się gwałtownie, przez chwilę nie mogąc się zorientować, gdzie się znajduje, po czym ujrawszy aparat na nocnej szafce, odruchowo podniósł słuchawkę.

– Halo.

– Dzień dobry, panie Fargo. - Głos Selmy przebił się przez mgłę, wypełniającą jego głowę. - Martwiłam się, że się nie

odzywacie.

– U nas wszystko w porządku - odparł, słysząc otwierające się drzwi sypialni. Ujrzał w nich Remi w szlafroczku o barwie złamanej bieli. - To Selma - poinformował ją.

Remi podeszła do drugiego aparatu, stojącego na blacie w salonie, i podniosła słuchawkę.

– Cześć, Selma.

– Dzień dobry, pani Fargo. Miło panią słyszeć. Jak wam poszło wczorajszej nocy?

Remi zerknęła na Sama i spytała go:

– Może ty wolisz opowiedzieć?

Najwyraźniej nie była do końca przekonana o swojej racji.

– Mieliśmy drobny kłopot. Wybuch na naszej łodzi - oznajmił.

– Skontaktuję się z firmą ubezpieczeniową.

– No właśnie, czy mogłabyś się z tym wstrzymać?

– Nie bardzo rozumiem.

– Uzgodniliśmy z kanadyjską policją, że chwilowo nie będą informować o naszym ocaleniu. Chcemy zyskać trochę czasu.

– Czasu? Na co? - zdziwiła się Selma.

– O to samo chciałam spytać - dodała Remi.

– Jeśli ludzie, którzy wciągnęli nas wczoraj w pułapkę, pomyślą, że zginęliśmy, na jakiś czas dadzą nam spokój. To pozwoli nam być może zrobić jakiś postęp w kwestii map i poszukiwań koła szyfrującego.

– Pamiętaj, że zameldowaliśmy się w hotelu pod prawdziwym nazwiskiem - zauważyła Remi.

Racja, pomyślał Sam.

– Miejmy nadzieję, że eksplozja była dość przekonująca i nie złączą od razu obdzwaniania lokalnych hoteli, aby sprawdzić, czy żyjemy. Wróćmy teraz do koła szyfrującego.

– Dlatego do was dzwonię - stwierdziła Selma. - Bree przekazała nam twój pomysł, aby porównać kontury z mapy z istniejącymi wyspami.

– Mój pomysł?

– Podobno w samolocie mówiłeś, że mapa może odnosić się do wielu wysp na wodach Atlantyku. Zaproponowała, aby wykluczyć wyspy, które nie były zbyt często odwiedzane przez piratów, a następnie porównać mapę z tymi, o których krążyły legendy o skarbach, tak jak o Wyspie Dębów.

– Z tą akurat nie poszło nam najlepiej.

Selma odchrząknęła.

– Tak czy inaczej, ostatniej nocy, podczas gdy my pracowaliśmy bez większych sukcesów nad złamaniem szyfru, Bree porównała mapę z książki, tę, która miała przedstawiać Wyspę Dębów, z konturami atlantyckich wysp. Największe podobieństwo wykazała Ilha da Queimada Grande, leżąca u wybrzeży Brazylii. Pasuje do niej także łacińskie słowo *serpens*, znalezione przez Lazlo w tekście.

Sam zauważył, że na twarzy Remi, wyrażającej dotychczas triumfalne: „a nie mówiłam?”, nagle pojawiło się zakłopotanie. Co prawda nigdy nie byli na samej wyspie, ale dobrze znali jej okolice. Badali je jakiś czas temu z powodu krążących pogłosek o ukrytym w tym rejonie inkaskim skarbie. Ilha da Queimada Grande, trafnie nazywana Wyspą Węży, była ojczyzną żararaki wyspowej, endemicznego gada z podrodziny grzechotnikowatych, tak silnie jadowitego, że Brazylijska Marynarka Wojenna objęła ten skrawek lądu ścisłym zakazem wstępu. Zgodnie z geologiczną historią Ilha da Queimada Grande jedenaście tysięcy lat temu wzrost poziomu wód oceanu spowodował oddzielenie się wyspy od stałego lądu. To właśnie izolacja sprawiła, że na wyspie wyewoluował gatunek jednego z najjadowitszych węży świata. Jedynym pożywieniem tych gadów były morskie ptaki, dlatego jad musiał błyskawicznie obezwładniać ofiary, aby po ukąszeniu nie zdołały odlecieć. Poza węzami o wyspie wiadomo było tylko tyle, że wokół niej zalegało kilka wraków.

– Czego mielibyśmy tam szukać?

– Jeśli mapa mówi prawdę, chodzi o wrak w pobliżu południowego krańca wyspy.

– Nawet gdybyśmy poświęcili całe lata na poszukiwania, szansa znalezienia koła szyfrującego jest niemal zerowa.

– To prawda, gdybyście mieli szukać tam samego koła - powiedziała enigmatycznie Selma. - Tymczasem wystarczy nam jedynie nazwa tego statku.

Remi uniosła brwi.

– Chyba czegoś tu nie rozumiem.

– Co by nam z tego przyszło? - zawtórował jej równie zdumiony Sam.

– Lazlo uważa, że skradzione koło szyfrujące to tylko kopia, a kapitan zatopił swój statek celowo, aby uniemożliwić jego odnalezienie. To by znaczyło, że pierwowzór koła znajduje się gdzie indziej. Jeśli dowiemy się, kiedy i gdzie zbudowano ten statek, być może uda się nam zidentyfikować jego właściciela. A kiedy dotrzemy do właściciela...

– ...znajdziemy oryginał koła - dokończył Sam. - Prześlij nam to, co udało się wam ustalić na ten temat.

– Dostanie pan wszystko mailem, wraz z planem podróży. Przekażę go załodze waszego samolotu.

Sam odłożył słuchawkę, wstał z łóżka i dołączył do Remi w salonie.

– Brzmi obiecująco.

– To mają być przeprosiny? - spytała, podchodząc do niego.

– Nie mogę przeproszać za to, że usiłuję dbać o twoje bezpieczeństwo.

– Myliłeś się co do Bree. To nie ona donosi Avery'emu o wszystkich naszych posunięciach.

Coś się działo, ale nie wiedział co. Nie chciał jednak psuć atmosfery swoimi niesprecyzowanymi podejrzeniami.

– Mogłaś odnieść wrażenie, że ci nie wierzę, i za to cię

przepraszam.

- Przeprosiny przyjęte.
- To co, lecimy do Brazylii?
- Uwielbiam Brazylię o tej porze roku.

Rozdział 15

Najpierw polecili do Miami, aby zabrać wyposażenie zamówione dla nich przez Selmę, a także ubrania odpowiednie do klimatu tropików. Nazajutrz wylecieli do Sao Paulo, gdzie wylądowali około siódmej wieczorem.

Następnego ranka Sam poszedł na spotkanie z przedstawicielami władz, by uzyskać oficjalne pozwolenie na rozpoczęcie poszukiwań koło Wyspy Węży. Remi została w hotelu i połączyła się z Selmą przez Skype'a. Chciała porozmawiać o łodzi, którą Selma wynajęła dla nich wraz załogą w porcie Santos.

– Wziąwszy pod uwagę okoliczności, załoga wydaje się bardzo kompetentna - oznajmiła Selma.

– Zabrzmiało to dość złowrogo.

– Tam się dzieje coś dziwnego. Może to kwestia weekendu. Wszystko zajęte. W każdym razie sprawdziłam referencje załogi, a w dodatku była to dosłownie ostatnia łódź w okolicy, spełniająca wasze minimalne wymagania i pozwalająca spędzić całą dobę na morzu.

Remi, siedząca za biurkiem z tabletem ustawionym pionowo na podstawce, uśmiechnęła się do obiektywu. Wiedziała, że Selma zrobiła, co mogła. Jeszcze raz przebiegła wzrokiem listę wyposażenia, na której między innymi znajdował się przenośny sonar ze skanowaniem bocznym, detektory metalu oraz podwodna kamera wraz z oświetleniem.

– Zdaje się, że załatwiłaś wszystko, co trzeba.

– W takim razie powiadomię właściciela łodzi, że skontaktujecie się z nim dziś wieczorem lub jutro. Domyślam się,

że przejrzełiście dokumenty, które Lazlo wysłał wam wczoraj wieczorem.

Remi miała je rozłożone na stole.

– Tak. Chodzi o współrzędne dwóch wraków w pobliżu południowego krańca wyspy oraz dotyczącą ich dokumentację. - Czyli, jak powiedział Sam, „strzał w ciemno”. Podczas gdy tajemnicza mapa przez ostatnie dwieście lat pozostawała w ukryciu za wyklejką egzemplarza *Historii piratów i korsarzy*, oba wraki znaleziono dawno temu i zapewne dokładnie splądrowano. Na podstawie kilku ostatnio wydobytych przedmiotów stwierdzono, że pierwszy z wraków najprawdopodobniej należał do Hiszpanii. Selma zaś była pewna, że powinni szukać statku powiązanego z Anglią. To właśnie z tego powodu Sam zdecydował, że zaczną od przeszukania drugiego wraku, leżącego w płytkich wodach, tuż przy południowym brzegu Wyspy Węży. Niewiele było o nim wiadomo poza lokalizacją - naprzeciw skalnego osuwiska na samym krańcu wyspy. - Czy Lazlo jest przekonany, że prawidłowo odczytał legendę mapy?

– Jest pewien, że w opisie występują słowa „morze” i „wąż”.

– Szkoda, że nie „morze” i „delfiny”. To dużo ładniejsze słowa niż „grzechotnik”.

– Jednak to potwierdza przypuszczenia Bree, że chodzi o Wyspę Węży. Dziś rano znów przeglądałam mapy i to jest... - Selma wzięła wykonany przez siebie foliogram i nałożyła go na mapę Wyspy Węży. - Cóż, z tym podobieństwem to gruba przesada, ale nie do mnie należy ocena, czy to właściwa lokalizacja. Sami to ustalicie po dotarciu na wyspę.

– A co słyszeć u Bree? - spytała Remi, zadowolona, że nie ma z nią Sama. Serce mówiło jej, że Bree nigdy by ich nie zdradziła, ale rozumiała stanowisko Sama i bolało ją, że był zły z tego powodu.

– Chyba nic jej nie jest - odpowiedziała Selma. - Właśnie ślęczy

z Lazłem nad rysunkiem koła szyfrującego. Zdaje się, że ma sporą wiedzę na temat tej epoki historycznej.

– To bardzo dobrze. Czy Sam rozmawiał z tobą o niej?

– Spytał tylko, jak sobie radzi.

– Nic więcej?

Selma zamilkła na chwilę.

– Pani Fargo, czy jest coś, o czym powinnam wiedzieć?

– Nie, ale mam prośbę. Uważaj na nią, dobrze? Sam... martwi się o nią.

– Oczywiście.

Na tym zakończyły rozmowę. Remi nigdy nie spotkała się z tym, by Sam stawiał komuś zarzuty, nie mając ku temu podstawy. Właściwie to o nic nie oskarżył Bree, tylko wspomniał o podejrzeniach kapitana kanadyjskiej policji. Mimo to, choć była niemal pewna, że jej przyjaciółka nie spiskuje z wrogiem, ziarno podejrzeń zostało zasiane. Nie mogła pozbyć się dręczącej myśli, że coś za dużo było tych niekorzystnych zbiegów okoliczności.

Jeśli myliła się co do Bree, to obojgu, jej i Samowi, groziło niebezpieczeństwo. Nie chcąc ryzykować, sięgnęła po komórkę i ponownie połączyła się z Selmą.

– Czy możemy porozmawiać bez świadków?

– Jestem sama w swoim gabinecie. Chwileczkę, dla pewności zamknę drzwi. - Po chwili znów się odezwała. - Czy stało się coś złego?

– Chodzi o Bree. - Remi opowiedziała o podejrzeniach Sama. - Nie wydaje mi się to możliwe, ale w jednym Sam ma rację. Przytrafiło nam się zbyt wiele niewytłumaczalnych splotów wydarzeń. Jeśli Sam się myli, nie chciałabym zranić Bree. Ale jeśli ma rację...

– Rozumiem, pani Fargo. Na razie Bree zachowuje się normalnie, ale będę mieć ją na oku.

Remi, podzieliwszy się z Selmą wątpliwościami Sama, poczuła

się tak, jakby zdjęto z jej ramion przytłaczające brzemię. Teraz energicznie zabrała się do przygotowań do kolejnego etapu podróży. Kiedy Sam zadzwonił z wiadomością, że wraca do hotelu z wszystkimi niezbędnymi zezwoleniami, miała już rozplanowaną całą wycieczkę.

Godzinę później Sam wkroczył do pokoju i wręczył jej bukiet jaskrawożółtych słoneczników.

– Podobno żółte kwiaty otrzymane przed samym wyjazdem są gwarancją szczęśliwej podróży.

– Czyżby?

– Dziś tak. Były tylko te słoneczniki i purpurowe irysy. To jedyne, co mogłem przynieść dziewczuszynie, która ma wszystko, nie wyłączając męża wyskakującego od czasu do czasu z niezbyt mądrymi pomysłami.

Wzięła kwiaty, położyła je na stole i otoczyła Sama ramionami.

– Zawsze jesteś najmądrzejszy.

– A więc wybaczasz mi?

Pocałowała go, a potem odchyliła się, patrząc mu w oczy.

– To chyba dobry moment, aby cię poinformować, że przekazałam Selmie twoje obawy w stosunku do Bree.

– Czy to znaczy, że przyznajesz mi rację?

– To znaczy, że potraktowałam twoje obawy wystarczająco poważnie, aby jej o tym powiedzieć, a to nie to samo, co udawanie przed wszystkimi, że jesteśmy martwi.

– Czyli prawie miałem rację - powiedział Sam, a jego brązowe oczy skrzyły się humorem.

– Nie przeginaj, Fargo.

* * *

Remi wynajęła samochód, którym mieli pojechać do portu Santos na spotkanie z kapitanem i załogą „Golfinha”. Kiedy

wychodzili z hotelu o świcie, jasne turkusowe niebo przecinały czerwono-pomarańczowe smugi.

Gdy czerwone słońce wschodzi, w marynarzu lęk się rodzi.

Stare porzekadło natychmiast przemknęło jej przez głowę, choć przecież wielokrotnie sprawdzała prognozę pogody. Wieczorem przewidywano słabe, przelotne opady. Nic, czym należałoby się przejmować.

Samochód czekał przed wejściem do hotelu. Oparty o przedni błotnik ciemnowłosa, tyczkowaty kierowca, jak większość młodych ludzi, wgapiał się w ekran telefonu. Kiedy podeszli bliżej, szybko schował komórkę do kieszeni.

– Państwo Fargo?

– To my - potwierdziła Remi. Na jej oko chłopak miał nie więcej niż osiemnaście, dziewiętnaście lat. - Zapewne Antonio Alves?

– Dziękuję, że mnie wynajęliście - odpowiedział z szerokim uśmiechem i silnym obcym akcentem, starannie wymawiając każde słowo. - Jesteście moimi pierwszymi ważnymi klientami. Będziecie zadowoleni.

– Podobno jesteś doświadczonym kierowcą - powiedział Sam, dając napiwek portierowi, który podwiózł na wózku ich bagaże.

– Jestem dobrym kierowcą - zapewnił młody człowiek i załadował torby do bagażnika. - Stale wożę gości, choć to mój pierwszy kurs do Santos. Mój kuzyn pracuje w hotelu jako konsjerż.

To wiele wyjaśnia, pomyślała Remi. Antonio otworzył drzwi.

– Proszę wsiadać i zapiąć pasy. Dla bezpieczeństwa.

Sam nie dowierzał szoferskim umiejętnościom chłopaka.

– Dasz radę dowieźć nas na wybrzeże?

– Pracowałem na kutrze rybackim mojego wujka, żeby zarobić na naukę - odparł Antonio i skinął potakująco głową. - Teraz studiuje na uniwersytecie, dlatego wolę jeździć po mieście. Ale dziś nie mam zajęć, więc macie szczęście.

– Czy kuzyn przekazał ci, że będziesz musiał na nas poczekać, może nawet całą dobę, aby przywieźć nas z powrotem?

– Tak. Zamierzam szlifować angielski podczas jazdy i uczyć się, kiedy będziecie nurkować. Same korzyści, nieprawdaż?

– Jak najbardziej - stwierdziła Remi. Chłopak jej się spodobał. Jego entuzjazm zrobił dobre wrażenie także na Samie.

– Więc co studiujesz? - spytał dla nawiązania rozmowy.

– Jestem dopiero na pierwszym roku, więc praktycznie wszystko. Matematyka, historia, nauki ścisłe i polityczne. Chcę zostać lekarzem, ale musi minąć jeszcze sporo czasu.

Przez resztę drogi krętą górską szosą, z krótkimi przerwami na opisy ciekawszych mijanych miejsc, opowiadał o studiach, siedmiorgu rodzeństwa, wujku rybaka oraz kuzynie konsjerżu, który także studiował, bo w odróżnieniu od reszty rodziny, nie pociągała go praca na morzu. Zanim Remi się obejrzała, dojechali do portu.

Antonio wyładował ich rzeczy z bagażnika.

– Gdzie będziecie nurkować? - spytał.

– Niedaleko południowego krańca Wyspy Węży.

Twarz chłopaka stężała.

– Uważajcie na siebie. Wujek mówił, że można się tam natknąć na piratów. Jaką łódź wynajęliście?

– Dobre pytanie - stwierdził Sam. - Wiemy tylko tyle, że nazywa się „Golfinho”.

Antonio wyraźnie się ożywił, gdy usłyszał tę nazwę.

– Kapitan Delgado. Wujek ma o nim jak najlepsze zdanie.

– To dobra wiadomość - odrzekł Sam. - Gdzie mamy szukać cię po powrocie do portu?

– Dom wujka stoi niedaleko. - Antonio wyciągnął rękę w stronę miasta. - Widać stamtąd port. Jest weekend, więc mogę zanoć. Przyjadę po was jutro wieczorem, kiedy zobaczę, że „Golfinho” wraca z morza. - Popatrzył na niebo i choć nie było na nim widać ani jednej chmurki, dodał: - Miejmy nadzieję, że

zdążycie przed nadejściem sztormu.

* * *

Można było odnieść wrażenie, że kapitan Delgado jest dokładnym przeciwieństwem młodego kierowcy. Czterdziestoparoletni niski, choć potężnie zbudowany mężczyzna, stojący nieopodal z dwoma pozostałymi członkami załogi, przyglądał się im badawczo i podszedł natychmiast po odjeździe Antonia.

– Fargowie?

– Remi i Sam. Gdzie pańska łódź?

– Tam - odrzekł Delgado, wskazując na koniec najbliższej kei.

– Będzie w sam raz. - Remi popatrzyła z zadowoleniem na całkiem nowoczesną dwukadłubową jednostkę.

Ale Delgado minął piętnastometrowy lśniący katamaran i zatrzymał się dopiero przy zdezelowanej trzynastometrowej łodzi rybackiej, której wyblakły, zielonkawy kadłub widział lepsze czasy ze dwadzieścia lat temu.

– To jest „Golfinho”?

Mężczyzna wyszczerzył w uśmiechu poźółkłe od tytoniu zęby.

– Ma trochę rdzy tu i tam, ale na morzu spisuje się doskonale.

– Żarty pan sobie stroi? - spytał Sam, przypatrując się łodzi.

– To dobra, szybka łajba. No i piraci nas omijają. Z daleka widać, że nie śmierdzimy groszem. - Delgado zaśmiał się.

Remi i Sam zawtórowali mu śmiechem, ale bez zbytniego entuzjazmu.

– Dużo tu tych piratów? - spytała Remi, pamiętając ostrzeżenie Antonia.

– Sporo - przyznał - ale mamy karabiny. Obronimy was. - Skinął głową na swoich ludzi, żeby zajęli się bagażami. - Jeśli jesteście gotowi, to możemy wyruszyć natychmiast. Chcielibyśmy wrócić jutro wieczorem, zanim lunie.

Słyszając kolejną wzmiankę na temat warunków atmosferycznych, Remi uruchomiła aplikację pogodową w telefonie, aby sprawdzić, czy we wcześniejszej prognozie nie zaszła jakaś radykalna zmiana. Tym razem zamiast symbolu przelotnych opadów wyświetliła się błyskawica. Tak czy inaczej, zmianę pogody zapowiadano na jutrzejszy wieczór. Jeżeli w ciągu dnia nie znajdą tego, czego szukają, będą musieli wrócić i wznowić poszukiwania po przejściu burzy.

Na morzu Remi szybko pozbyła się obaw co do pogody i dzielności morskiej „Golfinha”. Kadłub łodzi, zdążającej w kierunku Wyspy Węży z dość nowym pontonem typu Zodiak na holu, od czasu do czasu skrzypiał i trzeszczał, ale poza tym nie działo się nic niepokojącego. Selma prześwietliła kapitana Delgado, jego referencje i całą załogę, po czym zapewniła Sama, że nie można im nic zarzucać pod względem wiarygodności. W dodatku Antonio twierdził, że jego wujek wysoko cenił kapitana „Golfinha”. Musiało to coś znaczyć, choć kapitan Delgado i trzech ludzie z jego czteroosobowej załogi wyglądali bardziej na piratów niż rybaków. Czwarty i najmłodszy, na którego wołali Nuno, wiekiem i posturą przypominał jej Antonia, ale w przeciwieństwie do niego zachowywał się nerwowo. Zerkał na nią, po czym natychmiast uciekał z oczami, nie chcąc napotkać jej spojrzenia.

Remi nie była w stanie stwierdzić, czy to jej obecność na pokładzie, czy też coś zupełnie innego powodowało nerwowość młodzieńca, więc na wszelki wypadek starała się omijać go wzrokiem.

Nie uszło to uwagi Sama. Podszedł do niej i szepnął:

– Istna menażeria, co?

– Żebyś wiedział. Niemniej, jeśli „Golfinho” przewiezie nas bezpiecznie tam i z powrotem, nie dam powiedzieć o nich złego słowa.

Kiedy znaleźli się w pobliżu wyspy, kapitan oddał ster

jednemu ze starszych załogantów i podszedł do Remi i Sama.

– Co was sprowadza na Ilha da Queimada Grandę? - zwrócił się do Sama, opierając się o nadburcie.

– Szukamy śladów pewnego wraku - odrzekł Sam.

– Chodzi o skarb? - spytał z uśmiechem kapitan. - Słyszałem, że to wasza specjalność.

– Nie tym razem. Zamierzamy tylko zweryfikować miejsce, w którym mogą znajdować się zabytkowe przedmioty.

– Musicie być odważni, bo ja bym się bał. Tam jest pełno węży.

– Tak się szczęśliwie składa, że będziemy szukać pod wodą, bez wychodzenia na ląd.

– To dobrze. Nawet gdyby położyli na tej skale wygrany los loterii Mega-Sena, moja noga by tam nie powstała. Lepiej umrzeć w nędzy ze starości niż jako bogacz ukąszony przez węża.

Pod wpływem jego uśmiechu Remi poczuła dreszcz, spływający wzdłuż kręgosłupa, dlatego z ulgą przyjęła wezwanie na kolację, które przerwało pogawędkę z kapitanem. Wraz z Samem usiedli obok Nuna, ale kiedy spróbowała nawiązać z nim rozmowę, ten grzecznie przeprosił i wstał od stołu.

Przez całą noc utrzymywała się ładna pogoda, więc rankiem obudzili się wyspani i gotowi do pracy.

Sam zaproponował włożenie skafandrów i sprawdzenie reszty sprzętu. Kapitan zaoferował swoją pomoc, ale spotkawszy się z uprzejmą odmową, wrócił do steru.

„Golfinho” stanął pewnie na kotwicy koło południowego krańca wyspy, w bezpiecznej odległości od skał, które na przestrzeni wieków posłały na dno wiele statków. Ciekawe, czy wśród nich znajduje się ten, którego szukamy, pomyślała Remi, przypatrując się załodze, przygotowującej trzymetrową łódź pneumatyczną Zodiac SeaRider.

Nuno umieścił w pontonie ich sprzęt, włącznie z dużą skrzynią zawierającą sonar ze skanowaniem bocznym. Młodzieniec nadal miał problemy z nawiązaniem kontaktu

wzrokowego, ale zachowywał się bez zarzutu i starał się być pomocny. Wkrótce płynęli w kierunku Ilha da Queimada Grande, która z bliska ukazywała swoje piękno w pełnej krasie. Zdradliwe nadbrzeżne urwiska przechodziły w bujną dżunglę, porastającą stromy szczyt. W jakimkolwiek innym miejscu na Ziemi Remi chętnie wspięłaby się nań, by podziwiać roztaczające się widoki, ale na samą myśl o węzach cieszyła się, że od brzegu oddziela ich szeroka tafla wody.

Sam ustawił parametry pracy sonaru i poinstruował Nuna, z jaką prędkością powinni płynąć, aby uzyskać na monitorze najlepsze odwzorowanie morskiego dna. Na razie warunki były dobre, ale to się mogło zmienić lada chwila w związku z zapowiadany deszczem. Zlokalizowanie właściwego wraku zależało od szczęścia i dokładności przyrządów. Jeśli się nie powiedzie, będą musieli powtórzyć całą operację, kiedy pogoda się poprawi.

Przy dużej dozie szczęścia znajdą to, czego szukają. Remi nie była tak naiwna, by sądzić, że od razu natkną się na koło szyfrujące. Podczas poszukiwania i eksploracji wraków w grę wchodziło wiele czynników, a często zdarzało się, że ładunek statku znajdowano w pewnym oddaleniu od miejsca zatonięcia. W dodatku istniała możliwość, że ktoś już wydobyl koło szyfrujące i teraz jest ono częścią jakiejś prywatnej kolekcji, której właściciel nie ma pojęcia o jego wartości i przeznaczeniu.

Wszystko, czego potrzebowali, to znalezienie odpowiednio dużych i dobrze zachowanych szczątków, które pozwoliłyby zidentyfikować statek. Z tą myślą popatrzyła na wyspę, będącą śmiertelną pułapką. Wyobraziła sobie, czego doświadczyli rozbitkowie, jeśli jacyś zdołali dotrzeć do zdawałoby się zbawczego brzegu, uniknąwszy wcześniej roztrzaskania na skałach przez wzburzone morze.

Sam wyczuł jej niepokój i oderwał wzrok od monitora wyświetlającego obraz z sonaru.

– Coś się stało?

– Myślałam o rozbitkach z tego statku. Byli tak blisko lądu, sądzili, że są bezpieczni...

Sam także popatrzył na wyspę.

– Chyba wolałbym utonąć niż umierać od jadu grzechotnika.

– A ja wolałabym nie doświadczyć ani jednego, ani drugiego.

Sam przyciągnął ją ku sobie.

– Chodź, przyda mi się twój sokoli wzrok.

Usiedli obok siebie. Remi próbowała skoncentrować się na odczytach z sonaru, ale czuła, że marnują czas. W końcu wiatr wzmógł się i zaczęli kołysać się na fali. Właśnie miała zaproponować, by skończyli na dziś, kiedy Sam wskazał jej coś na ekranie.

– Chyba go znaleźliśmy.

Rozdział 16

Obszar wskazany przez Sama wyglądał jak pozostałości skalnego osuwiska, tak jakby z powodu dawnego trzęsienia ziemi skalisty wierzchołek na południowym krańcu wyspy rozpadł się i zmienił w kamienną lawinę, która stoczyła się do morza. Kilka metrów dalej widoczna była kolejna, długa i wąska sterta głazów, ułożona zbyt starannie, by mogła powstać w wyniku osunięcia skał. Bez wątplenia był to balast statku. Kamienie leżały skupione w jednym miejscu, co oznaczało, że statek zatonął właśnie tutaj, czy to na skutek ciężkiego uszkodzenia, czy zatopiony przez załogę, która nie chciała, by wpadł w czyjeś ręce.

Remi pochyliła się, aby przyjrzeć się dokładniej.

– Sądzisz, że osuwisko powstało po zatonięciu statku?

– Niewykluczone - odparł Sam. - Tak czy inaczej, ewidentnie znaleźli się niebezpiecznie blisko lądu. Tu jest pełno podwodnych skał, na których mogli się rozbić, zwłaszcza podczas sztormu.

– Może zrobili to celowo, bo nie chcieli dopuścić do przejęcia statku.

– Tym ciekawsze staje się pytanie, do czego może nas doprowadzić to koło szyfrujące.

Po wydaniu kilku instrukcji dla Nuna włożyli skafandry i akwalungi, wzięli detektory metalu i zeszli pod wodę.

Jak zawsze podczas zanurzania się w głębinę, Remi zachwycała się spokojem i pięknem morskiej toni. Bez względu na liczbę odbytych nurkowań za każdym razem było to jak odkrywanie nowego, nieznanego świata. Przemykające obok

tropikalne ryby mieniły się kolorami, które stopniowo blakły, przechodząc w dominację granatu i zieleni wraz ze wzrostem głębokości zanurzenia.

Wydawało się, że pryzma balastu, którą dostrzegli na monitorze, to jedyna pozostałość po statku, który spoczął na dnie niecałe osiem metrów pod powierzchnią i dawno temu uległ kompletnemu rozpadowi.

Zanim przystąpili do dokładniejszych oględzin, rozejrzeli się dokoła w otaczającej ich toni. Przybrzeżne wody Brazylii cieszyły się złą sławą z powodu stosunkowo wysokiej śmiertelności na skutek ataków rekinów. Na szczęście do większości z nich dochodziło na północnym wschodzie w pobliżu Recife, ale stan Sao Paulo, u którego wybrzeża właśnie się znajdowali, zajmował pod tym względem niechlubne drugie miejsce. W większości przypadków ofiarami padali pływacy i surferzy, atakowani prawdopodobnie przez agresywne żarłacze tępogłowe, często odwiedzające płytkie wody w okolicach plaż i w ujściach rzek. Jednak cieplejsze wody okołorównikowe były ojczyzną równie groźnego i o wiele większego rekina tygrysięgo, choć, jak pocieszała się Remi, raczej nie powinni go spotkać na płycznach wokół Wyspy Węży.

Zwróćni do siebie plecami, rozejrzeli się dokoła. Spostrzegli kilka barakud, ale ani jednego rekina, więc przystąpili do oględzin wrakowiska. Zaczęli od dalszego końca pryzmy balastu. Posuwali się w kierunku lądu i osuwiska, wodząc wykrywaczami metalu nad morskim dnem. Nie spodziewali się, że znajdą cokolwiek, choć zawsze istniała taka możliwość, ale detektory milczały jak zakłète, co potwierdzało ich przypuszczenia. Miejsce zalegania wraku było powszechnie znane i zapewne nie raz zostało dokładnie przeszukane. Mimo to Remi i Sam wiedzieli z doświadczenia, że dno morskie znajduje się w ciągłym ruchu, jednego dnia ujawniając swe sekrety, a drugiego je grzebiąc.

Przyjrżeli się kamieniom balastowym. Kilka z nich Sam odrzucił na bok, wzbijając za każdym razem chmury osadu. Kolejny kamień różnił się od pozostałych. Miał ostre krawędzie, trójkątny obrys i był żółty. Sam skierował światło latarki na pryzmę i stwierdził, że jest ich więcej. Okazało się, że to połamane, żółtawe cegły. Ceglany balast był dość nietypowy. Być może idąc jego tropem, da się ustalić pochodzenie statku. Remi otworzyła torbę, Sam wrzucił do środka kawałek cegły, po czym kontynuowali poszukiwania.

Kilka minut później Sam klepnął ją w ramię i wskazał w prawo na murenę, wypływającą ze swej kryjówki pomiędzy głazami. Przez chwilę sądziła, że chce ją nabrać, że to pływający grzechotnik, ale pokręcił głową i wyciągnął rękę w kierunku ciemnego otworu, z którego w obłoku mułu wypłynął morski węgorz, po czym zaświecił do środka. Musiało minąć kilka sekund, zanim zmacona woda znów stała się przejrzysta, dopiero wówczas dostrzegła, co przyciągnęło jego uwagę. Pod spodem znajdowało się płytkie zagłębienie, powstałe na skutek przypadkowego ułożenia się kamieni albo dzięki murenie, chcącej poszerzyć swoją kryjówkę. Sam podpłynął bliżej i powachlował dłonią, aby usunąć warstwę osadu, a wtedy ukazała się niewidoczna wcześniej, pokryta ukwiałami drewniana wręga kadłuba statku.

Był to dowód, że osuwisko skalne powstało po jego zatonięciu, przypuszczalnie pokrywając część wraku.

To oznaczało, że coś mogło być pod tymi kamieniami. Sam dał jej sygnał, żeby sprawdziła zagłębienie. Wsunęła do środka wykrywacz metalu. W pobliżu krawędzi nie było żadnego odczytu, za to po wsunięciu go w głąb usłyszeli wyraźne „ping”. Remi oddała mu detektor, poświeciła latarką i dłonią usunęła warstwę mułu z dna.

Zanim osad opadł ponownie, zauważyła jakiś ciemny przedmiot. Wsunęła dłoń w zagłębienie i wyciągnęła go. W

pierwszej chwili myślała, że to moneta, ciężka i wybita na prymitywnej sztancy. Odstający z jednej strony zaczep kojarzył się z wisiorkiem od naszyjnika. Obejrzawszy przedmiot z bliska, stwierdziła, że to ołowiana plomba, zabezpieczająca bele tkaniny przewożonej w ładowni statku.

Sam sfotografował ją ze wszystkich stron. Remi wrzuciła znalezisko do torby i zerknęła na zegarek, kontrolując czas spędzony pod wodą. Do wynurzenia pozostawało co najmniej dwadzieścia minut, więc podjęli dalsze poszukiwania. Sam pokazał jej rekina, nadpływającego z prawej strony ich strefy nurkowania. Spłaszczony kanciasty nos i pasy po bokach wskazywały, że jest to młody dwumetrowy rekin tygrysi. Remi skinęła głową na potwierdzenie, że go widzi i będzie się miała na baczności. Drapieżnik nie wydawał się nimi zainteresowany, płynął spokojnie, widocznie najadł się gdzie indziej.

Sam przemknął na drugą stronę osuwiska w poszukiwaniu źródła sygnału, odebranego przez jego wykrywacz metalu. Okazało się, że był to ciężarek wędkarski. Zmienił więc kierunek i popłynął wzdłuż krawędzi skał.

Remi postanowiła dokładniej sprawdzić zagłębienie, zanim murena wróci do swego gniazda. Wykrywacz metalu zlokalizował coś po lewej stronie, więc zanurzyła dłoń w piasku, ale niczego nie znalazła. Jednak musiało być tam coś, co dawało silny sygnał.

Sam pokazał, że zbliża się czas powrotu na powierzchnię. Remi uznała, że sygnał może pochodzić od wędkarskiego haka, i była gotowa zrezygnować z dalszych prób. Na koniec zaświeciła jeszcze raz pomiędzy skały osuwiska, wygarnęła nieco piasku z zagłębienia i nagle poczuła pod palcami jakiś gładki kształt.

Kiwnęła na Sama, wskazując dłonią miejsce między kamieniami.

Gestem polecił jej przestać i uniósł dłoń, tak jakby obawiał się, że sami mogą wywołać niewielkie kamienne osuwisko. Remi

kiwnęła głową na znak, że zrozumiała i będzie ostrożna. Wystarczy ruszyć kilka kamieni, aby wy dostać tajemniczy przedmiot. Udało jej się odsunąć na bok jeden z głazów, a potem jeszcze jeden, który potoczył się ku podstawie pryzmy. Kilka mniejszych kamieni poleciało za nim, ale reszta pozostała nienaruszona. Znowu poświeciła w miejsce, gdzie powinien znajdować się przedmiot, i zauważyła go. Była to mała kula armatnia. Rozczarowana podniosła ją z piasku.

Poczuła lekkie uderzenie w plecy, zapewne Sam dał jej kukuksańca, rozbawiony jej wspaniałym znaleziskiem.

Ale to nie był Sam.

Kiedy się odwróciła, ujrzała większego rekina tygrysięgo. Mógł mieć około dwóch i pół metra długości. Opłynął ją, zszedł zygzakiem nad samo dno, po czym zawrócił i ruszył prosto na nią, w jednej chwili zmieniając się z pełnego gracji pływaka w agresywnego drapieżnika.

Remi opadła plecami na kamienie, odepchnęła się mocno płetwami i uderzyła rekina w nos wykrywaczem metalu. Napastnik zawrócił i zaszarżował ponownie. Walnęła go kulą armatnią. Kula wypadła jej z dłoni. Znow odepchnęła się nogami, szorując plecami po kamieniach. Kilka z nich potoczyło się w dół, a woda wokół niej zmętniała od mułu.

Remi, straciwszy orientację w nieprzejrzystej wodzie, odpłynęła od kamieni i zeszła nad samo dno. Serce waliło jej jak młotem, wywijiała na oślep detektorem metalu, nie widząc nigdzie rekina. Nagle zbliżył się do niej jakiś ciemny kształt. Ścisnęła w garści wykrywacz, gotowa do zadania ciosu, ale z chmury osadu wyłonił się Sam.

Chwyciła go za rękę i poczuła obezwładniającą ulgę, kiedy pokazał jej rekina, odpływającego w poszukiwaniu łatwiejszej ofiary.

Będą musieli wrócić tu nazajutrz i spróbować ponownie. Odwróciła głowę, by jeszcze raz przyjrzeć się pozostałościom

wraku, przysypanym strąconymi przez nią kamieniami. Woda zdążyła odzyskać przejrzystość, dzięki czemu dostrzegła ciemne kółko wielkości spodka, do połowy pokryte mułem. Tkwilo w piasku u podstawy sterty kamieni.

Sam też je dostrzegł. Przyjrzał się kamieniom, w obawie, że najłżejszy ruch może spowodować dalsze ich osunięcie. Skinął na Remi, żeby uważała, czy coś złego się nie dzieje, a sam zaczął podkopywać piasek pod znaleziskiem. Po chwili wyciągnął kółko, nie naruszając chwiejnej równowagi sterty kamieni.

Podał je Remi i w tym samym momencie prysła jej nadzieja, że znaleźli koło szyfrujące. Był to zwyczajny, cynowy talerzyk. Sam sfotografował go z obu stron, a ona wrzuciła znalezisko do torby. Zerknęła na zegarek. Zostało im powietrza na kilka minut. Musieli zakończyć nurkowanie. Sam uniósł kciuk w górę i zaczęli się wynurzać.

Kiedy wypłynęli na powierzchnię, Remi wypluła ustnik i zwróciła się do Sama.

– Nieźle, panie Fargo!

Jednak wyraz twarzy Sama był daleki od entuzjazmu.

– Co się stało? - spytała.

– Schowaj się za mnie - odpowiedział, skinąwszy głową w kierunku zodiaka.

Odwróciła się i ujrzała opartego o burtę łodzi Nuna z pistoletem w dłoni. Lufa broni była skierowana prosto na nich.

Rozdział 17

– Dawaj torbę - rozkazał młody człowiek. Jego wzrok świdrował Sama. - Natychmiast.

– Nuno - odezwał się Sam pojednawczym tonem. - Nie zrobisz tego.

– Owszem, zrobię.

– Dlaczego?

– Nieważne. Daj mi ją.

– A co potem?

– Potem umrzecie szybko, zamiast konać powoli w męczarniach.

– Zapłacę dwa razy więcej, niż ci obiecano.

Nuno zawahał się. Powiódł wzrokiem od Sama do Remi i z powrotem.

– Nie rozumiesz. Zabili kapitana Delgada. Zabiją też moją rodzinę, jeśli tego nie zrobię.

Remi, wbrew poleceniu Sama, spróbowała podплыnąć bliżej łodzi. Sam powstrzymał ją, chwytając za ramię.

– Ciebie też zabiją - rzekł do Nuna. - Oni mordują ludzi z zimną krwią.

– Chodzi o moją rodzinę. Proszę, wybaczcie mi.

Skinął na nich pistoletem. Oczy rozblęły mu dziwnym blaskiem, kiedy zaczął mówić coś cicho po portugalsku. Modli się, domyślił się Sam. To zły znak.

– Nawet teraz mnie obserwują - zaczął tłumaczyć się Nuno. - Chcą być pewni, że was zabiłem. Zrozumcie, nie mogę pozwolić umrzeć moim bliskim.

– Remi, daj mi torbę i odpłyn stąd - powiedział Sam.

– Nie zostawię cię.

– Zostawisz - rzucił krótko, po czym zwrócił się do Nuna. - Jeśli puścisz moją żonę, oddam ci torbę.

Nuno wycelował w niego pistolet.

– Nie! Nie ufam ci. Ona poda mi torbę, nie ty!

– Remi... - szepnął Sam, ściskając ją za ramię.

– No już! - krzyknął Nuno.

Remi uśmiechnęła się do męża.

– On tylko chroni swoją rodzinę.

Co czyniło go tym bardziej niebezpiecznym. Nie chcąc zaognić sytuacji, Sam z ociąganiem puścił ramię Remi.

Podpłynęła do łodzi i uniosła torbę. Chłopak chwycił ją, ale Remi nie wypuściła jej z ręki:

– Modlę się za twoich bliskich, Nuno. I za to, że zrobisz dla nich to, co słuszne.

To powiedziawszy, puściła torbę.

Sam czuł, jak serce wali mu w piersi, gdy patrzył na żonę unoszącą się w wodzie tuż obok uzbrojonego człowieka i lufy jego pistoletu.

Nuno otworzył torbę, zajrzał do środka i cisnął ją na dno zodiaka. Następnie spojrzął na broń, a potem na Remi.

– Przepraszam - powiedział, po czym wycelował i pociągnął za spust.

Remi rzuciła się w wodzie, obracając w stronę Sama pobladłą twarz z szeroko otwartymi oczami, i wyciągnęła ku niemu rękę. Chwycił ją, czując, jak zaciska się na jego dłoni, i przyciągnął Remi ku sobie.

Pistolet huknął po raz drugi. Sam otoczył Remi ramionami. Poczul nagły przypływ adrenaliny do krwi. Odwrócił się tak, by znaleźć się między nią a strzelcem. Ale trzeci strzał nie padł. Warknął silnik zodiaka i pneumatyczna łódź odpłynęła, zostawiając ich oboje w wodzie.

– Remi?

– Nic mi nie jest.

Popatrzył jej prosto w oczy z niedowierzaniem.

– Jak to? Widziałem przecież...

– Strzelił w wodę. Tylko mnie wystraszył.

– Dlaczego?

– Chyba myśli, że uwierzą mu, że nas zabił. A co, jeśli...

Sam wycisnął na jej ustach mocny pocałunek, a potem puścił ją i oboje powoli pogrążyli się pod wodą. W ostatniej chwili zerknął w kierunku „Golfinha”, ledwie widocznego za wznoszącymi się coraz wyżej grzywami fal. Przy odrobinie szczęścia obserwatorzy z „Golfinha” także nie widzieli dokładnie, co się stało. Zodiak był już w połowie drogi i Sam miał nadzieję, że Nuno przekonująco odegra swoją rolę. A jeśli nie... to przynajmniej zyskają nieco czasu. Jeśli bandyci zechcą ich wykończyć, będą musieli przy płynąć tu zodiakiem. Największą szansę przeżycia zapewniało im pozostawanie w pobliżu skał, do których nie mógł zbliżyć się „Golfinho”.

Po chwili, która ciągnęła się w nieskończoność, zodiak dobił do „Golfinha”. Remi i Sam widzieli, jak łódź podnosi kotwicę. Ktoś z karabinem szturmowym w rękach wychylił się przez burtę i zasypał zodiaka gradem kul.

„Golfinho” zaczął się oddalać. Sam ścisnął rękę żony.

– Dobra wiadomość jest taka, że żyjemy - stwierdziła Remi, przekrzykując ryk wiatru i szum wzburzonego oceanu.

– Otóż to.

Ciążyły im zbędne, niemal puste butle powietrzne, więc pozbyli się ich. Sam rozejrzał się w sytuacji. Zdryfowali spory kawałek od miejsca nurkowania w kierunku wyspy. Fale wokół nich załamywały się na zdradliwych skałach. Spychał ich na nie silny prąd wody, więc odpłynęli nieco dalej, by uniknąć zagrożenia.

Sam zerknął w górę na niebo, zasnuć ciemnymi, pęczniejącymi deszczem chmurami.

– Mamy dwie możliwości. Możemy spróbować dostać się wpław do stałego lądu albo zostać tutaj.

– W wodzie?

– Albo na wyspie. Wolisz rekiny czy grzechotniki?

Remi popatrzyła na skalisty brzeg wyspy.

– Nie podoba mi się ta alternatywa.

– Wobec tego będziesz musiała wymyślić jakiś plan awaryjny.

– Może poczekać, aż Selma sprowadzi pomoc?

Coraz wyższe grzywacze świadczyły o tym, że zbliża się sztorm. Na domiar złego zaczął padać deszcz. W tych warunkach dopłynięcie do stałego lądu graniczyło z cudem, nawet dla najsprawniejszego pływaka, a to i tak przy założeniu, że prąd nie zniesie ich na otwarte morze.

– Wyspa - podjął decyzję Sam. Lepiej zostać tutaj i poczekać na pomoc, licząc na to, że węże też nie lubią deszczu.

Remi kiwnęła potakująco głową. Zdawała sobie sprawę, że to najbezpieczniejsze rozwiązanie. Teraz musieli znaleźć bezpieczne, wolne od skał miejsce do wyjścia na brzeg. Zaczęli płynąć na północ, równoległe do linii brzegowej, tuż przy zachodniej stronie wyspy. Niestety, okazało się, że płyną pod prąd i po kilku minutach Sam stwierdził, że praktycznie tkwią w miejscu.

Musieli przemyśleć sytuację. Remi płynęła obok niego.

– Sam...

– Daj mi się zastanowić.

– Patrz! - Wskazała na południe.

Spojrzał tam w obawie, że wraca „Golfinho”, aby ich odszukać, ale niczego nie zauważył.

– O co chodzi?

– Popatrz tam. To nasz plan awaryjny.

Nadal nie widział nic poza szarym, wzburzonym morzem.

– Mniej więcej na drugiej godzinie. To chyba zodiak.

Faktycznie, coś czerwonego kołysało się na fali. Jeśli nawet nie

zodiak, to w tej sytuacji i tak nie mieli nic do stracenia.

– Płyniemy.

Teraz płynęli z prądem, co było niewątpliwą zaletą, jednak z prądem poruszał się również unoszący się na wodzie obiekt, do którego zmierzali. W końcu zaczęli stopniowo skracać dystans.

Rzeczywiście był to zodiak, ale na wpół zatopiony. Z bliska zauważyli, że cała rufa wraz z silnikiem zalana jest przez wodę, nad którą wystawał praktycznie tylko dziób. Stanowił dla nich coś w rodzaju koła ratunkowego, bo na pewno nie zdołaliby dopłynąć na nim do stałego lądu. Jednak jaskrawy czerwony kolor poszycia na pewno był lepiej widoczny na wodzie niż ich czarne skafandry, oczywiście pod warunkiem, że natkną się na jakąś ekipę, która przyjdzie im z pomocą.

Niestety, kiedy wciągnęli się na dziób, zdali sobie sprawę, że pływalność uszkodzonej łodzi jest niewystarczająca. Powietrze uszło z uszkodzonych komór, a dodatkowe obciążenie sprawiło, że rufa i pawęż całkowicie skryły się pod wodą.

– Zostań tu - powiedział Sam. - Spróbuję coś poradzić.

Remi skinęła głową, przywierając do dziobu. Sam poprawił maskę, wyciągnął latarkę z za paska i zanurzył się pod wodę. Trudno było zatopić pneumatyczną łódź. Ludzie Delgada nie zdołali przestrzelić wszystkich komór powietrznych. Nie mogąc pozbyć się nieprzyjemnego uczucia, że właśnie na tej łodzi młody Nuno dokonał żywota, Sam zwolnił zaciski mocujące silnik do pawęzy i pozwolił mu zatonać. Miał nadzieję, że w ten sposób zyskają nieco czasu. Wynurzył się i dołączył do Remi.

– Oby powietrze nie uszło zbyt szybko. Jest mocno podziurawiona kulami.

Remi milczała przez dłuższą chwilę.

– Ten chłopak uratował nam życie - odezwała się wreszcie.

– Przynajmniej na jakiś czas.

Daleki odgłos pioruna przywrócił ich do rzeczywistości. Sam miał nadzieję, że jeśli uderzy gdzieś bliżej, to w wyspę, a nie w

wodę.

W ulewnym deszczu zmierzch szybko przeszedł w noc. Trzymali się kurczowo resztek zodiaka, a wiatr rzucał nimi po falach. Kiedy Sam właśnie zdał sobie sprawę, że rekiny tygrysie, które spotkali wcześniej, to nocni łowcy, usłyszał głos Remi:

– Tak sobie myślę...

Popatrzył ciepło na żonę, ciesząc się, że zachowuje spokój i przytomność umysłu.

– O czym?

– O tych obiecanych wakacjach.

– Ach tak...

– Chyba powinniśmy je przełożyć, nie sądzisz?

W chwilach takich jak ta czuł, że jego miłość do Remi wzmaga się ponad wszelką miarę. Właśnie teraz, kiedy czepiali się tonącej tratwy, doszło do głosu jej absurdalne poczucie humoru.

– Dobry pomysł - stwierdził. - Powiedzmy, że zaczniemy... pojutrze.

– Dlaczego nie jutro?

– Najpierw musimy wrócić na stały ląd, a potem zaplanować, dokąd pojedziemy.

Uśmiechnęła się do niego, a on chwycił ją za rękę, zastanawiając się, jak wpakowali się w tę kabałę. Tylko jedna osoba mogła ujawnić miejsce ich pobytu. Bree.

Uznał, że nie jest to odpowiedni moment, by poruszać sprawę zdradzieckiej działalności przyjaciółki żony. Musieli skupić się na tym, by przeżyć. Ale Remi chyba czytała w jego myślach, bo powiedziała:

– Przepraszam.

– Nie przepraszaj, Remi. Siedzimy w tym razem, ty i ja. Jak zawsze.

Nie miał pewności, bo było zbyt ciemno, aby cokolwiek dostrzec, ale wydało mu się, że w jej uśmiechu pojawił się ból. Kiedy otwierała przed kimś serce, to na oścież. Czuł, że jego

serce pęka mu na myśl o tym, co ona musi przeżywać, ale cokolwiek by teraz zrobił czy powiedział, to nie poprawiłoby ich obecnej sytuacji. Liczyło się tylko jedno. Musieli wyjść z tego cało.

Przez kolejnych kilka godzin koncentrowali się właśnie na tym. Zodiak powoli tracił resztki pływalności, a Sam obawiał się, że prąd zniósł ich na pełne morze, z dala od wyspy, gdzieś, gdzie nikt nie będzie ich szukał.

Oboje byli wyczerpani i głodni. Kiedy Sam zamykał oczy, dziwne myśli zaczynały kołatać mu się w głowie. Zdawało mu się, że widzi na wodzie pustynne miraże. Zbliżało się ku nim jakieś światło, jakby znaleźli się tuż przy brzegu. Sam zamrugał powiekami, aż wreszcie zrozumiał, że światło jest prawdziwe i naprawdę się do nich zbliża.

Rozdział 18

– Remi...

– Widzę.

W kierunku Wyspy Węży płynęła jakaś łódź. Jeśli utrzyma kurs, nie trafi na nich. Zniosło ich zbyt daleko.

Remi i Sam zaczęli wołać i machać rękami, ale ich głosy tłumił wiatr. Patrzyli bezradnie przez kilka minut, gdy nagle łódź zrobiła zwrot w ich stronę, a smuga światła z reflektora omiatała wzburzone fale przed jej dziobem.

Znów zaczęli machać i krzyczeć, aż zachrypli. Trwało to strasznie długo, ale w końcu oczom Sama ukazał się najpiękniejszy, jaki widział w życiu, zardzewiały i zdezelowany kuter do połowu krewetek. Po chwili oślepiło ich światło reflektora, tańczące na falach.

Dychawiczna jednostka zatrzymała maszynę tuż obok nich. Ktoś z jej pokładu rzucił im linę z przymocowanymi do niej kamizelkami ratunkowymi. Sam włożył Remi pierwszą z nich i upewnił się, że bezpiecznie znalazła się na pokładzie, zanim sam chwycił wyciągniętą, pomocną dłoń.

To był Antonio, ich anioł stróż w ludzkiej skórze.

– Dziękuję - powiedział Sam.

– Nie mnie, lecz mojemu wujkowi. - Chłopak z uśmiechem wskazał na sternika. - Chodźcie do środka. Strasznie leje.

Wciągnął ich do kabiny, gdzie za sterem stał szpakowaty mężczyzna. Sternik powiedział coś po portugalsku do innego, wyglądającego niewiele młodziej od niego. Ten drugi przejął ster, a on podszedł do Remi i Sama.

– To mój wujek, Henrique Salazar - przedstawił go Antonio.

Sam uściśnął dłoń mężczyzny.

– Nie wiem, jak zdołamy się panu odwdzięczyć.

Henrique żartobliwie dźgnął łokciem Antonia i znów powiedział coś po portugalsku.

Młodzieniec z uśmiechem wręczył Remi i Samowi suche koce.

– Wujek mówi, że gdybyśmy po was nie przyплыnęli, straciłbym pierwszych ważnych klientów i zapłatę. Wtedy on musiałby mnie utrzymywać, a jemu wystarczy już rodzony syn, który je za dużo.

Remi już chciała uściskać chłopaka, ale zorientowała się, że jest cała mokra.

– Uratowaliście nam życie.

– Jak to się stało, że przyплыnęliście nas szukać? - spytał Sam. - W dodatku tak blisko wyspy. Przecież mieliśmy wrócić dopiero jutro.

– Ci ludzie, z którymi wyплыnęliście dziś rano na „Golfinho”. Nie znałem ich. Żaden z nich nie był kapitanem Delgadem. Powiedziałem o tym wujkowi, a on na to, że kapitan nie zabrałby was w morze, wiedząc o nadchodzącym sztormie. Zaczął podejrzewać, że, jak to wy mówicie, coś tu nie gra. A znalazł was dlatego, że łowi ryby na tych wodach. Tutejszy prąd, jak powiedział, jest zmienny. Dlatego po dopłynięciu do Wyspy Węży od razu wiedział, gdzie was szukać. To wszystko.

* * *

Dotarli do portu wczesnym rankiem. Remi i Sam spali w kojach kamiennym snem. Potem czekali na policję w domu Henrique’a, dwupokojowym bungalowu z oknami wychodzącymi na Atlantyk. Policja znalazła część ich wyposażenia na porzuconym „Golfinhie” i po południu zwróciła im te rzeczy. Zrobiło się już bardzo późno, mimo to Antonio upierał się, aby odwieźć ich do hotelu w Sao Paulo.

– Ty i twój wujek uratowaliście nam życie - powiedział Sam. - Nigdy nie zdołamy się wam za to odpłacić, ale znamy adres wujka i przyślemy wam obu coś, co choć trochę wynagrodzi wasz dobry uczynek.

Rozmawiali o tym poprzedniego wieczoru. Postanowili ufundować stypendium dla Antonia, które pokryje koszt jego studiów uniwersyteckich, a także późniejszych, w akademii medycznej. Jego wujek miał otrzymać nową łódź, a kuzyn dofinansowanie swoich studiów.

Remi mocno uścisnęła młodego człowieka.

– Niedługo się odezwiemy. Nigdy cię nie zapomnimy, Antonio.

* * *

Remi i Sam siedzieli przy stole w kojącej ciszy swojego pokoju hotelowego. Sam wiedział, że muszą porozmawiać o tym, co się wydarzyło, zwłaszcza o możliwym przecieku informacji z ich ekipy, ale na razie wołał nie poruszać tego tematu.

Remi popatrzyła na niego, zauważyła, że się jej przygląda, i posłała mu lekko poirytowany uśmiech.

– To wszystko sprawka Bree, prawda?

– Nie wyobrażam sobie, w jaki inny sposób mogli dowiedzieć się, gdzie jesteśmy. Chyba że ludzie Avery ego nagle doszli do tych samych wniosków co my, przypadkowo dowiedzieli się, którą łódź wynajęliśmy, pozbyli się jej załogi, pozwolili nam odszukać wrak, a potem chcieli nas zabić.

– Wciąż trudno mi uwierzyć, że była do tego zdolna. Ufałam jej. Ja... - Remi odetchnęła głęboko i westchnęła zawiedziona. - Chyba powinniśmy skontaktować się z Selmą i zaplanować nasze następne posunięcie.

Sam zerknął na zegarek. Selma pewnie już była na nogach.

– Zdecydowanie tak.

– Co jej powiemy?

Sam wyciągnął telefon i zaczął pisać esemesa.

– Żeby zadzwoniła do nas, kiedy będzie pewna, że jest całkiem sama. Selma jest bystra, połapie się, o co chodzi.

Remi oparła głowę na zagłówek fotela i przymknęła oczy.

– Och, Sam...

– Wyjaśnimy wszystko do samego końca.

– Może powinniśmy iść z tym na policję?

– Nie mamy przekonujących dowodów - odrzekł, wysyłając wiadomość.

Selma zadzwoniła pięć minut później.

– Jesteś na głośnomówiącym - poinformował Sam. - Remi siedzi obok mnie.

– Dzień dobry - zaczęła Selma. - Przypuszczam, że chcecie porozmawiać o tym, co zaszło wczoraj.

– Jesteś sama?

– Zamknęłam się w gabinecie. Bree i Lazlo jedzą śniadanie na piętrze.

– To dobrze - rzucił Sam. - Chyba rozumiesz, że mamy powody do niepokoju.

– Rozumiem doskonale, panie Fargo, ale jestem zdumiona. Nie zauważyłam, aby z kimkolwiek rozmawiała. Wydaje się szczerze zmartwiona całą sytuacją.

Sam poczuł na sobie wzrok Remi. Możliwość, że to Selma albo Lazlo ujawnili miejsce ich pobytu, nie mieściła im się w głowie. Jeśli ktoś nie założył podsłuchu w ich niedawno wyremontowanym, spełniającym najwyższe standardy bezpieczeństwa, niemal całkowicie niedostępnym i odpornym na hakerów domu, to musiała być Bree.

– Jest pewien sposób, który pomoże nam ustalić miejsce przecieku - oznajmił Sam. - Celowa dezinformacja.

Zerknął ukradkiem na żonę, czekając na jej reakcję.

Remi wpatrywała się w telefon Sama, leżący na środku stołu.

– Sądzę, że tak będzie najlepiej.

– Chyba że znasz lepszą metodę - powiedział Sam do Selmy.

– Dajcie mi trochę czasu. Lazlo zamierza dokładnie przestudiować otrzymane od was fotografie przedmiotów znalezionych na wrakowisku. Posiłkując się nimi, może uda się nam wymyślić jakąś wiarygodną historię. Dam wam znać, kiedy będziemy już coś mieli.

– Czekamy na twój telefon.

Po całym długim dniu drobiazgowego analizowania sytuacji Remi i Sam doszli do wniosku, że to do niczego nie prowadzi. Wobec tego wybrali się na wczesną kolację do Esquina Mocoto, znanej restauracji, serwującej potrawy charakterystyczne dla kuchni północnej Brazylii. Zamiast dania głównego zamówili kilka różnych przekąsek, zwanych tapas, ich ulubione *dadinhos de tapioca* - czyli chrupiące kostki smażonego sera - oraz *torresmo* w postaci zrumienionych pasków bekonu, a do tego pieczone warzywa oraz tradycyjne miejscowe piwo, polecane w tym przypadku zamiast wina.

Właśnie opuszczali restaurację, kiedy zadzwoniła Selma.

– Mamy nowe informacje o znalezionych przez was przedmiotach - oznajmiła. - Jest tu ze mną Lazlo.

Kiedy oddała słuchawkę Lazlo, Sam powiedział:

– Nie jesteśmy w najlepszym miejscu do prowadzenia rozmowy. Oddzwonimy do was po powrocie do hotelu.

– No i dobrze - skwitował Lazlo. - Jest to coś, co wy, Amerykanie nazywacie dobrą złą nowiną, czy jakoś tak.

Rozdział 19

Charles Avery właśnie wychodził ze swojego waszyngtońskiego biura, kiedy sekretarka poinformowała go o telefonie.

– Czy to nie może poczekać? Idę na umówione spotkanie biznesowe.

Druga strona tego spotkania biznesowego czekała na niego w lobby na kanapie. Zachwycająca dwudziestoparoletnia brunetka o imieniu Suzette powitała go uwodzicielskim gestem dłoni.

– Dzwoni pan Fisk - oznajmiła sekretarka.

Zerknąwszy na Suzette, Avery już miał zignorować telefon od Fiska, ale bardzo chciał usłyszeć, że Fargowie leżą teraz na dnie oceanu jako karma dla ryb.

– Przełącz do mnie - polecił i zawrócił do swojego gabinetu. Usiadł za biurkiem i podniósł słuchawkę.

– Jestem w drodze na kolację. Czy to coś ważnego?

– Właśnie spotkałem się z naszymi ludźmi w Sao Paulo.

– I co?

Fisk wstrzymał się z odpowiedzią na krótką chwilę.

– Mamy coś, co może doprowadzić nas do koła szyfrującego.

Avery poczuł falę uniesienia. Nareszcie, pomyślał. Popatrzył na tom *Historii piratów i korsarzy*, leżący na biurku. Przez całe wieki jego rodzina szukała tego, co jej ukradziono. A więc jest już blisko...

– Gdzie to jest?

– W Brazylii, konkretnie w Sao Paulo. Właśnie jadę na lotnisko.

Avery poczuł chęć, by polecieć tam osobiście. Zrobiliby to, ale

nie chciał okazywać słabości ani tego, jak bardzo mu zależy na tym kole. Fisk wiedział tylko tyle, że chodzi o odnalezienie rodzinnych pamiątek, nic ponad to. Nie miał pojęcia, czym one były naprawdę. Avery zamierzał strzec tej tajemnicy jak najdłużej, aż przyjdzie odpowiedni czas na jej ujawnienie.

– Co z Fargami?

– Albo utonęli podczas sztormu, albo dotarli na wyspę i zginęli pokąsani przez węże. Zapewniam, że więcej nie wejdą nam w drogę.

Najwyższy czas. Opadł na oparcie fotela, po raz pierwszy od tygodnia czując prawdziwe odprężenie. Sporo go kosztowało wynajęcie wszystkich łodzi, kiedy dowiedział się, że Fargowie wybierają się do portu Santos. Zresztą teraz nic się nie liczyło wobec faktu, że był coraz bliżej odnalezienia koła szyfrującego. Z jednym wyjątkiem.

– Czy nie pozostał jakikolwiek trop, prowadzący do mnie?

– Nic z tych rzeczy. Zrobiliśmy porządek z załogą. W dokumentach nie ma żadnego śladu. Łodzie zostały wynajęte za pośrednictwem podstawionych firm. Śledczy prowadzący sprawę śmierci Fargów nie mają prawa natknąć się na cokolwiek. Na tę chwilę nie istnieje nic, co mogłoby łączyć pana z tą sprawą.

– To dobrze - powiedział Avery. - Dopilnuj, aby tak pozostało.

– Oczywiście.

Avery rozłączył się, ale jeszcze przez chwilę nie wstawał z fotela. Wpatrywał się w książkę, powtarzając sobie w duchu, że już wkrótce wszystkie te problemy i wydatki pozwolą mu zebrać wyjątkowo obfite żniwo. Jest już na wyciągnięcie ręki, pomyślał. Nagle usłyszał, że otwierają się drzwi gabinetu.

Podniósł wzrok i z zaskoczeniem ujrzał wchodzącą do środka swoją żonę, Alexandrę. Była już po pięćdziesiątkę, ale wciąż wyglądała pięknie z tymi krótko obciętymi, jasnymi włosami. Zamknęła drzwi, rzuciła torebkę na kanapę i usiadła.

– Kim jest ta lalunia w lobby?

– To klientka.

– Teraz tak to się nazywa? Klientka? Ciekawe, kto komu płaci za usługi w tym biznesie.

– Czego chcesz, Alexandro?

– Zauważyłam, że z mojego domowego konta wyparowała spora sumka. Zastanawiam się, za co tym razem płacę.

– Nie musisz się o nic martwić.

– Czy to ma coś wspólnego z mapą, za którą się uganiałeś? Jeśli tak, to pieniądze powinny pochodzić z twojego konta, nie z mojego. Zgodzisz się ze mną?

Wstała z kanapy i podeszła do barku. Przemknęła wzrokiem po etykietach na butelkach i sięgnęła do drugiego rzędu, skąd wyciągnęła trzymaną tam specjalnie dla niej ulubioną brandy. Nalała sobie porcję do kryształowego kieliszka, wzięła łyk, a potem podeszła do biurka i przesunęła palcem po grzbiecie *Historii piratów i korsarzy*.

– Jak na kogoś, kto ukrywa swoje zasoby finansowe z powodu toczącego się postępowania rozwodowego, powinienesz bardziej uważać, na co wydajesz pieniądze.

Avery odsunął się wraz z fotelem od biurka, wstał i także podszedł do barku. Nie zamierzał dać się sprowokować żonie. Pieniądze z jej konta zostały wykorzystane w zupełnie innym celu. Potrzebował gotówki na inne projekty, bo Fisk podczas poszukiwań korzystał z jego konta.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– Nie rznij głupa, Charles. Od samego początku wiedziałam o tej twojej obsesji. Po pierwsze, zatrudniłam doradcę finansowego, a więc nie zdołasz ukryć przede mną ani centa. Po drugie, jeśli ten skarb naprawdę istnieje, a ty znajdziesz go, korzystając z naszych wspólnych pieniędzy połowa będzie należała do mnie. Czyżbyś zapomniał, że braliśmy ślub w Kalifornii? Fifty-fifty, kochanie. Dzielimy wszystko na pół.

Uniosła szklankę w prześmiewczym toaście.

Avery nalał sobie szkockiej i wypił do dna. Ponownie napełnił szklankę i dopiero wówczas odwrócił się twarzą do żony.

– Mapa stanowi dziedzictwo, nie masz do niej żadnych praw.

– Dziedzictwo? - Podeszła do biurka, otworzyła książkę i przewróciła kilka kartek. - O ile pamięć mnie nie zawodzi, te mapy, szyfry czy cokolwiek, czego tak bardzo pożądasz, zostały kilkaset lat temu skradzione prawowitym właścicielom przez twoich przodków. Sam mi o tym opowiadałeś, nieprawdaż? Wtedy, kiedy jeszcze ze sobą rozmawialiśmy. - Uniosła wzrok znad książki. Jej błękitne oczy były pełne jadu. - Ci twoi krewni byli, zdaje się, piratami? Niedaleko pada jabłko od jabłoni.

Podszedł bliżej, zamknął książkę i odsunął ją od niej.

– Został skradziony mojej rodzinie.

– Ktoś go ukradł, czy raczej odzyskał? Przecież zaczęło się od tego, że ukradła go twoja rodzina. A może czegoś nie zrozumiałam z twojej opowieści?

– Dlaczego tu przyszedłeś? Po to, żeby mnie dręczyć?

– Chyba idzie mi to coraz lepiej. Dotychczas tylko cię denerwowałam.

Opróżniła kieliszek i odstawiła go na biurko. Następnie podeszła do kanapy i wzięła torebkę.

– Po prostu zastanawiam się, dlaczego zniknęły te pieniądze i kiedy zostaną zwrócone. Mam swoje wydatki, a nie chciałabym dochodzić ich zwrotu na drodze sądowej.

– Dobrze. Jutro rano każę zrobić przelew.

– To miło z twojej strony. - Otworzyła drzwi i wyjrzała na zewnątrz. - Oho, twoja klientka chyba sobie poszła. Mam nadzieję, że nie z powodu tego, co jej powiedziałam, wchodząc tu do ciebie.

Avery z trudem powstrzymał się, aby nie roztrzaskać szklanki o drzwi, które zamknęła za sobą. Nie zamierzał dawać jej satysfakcji. Zresztą, szkoda byłoby na nią dobrej szkockiej.

Wszystko, co miała, zawdzięczała tylko jemu. Kiedyś ją kochał. Ale teraz? Była po prostu kolejną kobietą, wspinającą się po drabinie społecznej. Chodziło tylko o to, by kogoś olśnić, nawet dobroczynnością, którą ostatnio zaczęła się zajmować.

Podobnie jak ta Fargo. Nieważne, że nigdy jej nie spotkał. Wiedział, że była taka sama jak jego żona. Płytką, małostkową, skoncentrowana wyłącznie na pieniądzach.

Ta myśl rozzłościła go. Jeśli już, to tylko wzmogło jego determinację, aby znaleźć ten skarb. Należał do niego. Nie do żony czy kogokolwiek innego. Tylko do niego.

Był gotów zabić każdego, kto stanie mu na drodze do jego odkrycia.

Rozdział 20

– Zaczynij od tych dobrych wieści - zwrócił się Sam do Lazła, siadając obok Remi.

– Wasze podwodne fotografie są wyśmienitej jakości. Dzięki temu udało nam się uwypuklić najdrobniejsze szczegóły. Właściwie to zasługa Pete'a i Wendy. - Lazlo odniósł się do dwojga asystentów Selmy, Pete'a Jeffcoata i Wendy Corden. - Photoshop i coś tam jeszcze. W każdym razie ustaliliśmy kraje pochodzenia znalezionych przez was przedmiotów.

– Wspaniale.

– Oczywiście, zwróćcie jednak uwagę, że użyłem liczby mnogiej słowa „kraj”.

– Zawsze coś musi być nie tak. - Remi westchnęła.

– Właśnie - potwierdził Lazlo. - Mimo wszystko nie jest tak całkiem źle. Ołowiana plomba pochodzi z angielskiej fabryki włókienniczej, działającej jedynie od 1691 do 1696 roku. Żółte cegły znalezione w balaście wyprodukowano w Holandii.

– To gdzie ta zła wiadomość? - spytała Remi.

– Wraz z Selmą wciąż próbujemy ustalić, jak doszło do wycieku informacji. Na razie bez skutku.

– Tak się składa, że wymyśliłem pewien plan, który może się powieść - powiedział Sam. - Skłamiemy, że przeszukaliśmy niewłaściwe wrakowisko i że dopiero teraz znamy prawidłową lokalizację. W ten sposób zarzucimy przynętę i zobaczymy, co z tego wyniknie.

– Myślisz, że się uda? - spytał Lazlo.

– Musi się udać, jeśli to Bree jest źródłem przecieku. Ludzie, którzy opanowali „Golfinha”, szukali koła szyfrującego, a nie

przedmiotów pozwalających zidentyfikować statek. Jeśli damy im do zrozumienia, że wiemy, gdzie jest koło, albo że już wkrótce je zdobędziemy, to na pewno sprowokujemy ich do działania. Jeśli nikt nie zgłasza sprzeciwu, proponuję skontaktować się z Rubenem Haywardem, by uzyskać wsparcie.

– Doskonale - powiedział Lazlo. - Bierzemy się więc do roboty. Sam rozłączył się i popatrzył na Remi.

– Masz coś przeciwko temu?

A dlaczego miałyby mieć? To byli mordercy i należało ich powstrzymać. Zresztą samo nazwisko Haywarda podziałało na nią kojąco. Ruben Hayward, wówczas czynny agent CIA, szkolił Samę w stosowaniu tajnych technik operacyjnych, gdy ten pracował dla DARPA. Od tamtej pory łączyły ich więzy przyjaźni, dlatego Hayward nie pozwoliłby Samowi na udział w czymkolwiek, co przekraczałoby jego możliwości, nawet jeśli oznaczało to zaangażowanie do pomocy kogoś z zewnątrz.

Remi wzruszyła ramionami.

– To jedyny sposób, aby się upewnić.

– Wobec tego pozostaje nam tylko czekać.

Nie trwało to długo. Następnego ranka Selma poinformowała ich, że powiedzieli Bree o przeszukaniu niewłaściwego wraku oraz o zamiarze podjęcia kolejnej próby, tym razem w prawidłowym miejscu, które właśnie zdołali zlokalizować. Uznali, że trzeba dać Avery'emu co najmniej jeden dzień na uruchomienie swoich ludzi, zakładając, że znajdą sposób, aby uderzyć w miejscu nurkowania albo w porcie. W celu upewnienia się, że odpowiednie informacje zostaną przekazane, Selma i Lazlo dopuścili Bree do uczestnictwa w planowaniu operacji: wynajmu łodzi, ustalenia terminu wyjazdu oraz miejsca nurkowania - także koło Wyspy Węży, ale nieco na północ od poprzedniego.

– W kwestii bezpieczeństwa pan Hayward skontaktował się z firmą ochroniarską Archer Worldwide Security - dodała Selma. -

Powiedział, że wiecie, o kogo chodzi, i że ten ktoś do was zadzwoni.

– Nicolas Archer - oznajmił Sam. - Pracował z nami kiedyś w DARPA.

– A więc wygląda na to, że wszystko jest pod kontrolą. Powodzenia.

– Wzajemnie. Daj nam znać, gdyby coś u was wynikło w sprawie Bree.

Wszystko było poustawiane, więc Remi postanowiła pójść do łóżka, żeby się przespać. Ale kiedy już oboje położyli się spać, nie mogła zasnąć. Przewracała się z boku na bok, nie mogąc pogodzić się z podłością osoby, której ufała i którą uważała za przyjaciółkę. Takie postępowanie wydawało się jej niezgodne z charakterem Bree, przyszło jej więc do głowy, że zapewne ktoś miał na nią jakiegoś haka i zmuszał ją szantażem do zdrady.

Zapewne tak właśnie było, uznała. Ta myśl uspokoiła ją nieco, dzięki czemu w końcu udało jej się zasnąć.

Rankiem pojechali na kolejne nurkowanie. Tym razem ich kierowcą był człowiek z firmy Archer Security.

Remi miała okazję poznać Archera w przeszłości i choć wiedziała, że wraz z Rubenem i Samem pracował dla DARPA, mogła się tylko domyślać, czym każdy z ich zajmował się w szeregach tej organizacji. Wszystko otoczone było ścisłą tajemnicą. Zdołała się zorientować, że miało to związek z jakimś wynalazkiem Sama dla rządu, z czymś, co wiązało się z wyjazdami do różnych krajów, gdzie niezbędna była biegłość w sztukach walki i posługiwaniu się bronią. Trzeba przyznać, że umiejętności te przydały się niejednokrotnie po odejściu Sama z agencji. Podczas poprzednich wypraw w poszukiwaniu skarbów zdarzało im się spotykać na swej drodze bardzo niebezpiecznych osobników.

Kiedy Sam odszedł z DARPA, by zająć się własnym biznesem, Archer przeniósł się do FBI i przez wiele lat nadal pracował dla

rządu. W końcu założył prywatną firmę ochroniarską o międzynarodowym zasięgu. Jego mocną stroną było to, że zachował dobre kontakty zarówno w agencjach rządowych, jak i w organach ścigania - jednym z nich był Ruben Hayward - dzięki czemu miał dostęp do cennych informacji, przydatnych przy różnych okazjach. Ponadto potrafił w krótkim czasie zmontować ekipę złożoną z byłych pracowników służb specjalnych, doskonale wyszkolonych i zaufanych ludzi, którzy gotowi byli do działania w dowolnym miejscu na kuli ziemskiej. Sam twierdził, że w porównaniu z tym zespołem on i Remi sprawiali wrażenie początkujących amatorów.

Co prawda Remi uważała, że przez Sama przemawia fałszywa skromność, niemniej była zadowolona, że znaleźli się w dobrych rękach. Tak jak przewidywała, każdy szczegół czekającej ich operacji został drobiazgowo zaplanowany, włącznie z zespołem operatorów rozstawionych wokół ich domu w La Jolla, gotowych w dowolnym momencie do wkroczenia do akcji. Jeśli upewniliby się, że to Bree jest kretem, natychmiast by ją aresztowali.

Dlaczego więc jej serce biło tak mocno, kiedy z Samem i Archerem płynęli w kierunku Wyspy Węży?

- Wszystko w porządku? - spytał Sam, siadając obok niej.

- Nie wyspałam się.

- Wiem. Czuję, że przewracasz się z boku na bok całą noc.

- A jeśli popełniamy wielki błąd?

- Na pewno nie - zapewnił ją. Po chwili dołączył do nich Archer. - Tylko ona mogła nas wydać. Miejmy nadzieję, że chwyci przynętę po raz drugi i ludzie Avery'ego pojawią się, tak jak przewidujemy.

Wcześniej Remi przyjrzała się ich łodzi. Z zewnątrz przypominała zwykły jacht, przerobiony na statek badawczy. Jednak z tego, co mówił Archer, wynikało, że wyposażono ją w potężne silniki, a pod pokładem znajdowało się dość uzbrojonych po zęby ludzi, aby w razie konieczności opanować

wielki statek wycieczkowy. Na dodatek Archer dał Samowi kamizelkę wędkarską, która wyglądała całkiem niewinnie, ale miała zapinaną na rzep ukrytą kieszeń, gdzie idealnie mieścił się ulubiony smith & wesson jej męża.

Plan nie przewidywał, aby Rami i Sam mieli schodzić pod wodę. W ich rolę wcielił się agenci Archera.

– Muszę przyznać, że ta załoga wygląda o wiele bardziej profesjonalnie od poprzedniej - powiedziała Remi, uśmiechając się do Archera.

– Osobiście ręczę za każdego z tych ludzi, pani Fargo.

– Proszę mówić mi Remi.

Choć widziała Archera wcześniej zaledwie dwa razy, zdążyła go już polubić. Był podobnego wzrostu i budowy co Sam, wysoki i barczysty. Ponadto, tak jak w przypadku Sama, jego wygląd był mylący. Opalony, z grzywą jasnych włosów, wyglądał raczej jak surfer, a nie operator służb specjalnych.

– Wiem, że rozmawialiście o tym długo z moim mężem, ale wciąż się niepokoję. A jeśli coś pójdzie nie tak?

– Przewidzieliśmy każdy możliwy scenariusz. Zapewniamy pani... to znaczy tobie, Remi, pełną ochronę. Jesteś zupełnie bezpieczna. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, zejdziemy pod wodę, wydobędziemy atrapy artefaktów, a potem oddamy złoczyńców w ręce stróżów prawa.

– Miejmy nadzieję. - Zatoczyła wzrokiem po horyzoncie. W oddali widać było rosnący kształt Wyspy Węży. Żadna łódź nie zmierzała w tym samym kierunku. Nie omieszkała poinformować go o tym.

– Możliwe, że wolą poczekać, aż wrócimy do portu - odparł. Wręczył jej lornetkę. - To tak na wszelki wypadek. Jeśli zobaczysz jakąś łódź, być może rozpoznasz któregoś z podejrzanych wcześniej od nas.

– Będę uważać - powiedziała i zawiesiła sobie lornetkę na szyi. Archer odszedł sprawdzić po raz kolejny, czy wszystko

gotowe. Została z Samem. Spojrzała na męża.

– No idź - zachęciła go.

– Dobrze mi z tobą tutaj.

– To jasne. Ale wiem też, że wspominasz swoje dawne czasy w DARPA i zadania, jakie wykonywaliście razem z Archerem.

– W sumie nie zaszkodzi sprawdzić, co planują - przyznał z uśmiechem Sam.

– Dam ci znać, jeśli zauważę w pobliżu jakieś czarne charaktery - zażartowała, unosząc do oczu lornetkę.

– Za to cię właśnie Kocham, Remi. Oczywiście między innymi - dodał szybko, po czym zszedł za Archerem pod pokład.

Podczas dalszej części rejsu do Wyspy Węży, całej nocy spędzonej w jej pobliżu oraz porannego zejścia pod wodę, kiedy dwaj nurkowie udawali Remi i Sama, żadna z kilku łodzi przepływających w zasięgu wzroku nie zbliżyła się do nich na tyle, by stworzyć jakiegokolwiek zagrożenie.

Po ośmiu godzinach Archer stwierdził, że jeśli cokolwiek miało się wydarzyć, to do tej pory na pewno by się wydarzyło i zakończył operację. Już mieli podnieść kotwicę, gdy jakiś trawler wypłynął z południowego krańca wyspy. Wszyscy na pokładzie czekali w napięciu, zajmwszy swoje stanowiska. Jednak stateczek przepłynął obok z terkotem starego silnika, a zainteresowanie jego załogi ograniczyło się do kilku obojętnych spojrzeń, posłanych w ich kierunku.

Trawler odpłynął na zachód, a Remi zauważyła wyraźne rozczarowanie w oczach całej ekipy.

– Czas się zbierać - zarządził Archer, zerkając na zegarek. - Obserwuj uważnie otoczenie. Niewykluczone, że będą czekać na nas w porcie.

Ostatecznie okazało się, że nie było żadnego zagrożenia. Nikt na nich nie czekał. Nikt nie śledził ich na krętej drodze, prowadzącej na lotnisko.

– Nic nie rozumiem - głowił się Sam, kiedy już siedzieli przy

stoliku w kabinie samolotu. - Przecież to powinno wypalić.

- Plan był dobry - zgodził się Archer, który dla pewności zdecydował się towarzyszyć im aż do chwili odlotu. - Może wiadomość do nich nie dotarła.

Sam wstał od stołu i podszedł do barku.

- Napijesz się czegoś?

- Nie, dziękuję. Muszę jeszcze zrobić odprawę ekipy.

- A ty, Remi? - spytał Sam, unosząc butelkę Glenfiddich.

- Na tę chwilę bardziej odpowiedni byłby kieliszek porto.

Sam odstawił whisky i otworzył schładzaną szafkę na wino. Otworzył butelkę pięćdziesięcioletniego porto i nalał do kieliszka, po czym zwrócił się do Archera.

- Jak uważasz, co mogło nie zadziałać? Czyżby wiedzieli, że zastawiliśmy na nich pułapkę?

- Wszystko możliwe. Z tego, co się orientuję, w porcie nikt nas nie obserwował ani przed, ani po waszym przyjeździe. Wygląda na to, że w ogóle się nie pojawili.

- Trzeba zadzwonić do Selmy - stwierdził Sam, wręczając Remi napełniony kieliszek. - Na pewno zastanawia się, jak nam poszło.

Remi wzięła łyk porto. Też uważała, że tak drobiazgowo przygotowana operacja powinna się powieść. Czyżby Bree przejrzała ich zamiary i ostrzegła ludzi Avery'ego?

- Dzwon.

Sam wyciągnął z kieszeni komórkę, połączył się z domem i od razu uruchomił tryb głośnomówiący.

- Co słyhać, Selma?

- Witam, panie Fargo - usłyszał w odpowiedzi. - Zakładam, że operacja spaliła na panewce.

Nie było to pytanie, lecz zdanie oznajmujące. Remi popatrzyła na Sama, a on z kolei spojrział na Archera.

- Dlaczego tak uważasz? - spytał Sam.

- Ponieważ, niestety, mam złe wieści.

Rozdział 21

Sam poprosił, żeby Selma oddzwoniła do nich przez Skype'a. Chciał zobaczyć ją, a także resztę ekipy, aby ocenić, jak bardzo złe były te wieści. Archer poparł ten pomysł, po czym wyszedł poza zasięg kamery, aby patrzeć na ekran, ale samemu pozostawać poza polem widzenia kamery. Chwilę później zajaśniał ekran tabletu Remi. Zamiast Selmy ujrzeli Bree, która na widok Remi i Sama szybko spuściła wzrok. Odnieśli wrażenie, że wyraz ulgi przemknął przez jej twarz, kiedy pochylała się nad blatem biurka.

– Dzięki Bogu. Tak się martwiłam.

– Martwiłaś się? - spytał Sam podejrzliwie. Trudno mu się było dziwić, po tym jak usłyszał, że Selma już wie o niepowodzeniu operacji. Popatrzył na Selmę i Lazła, stojących za plecami Bree. Ich twarze nie wyrażały niczego. Wrócił wzrokiem do Bree i zapytał krótko: - O co?

– Że może się wam przytrafić coś złego.

– Skąd ci to przyszło do głowy, że cokolwiek może nam grozić? - spytała Remi.

– No bo poprzednio się przytrafiło i... myślę, że to przeze mnie.

Sam nie spodziewał się takiej odpowiedzi. Prędzej, że będzie się wypierać. Ale coś takiego?

– Wyjaśnij, proszę.

– Ja... przypuszczam, że moja kuzynka przekazywała informacje.

Sam poczuł, że Remi drgnęła, słysząc te słowa.

– Larayne? - upewniła się.

– Tak. Początkowo nie zdawałam sobie z tego sprawy. Tak

samo grozili mnie, jak i jej. Związali nas. Była ofiarą, tak samo jak ja. Przynajmniej tak uważałam. Dlatego kiedy zapytała o was, nie przyszło mi do głowy, że udzielając jej informacji, mogę narazić was na niebezpieczeństwo. Ja... - Próbowwała wziąć się w garść, choć łzy ciekły jej po policzkach. Rozmazywała je pięścią. - Bardzo przepraszam. Nic bym nie powiedziała, gdybym wiedziała, co się stanie.

Sam wpatrywał się w jej twarz. Wydawało mu się, że mówi szczerze, ale jeszcze nie wyzbył się podejrzeń i nie zamierzał z miejsca jej wybaczyć.

- Skąd pomysł, że mogłoby spotkać nas coś złego? - spytał.

- To było po tym, jak dowiedziałam się, co się stało podczas pierwszego nurkowania. Po wszystkim Larayne spytała mnie, czy mam jakieś wieści od was. To było... - Sięgnęła po coś poza zasięgiem kamery. Zapewne po chusteczkę. - Ja... zaczęłam coś podejrzewać. Więc kiedy Selma i Lazlo powiedzieli mi, że macie zamiar szukać drugiego koła szyfrującego, okłamałam Larayne. Powiedziałam, że nie wiem, dokąd pojechaliście i co robicie. Bałam się. Gdyby cokolwiek wam się stało...

W końcu rozplakała się na dobre. Selma zabrała tablet i poszła na drugi koniec pokoju. W tle widać było, jak Lazlo obejmuje Bree, a ona wypłakuje mu się w ramię.

- Teraz już wiecie - powiedziała Selma.

- Co ty na to? - zwrócił się Sam do Remi.

- Wierzę jej.

- A ty, Selma?

- Dopuszczam możliwość, że jest najlepszą aktorką na świecie. Mimo to, podobnie jak pani Fargo, wierzę jej. To się trzyma kupy. Zresztą nie widzieliście, co się działo, kiedy przyszła do nas i nam o tym opowiedziała. Nie mogliśmy jej uspokoić. Naprawdę długo trwało, zanim wróciła do siebie na tyle, aby z wami porozmawiać.

- Cudownie - mruknął Sam. - Akurat kiedy zależało nam na

tym, żeby nas podkablowała, obudziło się w niej sumienie...

– Albo zdała sobie sprawę, że naraża nas na niebezpieczeństwo. - Remi popatrzyła chmurnie na Sama.

– No cóż, przynajmniej znamy źródło przecieku.

– Niestety, nie zdołaliście usidlić Charlesa Avery'ego ani jego ludzi - zauważyła Selma.

– Co się odwlecze, to nie uciecze.

– Zakładając, że teraz mówi prawdę - ciągnęła Selma, ścisząc głos - to należałoby przypuszczać, że Avery jednak próbuje zidentyfikować ten statek. A skoro tak, to ma nad nami kilka dni przewagi.

– Co z tego wynika?

– Musimy nadrobić zaległości.

– Lepiej zabierzmy się do tego od razu - powiedział Sam. - Dobrze by było dowiedzieć się wreszcie, co przedstawia mapa. Miejmy nadzieję, że miejsce ukrycia skarbu.

– Skarb? Grobowiec? Licho wie, co to może być. W każdym razie ktoś zadał sobie sporo trudu, aby to dobrze ukryć. - Selma przerwała na chwilę, zerknęła przez ramię na Bree i Lazła, po czym zwróciła się twarzą do ekranu. - Powinno się udać. Na razie zrobiłam wam rezerwację w hotelu w South Beach. Potraktujcie to jako przedsmak waszych wakacji, które wciąż odkładacie na później. To da nam czas, żeby jeszcze trochę powęszyć, a pan z panią Fargo będziecie mogli się odprężyć po ostatnich przygodach.

– Bardzo dziękujemy. Informuj nas na bieżąco.

Sam przerwał połączenie i wsunął tablet do pokrowca.

– Nie tego się spodziewałem.

– To przynajmniej tłumaczy, dlaczego rybka nie chwyciła przynęty - stwierdził Archer, zerkając na Remi. - Przypuszczam, że nie sprawdziłaś jej zbyt dokładnie w chwili zatrudnienia?

– Potraktowaliśmy ją standardowo - odparła Remi. - W końcu miała pracować tylko przy zbiorce pieniędzy.

– Co proponujesz? - Sam zwrócił się z pytaniem do Archera.

– Trzeba dokładnie prześwietlić jej przeszłość. Zresztą to samo dotyczy tej kuzynki. Zobaczymy, dokąd nas to doprowadzi. Jeśli donikąd, to przynajmniej potwierdzimy słowa panny Marshall i będziecie mogli odpoczywać spokojnie.

– Co ty na to, Remi? - spytał Sam.

– Zależy mi na oczyszczeniu jej z podejrzeń, więc pełna zgoda.

Archer kiwnął głową.

– Zaraz się do tego wezmę. - Pochylił się i uścisnął dłoń Remi. - Miło było znów cię zobaczyć. Przykro mi, że nasza operacja okazała się niewypałem.

– Nie przejmuj się tym.

Sam wstał z miejsca.

– Odprowadzę cię.

Kiedy podchodzili do samochodu Archera, Sam powiedział:

– Remi ma słabość do tej dziewczyny.

– Zauważyłem. Bez obaw, przekopię dokładnie życiorysy obu tych kobiet.

Następnego dnia, kiedy Sam relaksował się w South Beach, Archer zadzwonił ze wstępnym raportem. Remi pokonywała kolejne długości basenu, a Sam, rozciągnięty na leżaku, przyglądał się jej, rozmawiając z Archerem.

– Znalazłeś coś niepokojącego?

– Wygląda na to, że twoja żona ma nosa do ludzi. Bree Marshall jest czysta jak łąza. Żadnych długów, uczciwa kariera zawodowa, a w dodatku, z tego, co zdążyłem ustalić, utrzymywała bliski kontakt ze swoim wujkiem.

– Jak udało ci się sprawdzić to ostatnie?

– Poleciałem dwóm chłopakom z mojego biura w San Francisco, żeby pokręcili się w okolicy antykwariatu. Spotkali sąsiadkę, która zaopiekowała się kotem po śmierci właściciela. Twierdzi, że Bree regularnie go odwiedzała, w przeciwieństwie do rodzonej córki, Larayne.

- Być może dlatego, że mieszka na wschodnim wybrzeżu.
- Możliwe, ale moi agenci odnieśli wrażenie, że staruszek bardziej lubił siostrzenicę.
- To jeszcze nie czyni z córki podejrzanej.
- Oczywiście, że nie. Ale sprawdziliśmy jej sytuację finansową, dlatego uważam, że mogła być bardziej skłonna do popełnienia jakiegoś głupstwa. Zmarły mąż zostawił jej w spadku same długi, grozi jej zajęcie farmy.
- Była karana? - spytał Sam. Remi zatrzymała się na przeciwnym końcu basenu, obejrzała się, zauważyła, że rozmawia przez telefon, i popłynęła w jego kierunku.
- Nie.
- Co sugerujesz?
- To zależy, jak głęboko mam drążyć i ile zamierzacie na to wydać.
- Nie zwracaj uwagi na koszty - odparł Sam. Patrzył, jak Remi wychodzi z basenu, a po jej ciele spływają strugi perlistej wody. Była jak kasztanowłosa Afrodyta, której właśnie starał się zapewnić bezpieczeństwo. - Rób to, co uważasz za stosowne, byle byś dostarczył nam wszelkich możliwych odpowiedzi na nasze pytania.
- Doskonale. Na początek rozstawię kilku agentów pod jej domem. Dowiemy się, co zamierza i czy ktoś ją ewentualnie odwiedza. Tymczasem wy zwyczajnie róbcie swoje, przynajmniej w kwestii rozmów Bree z kuzynką. Wszystko ma wyglądać tak, jakbyśmy nie mieli pojęcia o przecieku. W ten sposób nie damy po sobie poznać, że wiemy, jak ludzie Avery'ego dowiedzieli się o miejscu waszego pobytu.
- Zajmiemy się tym. Masz jeszcze coś?
- Dotarłem do kopii raportów policyjnych z San Francisco. Falszywi gliniarze nie zostawili żadnych odcisków w waszym pokoju hotelowym. Za to udało się zidentyfikować odcisk rabusia z antykwariatu. Nazywa się Jakob „Jak” Stanislav.

– Zgaduję, że jest dobrze znany policji.

– Facet ma grubą kartotekę. Był związany z grupą przestępczą, podejrzewaną o zlikwidowanie kilku osób, których ciał nigdy nie odnaleziono.

– Przyjąłem do wiadomości.

– Dam znać, kiedy uda mi się dowiedzieć czegoś więcej.

– Dzięki - rzucił Sam i zakończył rozmowę.

Remi owinęła się ręcznikiem i usiadła obok niego na leżaku.

– Kto to był?

– Archer. Wygląda na to, że Bree jest czysta.

Remi wydała z siebie pomruk, w którym wyraźnie pobrzmiwało zadowolenie.

– Teraz rozpracowuje Larayne, która, jak się wydaje, ma poważne problemy finansowe i dosłownie na dniach może stracić farmę.

– Ale żeby zrobić własnego ojca?

– Ludzie robią gorsze rzeczy za mniejsze pieniądze. Dobra wiadomość jest taka, że dopóki Archer nie zakończy swojego śledztwa, a Selma swoich analiz, nie mamy nic lepszego do roboty jak udać się na wakacje, które ci obiecałem.

– Cudowna myśl, Sam, ale obiecaliśmy dziś po południu odwiedzić twoją matkę.

Jego matka, Eunice, trzymała się świetnie mimo siedemdziesiątki na karku. Mieszkała w Key West, gdzie prowadziła wynajem łodzi dla nurków i wędkarzy.

– Mama na pewno nas zrozumie.

Remi zareagowała lekkim wygięciem brwi.

– Czy wiesz już, co jej powiesz w ramach wymówki?

Zanim zdążył jej odpowiedzieć, ponownie zadzwonił telefon. Tym razem była to Selma. Sam przełączył na głośnomówiący.

– Panie Fargo, przepraszam, że przerywam wam wakacje, ale Lazlo już wie, jak znaleźć to koło szyfrujące.

Rozdział 22

– Zamieniamy się w słuch. - Sam opadł na leżak i oboje z Remi skupili się na opowieści Selmy o statku, który zatonął koło Wyspy Węży.

– Statek płynął w towarzystwie większej flotyli, która wyruszyła z Jamajki. Zdołaliśmy znaleźć w Internecie trochę informacji o pozostałych statkach, ale na tym koniec. To, czego szukacie, powinno być na Jamajce.

– Jamajka? - powtórzyła za nią Remi. - Uwielbiam Jamajkę o tej porze roku.

– Niestety, nie pojedziecie do żadnego nadmorskiego kurortu, lecz do Kingston. Nie jest to zbyt przyjemne miejsce.

– A więc Kingston. - Sam pokiwał głową. - Czego mamy tam szukać?

– Dokumentów pozwalających zidentyfikować właściciela flotyli. A także portu, z którego statki wypłynęły na Jamajkę. To powinno naprowadzić nas na ślad drugiego koła, a ściślej mówiąc, jego oryginału. Musicie działać bardzo ostrożnie. Skoro nam udało się bez problemu uzyskać tę informację, to jest bardzo prawdopodobne, że ludzie Avery’ego już podążają tym tropem.

* * *

Selma z właściwą sobie skutecznością zdążyła przygotować wszystko, zanim ich samolot wylądował w porcie lotniczym Norman Manley International. Po przejściu kontroli celnej skierowali się do agencji wynajmu samochodów.

– Witamy na Jamajce - powiedział pracownik agencji z melodyjnym akcentem. Uśmiechnął się przy tym szeroko, błyskając śnieżnobiałymi zębami, kontrastującymi z ciemną skórą jego twarzy. Podał im mapę, dokumenty wynajmu i kluczyki do samochodu.

Sam zerknął podejrzliwie na mapę.

– Czy samochód jest wyposażony w GPS?

– Oczywiście, i to bardzo dobrej jakości. Mapa sprawdzi się doskonale jako wachlarz w upalny dzień.

– Dziękuję. - Sam podpisał dokumenty.

Pracownik zaprowadził ich do samochodu, błękitnej limuzyny BMW 528i. Na koniec spytał:

– Czy mogę coś jeszcze dla państwa zrobić?

– Bylibyśmy wdzięczni, gdyby polecił nam pan jakąś dobrą restaurację. Wybieramy się do Kingston.

– Ma być dobra i niedroga, czy po prostu dobra?

– Ta druga.

– Znam taki lokal. - Wyciągnął długopis i zapisał nazwę restauracji wraz z adresem. - Są w Kingston dzielnice, w których bywa niebezpiecznie. Normalnie nie posłałbym tam turystów, ale nie z powodu zagrożenia. Ludzie są tam bardzo mili, nie tak jak w tych nieprzyjemnych częściach miasta. Na miejscu spytajcie o Melię i powiedzcie jej, że przysłała was Kemar. Na całej Jamajce nie nakarmią was tak dobrze jak tam. Macie moje słowo.

– Dzięki - rzucił Sam, chowając kartkę z adresem do kieszeni.

– Jeszcze jedno pytanie. Czy byliście umówieni z przyjaciółmi?

– Nie - zdziwił się Sam. - A dlaczego pan pyta?

– Było u mnie dwóch takich. Pytali, czy już odebraliście swoje auto.

– Co pan im odpowiedział?

– To samo co zawsze. Że nie udzielamy takich informacji.

– Wie pan może, czym przyjechali?

– Niestety nie. Kiedy weszli do środka, rozmawiałem właśnie z innym klientem.

– Dzięki. - Sam wręczył Kemarowi solidny napiwek.

Wsiadli do samochodu.

– Pięknie - powiedziała Remi, zapinając pas. - Ledwie przyjechaliśmy, a już ktoś się nami interesuje.

– Tyle że tym razem jesteśmy odpowiednio przygotowani na ewentualne spotkanie - odparł Sam i poklepał się po kaburze ukrytej w kamizelce wędkarskiej, w której tkwił wierny smith & wesson. - Z drugiej strony, to wyraźne potwierdzenie, że jesteśmy na dobrym tropie.

– Niestety, oznacza to, że oni też są.

– Przynajmniej zostaliśmy ostrzeżeni.

Jamajka była kiedyś kolonią brytyjską, dlatego kierownica znajdowała się po prawej. Zanim przyzwyczał się do jazdy po „złej” stronie jezdni, minęło kilka minut, musiał uważać zwłaszcza przy pierwszych kilku zakrętach. Od chwili wyjazdu z lotniskowego parkingu Sam często zerkał w lusterko. Po pokonaniu kilku kilometrów jego uwagę zwrócił biały SUV. Na drodze do lotniska panował tłok, więc jakiś czas jechali w otoczeniu tych samych samochodów. SUV zaczął wyprzedzać pojazd jadący za nimi, ale nagle przyhamował i wrócił na swoje miejsce, choć na sąsiednim pasie akurat zrobiła się spora luka i mógł bezpiecznie kontynuować manewr.

Sam nie był pewien, czy to tylko niezdecydowany turysta, czy może ludzie Avery ego próbowali w ten sposób upewnić się, że to oni siedzą w samochodzie. SUV znajdował się dość daleko za nimi, aby zdołał dostrzec, kto jest w środku.

– Chyba mamy towarzystwo.

– Już? - zdziwiła się Remi, patrząc w boczne lusterko. - Który to wóz?

– Biały SUV. Próbowali wyprzedzić samochód za nami, ale się rozmyślili.

– Pewnie sprawdzali, czy to my?

– Niewykluczone.

– Co teraz?

– Pojedziemy jak na parady do restauracji i przy okazji sprawdzimy, czy jesteśmy śledzeni.

Dojechali do miasta i Sam szybko skręcił w lewo. Z zadowoleniem stwierdził, że SUV pojechał prosto.

– Dostrzegłaś, kto siedział za kółkiem? - spytał.

– Mieli przydymione szyby.

Ponownie skręcił w lewo i zjechał do krawężnika. Zatrzymał samochód pół przecznicy przed wielką ciężarówką, licząc na to, że zasłoni ich przed widokiem, po czym zajął się obserwacją skrzyżowania w lusterku. Kiedy po dłuższym czasie SUV się nie pojawił, ruszył i bocznymi uliczkami pojechał do restauracji. Zgodnie z ostrzeżeniem Kemara, w tej części miasta nie widać było żadnych turystów. Dokoła stały jakieś zdewastowane budy i zardzewiałe blaszane baraki, a chodniki wypełniały tłumy pieszych, którzy co rusz włączali na jezdnię bez żadnego ostrzeżenia, jakby byli pewni, że każdy pojazd zdoła zatrzymać się na czas. W końcu niska zabudowa ustąpiła miejsca bardziej okazałym budynkom. Ich restauracja mieściła się w jasnopurpurowym domu, wciśnięta pomiędzy sklepiki i inne knajpki. Przejechali obok, nie zatrzymując się. Witryny pomalowane były w różne kolory tęczy, często gryzące się z sąsiednimi przybytkami. Typowy obrazek dla Jamajki.

– Zgubiliśmy ich? - spytała Remi.

– Na to wygląda. Na wszelki wypadek zaparkuję trochę dalej. Nie zamierzam ułatwiać im roboty.

Skręcili za róg. Sam zakładał, że w pobliżu znajdowało się co najmniej kilkanaście restauracji, więc ten, kto ich śledził, będzie musiał chodzić od drzwi do drzwi, aby ich znaleźć. To powinno dać im dość czasu na spokojne spożycie posiłku.

Od celu ich podróży dzieliło ich około trzech minut spaceru.

Upał w mieście dawał się we znaki o wiele bardziej niż na lotniskowym parkingu. Sytuację pogarszała wysoka wilgotność powietrza.

Remi otarła dłonią pot z czoła, a potem zebrała lśniące w słońcu kasztanowe włosy w koński ogon.

– Jest jakaś szansa, że wewnątrz będzie klimatyzowane?

– W tej części miasta? W najlepszym razie możemy liczyć na działający sufitowy wentylator.

Jednak po wejściu do restauracji w otynkowanym, purpurowym budynku okazało się, że mimo samotnego sufitowego wentylatora powietrze stoi w miejscu.

Za drzwiami powitała ich wysoka kobieta z krótko przyciętymi, ciemnymi loczkami. Podała im dwie karty dań.

Zgodnie z zaleceniem pracownika wypożyczalni samochodów, Sam zapytał o Melię.

– To ja.

Kiedy wymienił imię Kemara, na jej twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

– Kemar - powtórzyła z takim samym melodyjnym akcentem. - To miło, że państwa tu przysłał. Proszę za mną. Naszych specjalnych gości sadzamy na tarasie. Jest tam o wiele chłodniej dzięki bryzie wiejącej z południa.

Melia poprowadziła ich przez duszną salę jadalną do bocznych drzwi i dalej wąskimi, skrzypiącymi schodami na dachowy taras, skąd roztaczał się widok na ulicę. Zgodnie z jej obietnicą, z południa wiała kojąca bryza.

Położyła obie karty menu po tej samej stronie stolika, tak aby oboje mieli widok na dachy okolicznych domów.

– Pod parasolem będzie chłodniej.

– Cudownie - powiedziała Remi, siadając do stołu.

Sam podszedł do krawędzi dachu dwupiętrowego budynku, by popatrzeć na jadące poniżej samochody. Nie zauważył ani białego SUV-a, ani żadnych podejrzanych pieszych. Zadowolony

wrócił do stolika. Humor dodatkowo poprawiał mu fakt, że siedząc na tarasie, pozostawali niewidoczni dla kogoś z poziomu ulicy.

Oczywiście zdawał sobie sprawę, że to nie powstrzyma ludzi Avery'ego od sprawdzenia wszystkich pobliskich restauracji, jeśli zauważą ich samochód zaparkowany za rogiem. Na wszelki wypadek wyciągnął z portfela studolarowy banknot.

– Melia, czy mogłaby nas pani ostrzec, gdyby ktokolwiek o nas pytał?

Odsunęła jego dłoń.

– To o wiele za dużo za taką drobną przysługę. Proszę zatrzymać pieniądze. Dam znać natychmiast, gdyby ktokolwiek o was pytał. A teraz proszę powiedzieć, na co mają państwo ochotę?

Sam wziął do ręki menu.

– Co może nam pani polecić?

– Z karty czy może spoza niej? - spytała z lekkim uśmiechem. - Proszę powiedzieć, co chcecie zjeść, a ja dopilnuję, abyście to dostali.

Ten typ restauracji zdecydowanie najbardziej im odpowiadał. Wkrótce spożywali ze smakiem specjalność jamajskiej kuchni, soczystego kurczaka na ostro, podawanego w marynacie z czerwonego pieprzu.

Zanim skończyli, Melia pojawiła się ponownie z wyrazem zatroskania na twarzy.

– Prosiłście o powiadomienie, gdyby ktokolwiek o was pytał?

– Tak - potwierdził Sam, wędrując wzrokiem ku drzwiom. - Co się stało?

– Było tak, jak pan mówił. Jakiś biały wszedł do środka i spytał, czy nie widzieliśmy mężczyzny w towarzystwie pięknej rudowłosej kobiety. - Uśmiechnęła się przepaszająco. - Oczywiście zaprzeczyliśmy. Może go pan sobie obejrzeć.

Skinęła na Sama, aby podszedł do balustrady, i wyciągnęła

rękę w dół.

– To ten przy rogu.

Sam wyjrzał za barierkę. Niski, krępy facet stał odwrócony do nich tyłem i rozmawiał przez komórkę. W odróżnieniu od pozostałych przechodniów, ubranych bez wyjątku w szorty lub bojówki i koszulki z krótkimi rękawami, miał na sobie czarne spodnie i skórzany płaszcz. To był Jak, ubrany tak samo, jak podczas napadu na antykwariat Pickeringa. Inny mężczyzna wyszedł właśnie z restauracji po przeciwnej stronie ulicy, rozejrzał się i nawiązał kontakt wzrokowy z Jakiem.

Sam cofnął się, żeby go nie zauważył.

– Macie stąd jakieś inne wyjście?

– Są schody pożarowe. - Wskazała przeciwległą stronę dachu. - Metalowa drabina, którą można zejść na podwórko.

– Jak dla mnie w sam raz. Co ty na to, Remi?

– Idziemy.

Sam zostawił na stole kilkaset dolarów. Melia zachnęła się.

– Było warto - powstrzymał jej protesty. - Proszę mi wierzyć.

Podeszli do drabiny. Podwórko i zaułek na tyłach restauracji były puste. Na dole, po obu stronach drabiny, stały dwa duże pojemniki na śmieci. Sam przełożył nogi poza krawędź dachu, stanął na drabinie i poczekał na Remi. Potem oboje zaczęli schodzić w dół.

– Szkoda tego niedokończonego lunchu - powiedział Sam, pokonując kolejne stopnie.

– W życiu nie jadłam lepszego kurczaka.

– Był doskonały, ale nie aż tak, by dać się zabić z jego powodu.

– Będziemy musieli przyjść tu jeszcze raz.

– Zanim zaczniemy robić plany na przyszłość, musimy się stąd wydostać.

Drabina kończyła się ponad metr nad ziemią. Sam zeskoczył z łatwością i czekał na Remi, ciesząc oczy miłym widokiem.

Nie uszło to jej uwagi.

– No wiesz co? Grozi nam śmierć z rąk bezlitosnych bandytów, a ty mnie podglądasz?

– Przynajmniej umrę szczęśliwy. - Chwycił ją w pasie i postawił na ziemi.

Remi wyrzała zza śmietników, rozglądając się w obie strony.

– Dokąd teraz?

Dobre pytanie. Jeśli ludzie Avery’ego zaczęli poszukiwania od miejsca, gdzie stało ich wypożyczone bmw, powinni znajdować się teraz po lewej.

– W prawo.

Kiedy doszli do końca zaułka, Sam wyrzał ostrożnie za róg i natychmiast się cofnął, widząc białego SUV-a prześladowców, skręcającego w tę ulicę. Dopadną ich za kilka sekund. Po przeciwnej stronie zaułka zauważył kilkoro wejść, prowadzących do wnętrza budynku. W drugim wejściu, licząc od nich, dostrzegł lekkie siatkowe drzwi, umożliwiające swobodny przepływ powietrza.

– Za mną - rzucił Sam i przebiegł przez zaułek, mając nadzieję, że drzwi nie będą zamknięte na zasuwkę.

Rozdział 23

Remi wpadła za Samem do wnętrza budynku. Siatkowe drzwi zamknęły się za nią z trzaskiem. Chwilę trwało, zanim ich oczy przywykły do półmroku panującego w korytarzu. Ruszyli dalej wzdłuż obskurnych szarych ścian pokrytych rysunkami i wydrapanymi imionami i nazwami miast, z których pochodzili autorzy napisów. Z każdym krokiem słyszeli coraz głośniejsze dudnienie reggae. Korytarz doprowadził ich do wnętrza przybytku, który dość znacznie różnił się od elitarnych lokali, w jakich zwykle bywali. Sądząc po malowniczej klienteli, Remi uznała, że jest to lokalny odpowiednik baru dla motocyklistów. Napotkali wzrok co najmniej ośmiu mężczyzn i dwóch kobiet, przyglądających im się znad otwartych butelek piwa. Ubrani byli w czarne skórzane kamizelki i koszulki bez rękawów, a krzepkie ramiona mieli pokryte tatuażami, w większości słabo widocznymi z powodu ciemnej karnacji ich właścicieli. Remi uśmiechnęła się z nadzieją, że nie wpadli z deszczu pod rynnę.

Sam wyciągnął z kieszeni garść pieniędzy i położył je z rozmachem na ladzie.

– Kolejka dla wszystkich, panie... - Tu zawiesił głos, spoglądając pytająco na barmana.

– Dla przyjaciół Jay-Jay - odparł mężczyzna ze śpiewnym akcentem. - A skoro masz taki gest, dobry człowieku, właśnie zostałeś jednym z nich.

Sam przedstawił się i podał barmanowi rękę, którą ten mocno uścisnął.

– Czy moja żona będzie tu bezpieczna? Będę musiał zostawić ją samą na krótką chwilę.

– Całkowicie bezpieczna. Masz moje słowo.

– Sprawdzę, czy droga do samochodu jest wolna. Zaraz wracam - powiedział Sam do Remi, po czym wyszedł frontowymi drzwiami, rozejrzawszy się przedtem w obie strony.

Remi popatrzyła na barmana, a potem na jego gości, którzy przyglądali się jej, popijając piwo. Sam znał się na ludziach i na pewno nie zostawiłby żony samej, gdyby miało jej coś grozić.

Tak czy inaczej, nie czuła się najlepiej, siedząc beczynn timer i czekając na niego.

– Przed kim uciekacie, śliczna damo? - spytał z uśmiechem Jay-Jay.

Obróciła się na stołku i spojrzała mu prosto w twarz. Miał długie dredy zebrane w koński ogon, a na sobie czarny T-shirt z logo harleya-davidsona. W jego oczach nie wyczytała żadnego zagrożenia i zdała sobie sprawę, że to samo musiał wcześniej zauważyć Sam.

– Jacyś faceci chcą nas zabić.

– Pewnie chodzi o tych dwóch białasów, którzy pytali, czy nie widzieliśmy dwojga Amerykanów. Kobieta miała być rudowłosa.

Remi poczuła się jeszcze bardziej bezbronna. Szkoda, że nie wróciła moda na chustki na głowach, pomyślała, i zwróciła się z pytaniem do barmana:

– Byli tutaj?

– Jakies dwadzieścia minut temu, ale o nic się nie martw, śliczna damo. Obiecałem twojemu mężowi, że włos ci z głowy nie spadnie. Czego się napijesz?

– Poproszę o wodę. - Woląa poczekać z alkoholem.

Barman napełnił szklankę i przesunął ku niej po kontuarze, a potem zaczął go dokładnie wycierać szmatą.

Remi umoczyła usta. Sekundy zmieniły się w minuty i coraz częściej spoglądała na drzwi w nadziei, że zaraz stanie w nich Sam. W końcu nie wytrzymała, podeszła do drzwi i wyjrzała na zewnątrz. Przed barem zauważyła kilka motocykli, ale ani śladu

Sama.

Barman podszedł do niej.

– Trzeba było mi powiedzieć, sam bym wyrżał. Na mnie nikt nie zwróci uwagi, w przeciwieństwie do ciebie.

Wyszedł na chodnik przed barem, wycierając dłonie ręcznikiem, jakby zrobił sobie krótką przerwę w pracy. Po chwili wrócił.

– Twój mąż zaraz tu będzie. Potrafi się nieźle ukrywać, ale na mnie to za mało.

Niecałą minutę później do baru wkroczył Sam. Kiedy podszedł do Remi, z trudem łapał oddech.

– Mamy problem.

– Jaki problem, przyjacielu? - spytał Jay-Jay, nalewając mu szklankę wody.

Sam napił się i pokazał głową w stronę drzwi.

– Ludzie Avery'ego... Widziałem ich samochód zaparkowany kawałek dalej. Jeden z nich wszedł do lokalu na końcu ulicy.

Jay-Jay skinął na motocyklistów siedzących przy stolikach blisko baru. Zerwali się z miejsc. Dwaj podeszli do drzwi wejściowych, a dwaj inni zniknęli w korytarzu prowadzącym na tyły.

– Po raz drugi pokazali się na naszej ulicy - powiedział Sam. - To mnie martwi.

Remi chwyciła torebkę, leżącą obok niej na kontuarze.

– Może uciekniemy tylnym wyjściem?

Sam pokręcił głową.

– Nie ma szans, abyśmy niepostrzeżenie przedostali się do samochodu. - Rozejrzał się po kobietach i mężczyznach, którzy zostali na sali. - Mam pewien pomysł...

Sam pochylił się do barmana i zaczął mówić szeptem. Remi nie mogła usłyszeć jego słów, zagłuszanych głośną muzyką.

Rozdział 24

Jay-Jay pokiwał głową, słysząc szczegółowe wyjaśnienia Sama, i zadał kilka dodatkowych pytań. Na koniec wybuchnął śmiechem i odezwał się:

– To świetny pomysł, przyjacielu. Ukryć się, pozostając na widoku. Pod warunkiem że znajdziemy ochotników. - Jego spojrzenie zatrzymało się na parce siedzącej przy szafie grającej.
- Antwan, pozwól tu do mnie ze swoją panią.

Kobieta i mężczyzna podeszli do baru. Jay-Jay zadał im pytanie:

– Chcielibyście mieć darmowe drinki przez cały tydzień?

– Za co? - spytał Antwan.

– Za pożyczenie nam kamizelek i kasków na kilka minut - wyjaśnił Sam.

Umowa została zawarta. Antwan i jego dziewczyna dali im skórzane kamizelki i kaski, a Jay-Jay położył na kontuarze kluczyki i przesunął je w kierunku Sama.

– Zaopiekujcie się dobrze moim motorkiem.

– Jak własnym - zapewnił go Sam.

– A tak przy okazji, potrafisz tym jeździć?

Sam zgarnął kluczyki.

– Jeśli coś mu się stanie, do końca dnia dostaniesz nowy egzemplarz.

– Nie ma potrzeby, staruszek jest jeszcze całkiem żwawy. To ten czarny harley, z tablicą rejestracyjną reklamującą mój bar.

Sam zerknął na elegancką torebkę Remi. Wyraźnie odcinała się od reszty wyposażenia. Jay-Jay szybko rozwiązał problem. Dał Remi plecak, w którym ją schowała. Jak się okazało, w samą

porę, bo jeden z motocyklistów stojących przy drzwiach oznajmił, że dwaj faceci właśnie wyszli ze sklepu po drugiej stronie ulicy i patrzą się na bar.

Jay-Jay kiwnął głową.

– Kto się chce przejechać?

Wszyscy wstali jak jeden mąż.

– Widzicie? - Jay-Jay rozjaśnił się. - Moi przyjaciele są waszymi przyjaciółmi.

– Jest jeszcze coś - rzucił Sam poważnym głosem. - Ci goście są uzbrojeni.

– Bez obawy - odparł Jay-Jay. - Billy potrafi zadbać o wasze bezpieczeństwo.

Rosły motocyklista rozchylił poły kamizelki. Pod jego lewą pachą Sam dostrzegł kaburę z pistoletem, a po prawej bojowy nóż z rękojeścią w formie kastetu. Billy przypuszczalnie nie był jedynym podobnie wyekwipowanym gościem baru, dlatego Sam poczuł ulgę, że wszyscy obecni uznali jego i Remi za swojaków.

Sam zwrócił się do barmana, wymieniając z nim uścisk dłoni:

– Potrafimy się odwdzięczyć za waszą pomoc.

– Absolutnie nie ma takiej potrzeby, choć byłoby to mile widziane. Trzymaj się ciepło, przyjacielu.

Sam włożył kask. Remi również, upychając w nim włosy. Oboje opuścili osłony i wyszli na zewnątrz w towarzystwie pozostałych motocyklistów. Remi usiadła na siodełku harleya za plecami Sama, który szybko uruchomił motor i wrzucił bieg.

Odjechali wszyscy z rykiem silników. We wstecznym lusterku Sam widział ludzi Avery'ego przechodzących przez ulicę i zmierzających do baru. Jeden z nich obejrzał się w ich stronę.

Nagle obaj rzucili się biegiem za nimi.

Zostali zdemaskowani. Stracili też przewagę na krótkim dystansie, dzielącym ich od samochodu. Będą musieli uciekać na motocyklu, czego Sam wcale nie planował.

Chyba żeby...

Zatrzymał motocykl obok białego SUV-a. Billy zawrócił i zahamował obok niego.

– Możesz mi pożyczyć na chwilę swój nóż? - spytał Sam.

Billy wyciągnął żelazo z pochwy i podał Samowi. Zgodnie z jego oczekiwaniem dwusieczna klinga była ostra jak brzytwa.

Remi ścisnęła go mocniej w pasie.

– Zbliżają się. Może lepiej użyć pistoletu?

– O nic się nie martw.

Sam pochylił się i wbił nóż w bok przedniej opony, po czym szarpnął go, poszerzając otwór.

Opona sflaczała z sykiem uchodzącego powietrza.

– Zyskamy trochę czasu - powiedział do Billy'ego, po czym zwrócił mu nóż. Po chwili jechali dalej.

Tuż przed skrętem za róg Sam obejrzał się za siebie. Ludzie Avery'ego stali obok SUV-a, jeden z nich ze złością uderzył pięścią w maskę.

Sam uśmiechnął się. Wreszcie coś im się udało. Odetchnął głęboko, ucieszony krótką przejażdżką harleyem do samochodu z wypożyczalni.

* * *

– Niewiele brakowało. - Remi pomachała na pożegnanie odjeżdżającym motocyklistom.

Sam ruszył z miejsca, zdenerwowany przebiegiem wypadków.

– O mały włos. Popełniłem błąd, zabierając cię tutaj.

Remi, która właśnie wyznaczała drogę do ich hotelu, uniosła głowę znad telefonu.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Postąpiłem głupio, przywożąc nas tutaj na lunch, skoro było niemal pewne, że tu będą.

– Jestem tak samo winna. Nawet nie próbowałam protestować.

– Powinienem to przewidzieć.

– A ja nie? - prychnęła Remi. - Po pierwsze, trudno było się spodziewać, że będą chodzić od drzwi do drzwi i o nas pytać. O wiele łatwiejsza i skuteczniejsza byłaby obserwacja naszego samochodu. Przynajmniej my byśmy tak zrobili na ich miejscu. Po drugie, wszystko dobrze się skończyło, więc przestań się obwiniać.

Miała rację z tym chodzeniem od drzwi do drzwi. Nie najlepiej świadczyło to o inteligencji ludzi Avery’ego, co nie znaczyło, że można ich było lekceważyć. Chociaż w drodze do hotelu nic się nie działo, oboje z Remi co chwilę patrzyli we wsteczne lusterka. Nie zauważyli białego SUV-a ani żadnego innego podejrzanego samochodu. Mimo to wymeldowali się ze swojego hotelu i pojechali do innego, gdzie wzięli pokój, podając zmyślane nazwiska. Sam skontaktował się z wypożyczalnią samochodów i poprosił o podstawienie innego auta. Nie zamierzał ułatwiać życia prześladowcom.

* * *

W pokoju hotelowym Sam położył telefon na szklanym blacie kawowego stolika, włączył tryb głośnomówiący i rozciągnął się na kanapie.

Selma odebrała po pierwszym dzwonku.

– Miałam nadzieję, że pan zadzwoni. Pomyślałam, że możecie być na obiedzie, i nie chciałam przeszkadzać.

– Zamówiliśmy jedzenie w room serwisie - odrzekł Sam. - Wolimy się za bardzo nie pokazywać po nieudanym wypadzie na lunch.

– Co się stało?

– Nadzialiśmy się na ludzi Avery’ego. Jechali za nami od wypożyczalni samochodów. Sądzę, że jeszcze nie znaleźli tego, czego szukają.

– Skąd pan wie?

– Inaczej nie zawracaliby sobie głowy polowaniem na nas. Mieli cały dzień albo nawet więcej na poszukiwania przed naszym przyjazdem. Gdyby zdobyli to, czego chcą, już by ich tu nie było.

– Może są małostkowi i chowają urazę - powiedziała Remi, siadając obok niego.

– Niewątpliwie - zgodził się Sam i zwrócił się z pytaniem do Selmy: - Czego właściwie szukamy?

– Manifestów okrętowych i rejestrów sądowych. Kiedy próbowaliśmy rozszyfrować mapę, Pete i Wendy szukali informacji o statku, który zatonął koło Wyspy Węży. Jak już wspominałam, z tego, co udało się nam odczytać, wynikało, że płynął w większej formacji, która wyszła z portu na Jamajce. Udało nam się zawęzić ramy czasowe. Powinniście szukać manifestów od 1694 do 1696 roku. Ustalenie, kto był właścicielem tej flotyli, powinno nas doprowadzić do prawdziwego koła szyfrującego. Przy odrobinie szczęścia może się ono znajdować na Jamajce.

– Gdzie znajdziemy potrzebne informacje? - spytał Sam.

– W archiwum państwowym w Kingston. Zaraz wyślę wam namiary.

– Dzięki, Selma. Pozdrów od nas wszystkich domowników.

Rozłączył się i uniósł kieliszek z winem.

– Za udane jutrzejsze poszukiwania.

Remi trąciła się z nim swoim kieliszkiem.

– Archiwum mieści się w ogólnodostępnym budynku. Powinna być tam ochrona i wszelkie środki bezpieczeństwa.

Błyskawica przecięła niebo, zalewając balkon upiornym światłem. Po kilku sekundach przetoczył się nad nimi dudniący odgłos gromu.

– Ostrzeżenie czy zły omen? - zapytała Remi.

Rozdział 25

Winton Page, adwokat Charlesa Avery'ego, siedział naprzeciwko swojego klienta i objaśniał znaczenie liczb w dokumentach, rozłożonych na blacie biurka. Było już późno, ale Charles miał za sobą pracowity dzień i dopiero teraz mógł spotkać się z prawnikiem. Chciał już mieć za sobą całe zamieszanie związane z rozwodem.

– Jaki z tego wszystkiego płynie wniosek? - spytał zniecierpliwiony.

– Bardzo prosty. Lepiej daj żonie tyle, ile żąda - odpowiedział Page. - W dłuższej perspektywie bardziej ci się to opłaci.

– Nie ma mowy. Nie dostanie ode mnie ani centa ponad to, co się jej należy. Sam zbudowałem od podstaw swoje imperium. Ona zajmowała się tylko wydawaniem zarobionych przeze mnie pieniędzy.

– I urodziła ci dwójkę dzieci.

– Które są takie same jak ona. Rozpuszczone, roszczeniowe bachory.

– Od tego jest testament. W tej chwili najpilniejszym problemem jest twoja żona.

Problem był poważny. Gdyby znalazł jakiś sposób na pozbycie się żony tak, aby nikt go o to nie podejrzewał, już dawno by to zrobił. Być może będzie musiał uciec się do tego, w zależności od rozwoju sytuacji. Na razie najpoważniejszym zagrożeniem było jej węszenie wokół jego finansów.

– Co z tym biegłym księgowym, którego rzekomo zaangażowała?

– To zależy. Jeśli w którymś miejscu popełniłeś jakiś błąd, z

którego nie zdajesz sobie sprawy, istnieje możliwość, że uda mu się dotrzeć przynajmniej do części twojego ukrytego majątku. Innymi słowy, to gra.

A więc coś, w czym sam uważał się za mistrza. Przez wszystkie lata działał bardzo ostrożnie. Co prawda żona zdawała sobie sprawę z jego kombinacji, ale mogła znać najwyżej połowę prawdy. Gdyby nie to, że Fargowie przeszkadzili mu w poszukiwaniach mapy, nie miałyby pojęcia o jego ostatnich posunięciach. To z ich powodu podjął kilka nierozważnych decyzji, doprowadzając tym samym do chwilowego niedoboru gotówki, dlatego musiał sięgnąć po środki zgromadzone na koncie żony.

Avery rzucił okiem na zegar, zastanawiając się, dlaczego Fisk nie dzwoni z meldunkiem z poszukiwań prowadzonych na Jamajce. Chodziło o informację, prowadzącą do koła szyfrującego. Spodziewał się, że do tej pory powinni już coś wiedzieć. Słuchając jednym uchem zrzędzenia Wintona na temat aspektów prawnych swoich poczynań, co chwilę zerkał na telefon.

Nareszcie. Chwycił słuchawkę i usłyszał głos sekretarki:

– Pańska żona...

– ...jest tutaj - dokończyła Alexandra, wpadając z hukiem do gabinetu. - Nie wiem, po co ona zawraca sobie głowę anonsowaniem. Tak jakbym potrzebowała pozwolenia na wejście do budynku, który w połowie jest moją własnością.

– W połowie twoją własnością? Co ty sobie...

– Spokojnie, kochanie. Pamiętaj, co doktor mówił o twoim ciśnieniu. - Wyjęła kopertę z torebki, którą cisnęła na kanapę. - Cześć Winton, widzę, że jak zwykle pracujesz z pełnym zaangażowaniem. Dostałeś już pozew w sprawie wpisów księgowych?

– Jaki pozew?

– Co ja wygaduję, przecież trzymam go w ręce. - Powachlowała

kopertą i oddała mu ją. - Oczywiście, to tylko kopia. Woźny sądowy dostarczy ci oryginał. Chciałam cię tylko ostrzec, z czystej przyzwoitości.

Page rozwinął pismo, a potem przesunął je po blacie biurka w stronę Avery'ego. Ten ledwie spojrzął na dokument, bo nie zamierzał dać Alexandrze satysfakcji, że udało się jej wyprowadzić go z równowagi.

- Czy to twój nowy rytuał? Zamierzasz codziennie wpadać do mnie do biura i mnie prowokować? A może po prostu cierpisz z braku towarzystwa?

- Przeciwnie, odkąd rozeszły się wieści o naszym rozwodzie, jestem wręcz rozrywana. - Wsparłszy się dłońmi o biurko, zawisła nad nim z lodowatym uśmiechem. - Gdybym się wcześniej zorientowała, jak bardzo obniżasz moją pozycję towarzyską, już dawno wystąpiłabym o rozwód.

- Szkoda, że tego nie zrobiłaś.

Popatrzyła na dokumenty rozłożone na biurku, a on natychmiast odwrócił je, aby nie mogła ich przeczytać. Jej wzrok powędrował na żółty blok do pisania, pokryty zapiskami, numerami telefonów i liczbami, które notował podczas dzisiejszych rozmów telefonicznych. Obróciła go w swoją stronę.

- Fargo? - zdziwiła się, widząc wzięte w kółko i podkreślone słowo. - Kupiłeś jakąś firmę w Dakocie Północnej? Chyba powinnam o tym powiedzieć mojemu prawnikowi.

Avery zabrał jej blok przed nosa i także odwrócił.

- Dostarczyłaś pozew. Zabieraj się stąd.

- Nie po to tu przyszłam. Chciałam cię poinformować, że mój prawnik wystąpił o zablokowanie twoich kont. Żebyś się nie zdziwił, kiedy bankomat odmówi ci wypłaty. - Tym razem jej uśmiech ociekał żrącym jadem. Poklepała notatnik, który wciąż przyciskał do blatu, po czym odwróciła się i zabrała torebkę z kanapy - Uważaj na siebie, Charles. Miło cię było zobaczyć, Winton.

Avery czekał z zaciśniętymi zębami, aż zamkną się za nią drzwi.

– Sam widzisz, co musiałem znosić przez te wszystkie lata.

– Chciała cię tylko wyprowadzić z równowagi.

– I udało jej się. - Avery wstał, nalał sobie drinka i po chwili uspokoił się na tyle, by zastanowić się nad tym, co powiedziała. - Czy ona może to zrobić? Zamrozić moje pieniądze?

– Przekonamy się o tym rano, kiedy otworzą banki. Jeśli jednak jej prawnik zdołał przekonać sędziego, że ukrywasz jakieś dochody, to odpowiedź jest twierdząca. Przypuszczam, że podsunął jej to biegły księgowy. Próbuje zmusić cię do jakiegoś ruchu, by zorientować się, skąd bierzesz pieniądze.

Avery zabrał szklankę i butelkę na biurko i usiadł na fotelu.

– Chce wojny, to będzie ją miała. Potrwa całe lata, bo nie zamierzam się poddawać.

– Możesz też zakończyć ją od razu, płacąc jej tyle, ile żąda.

– Nie.

Avery pociągnął długi łyk. Prędeż mi kaktus na dłoni wyrośnie, niż się na to zgodzę, pomyślał.

Zadzwonił telefon. To był Fisk. Nareszcie.

– Mam nowiny z Jamajki. Może nie do końca zgodne z pańskimi oczekiwaniami, ale wszystko da się naprawić.

Avery ścisnął szklankę w dłoni.

– Naprawić? Chcesz mi powiedzieć, że nie dotarliście do tych dokumentów?

– To też... W dodatku okazało się, że Fargo wie żyją.

Wstrząsnął nim gniew.

– Co, do jasnej, niespodziewanej... Jak to możliwe, że wymknęli wam się z rąk?

– Ostrzegalem, że to nie są przeciętniacy. Sam Fargo przeszedł intensywne szkolenie w DARPA, a być może także w CIA. Jego żona jest absolwentką Boston College... - Avery słyszał, jak Fisk wertuje jakieś papiery - ...ma dwa fakultety, z antropologii i

historii, specjalizowała się w badaniu starożytnych szlaków handlowych.

– To tłumaczy jej zainteresowanie skarbem, ale nie wyjaśnia, jak zdołała uciec.

– Chyba żeby uwzględnić jej wybitną inteligencję oraz to, że jest wyśmienitym strzelcem wyborowym.

– Co z tego? Czy ktoś na pokładzie „Golfinha” dał jej do ręki broń? Mam dość słuchania wymówek. Płacę ci za wyniki.

– Ktoś popełnił błąd. Już się tym zająłem.

– Byłem przekonany, że ekipa, która opanowała „Golfinha”, potrafi sobie poradzić z dwójką celebrytów, wtykających nosy w nie swoje sprawy.

– Jak już wspomniałem, winni zostali ukarani. Tymczasem wpadliśmy na trop Fargów. Moi ludzie śledzili ich od wypożyczalni samochodów w Kingston. Niestety, udało im się wymknąć. Zapewniam, że nie na długo.

– Zdaje się, że mówiłeś, że twoi ludzie na pewno ich załatwią.

– To prawda.

– Więc jak to możliwe, że dali się wywieść w pole dwójce wścibskich obieżyświatów? Z tego, co słyszę, wynika, że twoi fachowcy są nic niewarci.

– Fargowie to trudny przeciwnik.

Avery odstawił z hukiem szklanę na blat, rozchlapując whiskey.

– Twierdziłeś, że twoi ludzie poradzą sobie z nimi.

– Zapewniam, że to zrobią.

– Oby tak się stało. Masz mi dostarczyć te dokumenty i raz na zawsze załatwić sprawę Fargów. Jeśli twoi pomagierzy się do tego nie nadają, sam się tym zajmij. Płacę ci za rezultaty, nie za nieudolność.

– Zrozumiałem. Mam pewien plan. Skontaktuję się, jak doszlifujemy szczegóły.

Avery odłożył słuchawkę, chwycił szklanę i wychylił całą jej

zawartość.

– Domyślam się, że nie były to dobre wieści - powiedział Page.

– Wiesz co, Winton? Skup się na tym, żeby moja żona nie położyła łapy na moich pieniądzach, a tę sprawę zostaw mnie.

– Pamiętaj, że jeśli przeznaczysz na to jakieś dodatkowe fundusze, ich źródło może zostać wykryte.

– Zdaję sobie sprawę z ryzyka.

Page skinął głową i wstał.

– Jeśli to wszystko, to pozwól, że się oddalę.

Po jego wyjściu Avery nalał sobie kolejnego drinka. Jego wzrok padł na blok do pisania. Nazwisko Fargo raziło go w oczy. Oderwał kartkę, zmiażdżył ją i rzucił na podłogę. Nie wiedział, co go bardziej złości - Fargowie pakujący się w nie swoje sprawy czy żona, próbująca puścić go z torbami.

Dla takich jak ta trójka śmierć to za mało.

Zawahał się przez chwilę. Czy rzeczywiście pragnął śmierci Alexandry?

Właściwie tak. Może i była matką jego dzieci, ale nie chciał mieć kontaktu ani z nią, ani z nimi. W stu procentach wdały się w matkę. Teraz był już pewien, że musi możliwie jak najszybciej pozbyć się Alexandry. Pytanie, jak to zrobić, by nikt nie powiązał go z jej śmiercią?

Wszystko po kolei. Najpierw Fargowie. Godzinę później zadzwonił Fisk.

– Tym razem mam dobre wieści...

Rozdział 26

Remi i Sam wstali wcześniej rano i pojechali do archiwum, sprawdzwszy uprzednio godziny pracy tej instytucji. Sam zostawił Remi przy wejściu, by się najpierw rozejrzeć, zanim razem pójdą dalej.

Remi przebiegła wzrokiem tablicę informacyjną i znalazła dział rejestrów. Wewnątrz panował ożywiony ruch, pracownicy krążyli po korytarzach w wielkim pośpiechu, nie zwracając na nią uwagi. Brunetka w jasnożółtej bluzce z turkusową wstążką we włosach położyła na ladzie stos tekturowych teczek i zabierała się do odejścia.

– Przepraszam - zaczęła Remi. - Czy pani pracuje w dziale rejestrów?

– Tak. - Brunetka podniosła na nią wzrok. - Czy nikt się panią nie zajął?

– Jeszcze nie - powiedziała Remi z uśmiechem.

– Proszę nam wybaczyć. Wszystko przez tę burzę. Całą noc wyły alarmy, woda dostała się do budynku. Dlatego uwijamy się jak w ukropie. Mniejsza z tym. Jak mogę pani pomóc?

– Chcielibyśmy przejrzeć stare manifesty okrętowe.

– My?

– Jestem z mężem. Za chwilę powinien do mnie dołączyć.

Kobieta sięgnęła pod ladę i podała jej formularz.

– Jesteście naukowcami?

– Tak.

– Proszę to wypełnić. Za chwilę do pani wrócę.

– Dziękuję.

Remi kończyła wypełniać formularz, kiedy pojawił się Sam.

- Chyba nie ma żadnego zagrożenia. Udało ci się czegoś dowiedzieć?
- Wszystko się ślimaczy. Podobno burza spowodowała jakies zniszczenia.
- Przynajmniej działa klimatyzacja. Po nocnej ulewie cała wyspa zamieniła się w saunę.
- Wróciła pracownica archiwum i rzuciła okiem na formularz.
- A zatem interesują was manifesty okrętowe?
- Tak - przytaknęła Remi. - Może pani wie, czy ktoś inny pytał o ten sam okres?
- Nie, jesteście pierwsi - odpowiedziała i zaprowadziła ich do regału, od którego mieli zacząć poszukiwania. - Dokumenty uporządkowane są chronologicznie. Powinniście znaleźć bez trudności to, co was interesuje, choć czasem zdarza się, że niektóre roczniki ktoś odłoży na niewłaściwą półkę.
- Dzięki - rzuciła Remi, mając nadzieję, że nie przytrafi się to akurat im. Zasoby liczyły kilkaset tomów, więc jeśli ktoś coś pomieszał, poszukiwania mogły okazać się kłopotliwe.
- Sam zaczął od końca, a Remi od początku. Po jakimś czasie spotkali się w środku drogi.
- Często tu pani bywa? - spytał Sam.
- Dobrze, że nie próbowałeś mnie poderwać na taki tekst, kiedy po raz pierwszy spotkaliśmy się w klubie Lighthouse.
- Sądziłem, że użyłem wtedy dokładnie tych samych słów - zdziwił się Sam.
- W takim razie musiałam nie dosłyszeć, bo w życiu nie umówiłabym się z tobą na drugą randkę - powiedziała, omijając go. - Nie natrafiłam na nasze roczniki.
- Sam popatrzył z uwagą na półki.
- Czyżby brakowało akurat tych tomów, które są nam potrzebne?
- Właśnie zadałam sobie to samo pytanie.
- Sprawdź to, co ja przeglądałem, a ja sprawdzę po twojej

stronie.

Niestety, rezultat był ten sam.

Sam zaczął sprawdzać inną półkę, choć stały tam roczniki spoza interesującego ich okresu. Remi jeszcze raz przejrzała półki, które już sprawdzali, wyciągając poszczególne tomy, aby upewnić się, że nie zostały błędnie oznakowane.

– Nic z tego - oznajmił Sam. - Czy to cię nie zastanawia?

– Chyba coś jest na rzeczy. - Odłożyła książkę na półkę i wyciągnęła kolejną. Przejrzała już tomy z kilku stuleci, ale żaden nie odnosił się do interesującego ich okresu. Po godzinie poszukiwań w jej głowie zaświtała pewna myśl.

– Sam... Dlaczego nie obserwuje nas żaden ze sługusów Avery'ego?

– Czekają, aż znajdziemy informacje, aby je nam potem ukraść.

– A może... - Przerwała na widok tej samej pracownicy archiwum, pchającej przed sobą wózek. Kobieta spojrzała na nich, wyraźnie zdziwiona.

– Ciągłe szukacie?

– Nie ma tu tych materiałów - odrzekła Remi.

– Niemożliwe. Który to rok?

– Od tysiąc sześćset dziewięćdziesiątego czwartego do dziewięćdziesiątego szóstego.

Kobieta sprawdziła półki, które już przeszukali.

– Pewnie ktoś pomylił się przy odkładaniu...

Po chwili się wyprostowała.

– Zaraz, widziałam stertę tomów na jednym ze stołów w czytelni. Sądziłam, że ktoś nad nimi pracuje, dlatego ich nie sprzątnęłam. Może tam są brakujące roczniki.

Pokazała im drogę. Faktycznie, na stole leżało kilka woluminów, jeden w pewnym oddaleniu od pozostałych.

Sam podszedł bliżej, zerknął na okładkę, a potem na grzbiet.

– To chyba ten.

– Nareszcie.

Remi stanęła obok niego, patrząc, jak przewraca kolejne karty. Nie śmiała wypowiedzieć na głos swoich podejrzeń co do tego, dlaczego akurat ten tom leżał osobno. Po chwili Sam znalazł interesujący ich wpis.

– Było prowadzone dochodzenie.

– Czego dotyczyło?

– Urowadzenia „Mirabel” w czerwcu 1696 roku.

– Doskonale. Dowiemy się, kto był jego właścicielem. To musi być wspomniane w tym dokumencie.

– Jeśli zdołamy przebrnąć przez ten protokół - odrzekł Sam, podsuwając księgę w jej stronę.

Odręczne, ozdobne pismo utrudniało czytanie.

– Szkoda, że nie ma odpisu wydrukowanego standardową czcionką.

– Popatrz tutaj. - Sam wskazał jej akapit poniżej na stronie. - Zeznanie marynarza, który został porwany na Madagaskarze i trafił na pokład „Fancy”, dowodzonej przez Henry’ego Bridgema. Najpierw dopłynęli na Jamajkę, a stąd wzięli kurs na New Providence... Kiedy przybyli do Nassau, przedstawili się jako interloperzy, ścigani przez Kompanię Wschodnioindyjską, dzięki czemu zezwolono im wejść do portu.

– Interloperzy?

– O ile mnie pamięć nie myli, tak nazywano nielicencjonowanych handlarzy niewolników - wyjaśnił Sam. - Łamali monopol Kompanii Wschodnioindyjskiej na niewolnictwo.

– Bridgeman był handlarzem niewolników.

– A także piratem.

– A więc to on był właścicielem tego, czego szukamy?

– Nie - zaprzeczył Sam, wodząc wzrokiem po dalszej części tekstu. - Bridgeman oddał „Fancy” gubernatorowi Trottowi, jako część łapówki za możliwość skorzystania z bezpiecznej

przystani. Trott wyparł się jakiejkolwiek wiedzy o statku i znajomości z Bridgemanem, ale ten marynarz twierdzi, że część jego ładunku została skradziona, zanim Trott wszedł w jego posiadanie. Złodziej umknął na pokładzie „Mirabel”, która zaraz potem zatonięła koło Wyspy Węży. Dalej robi się jeszcze ciekawiej...

– Co takiego?

– Bridgeman był ścigany przez brytyjską flotę wojenną. Konkretnie tropił go komandor... - tu Sam przewrócił kartkę. - Brak.

– Komandor Brak? Czy brak dalszych informacji? - spytała Remi, pochylając się nad księgą. - To chyba właściwy tom, prawda?

– Brakuje kilku stron.

Przesunął palcem po postrzępionych brzegach w miejscu, skąd wyrwano kartki.

Remi popatrzyła na Sama. Jej podejrzenia przybrały na sile.

– Zdaje się, że ta kobieta mówiła coś o alarmach, włączających się ostatniej nocy.

– Zapewne nie miały one nic wspólnego z burzą.

– Straciliśmy tylko czas.

– Pokażmy ten tom obsłudze. Może będą pamiętać, kto ostatnio przeglądał tę księgę.

Kiedy podeszli do lady, pracownica spojrzała na nich pytającym wzrokiem.

– Coś nie tak?

Sam podał jej księgę.

– To jest ten tom, wszystko się zgadza. Niestety, brakuje kilku kartek, właśnie tych, na których nam zależało.

– Jak to brakuje? Nie rozumiem.

– Zostały wyrwane.

– Po co ktoś miałby to robić? Przecież na życzenie wykonujemy kserokopie.

– Nie przypomina sobie pani, aby ktoś pytał o ten konkretny tom?

– Ostatnio na pewno nie - powiedziała i w tym momencie zadzwonił jej telefon. - Pewien historyk szukał manifestów do zbiorów muzeum Kings Royal Nava Dockyard, ale to było kilka lat temu. Przepraszam na chwilę. - Odebrała telefon. - Archiwum... Oczywiście. - Nie rozłączając się, zwróciła się do Remi i Sama. - Czy macie jeszcze jakieś pytania? Muszę odebrać tę rozmowę.

– To wszystko, dziękujemy.

Ruszyli do wyjścia. Sam otworzył drzwi i stanął jak wryty. Remi omal nie wpadła mu na plecy.

– Mamy towarzystwo. - Wskazał ruchem głowy na parking. Remi dostrzegła białego SUV-a i jednego z mężczyzn z magazynu. Wpatrzony w ekran telefonu szedł, wyraźnie kulejąc, do drzwi kierowcy.

Sam wciągnął Remi do lobby.

– Co teraz?

– Poszukamy innego wyjścia. - Znaleźli boczne drzwi. Sam otworzył je i wyjrzał. - Czysto.

Poszli w kierunku przeciwnym do parkingu, skręcili za róg i stanęli oko w oko z Jakiem Stanislavem, człowiekiem, który obrabował antykwariat. Stał z rękami w kieszeniach skórzanego płaszcza, wykrzywiając usta w złośliwym uśmiechu.

Sam zatrzymał się pomiędzy Jakiem a Remi.

– Co za spotkanie.

– Właśnie - odrzekł Jak, wyciągając z kieszeni pistolet. - Teraz zrobicie w tył zwrot i pójdziecie grzecznie do samochodu, gdzie czekają moi przyjaciele.

– Pójdziemy albo nie - burknął Sam.

– Łapy do góry, bo zastrzelę was od razu.

Sam z ociąganiem zastosował się do polecenia. Nagle uderzył Jaka prawą ręką w twarz, a lewą podbił mu dłoń z pistoletem. W

mgnieniu oka odebrał mu broń i rzucił go na ścianę budynku, po czym przystawił mu lufę do głowy.

Remi nie zdążyła w żaden sposób zareagować, ale w tym samym momencie poczuła lufę pistoletu między łopatkami. Obejrzała się przez ramię. Wysoki mężczyzna spoglądał na nią z góry.

– Powiedz mężowi, żeby dał sobie spokój.

A więc było ich więcej.

– Sam...

Sam odwrócił się i ujrzał człowieka z pistoletem wycelowanym w Remi. Opuścił broń, oddał ją Jakowi i uniósł ręce nad głowę.

Jak uśmiechnął się szyderczo.

– Sam widzisz, że lepiej zrobić to po mojemu. Swoją drogą mądra decyzja, bo Ivan to raptus.

Chwilę później przy krawężniku obok nich zatrzymał się biały SUV. Jak skinął głową w kierunku auta.

– Pakujcie się do środka.

Szanse wzrosły, ale Sam nie ruszył się z miejsca.

– Równie dobrze mogę zastrzelić was tu, na ulicy - odezwał się Ivan. - Najpierw twoją żonę. Na tylne siedzenie, Fargo. Ale już.

– Do samego końca - polecił Jak.

Sam wsiadł i przesunął się pod przeciwne drzwi.

– Teraz ty. Siadaj pośrodku - rozkazał Jak, trzymając Remi na muszce.

Zrobiła, co kazał. Jak usiadł obok niej, z lufą pistoletu wbitą w jej bok.

– Zapiąć pasy.

Oboje przypasali się do siedzenia.

– Boisz się, że podwyższą ci składkę na ubezpieczenie, jeśli nam się coś stanie? - zakpił Sam.

Ivan zajął miejsce obok kierowcy i odwrócił się do niego.

– Jakie ubezpieczenie?

– Dokąd nas zabieracie? - spytał Sam.

– Na przejazdzkę.

Remi chwyciła Sama za rękę. Poczowała, jak jego palce zaciskają się wokół jej dłoni.

Droga przed nimi rozwidlała się. Pojechali w lewo, gdzie panował wyraźnie mniejszy ruch. Ostrymi zakosami wspinali się pod górę. Kierowca zwolnił, z trudem utrzymując szerokiego SUV-a na wąskiej drodze.

Jak wykręcił szyję.

– Wystarczy. Zatrzymaj tutaj.

Milczący kierowca zjechał na wąską mijankę z boku drogi. Wysiadł, otworzył drzwi od strony Sama i skinął na nich pistoletem.

Remi zaczęła, aż Sam wysiadzie, i poszła w jego ślady. W chwili, kiedy dotknęła stopami ziemi, owionął ją gorący oddech dżungli. Bujna zieleń ociekała wilgocią po nocnej ulewie. Wysoka wilgotność powietrza uniemożliwiała parowanie. Strumyki wody łączyły się w rzeczulkę, która przecinała drogę i spływała w dół po stromym zboczu.

Jak wycelował w nich pistolet.

– Stańcie na krawędzi drogi.

– Skoro i tak nas zabijesz, pozwól mi chociaż pocałować żonę - powiedział Sam.

– Byle szybko.

Sam podszedł do Remi, wsuwając rękę pod swoją kamizelkę.

– Zdaje się, że wakacje będą musiały poczekać.

Remi spróbowała się uśmiechnąć.

Sam obrócił się i uniósłszy rewolwer w oburęcznym uchwycie, strzelił kierowcy w sam środek czoła.

Rozdział 27

Wypalił jeszcze dwukrotnie do pozostałych bandytów, ale chybił, bo nagle jego nogi zawisły w powietrzu.

Oboje z Remi zrobili bezwiednie krok w tył, a grząskie podłoże na krawędzi drogi osunęło się pod ich ciężarem. Stracili równowagę i zaczęli zjeżdżać w dół po stromym zboczu.

Sam widział tylko na przemian brązowe i zielone plamy, gdy sunął na łeb na szyję z coraz większą szybkością. Remi zniknęła mu z oczu. Zaczął czepiać się rękami gałęzi i korzeni, próbując spowolnić spadanie.

Z góry dobiegł go huk kilku wystrzałów. Spłoszone ptaki z wrzaskiem zerwały się do lotu. Spostrzegł pędzące mu naprzeciw zwalone drzewo. Skulił się i odruchowo napiął mięśnie, oczekując miażdżącego uderzenia. Zamiast tego poczuł, jakby wbił się w jakąś breję, która zastopowała jego zjazd. Stwierdził zdziwiony, że cały jest pokryty szlamem, w jaki zamienił się pień drzewa, rozkładający się przez całe lata w podmokłym lesie. Otarł twarz z tego paskudztwa i pomacał się po ciele, sprawdzając, czy jest w miarę cały. Minęła dłuższa chwila, zanim zaczął tu i ówdzie odczuwać ból. Na szczęście przegniłe drzewo złagodziło uderzenie i niczego sobie nie złamał.

– Ty idioto! - usłyszał z góry krzyk Ivana. - Pozwoliłeś im uciec!

– Nie ma mowy, aby przeżyli upadek - odparł Jak. - Albo to.

Otworzył ogień, a każdy wystrzał przyprawiał Sama o drżenie serca z obawy o Remi.

W końcu Jak wystrzelał wszystkie naboje.

– Widzisz coś? - spytał Ivan.

– Ni cholery. Złaz na dół i upewnij się, że nie żyją.

– Jeszcze czego? - burknął Ivan. - Żebym sobie skręcił kark? Lepiej zjedźmy i obejrzymy zbocze z dolnego odcinka drogi.

– Co z Lorenzem? - zapytał Jak. - Zostawimy go tak?

– Zrzuć go ze skarpy. Niech zgnije razem z Fargami.

Przeturlali zabitego poza krawędź drogi. Sam słyszał, jak ciało toczy się przez zarośla. Zawarczał silnik SUV-a. Auto skierowane było pod górę, więc musieli pojechać naprzód i znaleźć szerszą mijankę, żeby zawrócić.

– Remi?! - zawołał ostrożnie.

– Jestem tutaj.

Głos dobiegał z miejsca oddalonego o jakieś trzy metry w dół. Westchnął z ulgą i dopiero wtedy zorientował się, że cały czas wstrzymywał oddech.

– Jesteś cała?

– Trochę podrapana, ale wciąż w jednym kawałku.

– Szukają odpowiedniego miejsca, żeby zawrócić.

– Widzę drogę pod nami. Jest całkiem blisko.

– Idę do ciebie. Może uda się nam przejść na drugą stronę, zanim się pojawią. Będą nas szukać powyżej, a nie poniżej drogi.

Odsunął się od zgniłego pnia, na którym się zatrzymał, i rozejrzał za swoją bronią. Zauważył rewolwer jakieś dwa i pół metra w górę zbocza, do połowy zagrzebany w błocie. Śliskie podłoże utrudniało wspinaczkę. Osuwał się kilka razy, aż wreszcie, stąpając po korzeniach roślin jak po stopniach, zdołał go dosięgnąć. Zejście do Remi było jeszcze trudniejsze. Kiedy w końcu znalazł się obok niej, starł jej z twarzy warstwę błota. Podobnie jak on pokryta była rozkładającą się ściółką leśną.

– Nie chciałabym robić tego jeszcze raz.

– W każdym razie nie w najbliższej przyszłości.

Sam popatrzył w górę, na miejsce, z którego spadli, i spostrzegł smugi, jakie zostawili na zboczu, zjeżdżając w dół. Były wyraźne i prowadziły do miejsca, w którym się znajdowali.

– Musimy schodzić ostrożnie i nie zostawiać śladów.

Spojrzała tam, gdzie patrzył Sam.

– Masz jakiś pomysł?

Mieli co najmniej sześć metrów do dolnego odcinka drogi.

– Pójdę pierwszy. Idź po moich śladach.

Półtora metra niżej leżał kolejny zwalony pień. Spadek był tu nieco łagodniejszy niż nad nimi. Skoczył, wylądował w korzeniach i odwrócił się do Remi.

– Teraz ty.

Skoczyła. Chwycił ją w pasie i postawił obok siebie. W ten sposób, wykorzystując drzewa i paprocie do zamaskowania śladów, schodzili w dół. Półtora metra nad drogą Sam się zatrzymał. Usłyszał w górze warkot SUV-a.

– Jadą - powiedziała Remi.

W końcu dotarli do drogi, przeszli na drugą stronę i stanęli na krawędzi. Zbocze było równie strome, jak to, z którego właśnie zeszli. Nie wolno im było zostawić śladów. Jakies trzy metry niżej Sam zauważył kępę dużych paproci, w której mogliby się ukryć. Skacząc po korzeniach drzew, dotarli do zbawczych roślin w momencie, kiedy SUV zatrzymał się nad nimi.

Schowali się pod pierzastymi liśćmi. Rozległ się odgłos otwieranych drzwi, a potem kroków na drodze.

– Widzisz ich? - spytał Ivan.

– Tam - odparł Jak.

– Nic nie widzę.

– Na samej górze koło drogi. Widać, którędy spadali. Zostawili wgłębienia jak tory bobslejowe.

– Tak, teraz widzę. Ale ślady się kończą. Może gdzieś się schowali?

– Równie dobrze mogą być martwi. Przecież mogłem ich trafić.

Sam rozsunał liście, tylko odrobinę, aby móc dostrzec dwie sylwetki na drodze w odległości niecałych czterech metrów. Obaj mężczyźni mieli w dłoniach pistolety. Byli odwrócony tyłem

do nich i wpatrywali się w zbocze. SUV stał obok, z otwartymi przednimi drzwiami.

Pokusa była ogromna, jednak Sam się nie zdecydował. Nie mieli praktycznie żadnych szans powodzenia. Nawet gdyby udało im się bezszelestnie dotrzeć do drogi, byłiby pozbawieni jakiegokolwiek osłony. Można by było zaryzykować, gdyby bandyci nie mieli broni. Sam porzucił tę myśl na widok Jaka, kierującego pistolet w miejsce, w którym byli chwilę wcześniej.

Nagle poczuł, że leżąca obok niego Remi drgnęła. Odwrócił się i ujrzał grubego węża boa, sunącego po jej nodze.

– Nie ruszaj się - szepnął, nie odrywając wzroku od gada. Wąż popełznął dalej, nie zwracając na nich uwagi.

– W górze nic nie widać - oznajmił Jak, a potem odwrócił się i popatrzył w dół. Nagle zaczął strzelać. Kule świsnęły im nad głowami. Nagły zastrzyk adrenaliny pobudził serce Sama do galopu.

– Coś tam jest. Widziałem.

Po kilku sekundach ciszy Sam usłyszał kroki dwóch mężczyzn i chrzęst ich podeszew na pokrytej żwirem krawędzi drogi.

– Co to jest? - spytał Ivan. - Słyszysz to?

Sam też usłyszał. Odgłos przypominał delikatne stukanie. Początkowo dochodził gdzieś spoza nich, a po chwili słychać go było wszędzie. Zorientował się, że to deszcz. Krople padały coraz gęściej, zalewając ich wodą.

– Nic nie widzę - powiedział Jak po chwili. - Zabierajmy się stąd.

– A co z Fargami?

– Nawet jeśli przeżyli, powrót zajmie im kilka dni. Nikt nie jeździ tą drogą.

Mężczyźni wsiedli do SUV-a. Sam obejmował Remi jeszcze długo po odjeździe ludzi Avery'ego.

Wreszcie Remi poruszyła się.

– Mówiłam ci, że nienawidzę węży?

– Dobrze, że nie był głodny. - Sam uniósł się na łokciu i spojrzał w dół. Spadek był bardziej stromy niż zbocze, z którego zeszli. Począł jeszcze chwilę, widząc SUV-a zjeżdżającego zakosami ze wzniesienia. Wolał się upewnić, że bandyci pojedą dalej, nie zatrzymując się.

Odwrócił się na plecy i popatrzył na korony drzew. Na twarzy czuł rozbryzgujące się krople deszczu.

– Nie byłem pewny, czy tym razem wyjdziemy z tego cało.

Remi leżała na boku, podpierając głowę ramieniem.

– Ja nie miałam żadnych wątpliwości, nawet przez chwilę.

– Nawet wtedy, gdy przespacerował się po tobie wąż?

Usiadła i rozejrzała się z wyraźną trwogą.

– To nie było zabawne.

Remi zaczęła drzeć, bardziej z powodu obniżającego się poziomu adrenaliny niż chłodnego deszczu. Sam wiedział, że ruch dobrze jej zrobi.

– Musimy iść - ponaglił ją i pomógł jej stanąć.

Pomagając sobie nawzajem, wspięli się z powrotem na drogę. Sam wyciągnął komórkę i popatrzył na ekran.

– Czyżby nie było zasięgu?

– To akurat dobrze. Pomyśl, co by się stało, gdyby ktoś zadzwonił do nas, kiedy siedzieliśmy w ukryciu.

– Słuszna uwaga.

Remi wzięła go za rękę i ruszyli drogą w dół.

– Jak sądzisz, ile czasu zajmie nam powrót?

– Nie jestem pewien - odrzekł. - Przynajmniej mamy z górki.

– To mi się w tobie podoba, Fargo. Zawsze jesteś pełen optymizmu - westchnęła. - Byliśmy już tak blisko... a teraz wracamy z niczym.

– Za to w dobrym towarzystwie.

Uśmiechnęła się, opierając głowę na jego ramieniu.

Po godzinie deszcz zelżał, ale i tak przemokli do suchej nitki. Ubrania kleiły im się do skóry. Przeszli już z pięć albo sześć

kilometrów, ale wciąż nie widzieli końca krętej górskiej drogi.

Kiedy w końcu dotarli do rozwidlenia, w którym droga odchodziła od szosy, Sam zatrzymał się w obawie, że ludzie Avery ego mogli się tu na nich zaciąć.

– Poczekaj tu - powiedział do Remi i poszedł naprzód, aby się rozejrzeć. Nie zauważył niczego niepokojącego i dał jej znak, że może do niego dołączyć. - Trzymajmy się pobocza, na wypadek gdyby gdzieś tu na nas czekali.

Kilka minut później Sam sprawdził telefon. Niestety, wciąż nie mieli zasięgu. Zawiedziony schował komórkę do kieszeni i wtedy usłyszał nikły, ale narastający dźwięk opon toczących się po asfalcie.

– Słyszysz? Jakiś samochód zjeżdża z góry na luzie.

Mogły być tego dwie przyczyny. Albo ktoś miał problemy z samochodem, albo nie chciał, żeby zbyt wcześnie go usłyszano.

Ta druga możliwość zaniepokoiła Sama. Chwycił Remi za rękę i pociągnął ją w zarośla.

Rozdział 28

Sam jeszcze przed chwilą cieszył się, że przestało padać, a teraz zatęsknił za gwałtowną ulewą, która ograniczyłaby widzialność i pozwoliła im wtopić się w tło.

Niestety, po deszczu pozostało już tylko wspomnienie i woda kapiąca z drzew. Chwilę później samochód zbliżył się do nich. Sam wyrzwał spomiędzy liści i stwierdził, że z góry zjeżdża pokryty błotem żółty jeep CJ5 z lat siedemdziesiątych zeszłego stulecia. Auto wciąż toczyło się na luzie. Sam nie zamierzał się ruszyć, póki się nie upewni, kto jest w środku. Nie mógł wykluczyć, że samochód został uprowadzony przez ludzi Avery'ego. Kiedy zrównał się z nimi, silnik zaskoczył i pojazd wyrwał do przodu.

Nie było w nim ich prześladowców.

Sam zerwał się na równe nogi i ślizgając się w błocie, wypadł na drogę.

– Na pomoc! - zawołał, wymachując rękami. - Tutaj!

Remi również darła się i wymachiwała energicznie, ale jeep dojechał już do zakrętu, zwolnił, zaświeciły światła stopu. Za późno, pomyślał Sam. Kierowca zapewne nie widział ich i nie słyszał. Nagle auto zatrzymało się i zaczęło się cofać.

Za kierownicą siedział wysoki, siwowłosy mężczyzna z kozią bródką. Kiedy opuścił boczną szybę, dostrzegli wyraźne zaniepokojenie w jego zielonych oczach.

– Chcecie się zabrać?

– Bardzo chętnie - potwierdził Sam.

– O ile nie przeszkadza panu błoto - dodała Remi.

Mężczyzna się roześmiał.

– Nie jest to zabytkowy krążownik szos, trochę błota mu nie zaszkodzi. Wsiadajcie szybko, bo znów zaczyna padać.

Przeszli na drugą stronę auta. Remi wołała usiąść z tyłu, więc Sam przytrzymał jej drzwi, a potem zajął miejsce obok kierowcy.

– Dzięki. Jesteśmy bardzo wdzięczni.

– Nie ma sprawy. Silnik mi zgasł, kiedy musiałem ostro przyhamować. Przeklęty boa napatoczył się na środku drogi. Dobrze, że było z górki. - Mężczyzna popatrzył na Sama, a potem znów na drogę. - Nie spotkałem jeszcze turystów na tym odludziu.

– Nie znaleźliśmy się tu z własnej woli. Kilku bandytów porwało nas z Kingston.

– Okradli was? W którym miejscu w Kingston to wam się przytrafiło?

– Koło archiwum państwowego. Został tam nasz samochód.

Kierowca znów popatrzył na Sama.

– Rzadko się zdarza, żeby porywano turystów z budynków użyteczności publicznej.

– Nieważne. Dostali to, czego chcieli, a my wyszliśmy z tego cało. Tylko to się liczy.

Remi położyła Samowi dłoń na ramieniu.

– Otóż to.

– Mieszka pan na Jamajce? - spytał Sam po dłuższej chwili milczenia.

– Nie. Przyjechałem w odwiedziny do przyjaciela. Jest właścicielem plantacji kawy. Trzymam tu tego starego jeepa, żeby mieć czym do niego dojechać. W porze deszczowej drogi robią się grząskie.

Przez resztę drogi rozmawiali o uprawie kawy, a potem o najlepszych miejscach do wędkowania na wyspie.

Kiedy zatrzymali się na parkingu obok ich samochodu, Sam przezornie rozejrzał się, ale nie dostrzegł śladu bandytów. Podziękowali uprzejmemu kierowcy. Remi zaproponowała, że

zwrócić mu za benzynę, ale on tylko machnął ręką.

– I tak musiałem tu przyjechać po nową prądnicę. Ale pozwólcie, że zaspokoję swoją ciekawość. Czego szukaliście w archiwum?

– Manifestów okrętowych z siedemnastego wieku - odparł Sam. - Niestety, ten, na którym nam zależało, został skradziony.

– No cóż, w takim razie życzę powodzenia. - Wrzucił bieg i ruszył, ale nagle zahamował i wychylił się przez okno. - Nie wiem, czy to się wam do czegoś przyda, ale tak mi przyszło do głowy. Zajrzyjcie do muzeum morskiego Fort Charles w Port Royal. Mają tam sporo ciekawych eksponatów.

– Dzięki za wskazówkę - odpowiedział Sam. Podziękowali mu jeszcze raz, a kiedy odjechał, zdali sobie sprawę, że nawet nie wiedzą, jak się nazywa.

Wycieczka do Port Royal musiała poczekać do rana. Teraz zamierzali wziąć solidny prysznic, zjeść coś ciepłego i porządnie się wyspać. Jadąc do hotelu, Sam wykonał kilka manewrów, aby zgubić ewentualnych prześladowców, i uspokoił się dopiero w swoim pokoju.

Tak się szczęśliwie złożyło, że w pokojowym minibarze stała butelka argentyńskiego merlota. Sam napełnił dwa kieliszki. Jeden podał Remi, a swoim wzniosł toast:

– Za wyjście cało z opresji i za dobrego samarytanina.

Remi trąciła się z nim.

– I za to, abyśmy jutro znaleźli to, czego szukamy w Port Royal.

* * *

Port Royal, cieszące się niegdyś wątpliwą sławą najpodlejszego miasta na Ziemi, obecnie było niewielką, spokojną wioską rybacką. Zostało założone przez Hiszpanów, ale w 1655 roku wpadło w ręce Anglików. Silnie ufortyfikowane miasto stało się jednym z najprężniejszych ośrodków handlowych świata dzięki

niezbyt legalnym związkom z piratami i różnymi przestępcami z terenu Małych Antyli. Okres prosperity gwałtownie przerwało potężne trzęsienie ziemi w 1692 roku, na skutek którego większą część miasta pochłonęło morze. Ruiny niegdyś metropolii wciąż znajdują się pod wodą, pograżone w trzystuletniej warstwie piasku i mułu.

Jedną z nielicznych ocalałych budowli jest Fort Charles, będący obecnie siedzibą muzeum morskiego. Remi i Sam kupili bilety wstępu i przekroczyli bramę ceglanej twierdzy. Pomiedzy jej murami buszował słonawy, morski wiatr. Na blankach stały dziesiątki żeliwnych armat, w swoim czasie służących obronie miasta. Ich kroki rozbrzmiewały echem na niemal pustym dziedzińcu, gdy szli do starego morskiego szpitala, w którym mieściło się muzeum.

W sali wystawowej w gablotach stały cynowe garnki i talerze, przedmioty codziennego użytku oraz figurki z jadeitu pochodzące z Chin, co świadczyło o dobrobycie panującym niegdyś w Port Royal.

– Spójrz na to, Sam. - Remi wskazała na fotografię wydobytego z morza kieszonkowego zegarka, którego wskazówki zatrzymały się na godzinie jedenastej czterdzieści trzy. Prawdopodobnie wtedy nastąpiło trzęsienie ziemi.

– Niesamowite. Pomyśl, co jeszcze można znaleźć tam na dnie.

– Gdyby tak jamajskie władze udzieliły nam zezwolenia na nurkowanie...

– Nie wszystko naraz, Remi. Zacznijmy od znalezienia kogoś, kto by nam pomógł.

Jak na życzenie, pomoc pojawiła się sama w postaci dwóch kobiet, które weszły do sali bocznymi drzwiami. Wyższa zatrzymała się przy nich.

– Dzień dobry. Witamy w muzeum morskim.

– Dzień dobry - odpowiedziała Remi. - Chcielibyśmy prosić o pomoc w poszukiwaniach.

Kobieta uśmiechnęła się.

– Słyszeliśmy, że macie tu kopie manifestów okrętowych od 1694 do 1696 roku.

– Przykro mi, ale nie mamy ich w swoich zbiorach. Proszę zapytać w archiwum państwowym w Kingston.

– Niestety, interesujący nas rocznik był zdekompletowany. Powiedziano nam, że możecie mieć kopie.

– Bardzo mi przykro, ale nic mi o tym nie wiadomo.

Podziękowali jej za informacje.

– Przynajmniej spróbowaliśmy. - Sam wzruszył ramionami. - Może Selma zdołała się do czegoś dokopać.

Oboje wiedzieli, że to próżna nadzieja. Gdyby tak było, Selma natychmiast by do nich zadzwoniła.

– Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło - powiedział Sam.

– Do czego pijesz?

– Teraz możemy z czystym sumieniem udać się na wakacje.

Remi westchnęła i uśmiechnęła się, ale w jej oczach widać było rozczarowanie.

– Wracajmy do domu.

Ruszyli do wyjścia, ale wtedy podeszła do nich druga z kobiet i odezwała się niskim, przyjemnym głosem.

– Przypadkiem usłyszałam państwa rozmowę. Szukacie manifestów okrętowych?

– Owszem - odparł Sam.

– Archiwum z Kingston zamierzało zdigitalizować te dokumenty, ale ostatecznie nie zrobiono tego z braku funduszy. Tak się jednak szczęśliwie złożyło, że część udało się nam zeskanować, zanim skończyły się pieniądze. Jeden z dyrektorów zamierzał umieścić je na ekspozycji w muzeum. Niestety, dotyczy to wyłącznie części dokumentów powstałych tuż po trzęsieniu ziemi.

– Po trzęsieniu? - spytała Remi z nadzieją w głosie.

– Tak. Z lat tysiąc sześćset dziewięćdziesiąt trzy do dziewięćdziesiąt sześć.

– Bylibyśmy bardzo zobowiązani - oznajmiła Remi - gdyby mogła je nam pani udostępnić.

Rozdział 29

Alexandra Avery wraz z zaangażowanym przez nią prywatnym detektywem, Kippem Rogersem, stali po drugiej stronie ulicy przed biurowcem, należącym do jej męża. Nareszcie, pomyślała, widząc Charlesa wychodzącego pod rękę z rzekomą klientką. Oboje zmierzali do czekającego na nich samochodu.

Kipp zrobił kilka zdjęć.

– Niezła laska.

– Podobnie jak wszystkie pozostałe - odparła Alexandra. Nie mieściło jej się w głowie, że Charles umawiał się z dziewczynami w wieku własnej córki. Z drugiej strony wiedziała, że nigdy nie był blisko z dziećmi. Kiedy były małe, zostawiał je pod opieką niańki, a potem, gdy podrosły, wysłał oboje do szkół z internatem. Alexandra zawsze pamiętała, by do nich dzwonić i odwiedzać je w weekendy, natomiast Charles trzymał dzieci na dystans. Nazywał to kształtowaniem charakteru.

Nic dziwnego, że teraz nie chciały z nim nawet rozmawiać.

– Bierzmy się do roboty - powiedział Kipp, odprowadzając wzrokiem znikający za rogiem samochód.

Alexandra kiwnęła głową.

– Zadzwoń, kiedy dostanę się do jego gabinetu.

– Będę czekał.

Przeszła przez ulicę i weszła do budynku. Gdyby Charles domyślał się, jakie ma zamiary, zakazałby ochronie wpuszczania jej do środka. Nie zrobił tego, a jej częste ostatnio wizyty sprawiły, że nikt nie zwrócił na nią uwagi.

Wszyscy uważali ją za nieznośną, wścibską babę, która

wkrótce miała zostać byłą żoną szefa. I słusznie. Tym razem jednak pojawiła się tu nie bez przyczyny. Choć nie wiedziała do końca, o co chodzi, zauważyła, że jej mąż pracuje nad czymś, co wykraczało poza normalny zakres czynności, obejmujących kupowanie i rozparcelowywanie podupadających przedsiębiorstw. Co prawda właśnie na tym zbudował swoją fortunę, ale jakieś dziesięć lat temu zorientowała się, że robi to nie tylko dla własnej satysfakcji i pieniędzy, ale także dlatego, że bawiło go obserwowanie ludzi, którym zrujnował życie, doprowadzając do upadku niegdyś kwitnące firmy.

Nie, żeby czuła się od niego lepsza. W końcu wyszła za niego wyłącznie dla pieniędzy. Chodziło raczej o to, że z czasem obudziło się w niej sumienie. Być może dlatego, że dostrzegła niszczący wpływ takiego stylu życia na własne dzieci.

Myliłby się jednak ten, kto by przypuszczał, że jedynym motorem jej działania była troska o dzieci. Przede wszystkim obawiała się, że mąż zamierza odciąć ją od majątku, który zgromadził w czasie, gdy byli małżeństwem. To dlatego, poza sztabem prawników, zatrudniła prywatnego detektywa.

Postanowiła, że nie da się oszukać, i póki żyje, nie pozwoli Charlesowi ulotnić się z tym, co się jej uczciwie należało.

No właśnie, póki żyje. Te słowa nabrały szczególnego znaczenia. Ostatnio jej mąż zachowywał się tak, jakby tylko czekał na okazję, żeby się jej pozbyć. Chciał mieć pewność, że nie uszczknie niczego z jego finansowego imperium.

Teraz jednak najważniejszym zadaniem było ustalenie, co takiego ukrywa przed nią Charles. Jeśli miała cokolwiek znaleźć, to najpewniej w jego biurze.

Weszła do lobby i uśmiechnęła się do siedzącego za ladą strażnika. Podniósł wzrok i poinformował ją:

- Mąż właśnie wyszedł, pani Avery.
- Nie zostawił u pana mojego telefonu?
- Nie, proszę pani.

– Chyba zapomniałam zabrać go z jego gabinetu. Wejdę i się rozejrzę. To może chwilę potrwać, bo mam do wykonania kilka pilnych rozmów.

Strażnik skinął jej uprzejmie głową i powrócił do obserwowania ekranów monitoringu.

To powinno powstrzymać go od zastanawiania się, co tak długo robię na górze, pomyślała, jadąc windą na ostatnie piętro.

Sekretarka już poszła do domu, więc nikt nie stał jej na drodze do jego gabinetu. Co prawda drzwi były zamknięte, ale miała ze sobą zestaw duplikatów kluczy do wszystkich pomieszczeń, do których mógłby zechcieć jej nie wpuścić.

Gdyby się domyślał...

Znalazła klucz, otworzyła drzwi i wśliznęła się do środka, zastanawiając się, czy zarejestrują ją kamery monitoringu. Nie miało to większego znaczenia. Jak się niedawno dowiedziała, postawienie zarzutu włamania współwłaścicielowi było praktycznie niemożliwe.

Zacząła od przejrzenia zawartości szuflad biurka. Jej mąż był pedantem, wszystko miał poukładane w idealnym porządku. Pomyślała, że raczej nie trzymałby niczego trefnego w tak oczywistym miejscu. Opadła na oparcie fotela i się rozejrzała. Jej wzrok zatrzymał się na książce, której tak zawzięcie poszukiwał. Leżała na stoliku w kącie gabinetu. Podeszła do niej, otworzyła i zaczęła przeglądać.

Dlaczego tak bardzo mu na niej zależało? Jak dotąd, nic nie rzuciło jej się w oczy. Książka wyglądała identycznie jak reprint, który stał na półce w ich biblioteczkę. Przewróciła kilka stron, stwierdzając mimochodem, że wydają się o wiele bardziej kruche w porównaniu z egzemplarzem, który mieli w domu. Nie znalazłszy niczego interesującego, już miała odłożyć książkę na miejsce, gdy nagle zauważyła, że ktoś zakreślił ołówkiem pewne miejsca wokół misternych ornamentów, będących...

Czyżby to były litery?

Oczywiście, staroświeckie inicjały, które pełniły chyba jedynie funkcję dekoracyjną, bo nie układały się w żadne słowa.

Skoro tak, to dlaczego zostały wzięte w kółka?

Pochyliła się, aby przyjrzeć im się z bliska, i właśnie wtedy odezwała się jej komórka.

Podeszła do kanapy i wyciągnęła ją z torebki. Oczywiście był to Kipp.

– Całe szczęście, że nie zadzwoniłeś, kiedy byłam jeszcze na dole.

– Nie wyłączyła pani dzwonka?

– Kto by sobie zawracał głowę takimi duperelami?

– A trzeba było, skoro zakradła się pani do gabinetu męża. Miała pani do mnie zadzwonić po wejściu do środka.

– Gdybyś sam tu przyszedł i zrobił to, za co ci płacę, nie byłoby z tym żadnego kłopotu.

– Oczywiście. Pod warunkiem że nikt nie zwróciłby uwagi na kompletnie obcego faceta buszującego w gabinecie pani męża. Zresztą pani lepiej się orientuje, co i gdzie może leżeć. Znalazła pani coś ciekawego?

– Na razie nie, z wyjątkiem książki o piratach, która podobno została kiedyś skradziona przodkom mojego męża.

– Czy to jest oryginalne, stare wydanie?

– Tak. Swoją drogą ciekawa sprawa - powiedziała. Wróciła do stolika i popatrzyła na pożółkłe kartki. - Ktoś zadał sobie sporo trudu, by wziąć w kółko pewne litery w całej książce. Jakby tworzyły jakiś kod.

– To może tłumaczyć jego obsesję. Proszę sfotografować te strony. Spróbuję to rozgryźć. Sprawdziła pani jego komputer?

– Jeszcze nie.

– Proszę się pospieszyć. Strasznie długo już tam pani siedzi.

– Widziałeś tę małąlatę uczeponą jego ramienia, kiedy wychodził? Raczej nie wróci zbyt szybko.

– Mimo to lepiej nie ryzykować. Do dzieła.

Sfotografowała telefonem wszystkie strony książki. Instynkt podpowiadał jej, że ma to jakiś związek z tym, co robił jej mąż.

Następnie otworzyła pokrywę jego laptopa, wprowadziła hasło - Pirat - i zaczęła przeglądać katalogi na dysku.

Nic nie wpadło jej w oko.

Wyprostowała się na fotelu i znów rozejrzała się po gabinecie. Miała wrażenie, że coś jej umyka...

Jej wzrok padł na blok do notowania. Charles wyrwał wierzchnią kartkę, ale przypomniała sobie nazwę miasta - Fargo - która była na niej zapisana. Wklepała ją do wyszukiwarki internetowej, zachodząc w głowę, jakie interesy mógł robić w Dakocie Północnej.

Jednak historia wyszukiwania nie podpowiedziała jej nazwy stanu. Zamiast tego na ekranie pojawiły się słowa: Fargo Group, Sam Fargo, Remi Fargo.

Co jest grane?

Po chwili już wiedziała, dlaczego interesował się tą parą.

Oboje byli poszukiwaczami skarbów.

Znów zerknęła na książkę i wtedy odezwała się jej komórka. Znowu Kipp.

– Nie uwierzysz. Już wiem, o co w tym chodzi.

– Niech pani natychmiast stamtąd znika. Pani mąż jedzie na górę.

Rozdział 30

Cyfrowa kopia manifestu przesłana przez Remi z Port Royal była dokładnie tym, czego Selma potrzebowała, aby zająć się odtworzeniem historii flotyli statków, które wypłynęły z Jamajki. Nazajutrz rano zadzwoniła do nich, żeby podzielić się uzyskanymi informacjami.

– Powiedz, że masz dla nas dobre wieści - poprosił Sam.

– Przeważnie tak - odrzekła Selma. - Udało mi się znaleźć związek między statkiem, który zatonął koło Wyspy Węży, i kradzieżą ładunku kapitana Bridgema podczas postoju na Jamajce. Co więcej, połączenie jego nazwiska z nazwą zatopionego statku pozwoliło wypełnić wiele białych plam. Zwłaszcza teraz, kiedy już wiemy, że koło szyfrujące zatонуło wraz z nim.

– Jak to? - zdziwił się Sam.

– Bridgeman w rzeczywistości nazywał się Henry Every i był piratem.

– Every? - upewniła się Remi. - Czy to przypadek, że nazwiska Every i Avery brzmią bardzo podobnie?

– Nie - odparła Selma. - Być może zaczęło się od literówki, niemniej obie wersje przewijają się w całej dokumentacji, jaką zdołałam znaleźć na temat Every'ego. Henry Every, czy też Avery, to bez wątpienia kapitan Henry Bridgeman. Zaczynał jako handlarz niewolników, a z czasem przekwalifikował się na pirata. Nawiasem mówiąc, nie dostrzegam tu specjalnej różnicy.

– Co się z nim stało? - spytał Sam.

– Zniknął. Ostatni raz widziano go na Bahamach. Przypuszczalnie wypłynął do Anglii, po czym przepadł bez

śladu. Był już wtedy poszukiwany. Co ciekawe, do czasu znalezienia przez was tych brakujących stron nie istniały żadne oficjalne dokumenty, świadczące o pobycie Bridgema albo „Fancy” na Jamajce. Najwyraźniej to była jedna z tych informacji, które Avery próbował przed wami ukryć.

– A co jeszcze ukrywał?

– Dwie rzeczy. Fakt, że Every już kiedyś wcześniej zaatakował „Mirabel”, oraz tożsamość angielskich inwestorów, mających swoje udziały w tym statku.

– A więc „Mirabel” miała więcej niż jednego właściciela?

– Niekoniecznie. Istnienie kilku inwestorów może jedynie oznaczać, że statek znajdował się pod kontrolą kilku różnych ludzi. Z zeznań tego marynarza wiemy, że ta rzecz, którą, jak uważamy, było koło szyfrujące, została skradziona podczas pierwszego kontaktu Every’ego z „Mirabel” kilka lat wcześniej, u wybrzeży Hiszpanii. Every nieprzypadkowo napadł na ten statek. Zapewne wiedział, że znajduje się na nim koło. Tym bardziej że oszczędził statek, a także kapitana i załogę, zamiast posłać ich na dno albo wcielić do swojej pirackiej floty.

– Chciał się stamtąd jak najszybciej ulotnić - stwierdził Sam. - Do drugiego kontaktu doszło na Jamajce?

– „Mirabel” przyплыnęła tam w ślad za nim. Zgodnie z zeznaniem przedmiot o niezwykle wysokiej wartości skradziono Every’emu na Jamajce. „Mirabel” umknęła, najpewniej z kołem szyfrującym. Every rzucił się w pościg na pokładzie „Fancy”. Resztę historii już znamy. „Mirabel” zatoneła, a Every nie odzyskał koła. Być może z tego powodu tak nagle skończył z piractwem.

– Jeśli po tych wydarzeniach słuch po nim zaginął, to czy jest możliwe, że dopadł „Mirabel”, a potem poszedł na dno wraz ze statkiem, kiedy ten wpadł na skały? - zastanawiał się Sam.

– Całkiem zgrabna hipoteza - przyznała Selma - ale przeczy jej istnienie mapy, na której szczegółowo zaznaczono miejsce, gdzie

szukać koła u brzegów Wyspy Węży. Uważam, że zrobił to Every. Spodziewał się, że kiedyś tam wróci i spróbuje je wydobyć. Pech chciał, że do tego czasu stało się powszechnie wiadome, kto kryje się pod nazwiskiem Bridgeman. Teraz oprócz Kompanii Wschodnioindyjskiej miał na karku także Royal Navy. Być może to przeszkodziło mu w powrocie na Wyspę Węży. Niektórzy historycy twierdzą, że wrócił do Anglii i zmarł w nędzy, pozbawiony możliwości dotarcia do skarbu. Lazlo uważa, że wydał wszystko, co mu jeszcze zostało na poszukiwanie oryginału koła szyfrującego.

– Czy to pewne, że nie zdołał go odnaleźć? - spytała Remi. - Czy ono w ogóle istnieje?

– Bez wątpienia - potwierdziła Selma. - Po pierwsze, Charles Avery, który przecież zna historię swojej rodziny, nie uganiałby się za nim, gdyby jego przodek je znalazł. Po drugie, z badań Lazla wynika, że oryginał istnieje. Every-Bridgeman albo zmarł, albo został pojmany, zanim zdołał do niego dotrzeć. Niestety, nie zostawił żadnej wskazówki, gdzie się znajduje albo kto je ma, zakładając, że w ogóle miał taką wiedzę. W każdym razie Charles Avery na pewno już zna informacje zawarte w manifeście okrętowym. Tylko krok dzieli go od realizacji swoich zamiarów.

Sam rozłożył kopie dokumentów z muzeum morskiego i przyjrzał im się z uwagą. Były to brakujące strony zeznania, znalezione w archiwum w Kingston.

– A my wciąż próbujemy ustalić, komu Every ukradł koło szyfrujące.

– Uznaliśmy, że należy zawęzić poszukiwania do potomków inwestorów „Mirabel”. Tak się szczęśliwie składa, że obie te osoby mieszkają w Anglii. To wasz kolejny cel.

Sam zerknął na Remi.

– Jak ci się widzi wycieczka na Wyspy Brytyjskie?

– Uwielbiam Anglię o tej porze roku.

* * *

Nazajutrz późnym popołudniem wylądowali w porcie lotniczym London City. Następnego dnia wcześniej rano byli już na nogach. Od Selmy dostali dwa nazwiska wraz z adresami. Grace Herbert mieszkała gdzieś pod Bristolem, a Harry McGregor na północy, w Nottingham. Niestety, Selma nie potrafiła powiedzieć im, który z kontaktów wydawał się bardziej obiecujący. Czekając na podstawienie samochodu przez parkingowego, Sam postanowił zdać się na los szczęścia.

– Orzeł Herbert, reszka McGregor. - Zakrył rzuconą monetę dłonią.

– Orzeł - zdecydowała Remi. - Mam dobre przeczucie co do Bristolu.

– Jeśli nie znajdziemy tam tego, czego szukamy, czeka nas długa droga do Nottingham.

– Nazwij to kobiecą intuicją. Orzeł, Bristol.

Sam uniósł nieco dłoń i podejrział monetę. Reszka. Schował pieniądz do kieszeni.

– Właściwie to dlaczego mamy kierować się ślepyim losem? Zaufam twojej intuicji.

– Wypadła reszka?

– Tak.

Podstawiono samochód.

– Ty prowadzisz, ja pilotuję? - zaproponował Sam.

– Nie ma mowy. Mam ci zaufać, że będziesz jechał według mapy?

– Czy kiedykolwiek zabłądziliśmy przeze mnie?

– A jakże, choćby w...

– Nieważne - przerwał jej. Dał napiwek parkingowemu i wziął od niego kluczyki. Wkrótce Londyn został za ich plecami, zabudowa stawała się coraz rzadsza, tu i ówdzie widać było pojedyncze farmy. Pojawiała się lekka mgielka, skraplająca się na

przedniej szybie, więc Sam uruchomił wycieraczki. Pozostały włączone przez kolejne dwie godziny.

Na widok zielonych wzgórz Remi oznajmiła:

– Ależ tu pięknie.

– Pod warunkiem że lubisz wilgoć.

Popatrzyła na niego z lekkim zdziwieniem.

– Czyżbyś wolał duchotę Jamajki?

– Skłaniam się raczej ku ciepłej bryzie w La Jolla.

– Wszystko w swoim czasie - odparła, sprawdzając drogę na telefonie. - Jeszcze jakieś piętnaście kilometrów. Na następnym skrzyżowaniu skręć w prawo.

Jechali wąską dwukierunkową szosą, wijącą się pośród pól uprawnych i pastwisk. W końcu natrafili na gruntową drogę, prowadzącą do widocznego z daleka gospodarstwa Grace Herbert. Biały dym unosił się nad kominem dużego domu mieszkalnego, za którym stało kilka mniejszych zabudowań. Gęsi zagęgały, kiedy zajechali na podjazd, a kurczaki rozpierchły się, ale po chwili powróciły do wydziobywania z ziemi pędraków.

Sam zatrzymał auto. Wysiedli, przecięli wysypany żwirem podjazd i zapukali do drzwi. Otworzyła im kobieta zbliżająca się do sześćdziesiątki, z krótkimi ciemnymi włosami, siwiejącymi na skroniach.

– Zapewne państwo Fargo? - Obrzuciła ich poważnym spojrzeniem szarych oczu.

– To my - potwierdził Sam. - Czy pani Herbert?

– Właściwie Herbert-Miller, a najlepiej po prostu Grace. Zapraszam do środka. Właśnie nastawiłam wodę. Napijecie się herbaty?

– Bardzo chętnie - odrzekła Remi.

Zaprowadziła ich do salonu. Sam musiał się schylić w niskim wejściu. Rozgościli się, a po kilku minutach Grace wróciła ze srebrną tacą, na której niosła porcelanowy serwis do herbaty.

Sam, wciąż odczuwający zmęczenie transatlantyckim lotem, wolałby filiżankę mocnej kawy, ale ostatecznie zadowolił się herbatą, bez mleka i cukru. Umościł się wygodnie w fotelu i słuchał opowieści pani Herbert-Miller o tym, jak bardzo była zaskoczona, kiedy dowiedziała się o dziedzictwie.

– Spadło to na mnie jak grom z jasnego nieba - mówiła, słodząc i mieszając herbatę. - Zadzwoił notariusz, z samego Londynu. Zapytał, czy to ja jestem Grace Herbert, z milfordzkich Herbertów. - Odłożyła łyżeczkę na spodek, uniosła filiżankę i upiła łyk herbaty. - Naturalnie wystawiliśmy nieruchomość na sprzedaż. Nie wyobrażam sobie życia w starym, pełnym przeciągów zamku, choć Milford to cudowne miejsce. Przynajmniej tak słyszałam. Zresztą nawet gdybym chciała, nie zdołałabym namówić męża na przeprowadzkę.

– Istotnie, to piękna okolica - potwierdziła Remi. - Przejeżdżałam kiedyś tamtędy, wieki temu.

Sam, chcąc skierować konwersację na właściwe tory, zapytał:

– Czy wśród odziedziczonych przedmiotów było coś... szczególnie ciekawego pod względem historycznym? Oczywiście oprócz samego zamku.

– Tak naprawdę, to nie potrafię powiedzieć. Wszystkiego się pozbyłam. Mnie przypadł zamek, a kuzyn Harry McGregor z Nottingham otrzymał niewielką posiadłość w tym mieście. Być może on będzie coś wiedział na ten temat, choć, podobnie jak ja, przesłał do muzeum wszystko, co mogło mieć jakąkolwiek wartość historyczną. Byli bardzo zainteresowani, mimo że sir Edmund Herbert, jak się okazało, pochodził z nieprawego łoża. Może ciasteczko? - Podsunęła im talerz z herbatnikami.

Remi podziękowała, Sam się poczęstował.

– Dziękuję.

Gospodyni odstawiła talerz z powrotem na środek stołu.

– Jedynym dowodem, który mam, na istnienie pokrewieństwa między mną a moim kuzynem jest stara rodzinna Biblia,

przekazywana z pokolenia na pokolenie. Znalazłam ją pośród rzeczy, które przypadły mi w udziale. Jeśli dobrze odczytałam zapisaną w niej genealogię, oboje jesteśmy dalekimi krewnymi ostatniego znanego potomka w linii męskiej.

– Czy ma pani może spis tych przedmiotów? - spytał Sam.

– Tak. Chcielibyście państwo go zobaczyć?

– Bardzo chętnie.

Pani Herbert wstała od stołu, przeszła przez pokój do sekretarzyka, zawalonego starymi rachunkami i dokumentami dotyczącymi farmy, i wyciągnęła z niego szarą kopertę. Wróciła na swoje miejsce, wyjęła z koperty plik kartek i wręczyła Samowi.

– Nic ciekawego. Wszystko ma trafić na aukcję. Zdaje się, że sfotografowali każdy z tych przedmiotów, ale jeszcze nie otrzymałam tych zdjęć.

Remi przysunęła się do Sama i zajrzała w papiery.

– Całkiem długa ta lista.

– Proszę sobie wyobrazić, że ktoś taki jak ja miałby postawić sobie w salonie klawesyn albo pełną zbroję. Pomijając kompletny brak miejsca, lepiej to sprzedać, a pieniądze przeznaczyć na utrzymanie farmy. Zresztą zatrzymałam kilka rzeczy.

– Doprawdy? - podchwyciła Remi.

– Choćby ten komplet do herbaty. Jest uroczy.

Remi przesunęła palcem po delikatnej krawędzi spodeczka.

– Rzeczywiście.

– Jeszcze te obrazy. - Wskazała na dwa wiszące na ścianie sielankowe pejzaże, pomiędzy którymi znajdował się herb. - Nie zaburzają wiejskiego charakteru tego domu. Co innego herb. Przyznaję, to czysta próżność. Niecodziennie dowiadujemy się, że jesteśmy spokrewnieni z nieślubnym synem jakiegoś lorda, nawet jeśli jego ojciec był tylko pomniejszym baronem. Natomiast poniżej wisi skórzana tarcza z czasów sir Herberta.

Zachowałam ją, bo ten węzeł celtycki w środku jest taki ładny.

Remi odstawiła filiżankę na stolik.

– Czy mogę obejrzeć ją z bliska?

– Bardzo proszę.

Podeszła do tarczy, tymczasem Sam przewrócił kartkę i zauważył, że w wykazie odnotowano kilka kartonów z różnorodną zawartością.

– Co było w tych pudłach? - spytał.

– Przeróżne szpargały. Pełno papierów, książek, a w jednym nawet coś wyglądającego jak rozmontowana zbroja. Rzeczoznawca uznał, że część z tych rzeczy może mieć sporą wartość historyczną. Dlatego wraz z kuzynem postanowiliśmy wypożyczyć je londyńskiemu Muzeum Brytyjskiemu. Nie potrafię powiedzieć, czy te przedmioty rzeczywiście mają jakąkolwiek wartość. Może jeszcze herbaty? - spytała, dostrzegłszy, że Sam ma prawie pustą filiżankę.

– Nie, dziękuję.

Wobec tego dołała sobie.

– Nie znaczy to, że jesteśmy bogaci. Po prostu niczego nie potrzebujemy. Wolimy, aby te artefakty trafiły do muzeum niż do prywatnych kolekcji. Organizują jakąś uroczystą fetę połączoną ze zbiórką pieniędzy i zamierzają je wystawić wraz z innymi eksponatami.

– Zbiórka pieniędzy? - zainteresowała się Remi. - Powinniśmy wziąć udział w tej imprezie.

– Obawiam się, że karty wstępu zostały wyprzedane kilka tygodni temu - powiedziała Grace.

– Szkoda - zmartwił się Sam. - Czy moglibyśmy obejrzeć wcześniej te przedmioty?

– Oczywiście. Dam wam namiary na kogoś z muzeum, kto się tym zajmuje.

Podawała nazwisko i numer telefonu, które Sam wpisał w swoją komórkę. Rozmawiali jeszcze kilka minut, a kiedy stało się jasne,

że niczego więcej się nie dowiedzą, podziękowali pani Herbert za gościnność.

Zbierając się do wyjścia, Sam zatrzymał się przed obrazami wiszącymi na ścianie koło drzwi. Nazwiska malarzy nic mu nie mówiły, natomiast zaintrygował go herb.

– Czy mógłbym to sfotografować?

– Naturalnie.

Sam zrobił telefonem kilka zdjęć, aby mieć pewność, że znajdzie się wśród nich co najmniej jedno przyzwoitej jakości, które będzie mógł przesłać Selmie. Sfotografował zarówno herb, jak i wiszącą pod nim skórzaną tarczę. Przeplatający się wielokrotnie węzeł celtycki, wygrawerowany na wypukłym, mosiężnym elemencie pośrodku tarczy, nie pasował do tradycyjnego angielskiego herbu wiszącego powyżej. Jeżeli ktokolwiek mógł znaleźć w tym jakiś sens, to na pewno Selma. Niektóre wyryte w mosiądzu znaki przez lata uległy zatarciu i nie było ich wyraźnie widać w świetle lampy błyskowej, dlatego spróbował je sfotografować bez flesza. W pokoju było dość ciemno, mimo to dało się rozpoznać znaki herbowe na tyle, by Selma miała od czego zacząć.

– Jeszcze raz dziękujemy - powiedział Sam, chowając telefon do kieszeni.

Pani Herbert z uśmiechem odprowadziła ich do drzwi.

– Było mi bardzo miło. Proszę wybaczyć mojemu mężowi, że okazał się taki nietowarzystki. Nagle przypomniał sobie, że dziura w płocie wymaga pilnej naprawy. Możliwe, że nabrał uprzedzeń z powodu naszych wczorajszych gości.

– Mieliście gości? - zaniepokoiła się Remi.

– Podobnie jak państwo, dopytywali się o spadek. Szczerze mówiąc, nie pojmuję, skąd to całe zamieszanie. Gdybyście zobaczyli ten zamek, wiedzielibyście, co mam na myśli. Mąż nie nazwa go inaczej jak wielką kupą gruzu.

Sam zatrzymał się w drzwiach.

– Pamięta pani może, jak się nazywali albo co ich najbardziej interesowało?

– Obawiam się, że nie dosłyszałam ich nazwisk. Tak samo jak wy pytali o pudła, które trafiły do muzeum.

W samochodzie Sam wręczył Remi telefon.

– Wyświadcz mi przysługę i prześlij te zdjęcia Selmie - powiedział, przekręcając kluczyk w stacyjce.

– Dość ciekawy ten herb. Jak na średniowiecznego przodka, nieślubnego syna podrzędnego barona, ma zaskakująco bogatą heraldykę.

– Też mnie to uderzyło.

Zjechał z wysypanego żwirem podjazdu na wiejską drogę i zerknął w lusterko. Słońce, które właśnie przedarło się przez chmury, odbijało się od maski auta, zmierzającego w przeciwnym kierunku, więc włożył okulary przeciwsłoneczne.

– Zrobione - oznajmiła Remi. - Dlaczego nie odczuwam zdziwienia, że nie byliśmy tu pierwsi?

Sam zwolnił, biorąc zakręt.

– Mam już serdecznie dosyć tego, że wciąż wyprzedzają nas o krok.

– Pracownicy muzeum powinni zorientować się, że to są oszuści, a przynajmniej sprawdzić ich dokumenty tożsamości, zanim dopuszczą obcych do przeglądania prywatnej kolekcji.

– Spodziewam się, że w Muzeum Brytyjskim przestrzega się elementarnych zasad bezpieczeństwa. Tak czy inaczej, lepiej tam zadzwonić i uprzedzić, że jutro rano złożymy im wizytę.

Rozdział 31

Następnego ranka Remi zadzwoniła do Muzeum Brytyjskiego, aby umówić się na przejrzenie artefaktów, wypożyczonych przez Grace Herbert-Miller i jej kuzyna. Młody, kobiecy głos z zaledwie śladowym brytyjskim akcentem poinformował ją, że panna Walsh pojawi się w muzeum dopiero podczas weekendowego przyjęcia.

Remi spytała, kto wobec tego mógłby im pomóc. Okazało się, że nikt inny nie jest władny udzielić im zezwolenia na wcześniejsze zwiedzenie wystawy czy choćby na krótką wizytę w magazynie, gdzie przechowywano pozostałe eksponaty. Wszystko było przygotowane na wielkie otwarcie, a skoro nie mieli kart wstępu, musieli poczekać do przyszłego tygodnia.

– Pięknie - prychnęła zawiedziona Remi, odkładając telefon na stół. - Utknęliśmy w ślepym zaułku.

– Może Selma zdoła coś wyczarować - podsunął Sam. - Albo Lazlo. Powinien mieć tu wciąż jakieś kontakty.

– To nasza jedyna nadzieja - odrzekła Remi, po czym, obliczywszy w myślach ośmiogodzinną różnicę czasu, wysłała Selmie maila. - Teraz możemy tylko czekać.

– Albo wykorzystać ten czas na spacer połączony z małym rozpoznaniem w muzeum. - Sam chwycił ich płaszcze.

– Podoba mi się pański sposób myślenia, panie Fargo.

Muzeum znajdowało się mniej więcej kilometr od hotelu, więc już godzinę później przemierzali kolejne sale wystawowe i oglądali różne ekspozycje. Zatrzymali się koło Kamienia z Rosetty, który zawsze intrygował Remi.

– Czyż nie byłoby miło, gdyby klucz do naszego koła

szyfrującego znajdował się właśnie tutaj?

Sam, rozglądający się bez przerwy za ludźmi Avery'ego, oderwał wzrok od tłumu zwiedzających i popatrzył na masywną bazaltową płytę.

– W czym problem?

– Oto pytanie człowieka, który nie musiał niczego odszyfrowywać. - Mówiąc to, rozglądała się dokoła, a potem pomachała planem muzeum. - To nie ta galeria. Tu mamy ekspozycję kolekcji egipskiej.

Sam wziął ją za rękę i odciągnął od Kamienia z Rosetty.

– Kłopot polega na tym, że jeśli ludzie Avery'ego zostali ciężko ranni w wypadku, na ich miejsce mogą pojawić się inni.

– Racja. Tamtych przynajmniej potrafimy rozpoznać.

– Czy na tym planie masz zaznaczone miejsce, w którym ma odbyć się uroczystość?

– Nie, ale na pewno znajdziemy jakiegoś życzliwego przewodnika, który nam je wskaże.

I rzeczywiście. Siwowłosa kobieta poinformowała ich, że interesująca ich wystawa znajduje się w sali numer trzy.

– Kiedy miniecie Wielki Dziedziniec, zobaczcie wejście po prawej stronie - dodała.

Podziękowali jej i weszli do ogromnego atrium, przykrytego stalowo-szklanym dachem, który nadawał nieco kosmiczny wygląd jasno oświetlonemu, przestronnemu wnętrzu. Po chwili znaleźli wejście do sali. Było zagrodzone, a obok stał strażnik, który nie udzielił im żadnej informacji i najwyraźniej nie miał ochoty na dalszą rozmowę.

Remi i Sam wpatrywali się w przestrzeń za barierą.

– Masz jakiś pomysł? - spytała Remi.

– Ani jednego - odparł Sam, zerkając na zegarek. - Przy odrobinie szczęścia Selma mogła już coś znaleźć.

Odebrali płaszcze z szatni i wyszli na zewnątrz, aby poszukać jakiegoś spokojnego miejsca i zadzwonić do Selmy. Sam trzymał

telefon tak, by Remi też mogła uczestniczyć w rozmowie.

– Powiedz, że masz dla nas dobre nowiny - zaczął, kiedy Selma odebrała połączenie.

– Niestety, panie Fargo. To bardzo prestiżowa uroczystość, z długą listą oczekujących. Jeżeli nie zdołacie przekonać organizatorów, że jesteście ważniejsi od osobistości z rzeczonyj listy, to czarno widzę wasze szanse dostania się do środka.

– A Lazlo? Przecież ma tu jakieś znajomości.

– Środowisko naukowe nie liczy się w starciu z zastępami szlachetnie urodzonych. Ani z multimilionerami. Mam jednak w zanadrzu coś, co może was pocieszyć.

– Co takiego?

– Środowisko naukowe całkiem dobrze radzi sobie z rozszyfrowywaniem herbów. Znacie się na heraldyce?

– Wystarczająco, by wiedzieć, jak usypiające jest mozolne przebijanie się przez meandry archaicznego języka.

– Otóż to - powiedziała Selma. - Zdaniem Lazła, to nieprawda, że pani Herbert oraz jej kuzyn z Nottingham są spokrewnieni z byle jakim nieślubnym synem pomniejszego barona. Ten baron to nieślubny syn Edmunda Mortimera, drugi lord Mortimer.

– A dlaczego ten Mortimer był taki ważny? - spytał Sam.

– To ojciec Rogera de Mortimer, trzeciego lorda Mortimer, który był kochankiem królowej Izabeli, zwanej Wilczycą z Francji. Zapewne z tego właśnie powodu został stracony przez jej syna, króla Edwarda III.

– Rozumiem. Czy ma to jakikolwiek związek z kołem szyfrującym?

– Trudno powiedzieć. Pracujemy nad tym, a także nad znaczeniem reszty herbu. To jak zgłębianie obcego języka. Każdy element może coś znaczyć.

– W razie czego wiesz, gdzie nas szukać - zakończył Sam i się rozłączył.

– Co teraz? - spytała Remi.

– Znajdziemy porządny pub, zjemy lunch i przygotujemy plan działania.

Ruszyli ulicą, ale zanim zdążyli przejść kilka kroków, tuż obok nich zatrzymał się czarny rolls-royce. Opadła tylna boczna szyba i ich oczom ukazał się mężczyzna z ciemnymi włosami, przyprószonymi na skroniach siwizną. Uśmiechnął się do nich, choć jego oczy bynajmniej nie zdradzały przyjaznych uczuć, co nie uszło uwagi Remi.

– Zapewne państwo Fargo.

Sam wziął Remi za rękę, odciągnął ją w tył i wszedł między nią a samochód.

– Niech zgadnę. Charles Avery?

– Rozczaruję pana. Colin Fisk. Zarówno pan, jak i mój szef uganiacie się za tym samym bibelotem. Oryginalnym kołem szyfrującym.

– Nie wiem, o czym pan mówi.

– Przy okazji, moi ludzie nie zginęli we wczorajszym wypadku drogowym.

– Nie przypominam sobie, abym o to pytał.

– Zdaje się, że nie dostaliście państwo biletów na dzisiejszy jubel w muzeum.

Sam wzruszył ramionami.

– Możemy obejrzyć ekspozycję kiedy indziej.

– Szkoda, bo ja tam będę.

– A jak pan zdołał załatwić sobie bilety? - spytała zaintrygowana Remi.

– Dzięki znajomościom, ma się rozumieć. To impreza z gatunku tych, których nie wolno przegapić. Chyba że nosi się nazwisko Fargo. Domyślam się, że jesteście na czarnej liście. Życzę przyjemnego pobytu w Londynie. O ile się nie mylę, zatrzymaliście się w Savoyu?

– A gdzie pan się zatrzymał?

– Gdzie indziej.

Obdarzył ich chłodnym uśmiechem i zasunął szybę. Samochód odjechał.

Remi stanęła obok Sama, odprowadzając wzrokiem auto.

– Zupełnie wytrącił mnie z równowagi.

– Właśnie o to mu chodziło.

– Skąd wie, w którym hotelu mieszkamy? Przecież zameldowaliśmy się pod zmyślonym nazwiskiem.

– Może zwyczajnie strzelił nazwę jednego z pięciogwiazdkowych hoteli?

– Chyba powinniśmy zatrzymać się w mniej wytwornym miejscu. - Remi wzięła męża pod rękę. - Co powiesz na lunch i opracowanie planu bitwy? Mam przeczucie, że będzie nam potrzebny.

Weszli do pobliskiego pubu i zamówili rybę z frytkami i groszkiem puree oraz po pincie guinnessa. Sam przyniósł kufle do stolika. Usiedli plecami do ściany, by móc obserwować wejście. Tak na wszelki wypadek.

Remi wzięła łyk ciemnego piwa, podawanego w temperaturze pokojowej, po czym wyprostowała się na krześle, rozmyślając o niedawnym spotkaniu.

– Jak to możliwe - spytała - że Fisk zdołał załatwić sobie bilety, a my nie?

– To dlatego, że ma skłonności do łamania prawa.

– Musimy jakoś się tam dostać.

– Jestem otwarty na propozycje.

– Ja również - stwierdziła. Obserwowała kelnerkę, niosącą ich lunch.

Kiedy skończyli jeść, Sam zamówił jeszcze jedno piwo, a Remi przyglądała się dwóm kobietom, mijającym ich stolik w drodze do wyjścia. Jedna z nich mówiła:

– Nie wiem, dlaczego tak bardzo to przeżywasz. Zwłaszcza że będzie tam twój były. To tylko zgraja pętałów, którzy odśpiewają *Sto lat*. Nie pójdę tam, jeśli to poprawi ci humor.

Chyba że chcesz popsuć im zabawę.

– Remi, słyszałaś, co powiedziałem?

Spojrzała trochę nieprzytomnie na Sama.

– Przepraszam, zamyśliłam się.

– Jeśli chcesz, możemy się wycofać. Oczyszciliśmy Bree z zarzutów, więc...

– Co to, to nie. Nie pozwolę wygrać komuś takiemu jak Charles Avery.

– Ale to nie jest gra.

– Próbował nas zabić.

– Remi...

– Zepsujemy mu zabawę.

– Co?

– Te dwie babki, które wyszły przed chwilą, rozmawiały o zepsuciu komuś urodzin. My też możemy zepsuć jubel.

Sam czekał na dalsze wyjaśnienia.

– Bywaliśmy na wielu imprezach dobroczynnych, na których nie pojawiali się niektórzy z zaproszonych gości. Czy zdarzało się, że zamiast nich przychodzili inni, których nie zaproszono?

– Bardzo często.

– No właśnie. Niczym nie ryzykujemy. Najwyżej nas nie wpuszczą. Za to jeśli się nam uda wejść, możemy znaleźć to, czego szukamy.

Rozdział 32

Z tylnego siedzenia wynajętego mercedesa Sam obserwował wejście, pod którym luksusowe limuzyny wypływały elegancko ubranych gości. Wsłiznięcie się niezauważenie na pilnie strzeżoną uroczystość wydawało się arcytrudnym zadaniem. Odziany w liberie personel stał przy drzwiach i sprawdzał zaproszenia wszystkich wchodzących.

– Co proponujesz? - spytał.

– Pakujemy się na bezczelnego?

– Nie sądzę, aby nam się udało. Chyba że coś odwróciłoby ich uwagę. Może jakiś sztuczny tłok, bo ja wiem... Trzeba by coś wymyślić.

– Członkowie rodziny królewskiej są nieźli w przyciąganiu uwagi.

– Czyżbyś wiedziała, kto spośród nich miałby się tu pojawić? - spytał Sam, obserwując podjeżdżającego maybacha.

– Impreza nazywa się „Królewska noc w muzeum”. Sądzę, że ktoś z nich powinien wpaść.

– Albo to zmyłka, która ma usprawiedliwić obecność służby w liberiach.

Obok ich samochodu wyrósł lokaj i otworzył drzwi. Chwilę później Remi i Sam znaleźli się na końcu kolejki do wejścia.

Sam odnotował kilka przychylnych spojrzeń w ich kierunku, bez wątplenia dzięki Remi, która miała na sobie czarną, jedwabną sukienkę bez rękawów oraz łańcuszek z diamentowym wisiosem, ściągającym wzrok na obiecujący skrawek dekoltu. Nie pamiętał już, czy to Chanel, czy Armani? Kiedy wymieniła firmę, natychmiast wyrzucił z głowy tę

informację jako nieistotną. Teraz ważne było tylko to, że jego żona wyglądała wystrzałowco.

Remi skinieniem głowy wskazała odźwiernych.

– Anonsują wchodzących po nazwisku.

– To stanowi pewien problem, zwłaszcza jeśli nie chcemy rzucać się w oczy.

– Jaki masz plan?

– Właśnie nad nim pracuję.

Prawda była taka, że nic mu nie przychodziło do głowy. Za kilka sekund nadejdzie ich kolej, tylko dwie pary dzieliły ich od wejścia.

Rozejrzał się dokoła, szukając inspiracji. Jeden z lokajów ogłosił:

– Sir John Kimball i lady Kimball.

– Sam - szepnęła Remi, z nerwowym uśmiechem przyklejonym do twarzy. - Teraz my.

– Czy to nie rolls-royce Charlesa Avery’ego, a raczej jego pachołka Fiska?

Obejrzała się przez ramię.

– Na to wygląda.

– Jakie jest prawdopodobieństwo, że on sam, albo kierowca, ma w samochodzie broń?

– Niemal stuprocentowe.

Sam pochylił się ku niej i wyszeptał:

– A co się stanie, kiedy piękna, wystraszona kobieta ujawni ten fakt?

– Znasz taką?

– Piękną? Tak. Ale na pewno nie wystraszoną.

– Jest tylko jeden sposób, aby się przekonać...

Przy drzwiach sługa w liberii poprosił ich o zaproszenie. Remi przyłożyła dłoń do szyi i zwróciła na niego swe piękne, zielone oczy, które w jednej chwili nabrały sarniego wyrazu.

– Dzięki Bogu - powiedziała, przysuwając się bliżej i zniżając

głos do szeptu. - W życiu się tak nie wystraszyłam. Ten człowiek ma pistolet.

- Który? - spytał szybko lokaj, rozglądając się po twarzach stojących za nią mężczyzn.

- Stoi koło rolls-royce'a. Wysoki, ciemne włosy, siwizna na skroniach. O, teraz patrzy na nas, jakby wiedział, o co chodzi.

- Proszę tu poczekać.

Odźwierny podszedł do dwóch mężczyzn w ciemnych garniturach, stojących trzy metry na prawo od wejścia. Wyglądali na ochroniarzy.

Sam wykorzystał ten moment i pociągnął Remi do środka. Drogę zastąpił im kolejny lokaj i zażądał okazania zaproszenia.

- Dałem je tamtemu dżentelmenowi. - Sam wskazał na jednego z trzech mężczyzn, podchodzących właśnie do Fiska.

Lokaj wpatrywał się Remi i Sama, wyraźnie skonfundowany.

- Kogo mam zaanonsować?

- Longstreet. - Remi podała swoje panieńskie nazwisko i zrobiła krok do przodu.

- Pan i pani - dodał Sam.

- Pan i pani Longstreet - zaintonował lokaj, wpuszczając ich do środka.

Sam odciągnął Remi od drzwi, by szybko wmieszać się w tłum, zanim ktokolwiek zorientuje się w sytuacji. Zwłaszcza że Fisk mógł skojarzyć sobie z nimi interwencję ochroniarzy.

- Całkiem nieźle nam poszło - zauważył, kiedy uznał, że są już bezpieczni i nikt za nimi nie idzie.

Właśnie mijał ich kelner w liberii, niosący na tacy wysokie kieliszki z szampanem. Sam wziął dwa, jeden podał Remi.

- Za piękne kobiety, które są zarazem dobrymi aktorkami.

- I za przystojnych mężczyzn, którzy sypią pomysłami jak z rękawa.

Stuknęli się kieliszkami i popijali z nich, przemierzając atrium. Nie chcieli marnować ani chwili.

Sam obejrzał się do tyłu.

– Coś nie tak? - spytała Remi.

– Prawdopodobnie poruszyliśmy gniazdo szerszeni, napuszczając ochroniarzy na ludzi Avery'ego.

– Jeśli się nam poszczęści, zdążymy wejść i wyjść, zanim nas pokąsają.

– Miejmy nadzieję - stwierdził. Właśnie zbliżali się do grupy gości, zgromadzonych przed nową ekspozycją. Rozejrzał się, szukając osób mogących stanowić potencjalne zagrożenie. Zauważył kilku zakonspirowanych ochroniarzy. Tego akurat można się było spodziewać, więc nie potraktował ich jako zagrożenia. Wypatrywał ludzi, którzy mogliby pracować dla Avery'ego i Fiska.

Jak na razie szło im całkiem dobrze.

Kobieta stojąca w wejściu do galerii wręczyła im potrójnie złożone, barwne broszury informacyjne.

Remi wzięła swoją i zaczęła przeglądać. Sam wykorzystał tę chwilę, by zlustrować gości, kłębiących się w długiej sali wystawowej. Nikt nie zwracał na nich najmniejszej uwagi.

– Fascynujące - mruknęła Remi.

– Co takiego?

– Wziąwszy pod uwagę tematykę wystawy - odpowiedziała, potrząsając broszurą - nazwa całej imprezy wydaje się nietrafiona. Otóż oficjalny tytuł ekspozycji powinien brzmieć „Nieślubne dzieci angielskiej arystokracji”.

– Tak sobie myślę, że taka nazwa nie byłaby równie dobrze widziana jak „Królewska noc w muzeum”. - Sam rozejrzał się po sali, w której zdecydowaną przewagę stanowili starsi wiekiem darczyńcy. - Niektórym z tu obecnych mogłaby zadrzeć ręką podczas wypisywania oficjalnej wersji na czeku.

– Masz rację. - Remi roześmiała się. - Chodźmy więc zobaczyć, o co ta cała awantura.

Sam wziął Remi pod rękę i zaczęli zwiedzać wystawę,

zorganizowaną chronologicznie i z podziałem na poszczególne rody. Mniej więcej w połowie natknęli się na przedmioty pochodzące od pani Herbert-Miller i jej kuzyna. Zatrzymali się, aby dokładnie się im przyjrzeć. Były tam obrazy, kompletna zbroja, kolekcja broni oraz biżuteria. Jeśli pośród eksponatów znajdowało się koło szyfrujące, to nie było widoczne na pierwszy rzut oka.

– Zrób zdjęcia - polecił Sam. - Ja będę się rozglądał za Fiskiem.

Remi sfotografowała telefonem każdy z wystawionych przedmiotów.

– Zrobione - oznajmiła po kilku minutach.

Podeszła do nich kobieta w eleganckiej garsonce. Z plakietki doczepionej na kieszonce wynikało, że to pracownica muzeum.

– Interesujące, nieprawdaż?

W pierwszym odruchu Sam chciał się z nią zgodzić, ale uznał, że w ten sposób uzyska mniej informacji. Zamiast tego spytał:

– Co pani ma na myśli?

– Kolekcję Mortimerów. Nasza najnowsza. Przygotowywałam ją do wystawienia.

Remi i Sam wymienili szybkie spojrzenie i uśmiechnęli się, podchodząc bliżej.

– To musi być fascynujące zajęcie, pani...

– Walsh. Meryl Walsh. Istotnie, wyjątkowo fascynujące.

– Proszę nam opowiedzieć coś więcej o tej kolekcji. Na przykład, gdzie moglibyśmy umiejscowić Edmunda, drugiego lorda Mortimer?

– Nasze największe zainteresowanie budzi jego babka, Maud de Braose, która zresztą zainspirowała nazwę naszej imprezy, „Królewska noc w muzeum”. Poprzez swoje dzieci Maud de Braose jest skoligaconą nie tylko z ostatnimi królami z dynastii Plantagenetów, od Edwarda IV do Ryszarda III, ale także ze wszystkimi angielskimi monarchami, poczynając od Henryka VIII. Kiedy Grace Herbert-Miller zaoferowała nam te przedmioty

na wystawę, nie wahaliśmy się ani chwili.

– To doprawdy imponujące - zachwycił się Sam. - A czym wyróżnił się nieślubny syn Mortimera, poza dalekim pokrewieństwem z panującymi?

– W przeciwieństwie do swoich przodków, którzy mieli sporo za uszami - udział w masakrach, intrygowanie w celu obalenia króla - sir Edmund Herbert i jego potomni prowadzili żywot przykładowy, by nie rzec nudny. Natomiast nie należy zapominać o sporze jego przyrodniego brata z tym oto prominentem.

To mówiąc, podeszła do kolejnej ekspozycji.

– Mamy tu nieprawego wnuka Hugona Despensera, człowieka, który uchodził za kochanka króla Edwarda II. Królowa Izabela nienawidziła go i zdołała przekonać męża, aby wygnał Hugona z kraju. Wtedy to Despenser czasowo zwrócił się ku piractwu.

Na osi czasowej odwzorowującej życie Despensera w 1321 roku umieszczono wykonany piórką rysunek jednomasztowego żaglowca, z którego opisu wynikało, że był on „morskim potworem”.

Remi pochyliła się, aby obejrzeć go z bliska.

– Domyślam się, że dotyczące ich ekspozycje sąsiadują ze sobą właśnie z powodu zatargu pomiędzy nimi.

– Zgadza się - potwierdziła Walsh. - Kiedy Despenser grasował po morzach, zaatakował między innymi statek należący do rodu Mortimerów, przewożący majątek królowej Izabeli. Roger Mortimer, który pomógł Izabeli zdetronizować jej męża, Edwarda II, został jakiś czas później stracony. Niektórzy badacze twierdzą, że to z powodu utraty majątku Izabeli.

– O ile się orientuję, Mortimera stracono kilka lat po Despenserze.

– To prawda, ale chodziło także o honor rodu. Od pokoleń Mortimerowie i ich przodkowie składali hołd lenny królom, którym służyli. Edward III mógł wybaczyć Mortimerowi udział w obaleniu swego ojca, którego związek z Despenserem zagrażał

bezpieczeństwu Anglii. Jednak po abdykacji Edwarda II powinnością Mortimera było usunięcie się w cień, a on tego nie uczynił.

Sam, który od zawsze pasjonował się historią, chłonał te informacje, przyglądając się przedmiotom, wystawionym w gablotach.

– Pomijając sam fakt pochodzenia z nieprawego łoża, jaką rolę w tym wszystkim odegrali nieślubni synowie?

– Sir Edmund Herbert, przyrodni brat Mortimera, zdołał odzyskać część majątku Izabeli skradzionego przez Despensera. To dzięki temu Mortimerowie zostali przywróceni do łask przez Edwarda III. W przeciwieństwie do niego Roger Bridgeman, nieślubny syn Despensera, kontynuował nową rodzinną tradycję i został piratem.

A więc tu pojawia się Bridgeman, pomyślał Sam. To wyjaśnia zainteresowanie Avery'ego.

– Fascynujące - przyznała Remi. - Czy to już wszystko?

– Przepraszam, ale nie rozumiem.

– Pytałam, czy to wszystkie artefakty, uzyskane od Mortimerów? Szczęśliwym zrzędzeniem losu spotkaliśmy Grace Herbert-Miller i od niej dowiedzieliśmy się, że niedawno wszystko oddała wam. Zastanawiam się, czy pokazaliście wszystko, czy jakieś przedmioty nie trafiły na ekspozycję?

– Oczywiście wybraliśmy te eksponaty, które najbardziej wiązały się z tematem wystawy. Czy chcecie zobaczyć jakąś konkretną rzecz? Być może uda mi się zorganizować dla was prywatne zwiedzanie, ale to dopiero za kilka dni.

– Bylibyśmy bardzo zobowiązani - zapewniła Remi. - Ma pani może szczegółową listę przedmiotów, które nie zostały wystawione?

Kobieta zawahała się, widząc, że Remi wpisuje coś w telefon.

– Czy mogę spytać o powód waszego zainteresowania?

– Jesteśmy pisarzami - odparł szybko Sam. - Pracujemy nad

historią rodu Mortimerów. Dowiedziawszy się, że Mortimer Herbert był z nieprawego łoża, postanowiliśmy dodać także i jego.

Remi pokiwała głową i uniosła telefon.

– Właśnie robię notatki.

– Doprawdy? - ucieszyła się panna Walsh. - W takim razie trafiliście na właściwą osobę. Poproszę o nazwisko i numer telefonu. Skontaktuję się z wami. - Wyciągnęła z kieszeni mały notes i długopis.

– Longstreet - powiedziała Remi i podała numer swojej komórki.

Kiedy kobieta odeszła, by porozmawiać z innymi gośćmi, Sam spytał Remi:

– Zapisałaś wszystko?

– Wysłałam esemesa do Selmy i wykułam całość na blachę.

Remi miała niemal fotograficzną pamięć, więc nie wątpił w to nawet przez chwilę.

– Zobaczmy, co tu jeszcze mamy. - Podniósł wzrok i ujrzał Colina Fiska, który zbliżał się do nich, dzierżąc w dłoni czarną laskę z mosiężnym uchwytem, choć wcale nie utykał. - Zgadnij, kto przyszedł.

– Masz ci los. A było tak przyjemnie.

– Gratuluję inwencji - odezwał się Fisk. - Człowiek z pistoletem. Nic lepszego nie zdołaliście wymyślić?

Sam wzruszył ramionami, rozglądając się za resztą bandy.

– Liczy się efekt - stwierdził, zdziwiony, że widzi Fiska samego, bez żadnego pomagiera. - Przyszedłeś bez osoby towarzyszącej?

– W obliczu niebezpieczeństwa rozsądek nakazuje zostawić swoją piękniejszą połówkę w domu.

Sam poczuł, że Remi drgnęła, słysząc tę zawoalowaną groźbę.

– Nie pytam, co cię tutaj sprowadza, bo znamy odpowiedź.

– Czyżby? Widzę, że znaleźliście Kolekcję Mortimerów. Szkoda, że wystawili ją obok ekspozycji Dispenserów.

– Lokalizacja wydaje się idealna, wzięwszy pod uwagę tło historyczne.

– A żebyś wiedział. - Fisk uśmiechnął się chłodno, co chwilę zerkając na Remi. - Teraz wyjdziecie na zewnątrz, ja za wami.

– Naprawdę myślisz, że dokądkolwiek z tobą pójdziemy?

– Oczywiście, że nie. Dlatego pozwoliłem sobie zadbać o zapewnienie waszej współpracy. Ta młoda kuratorka wystawy... Zdaje się, że nazywa się Walsh. Zerknij na drugi koniec sali.

Sam obejrzał się we wskazanym kierunku. Patrzyła prosto na nich, blada jak ściana. Tuż za nią stało dwóch zbirów Fiska, Ivan i jakiś nowy.

– A jeśli mimo to nie będziemy współpracować?

– Wówczas będziecie mieli śliczną pannę Walsh na sumieniu.

– Naprawdę sądzisz, że uda ci się stąd uciec? Z samego środka Muzeum Brytyjskiego?

– To już się dzieje. Pytanie jest tylko jedno: ile postronnych osób ma zostać przy tym poszkodowanych?

– Co się dzieje? - spytał Sam.

– Za niecałe sześćdziesiąt sekund włączy się alarm przeciwpożarowy. Dobrze wyszkoleni pracownicy muzeum, zgodnie z procedurą, wyprowadzą wszystkich na zewnątrz. Nie wiedzą jednak, że przed głównym wejściem będzie stała karetka pogotowia, wyładowana po brzegi materiałem wybuchowym, którego wybuch może zmieść frontową ścianę budynku. Zapewne właśnie podjeżdża, wezwana do mężczyzny skarżącego się na ból w piersiach. Masz więc dwie możliwości. Po usłyszeniu alarmu możesz wyjść z innymi przed budynek i narazić swą piękną żonę na śmierć w wybuchu, który zapewne spowoduje ogromne straty w ludziach. Możesz też ocalić kilkadziesiąt osób, włącznie ze swoją żonę, jeśli pójdziesz ze mną i z wystraszoną panią kurator, która czuje na plecach ostry czubek sztyletu Marlowe'a. - Tu uniósł swoją łaskę, dając do zrozumienia, jak nóż został przemycony do środka. - A na

wypadek, gdybyś chciał powiadomić ochronę, Ivan zdołał przeszmyglować także swój pistolet.

Sam przyjrzał się obu bandytom. Ivan trzymał prawą rękę w kieszeni i uśmiechał się, jakby wiedział, że właśnie o nim rozmawiają. Na potwierdzenie słów Fiska uniósł dłoń i wypchnął kurtkę, celując prosto w nich z ukrytej broni. W tym samym momencie rozległy się dzwonki alarmu.

– Decyduj się, Fargo. Byle szybko.

Rozdział 33

Słyszając alarm, Remi chwyciła Sama za ramię.

– Nie opuszczę męża.

– Akurat ty nie masz tu nic do gadania.

– Co się stanie z moją żoną, jeżeli z tobą pójdę? - spytał Sam.

– Jeśli grzecznie wyjdzie przed budynek, to będzie znak, by nie odpalać ładunku, oczywiście pod warunkiem, że nie pojawi się policja. Zresztą to ona powinna martwić się o to, co stanie się z tobą. - Wlepił swój świdrujący wzrok w Remi. - Trzymaj się blisko wejścia i nie używaj telefonu, a twojemu mężowi nie stanie się nic złego.

– Sam...

– Będzie dobrze, Remi. Idź. - Sam popatrzył w kierunku wyjścia, przez które pracownicy muzeum wyprowadzali gości.

Remi stanęła naprzeciw Fiska i popatrzyła mu prosto w oczy. Jednak zdała sobie sprawę, że lepiej go nie drażnić, dlatego odwróciła się do męża.

– Uważaj na siebie.

W odpowiedzi Sam skinął jej krótko głową, więc zmusiła się do odejścia. Przy drzwiach obejrzała się w nadziei, że spotka spojrzenie Sama.

Byli już na drugim końcu galerii, dokąd ludzie Fiska przyciągnęli pannę Walsh. Zerwali jej z piersi identyfikator, służący zarazem jako karta magnetyczna, i otworzyli nim drzwi. Wtedy Sam wreszcie spojrział na Remi. Skrzyżował palce, dotknął nimi skroni i wycelował je prosto w nią.

Ona zrobiła to samo. To był znak ich prywatnego kodu, mówiący: „Nie martw się, kocham cię”.

Starła się iść spokojnie z pozostałymi gośćmi opuszczającymi muzeum. Próbowła kontrolować oddech, walcząc z ogarniającym ją przerażeniem. Wierzyła w umiejętności Sama. Jeżeli ktokolwiek mógł pokonać Fiska, to właśnie on.

Wyszła na zewnątrz i rozejrzała się. Powietrze było zimne, z oddali dobiegał jęk syren alarmowych. Goście tłoczyli się przy wejściu, cekiny i klejnoty na sukniach kobiet migotały w świetle lamp i latarni.

Zewsząd słychać było śmiechy i przyciszone rozmowy. Żadnych oznak paniki.

Remi zorientowała się, że przed budynkiem nie ma karetki ani tym bardziej mężczyzny z atakiem serca, prawdziwym czy symulowanym.

Fisk ich okłamał. Dali się podejść jak dzieci.

Zawróciła na pięcie i podeszła do drzwi, przez które ochrona wciąż wyprowadzała gości.

Kiedy próbowała wejść do środka, jeden ze strażników położył jej dłoń na ramieniu.

– Przykro mi, proszę pani. Musi pani pozostać na zewnątrz, dopóki strażacy nie sprawdzą budynku.

– Tam chyba został mój mąż. - Uniosła dłoń do gardła, aby wyglądać na bardziej przerażoną, niż była w rzeczywistości. - Jest cukrzykiem. Poszedł do toalety koło atrium. Tylko sprawdzę i zaraz będę z powrotem.

Strażnik zawahał się, widząc błagalny wyraz jej oczu, po czym kiwnął głową.

– Ale raz dwa.

– Dzięki! Wracam w try miga!

Pobiegła prosto do atrium, ale obejrzała się za siebie. Strażnik, który ją wpuścił, nie zwracał na nią najmniejszej uwagi. Doskonale. Szerokimi, zakręconymi schodami po lewej schodziło z pięćdziesiąt osób. Dwie młode pracownice muzeum stały po obu stronach u podstawy schodów, powtarzając w kółko:

– Prosimy kierować się do najbliższego wyjścia. Dziękujemy.

Remi podeszła z uśmiechem do bliższej z nich.

– Przepraszam, nie mogę znaleźć męża. Obawiam się, że mógł zostać na górze.

– Proszę tu zaczekać. Sprowadzamy wszystkich z wyższych pięter.

– Dziękuję.

Zrobiła krok w tył i wpadła na kogoś. Straciła równowagę, więc oparła się na swojej rozmówczyni, ale wypuściła przy tym torebkę z ręki, która, z brzękiem łańcuszka, wylądowała na podłodze.

– Ojej, bardzo przepraszam - powiedziała do kobiety, próbującej ją podtrzymać.

– Źle się pani czuje?

– Ależ nie, tylko trochę mi głupio. Chyba nie zrobiłam pani krzywdy?

– Nie. Podam pani torebkę.

– Poradzę sobie - odrzekła Remi. Schyliła się, podniosła torebkę i zarzuciła łańcuszek na ramię. - Ale narozrabiałam. To te nieszczęsne obcasy. - Zerknęła w górę schodów. - Nie widzę go. Chyba poczekam na zewnątrz.

Dołączyła do tłumu zmierzającego ku wyjściu. Pod torebką ukryła skradzioną kartę magnetyczną, po czym szybko odbiła w bok w kierunku galerii. Obejrzała się za siebie, aby się upewnić, że nikt na nią nie patrzy, i ruszyła prosto do drzwi, za którymi miała nadzieję znaleźć Sama. Wsunęła kartę do zamka. Rozległ się cichy trzask, światelko zmieniło się na zielone. Otworzyła drzwi i wśliznęła się do środka. Weszła na schody, chowając kartę do torebki. Spojrzała w górę i odrzuciwszy tę możliwość, zeszła na dół, gdzie natrafiła na drzwi. Otworzyła je, rozejrzała się ostrożnie i weszła do korytarza, po czym zamknęła cicho drzwi za sobą.

Ściągnęła buty i na bosaka ruszyła korytarzem. Minęła kilkoro

zamkniętych drzwi, aż doszła do miejsca, w którym korytarz rozwidłał się. Po lewej zauważyła strzałkę i napis „Wyjście”. Nie przypuszczała, aby już opuścili muzeum, chyba że znaleźli to, czego szukali, dlatego poszła w prawo. Po kilku krokach usłyszała głosy, płynące z głębi korytarza.

Zamarła w bezruchu, nasłuchując. Nie zdołała rozpoznać głosu ani rozróżnić słów, ale zyskała pewność, że idzie w dobrym kierunku.

Szła dalej tuż przy ścianie. Rozmowa stawała się coraz głośniejsza.

– Szukaj dalej - mówił głos, prawdopodobnie Fiska.

– Może poszłoby mi trochę szybciej, gdybym wiedziała, czego szukać - odpowiedział kobiecy głos.

– Przecież mówiłem. Coś okrągłego i pokrytego znakami.

Remi zbliżała się do jakiegoś pomieszczenia, przyciskając plecy do ściany. Drzwi były tylko lekko przymknięte. Fisk, obrócony do nich tyłem, patrzył na pannę Walsh, przeglądającą przedmioty na stole. Obok stał Marlowe ze sztyletem w dłoni. Nigdzie nie widziała Ivana ani Sama. Przyjrząwszy się drzwiom, uznała, że wystarczy lekko je popchnąć, by poszerzyć sobie pole widzenia. Wyciągnęła rękę i nacisnęła drzwi końcami palców. Szczelina poszerzyła się może o centymetr, ale to wystarczyło, aby zorientowała się, że była to pracownia, w której katalogowano Kolekcję Mortimerów. Na stole leżało kilka egzemplarzy zabytkowego uzbrojenia, które najwyraźniej nie zostały zakwalifikowane na wystawę: głowica maczugi z odłamanym trzonkiem, obuch, czyli młot bojowy, stara skórzana tarcza i części zbroi. Niestety, żaden z tych przedmiotów nie nadawał się do użycia przez nią jako broń, może z wyjątkiem mosiężnej gwiazdy, która kiedyś prawdopodobnie była przytwierdzona do skórzanej tarczy. Miała ostre czubki i rzucona z odpowiednią siłą mogła wyrzucić komuś krzywdę.

Nagle drzwi otworzyły się na oścież i jej oczom ukazał się

Ivan, celujący prosto w nią z miniaturowego pistoletu.

– Nie ruszaj się.

Remi zajrzała do środka i zobaczyła Sama. Siedział na krześle pod ścianą, z rękami skrupowanymi z przodu plastikową opaską zaciskową, poza tym zdrów i cały.

– Obejdzie się bez przemocy - powiedziała, zerkając na pistolet.

– Trzeba było zostać na dworze.

– Wrócę tam z miłą chęcią.

– Za późno - burknął Ivan i wciągnął ją do wnętrza.

Rozdział 34

Sam zmusił się do zachowania spokoju na widok Remi, która wpadła przez drzwi i zatrzymała się na stole z eksponatami. Z całych sił pragnął wyrzucić Ivana pięścią w twarz, a następnie skrócić mu kark, ale musiał poczekać na stosowniejszy moment. Małokalibrowy pistolecik, przemycony do muzeum przez Ivana, mógł wystrzelić tylko dwukrotnie, ale wciąż było to o dwa strzały za dużo.

– Co to ma znaczyć? - spytał Fisk, patrząc na Ivana trzymającego Remi.

– Mamy gościa.

– Dlaczego nikt się mnie nie słucha? - Fisk westchnął z rezygnacją. Chwilę później zauważył, że panna Walsh przerwała swoją pracę, więc zwrócił się do niej: - A ty szukaj dalej.

Kobieta kiwnęła głową i wróciła do grzebania w segregatorach i stertach dokumentów.

Remi pochyliła się nad stołem, by sięgnąć po but, który wypadł jej z ręki. Ivan chwycił ją za ramię i odciągnął w tył.

– Nie dotykaj mojej żony - ostrzegł go Sam.

– Bo co?

Sam zaczął się podnosić, ale Marlowe podskoczył do niego i pchnął go z powrotem na krzesło.

– Siedź, bo poderżnę ci gardło.

Remi, przyciskając buty i torebkę do piersi, popatrzyła Samowi w oczy. W jej wzroku kryła się chłodna determinacja.

– Nic mi nie jest.

Co jak co, ale w wymyślaniu planów awaryjnych Fargowie nie mieli sobie równych. Przydałby się jakiś na teraz, pomyślał Sam.

Patrzył na Ivana, prowadzącego Remi w jego kierunku.

– Siadaj - rozkazał bandyta, wskazując jej krzesło obok Sama.

Remi zerknęła na męża.

– Dobrze się bawisz?

– Zamknąć się, jedno z drugim! - huknął Ivan, po czym stanął po przeciwnej stronie pokoju, nie spuszczając z nich oka.

Panna Walsh, wysypawszy zawartość jednego z kartonów na stół, zerknęła przez ramię na sztylet w dłoni Marlowe'a.

– Możesz się z tym trochę odsunąć?

Marlowe nie odpowiedział, tylko się na nią gapił, więc odwróciła się do stołu i drżącymi rękami zaczęła wertować dokumenty.

Fisk popatrzył na zegarek, a potem na pannę Walsh.

– Nie przypominasz sobie takiego przedmiotu wśród artefaktów?

– Gdyby był, tobym wiedziała. Ale go nie było.

Fisk podszedł do niej, mrużąc oczy.

– To po co się w tym grzebiesz? Przecież tu są same papiery.

– Mówiłeś, że to było okrągłe i miało na sobie znaki? Pamiętam, że był tu gdzieś rysunek czegoś podobnego. - Popchnęła pudło w jego kierunku. - Możesz sam poszukać.

Fisk wyciągnął plik papierów z kartonu i skinął głową na Ivana i Marlowe'a.

– Uważajcie na tę dwójkę.

– Dobrze się czujesz? - spytał Sam.

– Wszystko w porządku. Naprawdę.

– Nie powinnaś wracać.

– Martwiłam się o ciebie. Nie było żadnej karetki nafaszerowanej materiałem wybuchowym.

– Musiałem uciec się do podstępu - wtrącił się Fisk, nadal z głową pochyloną nad dokumentami. - Okazał się skuteczny.

– Tak więc - ciągnęła Remi, ignorując jego słowa i kierując wzrok na nadgarstki Sama i krępującą je plastikową opaskę -

troszeczkę się bałam o twoje bezpieczeństwo.

Sam uśmiechnął się do niej, potem zerknął na pannę Walsh wertującą papiery z nieco większą uwagą niż Fisk. Może nie chciała uszkodzić dokumentów mających wartość historyczną albo zdała sobie sprawę, że kiedy odnajdzie się ten przedmiot, ich życie stanie się nic niewarte.

W pewnej chwili Fisk podniósł poślódką kartkę i zrobił krok w tył.

– Jest.

Panna Walsh zastygła w bezruchu.

Sam spróbował poluzować plastikowe więzy, wykorzystując fakt, że Ivan przeniósł wzrok na Fiska w oczekiwaniu dalszych rozkazów. Ten jednak wciąż wpatrywał się z zachwytem w znaleziony dokument, jakby zapomniał o pozostałych ludziach w pomieszczeniu. Nagle uniósł głowę i spojrzał na Ivana, a potem na Marlowe'a.

– Dołączcie do mnie na górze, kiedy z nimi skończycie. Przyślę wam Jaka do pomocy - oznajmił i wyszedł.

Niedobrze, pomyślał Sam.

– Masz tylko dwie kule w pistolecie - powiedział do Ivana.

– Żaden problem, mam jeszcze kilka w kieszeni, a Marlowe aż się pali, by wypróbować swój nowy sztylet.

Marlowe uniósł lśniące ostrze i uśmiechnął się do panny Walsh, która pobladła na ten widok i zrobiła krok w tył.

Remi wciągnęła nerwowo powietrze do płuc.

– Na litość boską, jeśli zamierzacie nas zabić, to pozwólcie mi chociaż włożyć pantofle, bym mogła umrzeć z godnością. Potrzyмай - zwróciła się do Sama, uniosła przy tym torebkę na wysokość jego piersi i tym samym niemal zmusiła go, by wziął ją od niej mimo wciąż skrepowanych rąk, a sama schyliła się i zaczęła demonstracyjnie wkładać eleganckie pantofle.

Na twarzy Ivana pojawił się uśmiezek politowania. Co za idiotka, by w takim momencie martwić się o swój wygląd. Sam

ścisnął w dłoniach torebkę i wyczuł, że coś jest schowane pod klapką. Mosiężna gwiazda. Dobrze i to, choć wolałby nóż do rozcięcia więzów.

Nagle Marlowe chwycił pannę Walsh i przystawił jej sztylet do gardła.

Sam zerwał się z krzesła, upuszczając torebkę, i cisnął gwiazdę, która niczym japoński shuriken - broń wojowników ninja - wbiła się Marlowowi w szyję. Oczy bandyty zrobiły się wielkie jak spodki. Upuścił sztylet i złapał się za gardło, nie mogąc zaczerpnąć oddechu. Zatoczył się w tył i padł na podłogę obok Ivana, który właśnie wycelował pistolet w Remi. Ale wtedy Sam był już przy nim i podbił mu rękę w chwili oddawania strzału, po czym napał na niego, próbując dosięgnąć pistoletu skrępowanymi rękami. Ivan wystrzelił ponownie, tuż obok głowy Sama, który poczuł ukłucia rozżarzonych drobinek prochu na policzku. Ivan zamachnął się na niego bezużytecznym pistoletem i sięgnął na ślepo za siebie. Chwycił leżący na stole obuch. Sam odskoczył do tyłu w samą porę, bo młot o włos minął jego głowę. Uchylił się przed kolejnym ciosem i uderzył Ivana barkiem w pierś. Obuch wyleciał bandycie z dłoni, a on sam przewrócił się na stojący za nim stół.

- Uciekajcie! - krzyknął Sam.

Remi wyciągnęła pannę Walsh z pomieszczenia. Ivan chwycił głowicę maczugi i trzymając w dłoni kolczastą kulę, ruszył na Sama. Ten, wciąż ze związanymi rękami, zdołał porwać ze stołu skórzaną tarczę. Ivan zamachnął się i uderzył. Kolce maczugi wbiły się w skórę. Sam napał tarczą na Ivana, odrzucając go w tył. Bandyta potknął się o ciało Marlowe'a i upadł z hukiem na podłogę.

Sam rzucił w niego tarczą i wybiegł na korytarz. Daleko przed sobą zobaczył Remi z panną Walsh. Dogonił je, kiedy zatrzymały się na skrzyżowaniu korytarzy. Jeden prowadził z powrotem do muzeum, a drugi do wyjścia awaryjnego.

– Którędy? - spytała Remi.

Panna Walsh była zbyt przerażona, aby podjąć jakąkolwiek decyzję.

– Do wyjścia - zakomenderował Sam. Miał nadzieję, że na dworze będą stali ludzie ewakuowani na skutek alarmu, co pozwoli im wmieszać się w tłum.

Wbiegli po schodach na górę i wypadli na zewnątrz. Niestety, wyjście awaryjne znajdowało się z dala od frontu muzeum. Znaleźli się w pustym, ciemnym przejściu między budynkami, z którego korzystali tylko pracownicy i obsługa.

Musieli jak najprędzej wydostać się na ulicę poza teren muzeum. Mogli iść w lewo lub w prawo. Sam poszedł w lewo i po chwili zatrzymał się przy wąskich schodkach, prowadzących w dół do innych pomieszczeń piwnicznych.

– Schowajmy się tutaj - powiedział. Zeszli w dół po spowitych cieniem schodkach, słysząc skrzypnięcie otwieranych drzwi wyjścia awaryjnego, a potem trzask, kiedy się zamknęły.

Na chodniku nad nimi rozległy się kroki Ivana, który minął ich kryjówkę, zatrzymał się i rozejrzał w obie strony. W dłoni znów miał swój miniaturowy pistolet.

Sam, oparty plecami o ścianę, starał się oddychać spokojnie, kiedy Remi przecinała scyzorykiem opaskę krępującą mu nadgarstki. Nagle Ivan zawrócił. Zastygli, gdy zrobił kilka kroków w ich kierunku, a potem stanął tak blisko, że Sam mógłby chwycić go za kostki. Wyjął z kieszeni telefon i wybrał połączenie.

– Marlowe nie żyje... Nie, zgubiłem ich. Sprawdzę teren muzeum, a ty miej oko na ulice... Nie, nie ruszymy się stąd, dopóki ich nie znajdziemy. Szef chce ich...

Dalsze słowa zagłuszył generator, który nagle włączył się w sąsiednim budynku. Sam wyjrzał za Ivanem, który odszedł i po chwili zniknął za rogiem.

Chwilowo byli bezpieczni. Sam popatrzył na towarzyszące mu

kobiety.

– Wszystko w porządku?

W odpowiedzi pokiwały głowami.

– To dobrze. Zabierajmy się stąd. - Wskazał wzrokiem drzwi za ich plecami. - Dokąd prowadzi to wejście?

Panna Walsh, która zdołała się nieco opanować, pokręciła głową.

– To tylko pomieszczenie służbowe. Nie ma stąd przejścia do wnętrza muzeum. Może lepiej zadzwonić po policję?

– Przede wszystkim musimy wyjść z tego cało, żeby móc złożyć zeznania. Jak w takim razie dostać się do środka?

– Najprościej byłoby wrócić tą samą drogą, którą wyszliśmy - odparła panna Walsh. - Niestety, zabrali mi kartę magnetyczną.

– Ja mam kartę. - Remi zajrzała do torebki. - Pożyczyłam od innej pracownicy muzeum.

– Zuch dziewczyna - stwierdził Sam. Wspiął się po schodkach, sprawdził, czy jest bezpiecznie, i gestem przywołał je na górę.

– Prosto do tamtych drzwi - rozkazał, puszczając je przodem.

Wśliznęli się do wnętrza. Sam odetchnął z ulgą dopiero wtedy, gdy drzwi zatrzasnęły się za nimi.

– Chodźmy do biura ochrony - zaproponowała panna Walsh. - Tam będziemy bezpieczni do czasu przyjazdu policji.

– Czy widziała pani dokument, który zabrali? - spytał po drodze Sam.

– To rysunek wykonany piórkiem.

– Co przedstawia?

– Okrążyły przedmiot z naniesionymi znakami. Widziałam go wcześniej, podczas katalogowania Kolekcji Herberta, dlatego od razu wiedziałam, o czym mówił ten złoczyńca.

– Może zapamiętała pani, co to były za znaki?

– Niestety nie. Przykro mi.

Kilka godzin później zmordowani Fargowie wrócili do swojego pokoju hotelowego. Leżąc obok siebie na łóżku, gapili się w sufit. Remi wzięła Sama za rękę.

– Wprost trudno uwierzyć, że tak niewiele nam zabrakło.

– Staraliśmy się z całych sił. Widocznie to za mało.

– Jak to możliwe, że oni wciąż są o krok przed nami?

Dobre pytanie, pomyślał Sam. Przecież zatamowali przeciek. Archer zapewnił ich, że Bree nie kontaktowała się z kuzynką, odkąd wyszło na jaw, że to ona była jego źródłem. Mimo to, cokolwiek by zrobili, za każdym razem bandyci zdołali ich uprzedzić.

– Mieli kilkudniowe fory.

– Może Selma ma dla nas jakieś nowiny.

– Zadzwoń do niej, czy wolisz, żebym ja to zrobił?

Nie otrzymawszy odpowiedzi, popatrzył na nią. Spała jak kamień. Przyglądał się jej przez chwilę, myśląc z mieszanymi uczuciami o wydarzeniach tego wieczoru. Było jasne, że Fisk nie zamierzał wypuścić go stamtąd żywego. Oczywiście nie poddałby się bez walki, ale też nie martwił się tym zbyt, bo wiedział, że Remi bezpiecznie wyszła na zewnątrz. Aż do momentu, gdy Ivan wepchnął ją do sali.

Jego ukochana żona postanowiła go uratować, choć ryzykowała własne życie. W dodatku wykazała się przytomnością umysłu, ściągając ze stołu bardzo użyteczną broń.

Słuchał w mroku jej równego oddechu, po czym uśmiechnął się na wspomnienie przedstawienia, jakie odegrała z wkładaniem pantofli.

– Zrobiłaś to po mistrzowsku - szepnął.

Remi poruszyła się lekko przez sen.

Obudził go sygnał telefonu. Otworzył oczy i natychmiast zmrużył je, zaskoczony dziennym światłem wpadającym przez okno. Jak przez mgłę usiłował zorientować się, gdzie się

znajduje, zanim doszło do niego, że to pokój hotelowy. Tymczasem Remi sięgnęła po omacku po komórkę. Przyłożyła ją do ucha i odezwała się zachrypniętym głosem:

– Halo... Co? Proszę poczekać.

– Kto to? - spytał Sam.

– Panna Walsh. - Remi uniosła się na łokciu i nie przestając słuchać, odwróciła się twarzą do Sama. - Wie, gdzie możemy znaleźć to koło ze znakami.

Rozdział 35

Jak to możliwe, że nie zauważyliśmy tego koła? - nie mogła się nadziwić Remi.

- To proste - odrzekł Sam, dociskając mocniej pedał gazu. Długi odcinek wiejskiej drogi przed nimi był całkiem pusty, dzięki czemu można było jechać dużo szybciej. Zerknął w lusterka, choć był niemal pewien, że nikt ich nie śledzi. Nie było po temu żadnego powodu, w końcu Fisk dostał to, czego chciał. - Ukryto je tak, by było wciąż na widoku, a my zwyczajnie nie patrzyliśmy we właściwe miejsce.

A może raczej nie wiedzieliśmy, na co patrzymy, pomyślał. Teraz już wiedzieli. Oby tylko nie okazało się, że popełnili karygodny błąd, podążając za fałszywym tropem w muzeum.

Nadspodziewane prędko pokonali większą część dystansu. Sam poczuł lekką ulgę, gdy skręcał w gruntową drogę prowadzącą do gospodarstwa Grace Herbert-Miller. Podobnie jak poprzednio, stadko kurczaków rozpięchło się na boki, kiedy podjechał od frontu. Zagęgały gęsi, a kozy, które podeszły do drewnianego ogrodzenia, powitały ich zgodnym beczaniem.

Żwir chrząścił im głośno pod podszwami, kiedy zmierzali do frontowego wejścia. Nikt nie zdołałby zbliżyć się niepostrzeżenie do tego domu, pomyślał Sam, i zapukał do drzwi.

Pukanie pozostało bez odpowiedzi. Zrobił kilka kroków w tył i popatrzył na komin. Nie było dymu.

- Zajrzyjmy od podwórka, aby upewnić się, że nie stało się nic złego.

Remi pokiwała głową w milczeniu. Wiedział, że myśli o tym samym co on. Gospodarzom musiało się coś przytrafić.

Poszli wzdłuż bocznej ściany. Wyłożoną cegłami ścieżkę porastała gruba warstwa mchu, przez co miejscami było dość ślisko. W oknach z małymi romboidalnymi szybkami odbijało się słońce, a białe koronkowe firanki skutecznie uniemożliwiały zajrzenie do środka. Z tyłu znajdował się dobrze utrzymany ogródek warzywny. Choć był ogrodzony, kilka kurczaków dostało się do środka i teraz wydziobywały robaki spomiędzy rzędów marchewek i selerów.

Do drzwi kuchennych prowadziły dwa schodki pomalowane na zielono. W drewnie koło zamka Sam zauważył kilka świeżych wyłobień, jakby niedawno ktoś próbował się włamać.

– Nie spodziewałem się takiego widoku - powiedział.

– Ma się rozumieć - przytaknęła Remi.

Sam już miał sięgnąć dłonią do klamki, kiedy usłyszał głośny chór kurczaków, gęsi i kóz, dobiegający od frontu, a potem chrzest żwiru pod oponami samochodu.

– Diabelnie skuteczny system alarmowy - stwierdziła Remi. - Może zainstalowalibyśmy sobie podobny u nas?

– Przypuszczam, że Zoltan nie oparłby się pokusie zjedzenia świeżutkiego kurczaka na obiad.

– Co racja, to racja.

Poszli z powrotem. Sam dał znak Remi, żeby zaczekała, i wyjrzał zza rogu. Grace Herbert-Miller właśnie wysiadała od strony pasażera z najnowszego modelu fiata, który stanął tuż za ich wypożyczonym autem. Sądząc po czarno-czerwonej sukience, czarnym wełnianym szalu i małym kapelusiku w tym samym kolorze, najprawdopodobniej wróciła z kościoła.

Nigdzie jednak nie było widać jej męża.

Nie chcąc wystraszyć kobiety, Sam skinął na Remi i razem wyszli przywitać gospodynię, która właśnie zegnała się z kierowcą.

Uśmiechnęła się na ich widok.

– Państwo Fargowie. Nie spodziewałam się dziś waszej wizyty.

– Dzień dobry. - Sam odwzajemnił uśmiech. - Przepraszam za najście bez uprzedzenia, ale muszę pilnie porozmawiać z panią i pani małżonkiem. Czy jest w domu?

– Niestety nie. Pojechał wczesnym rankiem z wizytą do brata. Biedaczysko źle się poczuł. Tak czy inaczej, zapraszam do środka.

To powiedziawszy, ruszyła do frontowych drzwi. Sam wyciągnął rękę i dotknął jej ramienia.

– Obawiam się, że było do państwa włamanie.

O dziwo, pani Herbert wybuchła śmiechem i nie zatrzymując się, sięgnęła do torebki po klucze.

– Nie sądzę. Mieszkamy na kompletnym odludziu. Komu chciałoby się fatygować tak daleko, zwłaszcza że nie mamy tu niczego wartościowego.

– A jednak wygląda na to, że ktoś dostał się do domu kuchennym wejściem.

Ostatecznie wszyscy troje okrążyli dom. Sam pokazał pani Herbert ślady majstrowania przy zamku.

– O Boże - jęknęła gospodyni.

Wyciągnął rękę i otworzył drzwi.

– Domyślam się, że zostawiła je pani zamknięte.

Pani Herbert bez słowa pokiwała głową.

– Zapewne włamywacze już uciekli - powiedział Sam - ale, szczerze mówiąc, lepiej nie ryzykować.

– Będziemy czekać wieki na przyjazd policji. To straszny kawał drogi.

– Zróbmy tak. Pani zadzwoni z komórki Remi, a ja w tym czasie sprawdzę dom.

– Dobrze.

Pchnął drzwi, przez chwilę nasłuchiwał, a potem wszedł do środka. Usłyszał, jak Remi mówi za jego plecami:

– Proszę się nie martwić. On zna się na rzeczy.

Odpowiedź pani Herbert brzmiała:

– Ale dlaczego ktoś miałby się do nas włamywać?

Sam znalazł się w przedsionku. Na podłodze zauważył kalosze, ustawione równiutko pod wiszącymi na ścianie płaszczami przeciwdeszczowymi. Mijając niewielką kuchnię, wyciągnął rewolwer z kabury. Nie miał żadnych wątpliwości, że włamywacze przyszli tylko po jedną rzecz, i, jak się okazało, właśnie ten przedmiot zniknął. Mimo to sprawdził resztę domu, po czym schował broń i dołączył do pań, czekających na zewnątrz.

– Nie ma nikogo - poinformował.

– Policja już jest w drodze - oznajmiła Remi.

– Czy coś zginęło? - spytała Grace, zwracając do Sama pobladłą nagle twarz.

– Obawiam się, że tak - odpowiedział. Wprowadził je do środka i wskazał na ścianę obok drzwi frontowych.

Pani Herbert ze zdziwieniem przyglądała się pustemu miejscu na ścianie pod herbem pomiędzy obrazami.

– Na co komu tarcza?

– Sądzymy, że znaki znajdujące się na centralnym elemencie tarczy, zwanym umbem, zostały użyte do zaszyfrowania opisu pewnej starej mapy.

– Umbo? Nie mam zielonego pojęcia, co to takiego.

– To środkowa, metalowa część tarczy, do której przymocowany jest uchwyt. Pełni też funkcję dekoracyjną.

Pani Herbert popatrzyła na ścianę, po czym zwróciła się do Sama.

– Czy aby na pewno jest tam jakiś szyfr? Ja widziałam tylko ładny motyw celtycki.

– Nie chodzi o widoczny na wierzchu węzeł celtycki. Znaki umieszczono na obwodzie koła.

– To ci dopiero... - Grace Herbert sięgnęła dłonią do piersi i pokręciła głową. - Chyba muszę usiąść.

– Pani pozwoli. - Remi wzięła ją pod ramię i zaprowadziła do

salonu. - Zrobić pani coś do picia?

- Nie, dziękuję. Już mi lepiej.

Sam usiadł naprzeciwko Grace.

- Wspominała pani o dwóch mężczyznach, którzy odwiedzili was tuż przed nami i pytali o odziedziczone przedmioty.

Pokiwała głową.

- Potrafiłaby pani ich opisać?

- Chyba tak... Sądzi pan, że oni...

- Jeśli to ci sami mężczyźni, na których my się natknęliśmy, to tak.

- Ale dlaczego?

- Chodzi o szyfr, o którym mówiłem wcześniej. Nie mamy jeszcze pewności, ale niewykluczone, że zaszyfrowana nim mapa pokazuje miejsce ukrycia skarbu.

Pani Herbert uniosła brwi.

- A więc chodzi o tę legendę...

- Zna ją pani?

- Owszem, ale to była jedna z historii, które opowiada się dzieciom na dobranoc. Nikt w to nie wierzył.

- Czy mogłaby pani ją nam opowiedzieć? - spytał Sam. Chciał się dowiedzieć jak najwięcej, zanim pojawi się policja.

- To było tak dawno... - Poprawiła się na miejscu i popatrzyła na puste miejsce na ścianie. - Miałam wtedy dziesięć, może jedenaście lat. Byliśmy z wizytą u kuzynostwa. Chłopcy nabijali się ze mnie, bo jako dziewczynka nie mogłam sprawować patronatu.

- Patronatu?

- Tak. Pamiętam najstarszego kuzyna, jak drażnił się ze mną, mówiąc, że dziewczyny nie mogą zostać patronami.

- Patronami czego?

- Jak to czego? Skarbu króla Jana.

Rozdział 36

Remi nie była pewna, czy dobrze zrozumiała panią Herbert.

– Króla Jana bez Ziemi, brata Ryszarda Lwie Serce?

– Dokładnie.

– Zdaje się, że to dość spory skarb - zauważyła Remi. - O ile dobrze pamiętam, jego wartość szacuje się na ponad siedemdziesiąt milionów funtów.

– Przecież to tylko legenda. Dlaczego ktoś miałby brać ją poważnie?

– Bo ja wiem... - bąknął Sam. - Pamięta pani, czego dotyczyła ta opowieść?

– No cóż, zawsze uważałam, że to bajka. William Marshal na prośbę króla Jana miał ukryć klejnoty koronne, by ocalić Anglię. Dodatkowo rozpuszczono pogłoskę, że zaginęły na bagnach, chcąc w ten sposób ochronić młodego następcę tronu. Mniej więcej o to chodziło. Mówiłam już, że nie przywiązywałam do tego żadnej wagi. To była jedna z historii, które stryj opowiadał swoim synom, kiedy byliśmy dziećmi.

– Co się stało z tymi kuzynami? - spytała Remi.

– Starszy zginął dziesięć lat temu w wypadku samochodowym, a jego młodszy brat zmarł w zeszłym roku na atak serca.

– Nie ma pani innych krewnych, którzy mogliby znać tę historię? - drążył Sam.

– Niestety, żaden z nich nie miał dzieci, a kuzyn z Nottingham, ten, z którym współdziedzicę, wie tyle samo co ja. – Pani Herbert zmarszczyła czoło w głębokim namyśle, a po chwili rozpromieniła się. - Właściwie to jest jeszcze ktoś. Madge Crowley, była żona mojego kuzyna. Całkiem o niej

zapomniałam, bo nie rozmawialiśmy ze sobą całe lata, od ich rozvodu. Czasem tylko przysyła mi kartkę na Boże Narodzenie. Mieszka gdzieś w Norfolk. Jeśli państwu na tym zależy, zaraz odzyskam jej adres.

– Bylibyśmy bardzo wdzięczni - powiedział Sam.

Okazało się, że Madge Crowley mieszka w Kings Lynn. Chwilę później pojawił się funkcjonariusz policji. Sam złożył zeznanie i podał mu nazwisko śledczego ze Scotland Yardu, który zajmował się tą sprawą.

Policjant podniósł wzrok znad swojego notesu.

– Jest pan pewien, że ta kradzież jest z tym powiązana? - spytał. - Mówił pan, że ten Fisk znalazł to, czego szukał w muzeum. Dlaczego więc przyjechał tutaj i ukradł tarczę?

– Żebyśmy my jej nie znaleźli.

Funkcjonariusz popatrzył z powątpiewaniem na ścianę, na której wisiała.

– Jaka jest jej wartość? - zwrócił się z pytaniem do pani Herbert.

Remi wyręczyła ją w odpowiedzi.

– Wyłącznie historyczna. Jak w przypadku większości eksponatów muzealnych.

– Historia - mruknął policjant. - Nie rozumiem, dlaczego ludzie tak szaleją za tymi starociami.

Skończył notować i wstał.

– Będę się z panią kontaktował.

– Dziękuję - powiedziała Grace Herbert i odprowadziła go do drzwi. Wróciła chwilę później.

– Proszę nam wybaczyć, że od początku nie byliśmy z panią całkiem szczerzy - przeprosiła ją Remi. - Sami nie bardzo wiedzieliśmy, o co w tym wszystkim chodzi.

– Gdybym wiedziała, co się stanie, oddałabym tarczę z innymi przedmiotami do muzeum - oznajmiła gospodyni z uśmiechem. - Czy mogę jeszcze w czymś pomóc? Bo jeśli nie, to chciałabym

powrócić do swojego prostego, wiejskiego życia.

Remi i Sam zerwali się z miejsc w reakcji na tę zdecydowaną, choć uprzejmą sugestię, że ma już dość ich towarzystwa.

– Nic mi nie przychodzi do głowy - stwierdził Sam i popatrzył na Remi. - A tobie?

– Też nic.

– Jeśli uda się państwu coś znaleźć, oddajcie wszystko do muzeum. Starczy mi emocjonujących wrażeń do końca życia - poprosiła pani Herbert, towarzysząc im w drodze do wyjścia.

W samochodzie Sam wręczył Remi kartkę z adresem Madge Crowley.

– Do Kings Lynn będzie jakieś trzy i pół do czterech godzin jazdy. Znosi się na długi dzień.

– Nie wiem jak ty, ale ja nie mam nic lepszego do roboty.

– Wychodzi na to, że ja też nie. - Zerknął na zegarek i uruchomił silnik. - Selma powinna już być na nogach. Zadzwoń do niej. Mam nadzieję, że uda się podciągnąć jakoś tych zdjęć tarczy.

Remi wprowadziła adres do nawigacji, a następnie zadzwoniła do Selmy, włączwszy tryb głośnomówiący.

– Sytuacja się rozwija. Po pierwsze, jesteśmy w drodze do Kings Lynn i będziemy potrzebowali jakiegoś noclegu.

– Zajmę się tym. Co z waszym apartamentem w Savoyu?

– Nie ma sensu go zwalniać. Nie jedziemy tam na długo. - W krótkich słowach zrelacjonowała to, czego dowiedzieli się od Grace Herbert na temat historii rodu i skarbu króla Jana.

– Ale teraz - włączył się Sam - najbardziej interesuje nas odziedziczona przez Grace skórzana tarcza, a właściwie to metalowe kółko w jej środku. Widać coś na tych zdjęciach, które wysłaliśmy po pierwszej wizycie?

– Zaraz je ściągnę.

Korzystając z chwili przerwy w rozmowie, Remi postanowiła sama przejrzeć zdjęcia. To zrobione z fleszem było całkiem

prześwielone, inne za ciemne. Za każdym razem, kiedy otwierała kolejne, jej wzrok skupiał się na skomplikowanym węźle celtyckim, wygrawerowanym pośrodku umba. Małe, przypominające runy znaki na obrzeżu na pierwszy rzut oka wyglądały jak uzupełnienie celtyckiego wzoru. Może umieszczono go centralnie właśnie po to, aby odwrócić uwagę od elementów zdobiących krawędź? Ukryć koło szyfrujące tak, żeby wciąż było na widoku. Kto miałby go szukać w starej, zniszczonej tarczy?

– Mam już te zdjęcia - odezwała się Selma.

– Obejrzyj je dokładnie - polecił Sam. - Sądzymy, że to jest koło szyfrujące.

Po drugiej stronie zapadło dłuższe milczenie. Potem Selma powiedziała:

– To oczywiście zmienia postać rzeczy.

– Niestety, nie mamy samego koła, tylko zdjęcia. Dlatego dzwonimy. Dasz radę poprawić ich jakość na tyle, by dało się odczytać znaki na krawędzi koła?

– Pete i Wendy znają się na cyfrowej obróbce zdjęć lepiej ode mnie. Zaraz im to przekażę.

– Zrób to. I daj nam znać od razu, kiedy się czegoś dowiecie.

* * *

Było już dobrze po czwartej po południu, kiedy minęli Południową Bramę i wjechali do śródmieścia. Słońce, wiszące nisko na niebie, rzucało cienie na brukowane ulice i kilkusetletnie domy. Łatwo dało się wyobrazić sobie, jak Kings Lynn wyglądało przed wiekami, gdy było najważniejszym brytyjskim portem morskim.

Dzielnica, w której mieszkała Madge Crowley, leżała w obrębie pełnego uroku Starego Miasta. Zgodnie z tablicą, umieszczoną na ceglany frontie domu pod podanym adresem,

w tym miejscu mieścił się kiedyś zbudowany około 1100 roku klasztor benedyktynów. Znad jednego z kominów unosił się dym. Remi miała nadzieję, że zastaną Madge w domu.

Przeszli przez łukowato sklepioną bramę na brukowane podwórko. Sam zapukał do drzwi. Otworzyła je korpulentna, ciemnowłosa kobieta, mniej więcej w wieku Grace Herbert. Patrzyła na nich z wyraźnym zainteresowaniem.

Sam uśmiechnął się do niej.

– Szukamy pani Madge Crowley.

– To ja.

– Dostaliśmy pani adres od Grace Herbert-Miller. Podobno może pani wiedzieć coś więcej o pewnej starej, rodzinnej legendzie. Konkretnie tej o skarbie króla Jana.

Kobieta w milczeniu studiowała twarz Sama. Remi pomyślała, że całkiem słusznie uzna ich za pomyleńców i zamknie im drzwi przed nosem, ale dokładnie w tym momencie pani Crowley zaprosiła ich gestem do środka.

– Zastanawiałam się, kiedy ktoś zechce ze mną o tym porozmawiać.

Rozdział 37

– Czy mogę spytać, dlaczego powołaliście się na Grace i...? - Tu uśmiechnęła się uprzejmie, czekając, aż któreś z nich wypełni celowo pozostawioną lukę.

Remi wołała zdać się na Sama, który wyjaśnił:

– Grace powiedziała nam, że zna pani rodzinną legendę o skarbie króla Jana.

– To prawda. Nurtuje mnie jednak pytanie, dlaczego się nią interesujecie?

– Ktoś włamał się do domu Grace i ukradł jedną z pamiątek, które niedawno dostała w spadku. Naszym zdaniem miało to związek z tą legendą.

– Chciał pan powiedzieć, że skarbem?

– Tak - potwierdził Sam.

Przyglądała się z uwagą im obojgu, zachowując obojętny wyraz twarzy.

– Być może byłabym bardziej skłonna pomóc, gdybyście byli łaskawi wyjawić, dlaczego to was tak bardzo interesuje.

– Jesteśmy poszukiwaczami skarbów - wypalił Sam.

– Poszukiwaczami skarbów? - powtórzyła z wyraźnym niesmakiem.

– Nie zajmujemy się tym dla zysku - pospieszyła z wyjaśnieniem Remi. - Ewentualne dochody przeznaczamy na cele dobroczynne albo zwracamy znaleziska prawowitym właścicielom. Może pani poczytać w Internecie o tym, co robimy i jakie akcje charytatywne wspieramy.

– Każdy może sobie stworzyć stronę internetową, pani Fargo. Dlaczego miałabym wam uwierzyć?

- Dlatego że... - Nagle Remi zdała sobie sprawę, że nie ma nic na poparcie swoich słów. - Może nam pani zaufać lub nie. Nie jesteśmy w stanie niczego udowodnić.

Pani Crowley przyglądała im się przez chwilę w milczeniu.

- Zawsze uważałam, że znam się na ludziach. Obym się tym razem nie pomyliła. Co chcecie wiedzieć?

- Wszystko, co wskazuje na to, że przodkowie Herbertów mieli jakikolwiek związek z samym skarbem albo przynajmniej z wiedzą na jego temat.

- Proszę o chwilę cierpliwości, muszę czegoś poszukać. - Weszła po schodach na górę i wróciła po kilku minutach z dużą szarą kopertą, którą wręczyła Samowi.

- Materiały do przemyśleń? - spytał Sam, kiedy usiadła naprzeciw nich.

- Oraz szczegółowy konspekt książki. Zamierzałam napisać ją na ich podstawie. Jestem bibliotekarką. Przy mojej bibliotece działa grupa historyków, spotykamy się na comiesięcznych sesjach. Kilka lat temu przedstawiłam im efekty swoich badań, sądząc, że może to kogoś zainteresować. Niestety, jeden z uczestników, Nigel Ridgewell, były profesor historii i językoznawstwa miejscowej uczelni, zareagował oburzeniem na moją próbę, jak to określił, rewizjonizmu historycznego i demonstracyjnie wyszedł ze spotkania.

- Coś podobnego - zdziwiła się Remi. - Jak się dobrze zastanowić, to każdą legendę o królewskim skarbie można nazwać rewizjonistyczną.

- Też tak uważam - przytaknęła Madge. - Tym większe było moje zdumienie, kiedy jakiś czas później dowiedziałam się, że Nigel wydał książkę opartą na moich badaniach. Nie dość tego, przedstawił mój konspekt jako program dydaktyczny na jednym z prowadzonych przez siebie seminariów dla studentów. Oczywiście, kiedy wyszło to na jaw, stracił pracę na uczelni. Nie czułam się z tym dobrze, ale nie mogłam przymykać oka na

kradzież mojej pracy.

– To najzupełniej zrozumiałe - przyznał Sam.

– Po utracie stanowiska nauczyciela akademickiego zaczął pracować jako przewodnik wycieczek. Od jednego z członków naszej grupy dowiedziałam się, że wykorzystuje zebrane przeze mnie informacje podczas oprowadzania turystów jako jedną z wielu legend o losach zaginionego skarbu.

– Ludzie lubią legendy - zauważyła Remi.

– To prawda. Chciałam nawet zwrócić się do niego, żeby przestał to robić, ale uznałam, że nie należy kopać leżącego. Był taki młody i porywczy.

Sam podniósł wzrok znad papierów.

– Czy może nam pani powiedzieć w skrócie, co zawierają te dokumenty?

– To proste. Herbertowie są potomkami Williama Marshalla, pierwszego hrabiego Pembroke. To jemu powierzono ukrycie klejnotów koronnych króla Jana, aby chronić młodego następcę tronu przed najeźdźcami, szukającymi okazji do napełnienia swoich szkatuł. Historia o zaginięciu skarbu na mokradłach to tylko wybieg, mający odwieść postronnych od dociekania, co się naprawdę z nim stało.

– A pani to wie? - spytał Sam, przekazując kopertę Remi.

– Wszystko jest tu opisane. Został ukryty przez Williama Pembroke'a, którego wybrani potomkowie obowiązani byli strzec tajemnicy. Synowie Pembroke'a zmarli bezpotomnie, dlatego sekret poznała jego córka, Maud de Braose, po czym przekazała go synowi, Edmundowi Mortimerowi, ten zaś zaszyfrował informację i zrobił dwa egzemplarze klucza. Jeden dał prawowitemu synowi, Rogerowi de Mortimer, a drugi nieślubnemu, Edmundowi Herbertowi, co okazało się mądrym posunięciem. Ten pierwszy wdał się bowiem w romans z królową Izabelą i w rezultacie zawisł na szubienicy. Być może Mortimer dobrze znał swoje dzieci i wiedział, że nieślubny syn

jest dużo bardziej godny zaufania. - Tu uśmiechnęła się nieznacznie, prostując się na krześle. - W tych dokumentach zawarta jest cała historia skarbu. Jedyne, czego tu nie znajdziecie, to miejsce jego ukrycia.

- Czy może nam pani wypożyczyć te materiały? - spytała Remi, zamykając kopertę. - Zwrócimy je natychmiast po skopiowaniu.

- Nie ma takiej potrzeby, są wasze. Choć badania kosztowały mnie sporo wysiłku, to nie była moja historia. Ona należy do mojego byłego męża, Henry'ego McGregora, oraz jego kuzynki Grace, tylko że żadne z nich nigdy się nią nie interesowało. Najwyraźniej macie błogosławieństwo Grace, inaczej nie dałaby wam mojego adresu. Mam tylko jedną prośbę, poinformujcie mnie, co udało się wam znaleźć.

Podziękowali jej i wyszli. W samochodzie Remi wyciągnęła papiery z koperty.

- Tu jest naprawdę masa informacji.

Sam rzucił okiem na plik dokumentów.

- Nie widzę, żeby coś wystawało spomiędzy kartek.

- No cóż, na pewno nie ma tu oryginalnego egzemplarza koła szyfrującego. - Remi przerzuciła kilka stron. - Trzeba to wysłać Selmie. Przyda się każda para oczu.

W hotelu, który znalazła im Selma, zeskanowali dokumenty i wysłali je do niej mailem. Potem podzielili się nimi i zaczęli czytać.

Remi jeszcze raz przeczytała chronologiczne zestawienie wydarzeń, sporządzone przez Madge.

- Logicznie rzecz biorąc, do kradzieży jednego z kół szyfrujących musiało dojść po tym, jak Edmund Mortimer podzielił sekret między swoich synów.

Sam oderwał się od lektury.

- Przypominasz sobie zapiski, które zrobiłaś w muzeum, na temat nieślubnego syna Mortimera?

- Tak.

– A te o Hugonie Despenserze, kochanku króla i późniejszym piracie?

Remi uśmiechnęła się.

– I o jego nieślubnym synu, Bridgemanie.

– Nie sposób zapomnieć o przodku Avery’ego. - Sam popatrzył na leżące przed nim papiery. - Pamiętam, że było też coś o królu, który gniewał się na Mortimerów z powodu czegoś skradzionego przez Despensera.

– To musi być to - powiedziała Remi. - Despenser ukradł jeden z egzemplarzy koła szyfrującego, ten, który kilkaset lat później znalazł się na dnie oceanu.

– Stąd wzięła się obsesja Avery’ego na punkcie jego odzyskania.

– To tylko jeden z powodów jego obsesji. Drugim jest pragnienie zagarnięcia skarbu wyłącznie dla siebie.

– Słuszna uwaga. - Sam złożył równo dokumenty i wsadził je z powrotem do koperty. - Obyśmy zdołali znaleźć go przed nim.

* * *

Nazajutrz rano Selma połączyła się z nimi przez Skype’a. Siedziała za biurkiem w swoim gabinecie.

– Wendy i Peter podciągnęli jakość zdjęć, dzięki czemu sprawa ruszyła z miejsca. Lazlo właśnie pracuje nad rozszyfrowaniem mapy. - Uniosła do kamery odbitkę fotografii i pokazała, że mimo rozjaśnienia z jednej strony wciąż jest bardzo ciemna. - Zbyt duże niedoświetlenie, nie pomogła nawet obróbka cyfrowa. Poza tym kilka znaków z czasem uległo zatarciu i nie dają się odczytać.

– Na czym stoimy? - spytała Remi.

– Lazlo ma dość materiału do pracy, ale obawia się, że na etapie przekładu mogą wkraść się pewne nieścisłości.

W kadrze pojawił się Lazlo.

– Na to wygląda. Mam jednak nadzieję, że rozbieżności nie będą zbyt wielkie. Raczej nie wyślemy was na południe kontynentu amerykańskiego zamiast na północ.

Remi i Sam popatrzyli na siebie, a potem znów na ekran tabletu.

– To znaczy, że teraz mamy lecieć do Ameryki Południowej? - zdziwił się Sam.

– Nie - zaprzeczył Lazlo. - Podałem tylko przykład tego, co może się stać z powodu kilku brakujących liter. Zamiana północy z południem albo coś w tym stylu.

– To w końcu gdzie mamy się teraz udać? - drążyła Remi.

– Dobre pytanie - odparł naukowiec. - Jeśli informacje od pani Crowley są dokładne, a należy pamiętać, że opierała się głównie na opowieściach usłyszanych w dzieciństwie, przez co...

– Nie musisz nam tego tłumaczyć - rzucił Sam.

– Ma się rozumieć. Wydaje się więc, że kolejną osobą, z którą powinniście się skontaktować, jest Nigel Ridgewell.

– Ridgewell? - powtórzył Sam z zaskoczeniem. - Jesteś pewien?

– Raczej tak. To jedyny specjalista od języka staroangielskiego, mieszkający w okolicy. Był kiedyś wykładowcą. Pomoże nam przetłumaczyć to, co udało mi się odczytać z mapy. Chyba że wolicie poczekać, aż znajdę innego eksperta.

– Robi się ciekawie - mruknął Sam. - Tak się składa, że to właśnie on ukradł wyniki badań Madge Crowley.

Rozdział 38

Colin Fisk z trudem ukrył zaskoczenie na widok Alexandry Avery, stojącej w lobby hotelu, w którym mieszkał.

– Pani Avery - powitał ją z niewyraźnym uśmiechem. - Nie miałem pojęcia, że jest pani w Londynie.

– Pewnie, że nie - odrzekła, zachowując obojętny wyraz twarzy. - Lubię robić niespodzianki. A pan?

– Co panią tu sprowadza?

– To samo, co pana. Szukam skarbu, na którego punkcie oszalał mój mąż. Jak wam idzie?

– Robimy postępy.

– Hm. A co z Fargami? Nie wchodzą wam w drogę?

– Bynajmniej. - Zaniepokoiło go to, że wiedziała o Fargach, choć z drugiej strony powinien się tego spodziewać. Pracując dla Avery'ego, zdążył się zorientować, że nie była wcale taką oferumą życiową, jak przedstawiał to jej mąż. - Czy mąż wie, że jest pani tutaj?

Wybuchła śmiechem.

– Gdzie tam. Jeszcze by tego brakowało, żeby patrzył mi na rękę. Właściwie to przyjechałam po to, by przeciągnąć pana na swoją stronę. Albo włączy mnie pan do swojej ekipy, albo źródółko, z którego mój mąż czerpie środki na finansowanie tego przedsięwzięcia, nagle wyschnie. - Uśmiechnęła się niewinnie. - Czy powiedział panu, że zablokowano mu wszystkie konta bankowe?

– Owszem.

– Jednak nie poinformował pana o tym, że mój biegły księgowy odkrył, skąd bierze pieniądze, którymi wam płaci.

Zwłaszcza że płyną one z mojego ukrytego konta. Skoro, formalnie rzecz biorąc, to ja jestem fundatorem poszukiwań, mogę chwilowo udawać, że o niczym nie wiem. Pod warunkiem że pan zechce przymknąć oko na moją obecność tutaj. - Na jej twarzy znów wykwitł niewinny uśmiezek.

- Wobec tego witamy w drużynie - powiedział Fisk, wyciągając do niej rękę.

Wymienili uścisk dłoni.

- Cieszę się, że podziela pan mój punkt widzenia. Jakie kolejne posunięcie pan zaplanował?

- Może napijemy się czegoś i porozmawiamy o tym na spokojnie? - zaproponował. Chciał zyskać chwilę na pozbieranie myśli, bo wcale nie uśmiechało mu się, by damulka pokroju Alexandry Avery plątała mu się pod nogami.

- Pan prowadzi.

- Gdzie się pani zatrzymała? - spytał, kiedy usiedli przy stoliku.

- Oczywiście w tym hotelu, ale tylko na jedną noc. Jutro wybieram się do King's Lynn.

Fiska aż zatkało z wrażenia, co nie uszło jej uwagi.

- A więc pan także zamierzał skierować tam swoje kroki?

- Skąd pani o tym wiedziała?

Tym razem jej uśmiech nie był już taki niewinny.

- Płacę spore pieniądze, żeby być dobrze poinformowana, panie Fisk. Nauczyłam się tego od męża. - Pochyliła się i poklepała go po dłoni. - Proszę nie zawracać sobie głowy takimi nieistotnymi drobiazgami jak to, skąd biorę te informacje. Jestem za tym, abyśmy porównali nasze plany. Może znajdziemy w nich coś, co przyda się nam obojgu.

Niezła myśl. Może to był sposób, aby obrócić jej obecność na własną korzyść. Ivan i Jak nie należeli do mistrzów intelektu. Gdyby ich przypilnowała, może udałoby się im ostatecznie pokonać Fargów.

Im dłużej się zastanawiał, tym bardziej podobał mu się ten pomysł. Alexandra Avery była dużo inteligentniejsza, niż przypuszczał Charles. Najwyraźniej zapewniła sobie dostęp do komputera i telefonu męża. A może kazała założyć podsłuch w jego gabinecie? Inaczej skąd wiedziałyby o ich planach? Co prawda to go trochę niepokoiło, ale były przecież sposoby, aby utrzymać ją w ryzach. Poza tym wcale nie musiał informować o niej Avery'ego. Przynajmniej nie w tej chwili.

To się mogło udać...

Rozdział 39

Nazajutrz rano Remi i Sam zostawili samochód na parkingu i poszli pieszo do centrum miasta na ulicę Purfleet Quay. Tam mieli się spotkać z Nigelem Ridgewellem, który pracował w ośrodku informacji turystycznej. Ośrodek mieścił się w dawnej siedzibie komory celnej, kamiennym budynku o pokrytym dachówkami, spadzistym dachu z mansardowymi oknami, zwieńczonym drewnianą dzwonnica.

Na zewnątrz kręciło się kilkunastu turystów, niektórzy fotografowali rzekę. Na czele grupy stał tyczkowaty, ciemnowłosy mężczyzna dobiegający czterdziestki. Na widok Remi i Sama spytał:

– Państwo też na wycieczkę? W środku można jeszcze kupić bilety.

– Szukamy Nigela Ridgewella - wyjaśnił Sam.

– To ja. - Powiedział coś do grupy i podszedł do nich. - Zapewne państwo Fargowie.

Sam spojrzał wymownie na gromadkę ludzi czekających przed ośrodkiem informacji turystycznej.

– Chyba przyszliśmy nie w porę. Mam wrażenie, że to pan zaproponował miejsce spotkania.

– Bardzo przepraszam. W planie miałem wolne popołudnie, ale jeden z przewodników zachorował. Czy moglibyśmy przenieść spotkanie na wieczór?

– Żaden problem - zapewnił Sam. - O której?

– Może koło szóstej? Dzięki temu po oprowadzeniu ostatniej grupy będę mógł zrobić sobie krótką przerwę, zanim się zobaczymy. Oczywiście możecie przyłączyć się do wycieczki

albo zaoszczędzicie pięć funtów, jeśli weźmiecie mapę i sami urządzicie sobie zwiedzanie.

– Dzięki - odparł Sam. - Spróbujemy rozejrzeć się po okolicy.

Nigel wrócił do swoich turystów.

– Zaczynamy, proszę za mną. King's Lynn było w średniowieczu jednym z najważniejszych portów morskich. W tamtych czasach miasto było znane pod nazwą Bishop's Lynn... - W tym miejscu wraz z grupą skręcił za róg.

– Wydaje się całkiem miły - stwierdziła Remi.

Pomijając tę historię z kradzieżą. Świadomość, że facet przywłaszczył sobie dokumenty Madge Crowley, nie dawała Samowi spokoju, dał więc jakąś wymijającą odpowiedź, przepuszczając Remi w drzwiach. Mieli zamiar przejrzeć prospekty z opisami różnych tras wycieczkowych. Sam właśnie otwierał broszurę dotyczącą historii żeglugi, kiedy Remi powiedziała:

– To może być ciekawe: „Mroczna strona Lynn. Opowieści o morderstwach, zdradach, egzekucjach i czarownicach”. - Jednak po chwili odłożyła ulotkę na stojak. - Nieaktualne. Polecają tę trasę wyłącznie w sezonie letnim.

Sam wręczył jej przeglądany folder.

– Z braku konkurencji wygrywa spacer po miejscach związanych z morzem.

Ostatecznie zeszli z wytyczonego szlaku i sami wyszukiwali interesujące miejsca po drodze do historycznej części miasta. Swoim iPhone'em 5 Remi zrobiła kilka zdjęć olśniewającego gmachu ratusza z szachownicowym frontem. Potem skręcili w uroczą, brukowaną ulicę, przy której stały piętnastowieczne domy o ceglano-drewnianych ścianach. Mniej więcej w połowie Nelson Street Remi zwróciła uwagę na tablicę wiszącą przy łukowato sklepionym przejściu na wąską boczną uliczkę.

– Diabelski Zaulek. Ciekawa jestem historii, kryjącej się pod tą nazwą.

Sam przejrzał broszurę w poszukiwaniu odpowiedniego opisu.

– Nie ma tu ani słowa na ten temat.

– Być może powinniśmy poszukać w folderze wycieczki „Mroczna strona Lynn”. Tej z mordercami i czarownicami.

Zajrzeli w głąb łukowatej bramy akurat w chwili, kiedy pojawiła się przy nich ubrana całkiem na czarno, przygarbiona staruszka, zaciskająca kościstą dłoń na uchwycie laski. Zatrzymała się, widząc, że przyglądają się tabliczce na ścianie, i pokazała ją laską.

– On tu był.

– Kto? Diabeł? - spytała Remi.

– Ano tak. Przypłynął pewnego dnia na statku. Ale wikary zastąpił mu drogę z modlitwą i wodą święconą. Jak wieść głosi, diabeł tupnął racicą i zostawił odcisk w zaułku.

Remi uwielbiała legendy.

– Chodźmy zobaczyć.

Sam podziękował staruszce i już miał podążyć za Remi, kiedy kobieta powiedziała:

– Strzeżcie się Czarnego Kudłacza.

– Co takiego?

– Czarny Kudłacz to wielki pies z gorejącymi ślepiami, przybyły prosto z piekła. Pojawia się po zapadnięciu zmroku - wyjaśniła staruszka i dodała złowieszczo: - Podobno widziano go tu niedawno, razem z diabłem. - A potem odwróciła się i odeszła, postukując laską i mrużąc coś pod nosem.

Sam popatrzył za Remi, szukającą brukowca z odciskiem diabelskiego kopyta. Słońce dawno już minęło zenit i chyliło się ku zachodowi, rzucając długie cienie na brukowaną nawierzchnię i uwydatniając wszelkie nierówności, jakby cała horda kopytnych stworów zostawiła tu swoje ślady.

– Znalazłaś coś?

– Nie. - Mimo to Remi sfotografowała uliczkę i poszli nią dalej,

aż do ogrodzonego po obu stronach przejścia między dwiema niezabudowanymi parcelami, by po chwili wyjść na nadbrzeżną ulicę South Quay. Dla zabicia czasu ruszyli spacerem wzdłuż rzeki, aż dotarli do restauracji Marriott's Warehouse, gdzie wstąpili, żeby się czegoś napić. Sam zamówił ulubionego guinnessa i usiedli przy stoliku z widokiem na rzekę Great Ouse. Z nadejściem wieczoru znad wody uniosła się mgła, która ograniczyła im do minimum doznania wzrokowe. Zbliżał się już termin spotkania z przewodnikiem, więc wrócili do budynku komory celnej.

Ponieważ Nigel nie pojawił się w wyznaczonym czasie, postanowili poczekać na niego na zewnątrz. Mgła gęstniała, w miarę jak zapadał zmierzch. Sam zerknął na zegarek i stwierdził, że Ridgeway był już spóźniony o dwadzieścia minut. Zadzwoił więc do Selmy i wziął od niej numer komórki Nigela. Zostawił mu wiadomość, że czekają na niego pod komorą celną. Po kolejnych dziesięciu minutach, kiedy zamierzał zaproponować Remi powrót do hotelu, z mgły wyłonił się mężczyzna, zmierzający w ich kierunku. Nie był to Nigel.

– Czy mogę państwu w czymś pomóc? - spytał przybysz.

– Czekamy na Nigela Ridgewaya.

– Trochę się spóźnił na ostatnią turę. Jeśli to państwu pomoże, to wspominał, że się tutaj umówił.

– Dzięki - powiedział Sam.

Mężczyzna otworzył drzwi i wszedł do budynku.

– Oby zjawił się jak najprędzej, robi się zimno. - Remi owinęła się ciasno rękami.

Sam przyciągnął ją do siebie. Kilka minut później ten sam mężczyzna wyszedł i zamknął drzwi na klucz. Na odchodne skinął głową Remi i Samowi.

– Przepraszam. - Sam zatrzymał go. - Może pan wie, jaką trasą prowadził ostatnią wycieczkę?

– Niemal na pewno żeglugową. Ta trasa kończy się na South

Quay przy restauracji Marriott's Warehouse. Część turystów zostaje tam na kolacji. Spróbujcie tam popytać.

– Dzięki.

– Przecież stamtąd przyszliśmy - zauważyła Remi.

– Wróćmy i zapytajmy o niego - zaproponował Sam. - Może ktoś go widział, jeśli w ogóle tam dotarł.

– A jeśli nie?

– Zaczniemy go szukać.

Zanim doszli do restauracji, widoczność znacznie się pogorszyła. O brzeg chłupotały drobne fale, spowodowane przez płynącą po rzece łódź, zupełnie niewidoczną we mgle. Aureole rozproszonego światła wokół latarni ulicznych zrobiły się ogromne, sięgały niemal do ziemi.

Weszli do lokalu i rozglądali się dokoła, ale nigdzie nie dostrzegli Nigela. Kelnerka, która podczas wcześniejszej wizyty wskazywała im stolik, podeszła do nich z uśmiechem.

– Zapomnieliście państwo czegoś?

– Szukamy znajomego - wyjaśnił Sam. - Może zna pani przewodnika Nigela Ridgewaya?

– Tak, ale dziś go nie widziałam. Wiem jednak, że przyprowadził tu grupę, bo rozsadzałam jej uczestników. - Mówiąc to, skinęła głową w kierunku stolika pod oknem. Siedziały przy nim dwie pary, popijające wino. Sam podziękował jej i wyciągnął komórkę.

– Spróbuję jeszcze raz do niego zadzwonić - powiedział do Remi.

– Pogadam z nimi - odparła, podchodząc do stolika.

Sam wyszedł za dwór i nacisnął przycisk ponownego wybierania. Po kilku sygnałach ktoś odebrał połączenie. Padło niewyraźne:

– Słucham?

– Czy pan Ridgewell?

– Ale kto... kto mówi?

– Sam Fargo. Byliśmy umówieni. Gdzie pan jest?

Zapadła kilkusekundowa cisza.

– Silosy... ja... chyba ktoś mnie napadł - powiedział Nigel bełkotliwym głosem.

Kiedy Sam zapytał, gdzie są te silosy, w telefonie rozległ się cichy sygnał zakończenia rozmowy. Wrócił więc do restauracji i ujrzał Remi, rozmawiającą z uczestnikami wycieczki Nigela. Ruszył w ich kierunku, ale zatrzymał się, widząc kelnerkę wracającą na swoje stanowisko. Zwrócił się do niej z pytaniem:

– Gdzie są silosy?

– Nie ma ich. Zostały zburzone kilka lat temu. Dlaczego pan pyta?

– Jeśli ktoś mówi, że jest koło silosów, to gdzie należy go szukać?

– Prosto tą ulicą. - Wskazała na południe. - Trudno nie trafić, parcele są nadal puste.

Domyślił się, że chodzi o niezabudowane działki po tej stronie Diabelskiego Zaułka. Chwilę później podeszła Remi. Sam wyprowadził ją na zewnątrz.

– Nigelowi coś się przytrafiło - powiedział, kiedy szli we wskazanym kierunku. - Mówi, że ktoś go napadł.

– Powiadomił policję?

– Nie wiem. A ty dowiedziałaś się czegoś?

– Niewiele. Był tu, ale zaraz odszedł. Widać było, że się spieszył.

Sam wziął Remi za rękę i przyspieszył kroku. Z powodu gęstej mgły niemal przegapił przejście prowadzące do zaułka. Zatrzymał się i nasłuchiwał przez chwilę, ale tylko rytmiczne chlupotanie fal dochodziło od strony rzeki.

– Co my tu robimy?

– Nigel mówił, że jest koło silosów.

– Przecież tu nie ma żadnych silosów.

– Ale kiedyś były. - Znów wziął ją za rękę i weszli na ścieżkę

między działkami. Niestety, widoczność ograniczała się do zaledwie kilku kroków, więc po chwili zatrzymał się. - Nigel?

Nie było odpowiedzi.

Nagle rozległ się odgłos kroków. Sam odwrócił się, ale niczego nie widział w gęstej mgle. Ktoś skręcił za róg, kroki zaczęły się oddalać.

- Chyba coś słyszę - odezwała się Remi.

Sam też usłyszał ten dźwięk. Dochodził z działki po lewej.

- Zaczekaj tu - polecił i przeszedł przez barierkę, wyznaczającą ścieżkę dla pieszych. Włączył latarkę w telefonie. Kamienista gleba porośnięta była rzadkimi kępami trawy i chwastów. Po kilku krokach zauważył, że trawa jest zdeptana, a na ziemi są jakieś bruzdy. Zorientował się, że to ślady ciągnięcia. Ruszył wzdłuż nich i po chwili doszedł do gęstych zarośli pod ścianą budynku. Coś poruszyło gałęzie tuż przy ziemi.

Sam schylił się i poświecił pod krzak. Ujrzał Nigela, mrużącego oczy w ostrym świetle latarki.

- Znalazłem go!

Nigel powoli usiadł na ziemi. Wyglądał na dezorientowanego. Dotknął tyłu głowy i skrzywił się z bólu.

- Jesteś cały? - spytał Sam. W tym samym momencie podeszła do nich Remi.

- Chyba tak. Zdawało mi się, że przed chwilą rozmawialiśmy.

- Owszem, przez telefon.

- Rzeczywiście.

Sam pomógł mu wstać.

- Możesz chodzić?

- Tak - odparł Nigel, ale zachwiał się, próbując zrobić krok. Podtrzymali go z obu stron.

- Lepiej wezwijmy pogotowie - zaproponowała Remi.

- Nie, nic mi się nie stało. Zaraz dojdę do siebie.

- Ona ma rację - powiedział Sam. - Potrzebujesz pomocy lekarskiej.

– Jedyne, czego potrzebuję, to łyk czegoś mocniejszego - oznajmił Nigel z wymuszonym uśmiechem.

Sam pomógł mu ominąć nierówności w drodze do ścieżki. Remi asekurowała go po drugiej stronie. Zdaniem Sama Nigel nie odniósł poważniejszych obrażeń. Nie był zakrwawiony, tylko trochę utyłany w błocie i miał wilgotne włosy z powodu osadzającej się mgły.

Po przejściu przez barierkę otrzepał brud z szarego garnituru, ale wciąż sprawiał wrażenie oszołomionego.

Remi przechyliła głowę z powątpiewaniem.

– Na pewno dobrze się czujesz?

– Trochę boli mnie głowa, ale to zaraz przejdzie.

– Co się stało? - spytał Sam.

– Nie jestem pewien. Pożegnałem się z grupą koło restauracji, pamiętając o spotkaniu z wami. Ktoś mnie ostrzegł, że po South Quay kręcą się jakieś podejrzane typki, więc postanowiłem pójść skrótem, żeby się na nich nie nadziać. Ledwie uszedłem kilka kroków, gdy ktoś rąbnął mnie z tyłu.

– Wygląda to na napad rabunkowy - stwierdził Sam.

Nigel poklepał się po kieszeniach i uśmiechnął się pod nosem.

– Zabrali mi portfel. Zawiodą się, bo miałem w nim nie więcej jak pięć funtów.

Sam właśnie miał zaproponować, żeby zadzwonić na policję, kiedy usłyszeli głuchy pomruk dobiegający od strony rzeki. Odwrócili się jak na komendę, a wówczas z mgły, niczym zjawa, wyłonił się wielki, czarny pies. Stał, opuścił łeb i warczał, odsłaniając wielkie kły.

Sam zasłonił Remi własnym ciałem, po czym wszyscy troje zaczęli się cofać. Sam nie spuszczał wzroku z psa oraz z barczystego mężczyzny, który pojawił się tuż za nim.

Rozdział 40

Sam odezwał się cicho do Remi:

– Masz może przy sobie...

Podawała mu niewielki pojemnik z gazem pieprzowym w sprayu.

– Uciekajcie - powiedział.

Remi i Nigel zrobili w tył zwrot i zaczęli biec. Sam wyciągnął przed siebie rękę z gazem, ale pies wyczuł zagrożenie i cofnął się. Wobec tego psiknął w kierunku mężczyzny, a potem, nie sprawdzając efektów działania gazu, pobiegł za pozostałą dwójką. Pies zaczął głośno szczekać. Oprócz tego Sam słyszał ciężki odgłos kroków kogoś, kto ich ścigał. Widocznie źle wycelował albo facet miał współnika.

Remi i Nigel byli tuż przed nim. Właśnie przebiegali pod łukowatym wejściem do Diabelskiego Zaułka.

Bardzo odpowiednia nazwa, pomyślał, doganiając żonę. Obejrzał się za siebie, ale nie dostrzegł nikogo we mgle.

– Tędy - rzucił Nigel, skręcając w prawo. - Kawalek dalej jest posterunek policji.

Po niecałych pięciu minutach weszli do komisariatu i zgłosili napaść. Funkcjonariusz zaprosił Nigela do pokoju przesłuchań. Remi i Sam czekali w korytarzu.

Remi usiadła na krzeselku, których rząd stał pod ścianą.

– Dobrze, że pojawiliśmy się w odpowiednim momencie.

Sam chodził po korytarzu, zerkając na drzwi.

– Jakie było prawdopodobieństwo, że akurat ten człowiek, z którym chcemy porozmawiać, padnie ofiarą rabunku?

– To nie mógł być przypadek.

– Zwłaszcza po tym, co przytrafiło nam się wcześniej. -

Zatrzymał się i popatrzył na żonę. - Ta cała historia o czarnym psie z Diabelskiego Zaułka...

- Przypuszczasz, że Fisk albo Avery, planując ten napad, nakłonili jakąś staruszkę do opowiedzenia nam legendy o diabelskim psie? To chyba jednak zbieg okoliczności. Ale sam rabunek...

- Co chcieli osiągnąć przez okradzenie go?

- Zamierzali powstrzymać go od rozmowy z nami.

Remi westchnęła z rezygnacją.

- Kto by pomyślał, że zadawanie się z nami może być tak niebezpieczne?

W końcu funkcjonariusz wyszedł i zaprosił ich do złożenia zeznań. Kiedy Sam wspomniał o człowieku z psem, policjant pokręcił głową.

- Czarny Kudłacz i diabeł, zgadza się? Dostajemy masę takich zgłoszeń, gdy tylko ktoś wyjdzie z psem nad rzekę. W zeszłym roku Rupert Middlefield spacerował tam ze swoim mastiffem. Uważał, że to zabawne. Miał szczęście, że go nie zastrzelili. - Funkcjonariusz zamknął notes i uśmiechnął się zdawkowo. - Jeśli to wszystko, to nie zatrzymuję was.

Podziękowali mu za poświęcony im czas i wyszli. Na zewnątrz, po solennych zapewnieniach Nigela, że nie potrzebuje opieki medycznej, Sam zaprosił go na łyk czegoś mocniejszego. Znaleźli zaciszny kąt w pobliskim pubie i zasiedli do rozmowy.

Zaraz po podaniu drinków Sam przeszedł do sedna sprawy.

- Chodzi o przekład. Znalazłeś chwilę, żeby zerknąć na tekst?

- Owszem - odparł Nigel i odstawiwszy szklaneczkę szkockiej na blat, sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki. Na twarzy pojawił mu się wyraz zakłopotania. Sprawdził drugą kieszeń, po czym wstał i wsadził ręce do kieszeni w spodniach. - Zdaje się, że ukradli mi nie tylko portfel.

Fargowie wymienili spojrzenia. Sam nie miał wątpliwości, kto stał za napadem na Nigela.

- Przypuszczam, że ktoś jeszcze kontaktował się z tobą w sprawie tłumaczenia staroangielskich zdań.
- Skąd wiesz?
- Zgadłem - rzucił Sam. - Napad rabunkowy to tylko przykrywka, chodziło im o twój notes.
- Przecież mogę to zaraz przetłumaczyć ponownie. Lazlo przesłał mi tekst mailem. Po co kradliby notes?
- Żebyś nie mógł go nam pokazać.
- Zostało ci coś w pamięci z tego tekstu? - spytała Remi.
- Jakieś zamki, skały, doły... nie pamiętam dokładnie. W niektórych zdaniach trudno było doszukać się jakiegokolwiek sensu, ale całość wyglądała dość niewinnie. - Wzruszył ramionami. - Nigdy bym nie przypuszczał, że coś takiego może być przedmiotem kradzieży. Właściwie to o co tu chodzi? Dlaczego zwróciliście się z tym do mnie?
- Znasz alternatywną historię skarbu króla Jana autorstwa Madge Crowley?
- Nigel sięgnął po szklaneczkę, pociągnął głębszy łyk i spojrzał Samowi w oczy.
- No cóż, przywłaszczenie sobie jej pracy nie przynosi mi chwały. Powiedzmy, że byłem wtedy młody, głupi i bardzo arogancki. Odpowiedź brzmi - tak. Ale co to ma wspólnego z napadem na mnie?
- Jest jeszcze ktoś, kto wierzy w tę alternatywną historię. Do tego stopnia, że może posunąć się do przemocy, aby zdobyć to, czego pragnie, albo usunąć tego, kto stanie mu na drodze.
- Chwileczkę, chcecie mi powiedzieć, że to tłumaczenie, o które poprosił mnie wasz przyjaciel... Nie, to po prostu śmieszne. Owszem, teoria Madge jest całkiem zgrabna, ale nie ma nic wspólnego z prawdą. Skarb zaginął na mokradłach. Przecież wszyscy o tym wiedzą.
- A jeśli wszyscy się mylą? - spytała Remi. - Może on naprawdę istnieje i został celowo ukryty?

- Chyba nie mówisz tego serio. - Przerwał, jakby chciał usłyszeć zaprzeczenie z jej strony, a gdy się go nie doczekał, zwrócił się do Sama. - Naprawdę chodzi o skarb króla Jana?

Sam kiwnął głową.

- Zasadniczo nie mamy pojęcia, czy ten skarb istnieje, ale wiele dowodów wskazuje na to, że warto się przyjrzeć tej alternatywnej historii. Twoje tłumaczenie staroangielskiego opisu mapy może nam bardzo pomóc w poszukiwaniach.

Pojawiła się kelnerka z pytaniem, czy może im jeszcze coś podać. Nigel wzniósł swoją niemal opróżnioną szklaneczkę, wobec czego Sam zamówił drugą kolejkę dla wszystkich. Kiedy się oddaliła, powiedział:

- Jak widać, są to typy spod ciemnej gwiazdy. Zrozumiemy, jeśli nie zechcesz się w to mieszać. Z drugiej strony, to może być twoja życiowa szansa.

- Może być? - Nigel rozjaśnił się nagle. - To jest życiowa szansa. Wchodzę w to. Czego ode mnie potrzebujecie?

- Na początek przetłumacz to, co przesłał Lazlo.

- Poproszę o kawałek kartki. Mam tego maila w swojej komórce. Było w nim kilka słów, których nie rozumiałem, ale większość nie sprawiała mi trudności. - To mówiąc, wyciągnął telefon i zaczął przeglądać pocztę. Remi sięgnęła do torebki w poszukiwaniu kartki. Nagle Nigel oderwał wzrok od telefonu.

- Jedno pytanie. Dlaczego ja? Nie jestem jedynym specjalistą od staroangielskiego, a już na pewno nie najbardziej znanym. Dlaczego wybraliście właśnie mnie, zwłaszcza w świetle tej historii z Madge Crowley?

Remi podała mu papier i długopis.

- Zrządzenie losu. Akurat byłeś pod ręką.

Nigel uwinął się szybko. Tekst przesłany przez Lazlo był krótki.

- Należy brać pod uwagę, że wciąż pozostaje wiele miejsca na błędy - zastrzegł po skończeniu przekładu. - Tekst jest

najprawdopodobniej mieszaniną staro- i średnioangielskiego. Pisownia ulegała zmianom przez stulecia, podobnie jak znaczenie poszczególnych słów oraz ich kolejność w zdaniu. Chcę przez to powiedzieć, że ktoś inny mógłby przełożyć to inaczej. - Podsunął Samowi kartkę. - Oto co znaczą te słowa. Trzy pierwsze nie nastęrczają większych trudności. Mając dostęp do Internetu praktycznie każdy mógłby je przetłumaczyć.

Sam przebiegł wzrokiem listę słów. Pierwsze trzy oznaczały odpowiednio jamę lub studnię, zamek oraz skałę lub wzgórze.

- Domyślasz się, o co tu może chodzić? - spytał, nic z tego nie rozumiejąc. *Wul hol* i *wul eshea* od...

- No właśnie, w tym problem. Przykro mi, ale nie mam pojęcia.

Remi zerknęła na listę.

- Mamy więc kilka słów. Co dalej?

- Najważniejszy jest kontekst - stwierdził Nigel. - Przydałoby się też poznać ich pochodzenie oraz dowiedzieć się, gdzie i kiedy zostały napisane. Dotyczy to zwłaszcza tych wyrazów, które mają podwójne znaczenie, jak choćby to ostatnie, które może być skałą lub wzgórzem.

Remi zwróciła listę Samowi, który pospieszył z wyjaśnieniem:

- Słowa pochodzą ze starej mapy, datowanej na rok 1696. Jednak oryginalne sformułowania prawdopodobnie zostały skopiowane z zapisu, sporządzonego tuż po śmierci króla Jana.

Nigel uniósł brwi, nie kryjąc zdumienia.

- Twierdzisz, że ta lista słów to klucz do zaginionego skarbu? I że znajduje się on tutaj, w King's Lynn?

- Tego nie wiem. Zostały zapisane szyfrem i nie wszystko udało się odczytać.

Nigel wyciągnął rękę.

- Mogę jeszcze raz rzucić na to okiem?

Sam podał mu kartkę.

Gdy Ridgewell uważnie studiował listę, kelnerka przyniosła

zamówione drinki. Zaczekał, aż odejdzie, i stwierdził:

– Na dobrą sprawę każde z tych słów może służyć do opisu miejsca ukrycia skarbu. Natomiast trudno z nich wywnioskować, gdzie się ono znajduje, zakładając, że zostały poprawnie przetłumaczone.

– Czy jest tu w pobliżu coś, do czego mogłyby się odnosić? - spytała Remi.

– Tak, ale wszystkie te miejsca zostały już przetrząśnięte milion razy przez innych poszukiwaczy skarbów.

– Może i tak - stwierdził Sam. - Ale oni to nie my. Czy przychodzi ci do głowy coś konkretnego?

– Jama albo studnia może oznaczać Sadzawkę Króla Jana, która podobno znajdowała się w połowie drogi stąd do Long Sutton. Jeśli to prawda, skarb zagrzebany jest pod dziesięciometrową warstwą mułu. Chyba że...

– Chyba że co? - spytał Sam, kiedy Nigel zamilkł w pół zdania.

– Może trzeba zestawić ze sobą te słowa, żeby uzyskać prawdziwe znaczenie? Na przykład zamek i wzgórze. Może chodzi o wzgórze zamkowe albo studnię zamkową? To daje sporo możliwości.

– A może znasz w pobliżu jakieś miejsce, jednoznacznie kojarzące się z tamtymi czasami?

– Zamek we wsi Castle Rising.

– Zdaje się, że jutro z samego rana będziemy musieli wziąć się do roboty.

Remi wzniosła toast:

– Za sukces w poszukiwaniach.

Rozdział 41

Nazajutrz rano Remi i Sam rozważali dwie lokalizacje: Castle Rising i Castle Acre. Ostatecznie odrzucili tę drugą, nie mogąc się doszukać żadnych powiązań zamku w Castle Acre ze skarbem króla Jana i skupili się na Castle Rising. Była to najbliższa z trzech miejscowości wymienionych przez Ridgewaya, kojarzących się z królową Izabelą. Przeprowadziła się do tamtejszego zamku, albo raczej została tam zesłana po tym, jak jej syn, Edward III odsunął ją od władzy wraz z jej kochankiem, Rogerem Mortimerem. Para ta rządziła krajem po abdykacji króla Edwarda II. Podobno istniał nawet ukryty tunel, którym Izabela mogła niezauważona wymykać się z zamku. Choćby to, jak uznali Remi i Sam, warte było sprawdzenia.

Zadzwonili do Selmy i Lazła, aby omówić możliwe opcje. Lazło stwierdził, że jeszcze za wcześnie na rozpoczynanie poszukiwań, ponieważ wciąż nie odszyfrował całego opisu mapy.

– Pracę utrudnia mi kiepska jakość zdjęć i pozacierane znaki na kole szyfrującym.

– Nie możemy czekać w nieskończoność - odparł Sam.

– Poza tym musimy utrzymać przewagę nad Charlesem Averym - dodała Remi.

– Dajcie sobie z tym spokój - powiedział Lazło. - W Wielkiej Brytanii co kilka kroków stoi jakiś zrujnowany zamek. Życia wam nie starczy na przeszukanie każdego z nich.

– Remi ma rację - poparł żonę Sam. - Avery i Fisk ukradli notes Nigela z tłumaczeniem, a to oznacza, że wiedzą tyle samo co my.

– W tej okolicy po raz ostatni widziano skarb - przypomniała Remi. - W opisie mapy wspomniany jest zamek. Może właśnie

tam znajdziemy kluczową informację, która naprowadzi nas na właściwe tory?

– No cóż, nie zawadzi to sprawdzić - zgodził się Lazlo. - W każdym razie ja będę pracował dalej i dam wam znać natychmiast, jak do czegoś dojdę.

Naukowiec oddał telefon Selmie, a Sam wyłączył głośnik i przekazał swoją komórkę Remi, która chciała porozmawiać o Bree. Kiedy się rozłączyła, wyglądała na zadowoloną.

– Jakies dobre wieści? - spytał Sam.

– Chyba tak. Nie ma żadnych problemów, Bree radzi sobie doskonale. Selma uważa, że powinna z nimi zostać do zakończenia tej sprawy.

– Całkiem dobra myśl. Nie wolno dopuścić, aby Avery spróbował ponownie wykorzystać ją i jej kuzynkę.

Pukanie do drzwi oznajmiło przybycie Nigela. Mając na względzie wczorajszy napad, mieli wątpliwości, czy zgodzić się na jego towarzystwo, ale uparł się, by im pomóc, i zapewnił, że zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństwa.

Sam prowadził, posiłkując się wskazaniem siedzącego obok Nigela. Remi zadowolona się miejscem z tyłu, skąd podziwiała widoki. Wkrótce zostawili za sobą King's Lynn i wjechali w las. Mgła, choć nie tak gęsta jak poprzedniej nocy, wciąż wisiała w powietrzu. Opar skraplał się na przedniej szybie, więc Sam włączył wycieraczki.

Na parkingu stało już z dziesięć samochodów. Sam przyhamował, widząc, jak spomiędzy aut wybiega kilkoro dzieci żądnych zwiedzania zamku do tego stopnia, że nie czekały na rodziców. Zaparkował na pierwszym wolnym miejscu i zabrał plecak z bagażnika.

– Imponujące - stwierdziła Remi, idąc przez parking w stronę zamku. Promienie słońca przebijające się przez zamglone niebo rzucały srebrzysty blask, który uwydatniał ostre krawędzie wznoszących się nad nimi zamkowych ruin. Wyciągnęła telefon

i zrobiła zdjęcie. - Szkoda, że nie wzięłam prawdziwego aparatu.

Przed rozpoczęciem właściwego zwiedzania zatrzymali się na chwilę, podziwiając kamienną budowlę. Zamek został wzniesiony w dwunastym wieku, zajmował wraz z przyległościami powierzchnię niemal pięciu hektarów. Kamienny stołp wyglądał jak średniowieczna twierdza, choć pierwotnie miał służyć jako okazały domek myśliwski.

Niestety, po godzinnym łażeniu połączonym z zaglądaniami w każdy kąt Sam zdał sobie sprawę, że Lazlo nie mylił się, przynajmniej co do tego zamku. Tracili tylko czas.

- Co poza tym warto by było zobaczyć? - spytał Nigela, schodząc po kamiennych stopniach na podzamcze.

- Jedyne, co przychodzi mi do głowy, to Sadzawka Króla Jana. Ale spenetrowanie tego miejsca nie będzie łatwe.

- A to czemu? - zdziwił się Sam. - Mamy sporo wolnego czasu.

- Nie dość, że trzeba by się było przekopać przez wielowiekowe pokłady mułu, to tak naprawdę nikt nie wie, gdzie to jest. Wiadomo tylko z grubsza w jakiej okolicy. Wierzcie mi, wielu już szukało.

Mimo to Nigel wiązał jeszcze pewne nadzieje z Castle Rising. Widząc znajomego przewodnika, postanowił spytać go o sekretny tunel królowej Izabeli.

- Należał do naszego Towarzystwa Historycznego. Może wiedzieć więcej od nas. Zaraz wracam.

Remi i Sam czekali na niego przy wejściu na parking, nie licząc na to, że Nigel dowie się czegoś nowego. O ile zdołali się rozeznaczyć, w ruinach nie było nic ciekawego poza starym stołpem.

- Co za pech - mruknął rozczarowany Sam.

Powiódł wzrokiem po parkingu. Z zaskoczeniem stwierdził, że jest niemal zapełniony samochodami i autokarami. W poszukiwaniu miejsca krążyło po nim niebieskie bmw. Uwagę Sama zwrócił potężny, kwadratowy psi łeb, który mignął za

tylną szybą limuzyny. Auto skręciło w kolejną alejkę między rzędami samochodów i w końcu zaparkowało. Kierowca wydał się Samowi znajomy, a jego przypuszczenia potwierdził naklejony na czole mężczyzny specjalny plaster do zamykania ran. Dokładnie w tym miejscu, z którego w muzeum krwawił Ivan.

– Przyjechał Ivan, tym niebieskim bmw.

– Jesteś pewien? - spytała Remi.

Sam odciągnął ją w tył, mając nadzieję, że nie zostali zauważeni.

– Jak najbardziej. Na miejscu obok kierowcy siedzi Jak. I jeszcze ten pies, który omal nie rzucił się na nas wczoraj. Założę się, że leży na tylnej kanapie.

– I tak legenda o Czarnym Kudłaczu legła w gruzach. - Remi pokiwała głową.

Tymczasem Jak przypiął smycz do obroży potężnego zwierzaka. Gdyby ktokolwiek widział diabła spacerującego z psem, to ten doskonale pasowałby do obrazka.

– Nie widzę nigdzie Fiska. - Chwilę po tym, jak Sam wypowiedział te słowa, z przeciwka nadjechał czarny mercedes i zatrzymał się tuż za bmw. Za kierownicą siedział Fisk. Otworzyły się drzwi po stronie pasażera i z auta wysiadła jasnowłosa kobieta w białej parce. Fisk odjechał, a ona podeszła do samochodu Ivana. Ciekawe, co sprowadziło ekipę Fiska w to miejsce, pomyślał Sam. Zwłaszcza że Remi i on wykluczyli jakikolwiek związek tego zamku ze sprawą.

– Czyżbyśmy coś przegapili? - zastanawiał się głośno Sam.

– Może jednak tunel królowej Izabeli istnieje naprawdę?

– Lepiej znajdziemy Nigela.

Remi poszła za nim, ale wcześniej zrobiła zdjęcie Ivana, Jaka i kobiety.

– Może Selma powie nam, kim ona jest. - W drodze do stanowiska przewodników spróbowała wysłać fotografię, ale

bez skutku. - Coś takiego, brak sygnału.

- Gdzie on jest? - spytał Sam, rozglądając się dokoła.

Remi uniosła wzrok znad telefonu.

- Rozmawiał z kolegą dokładnie w tym miejscu.

Ani Nigela, ani jego kolegi tam nie było.

Sam wyciągnął lornetkę z plecaka i zaczął lustrować podzamcze.

- Nie widzę go - powiedział, omiatając lornetką schody prowadzące na mury. - Pełno tu ludzi i samochodów, a on może być wszędzie.

- Wejdzmy na górę. Będziesz miał stamtąd lepszy widok.

- Warto spróbować - zgodził się Sam. Przebili się przez schodzącą w dół grupę uczniów. Po wspięciu się na wyższy poziom Sam popatrzył w dół i spostrzegł Ivana rozmawiającego z kimś, kto wyglądał na przewodnika, ale ani śladu Nigela i jego kolegi. - Szkoda, że nie potrafię czytać z ruchu warg. Dobrze by było wiedzieć, o czym rozmawiają.

Remi stanęła obok niego.

- Nie przyjechali tu bez przyczyny. Chyba coś nam umknęło.

- Skoro my wytypowaliśmy to miejsce jako jedną z prawdopodobnych lokalizacji, to równie dobrze oni mogli zrobić to samo.

Sam obserwował Ivana jeszcze przez chwilę. Mężczyzna wyraźnie spieszył się do odejścia. Odwrócił się od rozmówcy i ruszył szybko w przeciwnym kierunku.

- Musiał się czegoś dowiedzieć.

- Jest Nigel! - krzyknęła Remi, wskazując ręką w dół.

Radość Sama z odnalezienia Nigela nie trwała długo. Kiedy podniósł do oczu lornetkę, spostrzegł zmierzającego w jego kierunku Jaka wraz z jasnowłosą kobietą.

Rozdział 42

Alexandra Avery uniosła wzrok i kilka metrów przed sobą ujrzała obrabowanego wczoraj przewodnika. On chyba jeszcze jej nie zauważył.

– A ten, do licha, skąd się tu wziął?

Jak wręczył jej smycz i wyciągnął pistolet.

– Zajmę się nim.

Alexandra chwyciła go za rękę.

– Schowaj to albo przynajmniej trzymaj tak, żeby nikt nie zauważył. Nie zapominaj, że jesteśmy w Wielkiej Brytanii, a w tym miejscu roi się od turystów. Tutaj nie ma powszechnego dostępu do broni.

– Wiesz, kto to jest? - spytał Jak.

– Oczywiście. Powinieneś raczej zadać sobie pytanie, co on tutaj robi. - Zerknęła na Ivana i stwierdziła z zadowoleniem, że nie zareagował tak nerwowo. Trzymał rękę w kieszeni, zapewne ściskając w dłoni pistolet.

– Czego się dowiedziałeś?

– Nie ma tu żadnych tuneli - odparł Ivan.

Ponownie skierowała swoją uwagę na przewodnika. Nigel jakiś tam. Zdaje się, że Ridgewell. No właśnie. Podeszła do niego z uśmiechem na twarzy.

– Dzień dobry, panie Ridgewell. Co za niespodzianka.

Zatrzymał się przed nią. Było jasne, że nie ucieszył się ze spotkania.

– Uczestniczyła pani w mojej wczorajszej wycieczce.

– Uważam, że była fascynująca. Domyślam się, że pracuje pan także tutaj.

– Gdzie to macie?

– Co?

– Mój notes.

– Nie wiem, o czym pan mówi.

– Ukradła go pani albo jeden z tych dwóch zbirów. - Skinął głową na Jaka i Ivana.

– Zapewniam pana, że nie mam z tym nic wspólnego.

– Podczas wycieczki pytała mnie pani o znajomość staroangielskiego. A teraz jest pani tutaj. Dlaczego?

– W celach poznawczych. - Nie podobało jej się to maglowanie. Prosto na nich szła duża grupa turystów. Robiło się coraz tłoczniej. - Kto jak kto, ale pan powinien to wiedzieć najlepiej.

– Śledziliście mnie?

Ivan podszedł do niego i szturchnął go w bok pistoletem trzymanym w kieszeni.

– Wystarczy już tych pytań.

Wspaniale. To tyle jeśli chodzi o jego zimną krew, pomyślała Alexandra.

Zacząła się zastanawiać, czy aby Fisk nie ma własnych planów co do skarbu. Co za paradoks. Gdyby w istocie tak było, będzie musiała się bardzo pilnować.

W tej chwili nie miało to jednak żadnego znaczenia. Ważne było tylko to, by nikt nie wezwał policji. Mając na względzie jej w gorącej wodzie kąpanych pomagierów, skończyłoby się to prawdziwą katastrofą. Położyła dłoń na ramieniu Ivana.

– Nie rób przedstawienia. Za duża widownia.

Ivan kiwnął głową i nachylił się do Nigela.

– Oto moja propozycja: pójdiesz powoli na parking, a ja obiecuję, że nie pociągnę za spust.

Dziesięć sekund później znaleźli się w cizbie turystów, próbujących precyzyjnie przycisnąć się obok nich. Jakaś okutana jak Eskimos kobieta wpadła na Nigela i wymamrotawszy przeprosiny, pomknęła dalej. Jeśli nie zachowają ostrożności, to

przewodnik wymknie im się z kolejną grupą, która już zmierzała w ich kierunku. Zdając sobie z tego sprawę, Alexandra oddała smycz Jakowi i zajęła pozycję po drugiej stronie Nigela. Wzięła go pod ramię.

– Nie stawiaj oporu. Chłopcy są trochę narwani i nie mogę zagwarantować ci bezpieczeństwa.

Nigel przełknął nerwowo ślinę i pobladł, pojąwszy, co mu grozi.

– Puśćcie mnie, nikomu nic nie powiem.

– Właściwie, to potem i tak mieliśmy cię odwiedzić. Dobrze się składa, że zaoszczędziłeś nam fatygi. - Uśmiechnęła się, by go uspokoić, przynajmniej w drodze do samochodu. - Obiecuję, że nic ci się nie stanie, jeśli spokojnie pójdziesz z nami. Chcemy tylko, żebyś coś jeszcze nam przetłumaczył.

Rozdział 43

Od momentu, kiedy Remi i Sam ujrzeli, jak jasnowłosa kobieta staje twarzą w twarz z Nigelem, a Jak wyciąga pistolet, mieli bardzo mało czasu na wdrożenie planu działania.

Remi, uzbrojona w pistolet SIG Sauer P938, upchnęła włosy pod kapturem kurtki, włożyła na nos ogromne przeciwsłoneczne okulary i chwyciwszy telefon Sama, zbiegła za nimi po schodach. Wyprzedziła ich, po czym zawróciła dopiero przy wejściu na parking. Chwilę później Ivan, Jak, blondynka i Nigel znaleźli się kilka metrów od niej.

Cała czwórka szła w jej kierunku, trzymając się blisko siebie. Ivan po jednej stronie Nigela, blondynka po drugiej. Grupę zamykał Jak, prowadzący psa. Nagle psisko rzuciło się w bok i zaczęło na nią warczeć. Remi ścisnęła kolbę pistoletu, gotowa wyciągnąć go z kieszeni, ale wtedy kobieta powiedziała rozkazującym tonem:

– Trzymaj krótko tego psa. Nie mamy czasu na awantury.

Szczęknęła kolczatka na szyi zwierzęcia, kiedy Jak szarpnął za smycz i przyciągnął psa do nogi. Remi przez chwilę nie ruszała się z miejsca. Kiedy oddalili się na bezpieczny dystans, weszła za nimi na parking. Stała za autokarem i obserwowała zza niego niebieskie bmw. Złoczyńcy rozejrzeli się dokoła i wepchnęli Nigela do bagażnika. Ivan zatrzasnął pokrywę. Wsiedli do samochodu wraz z psem i odjechali tą samą drogą, którą przybyli.

Remi przebiegła przez ulicę, rozglądając się za Samem. Po chwili podjechał i zahamował obok niej.

– Którędy? - spytał.

– Skręcili w lewo - poinformowała, zajmując miejsce obok niego. - Nigel jest w bagażniku.

– I jak?

– Poszło jak z płatka.

Sam ruszył śladem bmw.

– Sprawdź, czy mamy zasięg.

Remi wyciągnęła komórkę.

– Słaby, ale jest. - Przewinęła aplikacje, znalazła ikonkę podpisaną *Znajdź Mojego iPhone'a* i dotknęła jej. Początkowo pojawiła się informacja, że telefon Sama jest wyłączony, ale w odległości niecałych dwóch kilometrów od zamku na ekranie pojawił się jego znacznik. - Mamy ich.

– Muszę przyznać, że twój talent kieszonkowca napawa mnie lekkim przerażeniem. Czyżbyś w poprzednim wcieleniu była jakimś geniuszem zbrodni?

Roześmiała się.

– Wetknięcie komuś telefonu do kieszeni jest dużo łatwiejsze niż kradzież.

– A karta magnetyczna, którą zwinęłaś pracownicy muzeum?

– Ledwie się trzymała na klipsie przy kieszeni żakietu. Nie wymagało to mistrzowskich umiejętności. - Zerknęła na ekran telefonu. - Jadą na północny wschód.

– Pewnie czeka nas dłuższa jazda. Musimy zobaczyć, dokąd go zabiorą. Trzeba będzie też uważać na Fiska, może pojawić się w każdej chwili.

Po czterdziestu minutach bmw zatrzymało się w małej miejscowości przed budynkiem o bielonych ścianach z pruskiego muru. Szyld nad wejściem głosił, że jest to „Zajazd pod Wieprzem i Latarnią”.

Sam pojechał nieco dalej i zatrzymał się na poboczu, skąd mieli widok na parking. Ivan otworzył bagażnik i wyciągnął Nigela. Biedak wyglądał na śmiertelnie wystraszonego.

– Może jednak wezwać policję? - zastanawiała się Remi.

– Byłbym za tym, gdybyśmy byli w Stanach. Poprosiłbym od razu o antyterrorystów. Ale tutaj? Ile czasu musielibyśmy czekać? Poza tym, jak sądzisz, czy ci dwaj - tu skinął głową w kierunku mężczyzn z bmw - zawahaliby się przed zabiciem nieuzbrojonego policjanta? Nie chciałbym mieć go na sumieniu.

– Przecież nie możemy zostawić z nimi Nigela.

– Nie zrobimy tego. Potrzebują go żywego. Martwy niczego im nie przetłumaczy.

– Szkoda, że pozwoliliśmy mu się wtedy oddalić.

Na to nie można już było nic poradzić. Remi i Sam obserwowali Nigela, którego wprowadzono do środka bocznymi drzwiami. Po chwili pojawił się Jak z psem i zniknął za budynkiem. Pięć minut później wrócił bez zwierzęcia i wszedł przez te same drzwi.

– Sam?

– Zastanawiam się - odrzekł, patrząc na kolejny samochód, który zatrzymał się przed zajazdem. Na tylnej szybie miał namalowany sprayem napis „Nowożeńcy”. Wysiedli z niego państwo młodzi, zabrali z bagażnika torby podróżne i weszli głównym wejściem do budynku.

Na ten widok w jego głowie zakiełkował pewien pomysł.

Wyjął telefon Remi z uchwytu na desce rozdzielczej i z zadowoleniem stwierdził, że mają mocny sygnał.

– Co powiesz na krótki wypad za miasto?

– Czy w programie imprezy przewidziano odbicie więźnia z rąk porywaczy?

– Nie wiem, czy mają to w ofercie - powiedział, patrząc w górę na szyld zajazdu. - Miejmy jednak nadzieję, że realizują specjalne życzenia.

Po kilku sygnałach odezwał się kobiecy głos:

– Zajazd pod Wieprzem i Latarnią.

– Czy macie wolny pokój dla dwóch osób na tę noc?

– Chwileczkę... - Usłyszał odgłos pisania na klawiaturze

komputerowej. - Pana nazwisko?

Zerknął na Remi i odpowiedział:

- Longstreet. Państwo Longstreet.

- Longstreet... - Znów stukanie klawiatury. - Na ile dni?

- Tylko do jutra. Proszę zaznaczyć późny przyjazd. Będziemy już po zapadnięciu zmroku.

- Proszę podać numer karty kredytowej w celu potwierdzenia rezerwacji.

- American Express. - Pokazał Remi na migi, aby dała mu kartę, wystawioną jeszcze na jej panieńskie nazwisko, i przedyktował numer.

- Potwierdzam rezerwację pokoju dwuosobowego na jedną noc.

Podziękował i się rozłączył.

- Teraz sobie zaczekamy.

Zabrzączał telefon Remi.

- To od Selmy! - Otworzyła wiadomość. - Wiesz, kim jest towarzysząca im kobieta? To żona Charlesa Avery ego, Alexandra.

- Naprawdę? Czy ona nie jest aby bywalczynią salonów? Bankiety, bale dobroczynne...

Remi prychnęła z dezaprobatą.

- Mężczyźni mają skłonność do lekceważenia zagrożenia ze strony kobiet.

- To bardzo wygodne dla osoby, której nie traktuje się jako zagrożenie.

- Otóż to. Pamiętaj o tym, kiedy się na nią natkniesz.

- Nie zamierzam. Dlatego musimy poczekać, aż zapadnie zmrok.

Godzinę później Sam z zadowoleniem stwierdził, że wokół zajazdu panują niemal egipskie ciemności. To dawało mu możliwość podejścia bliżej bez zdradzania swojej obecności.

- Zaczekaj tu - powiedział do Remi. - Pójdę na przeszpiegi.

Poza głównym wejściem od frontu do środka można było się dostać przez dwoje bocznych drzwi, od strony północnej i południowej. Przez te ostatnie wchodzili Ivan i Jak.

Na parterze światło paliło się tylko w dwóch pokojach, z których przynajmniej jeden musiał należeć do bandytów.

Sam zamierzał to sprawdzić. Podkradł się z boku i trzymając się blisko ściany, zbliżył się do pierwszego oświetlonego okna. Co prawda było zasłonięte, ale w samym środku pozostała wąska szpara, przez którą na zewnątrz sączyło się światło. Pozwoliło mu to zajrzeć do wnętrza. Pokój był pusty. Z oparcia krzesła zwieszała się rzucona niedbale biała parka Alexandry. Przesunął się pod ścianą do następnego pokoju. Tu także była szpara między zasłonami. Kiedy był już blisko, Ivan podszedł do okna i szczerze zaciągnął zasłony.

Jednak ułamek sekundy wcześniej Sam spostrzegł Nigela siedzącego tyłem do okna z rękami skrępowanymi za plecami.

Wiedział, na co się decyduje, pomyślał, i w tym momencie zapaliło się światło w sąsiednim pokoju. Mieszkali w nim nowożeńcy. Sam wrócił do samochodu.

– Gotowa? - spytał.

– To zależy, jaki masz plan działania.

– Na razie to tylko pierwszy etap planu, w dodatku musimy improwizować.

Rozdział 44

Po wejściu do zajazdu skierowali się od razu do recepcji. Sam niósł na ramieniu plecak, który Remi nazywała niezbędnikiem, bo zawierał różne przydatne narzędzia, kilka noży oraz bardzo lekką, a zarazem wytrzymałą linę.

– Spokojna noc? - spytał recepcjonistkę podczas załatwiania formalności. - Na parkingu widziałem tylko dwa auta.

– Jak dla nas, to całkiem spory ruch.

– Czyli cisza i spokój. Dokładnie o to nam chodziło - powiedział Sam, opierając się o ladę. - Jeśli można, chciałbym się dowiedzieć, czy mieszkają u was teraz jakieś zwierzaki? Żona ma uczulenie.

– Z gośćmi nie, ale właściciel ma psa.

– Tego wielkiego, czarnego?

– A więc widział pan już Teddy'ego? Kochane psisko, mówię panu. Dwa dni temu zatrzymali się u nas znajomi właściciela i chodzą z nim na spacer. Ale to żaden problem, dam państwu pokój na piętrze.

– Nie trzeba. - Sam uśmiechnął się, położył na ladzie banknot dwudziestofuntowy i przesunął go w stronę recepcjonistki. - Zdecydowanie wolimy mieszkać na parterze, najlepiej po wschodniej stronie. Uwielbiamy przyglądać się wschodzącemu słońcu.

Recepcjonistka zerknęła na ekran komputera.

– Mam jeszcze jeden pokój od wschodu na parterze. Zaraz za młodą parą. - Wręczyła mu klucz. - Pójdziecie państwo tym korytarzem z palmą w donicze. Numer 101 jest zaraz obok północnej klatki schodowej. Miłego pobytu.

Idąc korytarzem, Sam zorientował się, że jego plan obarczony jest poważną wadą. W drodze do pokoju mogli w każdej chwili natknąć się na Ivana albo Jaka. Dobrze przynajmniej, że pies nie okazał się krwiożerczą bestią, na jaką wyglądał.

Jedno zmartwienie mniej, pomyślał, kiedy mijali pokój Ivana i Jaka. Przystanął na krótką chwilę. W środku ktoś coś mówił. Następny pokój należał do nowożeńców, a ich znajdował się na końcu korytarza. Było to niewielkie pomieszczenie z belkowanym sufitem. Stało w nim szerokie, podwójne łóżko, szafka nocna i mała toaletka z telewizorem, kubelkiem na lód i dwiema szklankami. Sam podszedł do okna i zaciągnął dokładnie zasłony.

– Chciałbym znaleźć jakiś sposób, żeby podsłuchać, co się dzieje w tamtym pokoju - oznajmił. - Czy jest jakaś aplikacja, która zmieniałaby mój telefon w urządzenie podsłuchowe?

– Tak. Nazywa się rozmowa telefoniczna. Niestety, odpada cały efekt zaskoczenia. Są jednak jeszcze klasyczne sposoby. - To mówiąc, Remi wzięła szklankę i przyłożyła sobie denkiem do ucha.

– To na nic. Dzieli nas od nich jeszcze jeden pokój.

– Moglibyśmy poprosić nowożeńców, żeby się z nami zamienili.

– Myślałem o tym. Wolalbym jednak, aby w ogóle ich tu nie było, na wypadek gdyby coś poszło nie tak.

Remi spojrzała na zegar na nocnej szafce. Parę minut po szóstej.

– Daleko stąd do Londynu?

– Niecałe trzy godziny jazdy.

– Mamy pokój w Savoyu. Płacimy za niego, choć stoi pusty.

– Remi, jesteś genialna. Jak zwykle.

Uśmiechnęła się.

– Miejmy nadzieję, że się zgodzą.

– Jest tylko jeden sposób, by to sprawdzić. Idziemy?

Za chwilę zapukali cichutko do drzwi sąsiadów.

Młody mężczyzna uchylił drzwi na kilka centymetrów.

– Mieszkamy tu obok - zaczął Sam. - Zdaje się, że należą się państwu gratulacje.

Za plecami mężczyzny pojawiła się żona. Na jej młodzieńczej twarzy malowały się ciekawość i radosne podniecenie.

– Kto to? - spytała.

– Sąsiedzi zza ściany.

Wysunęła rękę zza jego pleców i otworzyła drzwi na oścież.

– Cześć.

Sam kuł żelazo póki gorące. Wpakował się do pokoju wraz z Remi, po czym zamknął za sobą drzwi.

– Gratulacje - powiedziała Remi. - Słyszeliśmy, że jesteście świeżo po ślubie.

Dziewczyna pokraśniała.

– Pobraliśmy się kilka dni temu.

– A więc macie miesiąc miodowy? - upewnił się Sam.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Jaki tam miesiąc. Wzięliśmy kilka dni wolnego.

– Mieszkaliście kiedyś w Savoyu?

Facet uśmiechnął się ironicznie.

– Myśli pan, że siedzielibyśmy tutaj, gdyby było nas na to stać?

– Coś wam zaproponuję - nie dawał za wygraną Sam. - Jeśli nie przeszkadza wam te parę godzin jazdy, możecie zamieszkać w Savoyu całkiem za darmo.

Oczy młodej kobiety zrobiły się wielkie jak spodki.

Za to jej mąż skrzyżował ramiona na piersi, zmierzył ich podejrzliwym spojrzeniem i przybrawszy groźną minę, zrobił krok w kierunku Sama.

– Wyjdźcie stąd.

– Wysłuchajcie mnie do końca - poprosił Sam i sięgnął do kieszeni po portfel. - Tak się składa, że bardzo potrzebny nam jest wasz pokój. Mamy opłacony apartament w Savoyu, który

teraz stoi pusty. - Wyjął z portfela kilkaset funtów wraz z kartą, będącą kluczem do pokoju w Savoyu, i położył to wszystko na łóżku. - Wystarczy na kilka posiłków, benzynę i zwrot ceny tego pokoju. Nawet jeśli nie zechcecie zatrzymać się w Savoyu, ta kwota z nadwyżką pokryje koszt pobytu w dowolnym innym hotelu.

- To jakiś kant.

- Żaden kant - zapewniła Remi, wyciągając swój telefon. Znalazła link do rezerwacji przesłany jej przez Selmę i stuknęła w niego palcem. - Zaraz dodam was do naszej rezerwacji. Wystarczy się na nią powołać. Albo brać forszę i w nogi.

Poczekala, aż otworzy się odpowiednia strona internetowa, i podała telefon mężczyźnie.

- Proszę wpisać nazwisko i adres mailowy, na który ma przyjść potwierdzenie.

Pan młody zawahał się, ale jego żona chwyciła telefon i wpatrzyła się w ekran.

- Rezerwacja wygląda jak prawdziwa.

- Bo jest prawdziwa - potwierdziła Remi.

Kobieta zaczęła wpisywać dane.

- Zwariowałaś? Co robisz? - spytał mąż, próbując odebrać jej telefon.

Ale ona odsunęła się od niego i odwróciła się plecami.

- To tylko nazwisko i mail. Przecież nie podaję numeru karty kredytowej. Chciałabym spędzić miesiąc miodowy w Savoyu. - Nacisnęła „Wyślij”, oddała telefon Remi, po czym zwróciła się do męża:

- Sprawdź pocztę.

- Przecież zaraz mają nam przynieść szampana!

- Co ty powiesz? - zapytała prześmiewczo. - Jest wliczony w cenę pokoju, który kosztował niecałe sześćdziesiąt funtów. Co to będzie za szampan? Mówię ci: sprawdź pocztę.

Wyciągnął z kieszeni telefon i otworzył otrzymaną

wiadomość. Nie mógł uwierzyć własnym oczom.

– To się dzieje naprawdę?

Remi pokiwała głową.

– Ale... dlaczego?

– Nieważne - rzucił Sam. - Powiem tylko, że wyświadczycie nam wielką przysługę.

Mężczyzna rozejrzał się po pokoju, jakby zastanawiał się, czy mu się to opłaci.

– Dobra. Nawet jeśli z tym Savoyem to lipa, forsy powinno nam wystarczyć, żeby zamieszkać gdzie indziej.

Młodzi małżonkowie pozbierali rzeczy, które zdążyli wyjąć z walizek.

– Jeszcze raz gratulujemy. - Remi odprowadziła ich do drzwi.

– Jedna prośba. Nie naróbcie hałasu. Oni śpią. - Sam wskazał pokój Ivana i Jaka.

Kiwnęli głowami, pomachali im bez słowa i wyszli.

Remi zamknęła za nimi drzwi. Nie minęło pół minuty, gdy usłyszeli ciche pukanie do sąsiedniego pokoju, a potem rozległ się głos Fiska, żądającego, żeby wpuszczono go do środka.

Ciekawe. Fisk nie wyglądał na człowieka, który zawracałby sobie głowę nieistotnymi drobiazgami. Co takiego musiał wiedzieć Nigel, że Fisk pofatygował się osobiście? Remi sięgnęła po puste szklanki stojące na tacy obok wiaterka na lód i szepnęła do Sama:

– Sprawdźmy, co słychać u sąsiadów.

Rozdział 45

Fisk wmaszerował do pokoju. Alexandra siedziała na krześle obok Nigela, a Ivan i Jak leżeli rozciągnięci w poprzek łóżka.

– Przepraszam za niewygody w podróży, panie Ridgewell. Zapewne było panu trochę ciasno.

Nigel rzucił mu gniewne spojrzenie.

– Czego chcesz?

– Pragnę skorzystać z pańskich zdolności językowych. O ile wiem, specjalizujesz się w staroangielskim. Jesteśmy gotowi zapłacić ci za przysługę.

– Tak? W takim razie po co ten wczorajszy napad, kradzież notesu i dzisiejsze porwanie?

– Zwyczajne nieporozumienie.

– Wrzucenie do bagażnika i przywiązanie do krzesła nazywasz nieporozumieniem? - zadrwił Nigel.

Fisk skinął na Ivana, który wstał, wziął nóż i rozciął więzy. Nigel zaczął rozcierać nadgarstki. Obserwował Ivana wracającego na łóżko.

– Notes - rzucił Fisk, spoglądając na Alexandrę.

– Ivan go ma.

Wyciągnął rękę i chwycił w powietrzu notes, rzucony mu przez Ivana.

– Gdybyś zechciał przymknąć oko na złe traktowanie ze strony moich współpracowników, moglibyśmy dojść do porozumienia.

– W jakiej sprawie?

– Jak już wspomniałem, chodzi o proste tłumaczenie. W notesie zapisane jest zdanie, którego nie przetłumaczyłeś. Osoba, której moi współpracownicy pokazali to dziś po południu, także

nie mogła sobie z tym poradzić. Zabawne, że poleciła im skontaktować się właśnie z tobą.

– To dlatego rozmawialiście z Williamem w Castle Rising?

– A więc znasz go. No cóż, świat jest mały. - Podsunął notes Nigelowi, wskazując słowa zapisane na ostatniej stronie.

Nigel pochylił się nad tekstem.

– Nie potrafię tego przełożyć.

– Dlaczego?

– Przypuszczam, że brakuje tu liter albo pisał to ktoś nie mający pojęcia o ortografii. Nie wiem, co znaczą te słowa, z wyjątkiem jednego: jama.

Brakujące litery. Dopiero w tym momencie Fisk zorientował się, o co chodzi. Przyjął, że lista skradziona Nigelowi jest identyczna z jego. Obie zawierały odszyfrowane słowa z mapy. Z drugiej strony nie przyjrzał się dokładnie temu, co Nigel zapisał w notesie. Był pewien, że Fargom udało się zdobyć egzemplarz koła szyfrującego i słowa są takie same. W przeciwnym razie nie dotarliby przecież tak daleko.

Ciekawe. Egzemplarz wykorzystany przez Fargów najwyraźniej był wadliwy, w odróżnieniu od tego, który miał on. Wyciągnął telefon i wyświetlił tekst od eksperta, zatrudnionego przez Charlesa Avery'ego do odszyfrowania mapy.

Słowa nie były jednakowe. Pokazał swój tekst Nigelowi.

– Co powiesz na to?

– Zdajesz sobie sprawę, że nie jestem jedynym specjalistą od staroangielskiego w kraju?

– Tak się złożyło, że byłeś w pobliżu, co nie znaczy, że jesteś niezastąpiony. Lepiej przypatrz się temu dokładnie, zanim poszukam kogoś na twoje miejsce.

Nigel wpatrywał się przez chwilę w tekst, po czym wydał z siebie westchnienie nabrzmiałe irytacją.

– Ktoś przez pomyłkę potraktował literę f jako s. To nie jest *wulshol*, tylko *wulfhol*, czyli wilcza jama.

– A dalej? - Fisk wskazał kolejne słowo na liście: *wulsesheasod*.
– To będzie *wulfesheafod*, czyli wilczy łeb.
– Co to może znaczyć?
– Na moje oko legowisko i głowę wilka.
– Jesteś pewien?
– Niczego nie jestem pewien. Zapytajcie tego, kto to napisał.
– Ten człowiek nie żyje. Ty też tak skończysz, jeśli...
– Dość tego. Masz, czego chciałeś - przerwała mu Alexandra, wstając z krzesła. - Za to my od śniadania nie mieliśmy niczego w ustach.

Fisk zganił się w myślach za to, że zgodził się na jej udział w przedsięwzięciu, na głos zaś powiedział:

– Zwiążcie go. Nie wolno dopuścić do tego, żeby nam uciekł.
– Zaczekajcie - wyjąkał Nigel, podnosząc się z miejsca. Ivan i Jak zerwali się z łóżka i popchnęli go z powrotem na krzesło. Próbował się opierać, ale Jak przytrzymał go, a Ivan założył mu nową opaskę zaciskową na nadgarstki.

– Przecież nie możecie mnie tu przetrzymywać.
– Nie stawiaj się, a będziesz żył. Ciesz się, że jesteś nam jeszcze potrzebny.

– A ty dokąd się wybierasz? - spytała Alexandra.
– Ściągnę jeszcze dwóch dodatkowych ludzi do pomocy. Fargowie stanowią poważniejszy problem, niż pierwotnie myślałem. Potem wracam do hotelu. Twój mąż czeka na wieści w sprawie tłumaczenia. Sądzę, że doprowadzi nas ono do kolejnej lokalizacji, w której nasz przewodnik może się jeszcze przydać. Oczywiście możesz sama do niego zadzwonić.

– Wolę, żeby nie wiedział, że tu jestem - powiedziała Alexandra lodowatym tonem.

– Tak przypuszczałem. - Fisk ruszył do drzwi, ale zatrzymał się i popatrzył na Nigela.

– Jeśli zacznie hałasować, zabijcie go. Zawsze możemy znaleźć innego tłumacza.

– Nikogo nie będziemy zabijać - sprzeciwiła się Aleksandra. -
Za ścianą mieszkają jacyś ludzie.

– To ich też zabijcie. Macie zrobić wszystko, żeby nie dać się
złapać.

Rozdział 46

Alexandra wyszła z pokoju w ślad za Fiskiem.

– Musimy porozmawiać - oznajmiła, przyspieszając kroku, aby zrównać się z nim w korytarzu.

Zerknął na nią przez ramię, ale nie zatrzymał się.

– Później. Teraz nie mam czasu.

Zza rogu wyszła pokojówka, niosąca przed sobą wiaderko z lodem, w którym tkwiła butelka szampana. Fisk wpadł na nią z impetem i wytrącił jej z rąk wiaderko z butelką. Płaszcz, który miał przewieszony przez ramię, pofrunął w powietrze i wylądował na palmie, omal jej nie przewracając.

Zaklął szpetnie, co wprawilo w popłoch biedną dziewczynę.

– Przepraszam... Nie zauważyłam pana.

– Najwyraźniej - burknął, schylił się po płaszcz i ruszył pędem przed siebie.

Alexandra truchtała za nim przez lobby. Zatrzymał się dopiero przy samych drzwiach, odwrócił się twarzą do niej i wyjaśnił przytłumionym głosem:

– Zdanie „Nie mam czasu” niesie ze sobą prosty przekaz. Czego w nim nie rozumiesz?

– Nie będzie żadnego zabijania. A już na pewno nie tutaj. Pokój jest wynajęty na moje nazwisko.

– Sama chciałaś w tym uczestniczyć, a to oznacza zgodę na ustalone przeze mnie reguły gry. Jeśli kogoś trzeba zlikwidować, to ja podejmuję decyzję, kiedy i gdzie to zrobić. Nie ty, nie Ivan albo Jak, tylko ja. Czy wyrażam się jasno?

Jego wściekłość przeraziła ją, więc kiwnęła głową i zawróciła. W korytarzu natknęła się na pokojówkę, która klęcząc, zbierała

z podłogi kostki lodu i wrzucała je do wiaderka.

Młoda kobieta spojrzała na nią ze łzami w oczach i zaczęła się tłumaczyć:

– Naprawdę nie zauważyłam tego pana...

– To nie pani wina - powiedziała Alexandra, której żal się zrobiło dziewczyny. Butelka szampana potoczyła się w kąt obok palmy. Kiedy schyliła się, żeby ją podnieść, dostrzegła coś w donicy. To było koło szyfrujące.

Zostawiła butelkę w spokoju.

– Pomogę pani - rzuciła i zaczęła zgarniać lód na małą kupkę pod donicą. - To wszystko przez nas. Klóciliśmy się i wpadliśmy na panią.

– Ależ nie, proszę nie robić sobie kłopotu. Zaraz to posprzątam.

Alexandra zasłoniła sobą palmę, wepchnęła koło głębiej w ziemię, a potem podniosła butelkę i podała ją pokojówce.

– Dziękuję. - Dziewczyna wyciągnęła po nią rękę i w tej samej chwili zza rogu wyszedł Fisk.

Zdziwił się na widok Alexandry i pokojówki.

– Zapomniałeś czegoś?

– Musiałem coś upuścić. - Ominął je ze wzrokiem wbitym w podłogę. Podszedł do palmy i rozchylił liście, żeby zajrzeć za nią, a potem przeniósł wzrok na Alexandrę, która za wszelką cenę usiłowała spokojnie oddychać. - Może ty to znalazłaś?

– Nie. A czego właściwie szukasz?

– Może jest w pokoju - powiedział i odszedł, żeby sprawdzić.

Alexandra uśmiechnęła się do pokojówki. Nie chciała narażać jej na niebezpieczeństwo, gdyby dziewczyna w nieodpowiednim momencie znalazła się naprzeciw drzwi do ich pokoju.

– Ten, kto spróbuje otworzyć butelkę, będzie miał nie lada niespodziankę. Widziała pani, co się dzieje z szampanem po wstrząśnięciu butelki?

– Ojej, nie pomyślałam o tym. Pójdę ją wymienić.

Po jej odejściu Alexandra wróciła do pokoju akurat w chwili, kiedy Fisk zaglądał pod łóżko.

– Powiedz, co zgubiłeś, to pomożemy ci szukać.

Opuścił narzutę, wstał i przyjrzał się z uwagą Aleksandrze, prześlizgując się wzrokiem po kieszeniach jej żakietu. Całe szczęście, że zakopałam to pod palmą, pomyślała.

– Pewnie zostawiłem w samochodzie - stwierdził.

– A co, jeśli nie znajdziesz tego, czego szukasz?

– Nieważne - odparł, rozglądając się po raz ostatni po pokoju. - Mam fotografie.

Alexandra popatrzyła na Nigela. Nieszczęśnik usiłował poluzować plastikową opaskę krępującą mu nadgarstki. Chciałaby móc mu powiedzieć, żeby tego nie robił, bo zabiją go bez wahania, jeśli tylko spróbuje ucieczki. Wtedy przypomniało jej się, o czym chciała porozmawiać z Fiskiem.

Ponownie wyszła za nim z pokoju.

Tym razem nawet się nie obejrzał.

– Mówiłem ci, nie teraz.

– Przecież wiem - odrzekła, uznawszy, że lepiej trzymać się od niego z daleka. - Idę do recepcji po menu z tego pubu po drugiej stronie ulicy. Z powodu naszego nieproszonego gościa będziemy musieli wziąć jedzenie na wynos.

Skręcili za róg. Fisk zwolnił i zaczął się rozglądać, ewidentnie szukając zgubionego koła. Wzrok Alexandry automatycznie powędrował ku donicy. Wydawało jej się, że nie sposób przeoczyć miejsca, w którym wierzchnia warstwa ziemi została naruszona. Zamarła, kiedy podszedł do palmy i rozsunął liście, aby zajrzeć za nią.

Liście zaszeleściły, kiedy je puścił. Zaklął pod nosem i ruszył do lobby. Ona skręciła w prawo do recepcji i poprosiła o kartę dań z pubu, obserwując go, jak wychodzi na zewnątrz. Gdy zobaczyła odjeżdżający samochód, wróciła do korytarza i wyciągnęła koło szyfrujące z donicy. Wytarła je z ziemi i

schowała do kieszeni, a potem pobiegła do swojego pokoju i ukryła je za podszewką walizki.

Nie miała pojęcia, do czego mogłoby się jej ono przydać. Wiedziała tylko jedno. Skoro było tak ważne, że Fisk nosił je stale przy sobie, to chciała je mieć.

Rozdział 47

Sam zgasił światło i wyglądał zza zasłony na drogę aż do chwili, gdy ujrzał odjeżdżającego czarnego mercedesa. O jednego mniej, zostało jeszcze troje, pomyślał, ponownie zaciągając zasłony. Wrócił do Remi, która wciąż siedziała na nasłuchu, z uchem przy szklance przyłożonej do ściany.

Oboje drgnęli zaskoczeni, gdy zapukano do drzwi. Okazało się, że to tylko pokojówka z darmowym szampanem dla nowożeńców. Sam dał jej napiwek, wziął wiaderko z butelką i zamknął drzwi z wyraźną ulgą, bo dziewczyna nie zauważyła, że szampan wcale nie był przeznaczony dla nich.

Postawił wiaderko na toalecie i spytał:

– Co tam słyhać?

Gestem dłoni nakazała mu milczenie, a po chwili powiedziała:

– Rozmawiają o tym, kto pójdzie po kolację na drugą stronę ulicy... Padło na Alexandrę i Jaka, Ivan zostaje.

– Ten układ sił bardziej mi odpowiada.

– Zaczekaj... - Nasłuchiwała przez chwilę. - Niestety, złożyli zamówienie telefonicznie.

To oznaczało, że będą mieli mniej czasu, niż Sam założył w swoim planie. Sytuacja jest dynamiczna, nie da się przewidzieć wszystkiego, pomyślał, zastanawiając się zarazem, co może pójść nie tak. Trudno. Po prostu muszą działać szybciej.

Na szczęście Remi potrafiła szybko dostosować się do nowych okoliczności. Kiedy usłyszeli, że Alexandra i Jak wychodzą, Sam błyskawicznie uzgodnił z nią zmodyfikowany plan. Potrzebowali dużo szczęścia, żeby się powiódł. Co prawda Remi uzbrojona była w SIG Sauera P938, a Sam miał przy sobie swój ulubiony

rewolwer Smith & Wesson, ale kiedy wyruszali rano na wycieczkę, ich zamiarem było zwiedzenie zamku, może nawet dwóch, i nic ponadto.

Nawet przez myśl im nie przeszło, że będą musieli uwalniać uprowadzonego z rąk porywaczy.

Nic się już na to nie poradzi, pomyślał Sam, wręczając Remi jeden z wojskowych noży, wyjęty z plecaka. Ich zasadniczym celem było wejście i wyjście bez jednego strzału. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, on miał rozbroić Ivana, a Remi uwolnić Nigela.

Sam kiwnął głową, a Remi podniosła słuchawkę i zadzwoniła do recepcji.

- Proszę z pokojem 103. - Pokazała mu uniesiony kciuk. - Recepcja - odezwała się po chwili do słuchawki, naśladowując brytyjski akcent. - Room service zaraz przyniesie państwu szampana. .. Nie, proszę pana. Zamówiła go pani, która przed chwilą wychodziła. Prosiła, żeby dostarczyć go przed kolacją... On jest darmowy, proszę pana. Nie musi pan go pić.

Odłożyła słuchawkę i wzruszyła ramionami.

- Upierał się, że nie potrzebują szampana.

- Nic innego nie mamy. Do roboty.

Remi upięła włosy wysoko w koński ogon, uznawszy, że to ją upodobni do pokojówki. Sam chwycił plecak i otworzył drzwi.

- Pamiętaj - szepnął. - Jak tylko uwolnisz Nigela, wyskakujecie przez okno, wsiadacie do samochodu i zabieracie mnie spod głównego wejścia.

Remi wzięła kubełek z lodem i butelką szampana, wyszła na korytarz i stanęła przed sąsiednimi drzwiami, a Sam zajął pozycję u jej boku. Zapukała i opuściła głowę, żeby Ivan widział tylko jej koński ogon.

Drzwi otworzyły się i mężczyzna wyjrzał na zewnątrz.

- Czego?

- Przyniosłam szampana dla państwa - powiedziała, unosząc

kubełek.

Drzwi otworzyły się nieco szerzej.

– Przecież mówiłem, że...

Sam wykorzystał wagę plecaka i uderzył nim jak taranem w drzwi. Ivan zatoczył się w tył, a Sam naparł na drzwi i przycisnął go do ściany. Znaleźli się w krótkim przedsionku. Remi przemknęła obok Sama i trzymając się przeciwległej ściany, wpadła do pokoju.

Teraz Ivan napierał na drzwi, próbując wypchnąć Sama. Sam zaparł się stopą o framugę, ale cięższy Ivan zyskiwał przewagę. Sam ustąpił, prześlizgując się obok drzwi, które zamknęły się z trzaskiem, po czym obrócił się i kopniakiem posłał Ivana do rogu. Kiedy Ivan spróbował unieść broń, Sam poderwał plecak, podbijając mu rękę. Pistolet wyfrunął z dłoni Ivana, a Sam natarł na niego, wykorzystując swą większą siłę w starciu na krótkim dystansie. Ivan uderzył go w żebra, by pozbawić oddechu. Sam był na to przygotowany. Odchylił się w tył, oparł plecami o ścianę, a jednocześnie zawinął plecakiem i wyrzucił nim Ivana w twarz.

Ivan wyprowadził cios, ale Sam zrobił unik. Pięść przebiła gips, kłykcie spłynęły krwią. Bandyta zaklął i zamachnął się szeroko, sygnalizując kolejny ruch.

Sam ugiął nogi i rzucił się w bok. Uderzenie Ivana trafiło w ścianę, ale tym manewrem Sam dał się zepchnąć do rogu. Ivan obrócił się niczym rozwścieczony byk. Zmrużył oczy i wykrzywił usta w krwiożerczym grymasie.

– Zabiję cię.

Zanim Sam zdołał zareagować, Remi huknęła Ivana w głowę butelką szampana. Mężczyzna znieruchomiał na mgnienie oka, co skrzątnie wykorzystał Sam, zadał mu nokautujący cios w szczękę i powalił go na podłogę.

Remi stała z butelką w ręce i uśmiechała się.

– Wyglądało na to, że potrzebujesz pomocy.

– Gdzie Nigel?

– Dobre pytanie.

Poza Ivanem w pokoju nie było nikogo.

Remi podniosła z krzesła jego telefon.

– To wszystko wyjaśnia. Spodziewali się nas.

– Tym bardziej musimy się stąd wynieść.

Ivan zaczął się poruszać. Sam chwycił swój plecak i pistolet Ivana, po czym pomógł Remi wyjść przez okno i poszedł jej śladem. Ruszyli w kierunku północnego końca budynku.

Sam usłyszał czyjeś szybkie kroki na żwirowym podejździe. Kiedy dobiegli do głównego wejścia, Ivan właśnie wsiadał do samochodu. Zawył silnik i auto prowadzone przez Jaka wypadło z piskiem opon na drogę.

Sam zauważył w środku cztery osoby. Jedną z nich był Nigel.

Pobiegli do swojego samochodu, ale zanim ruszyli, bmw odjechało w siną dal.

– Obiektywnie rzecz biorąc, operacja ratunkowa została przeprowadzona bez zarzutu - stwierdziła Remi.

– Szkoda tylko, że nie było kogo ratować.

– Przede wszystkim nie powinniśmy byli dopuścić, aby Nigel wpadł w ich łapy. Na zamku były tłumy ludzi, nie przyszło mi do głowy, że mogą go tak po prostu porwać w biały dzień.

– Co się stało, to się nie odstanie.

– Chodziło o przekład - powiedziała Remi. - Rozmawiali o tym po przyjeździe Fiska. W tekście brakowało liter.

– Pamiętasz dokładnie, o czym mówili?

Pokiwała głową na potwierdzenie i utkwiała wzrok w przedniej szybie.

– Przynajmniej wiemy, dokąd pojechali. A raczej dokąd pojedą, kiedy połapią się, o co w tym chodzi.

– Dokąd? - spytał Sam.

– Do Nottingham.

Popatrzył na nią zdziwiony.

– Skąd taki wniosek?

– Ze słów, które przetłumaczył dla nich Nigel. „Wilcze legowisko” i „wilczy łeb”, a dokładniej „łeb wilka wyjętego spod prawa”.

– Dlaczego na tej podstawie twierdzisz, że chodziło o Nottingham?

– Dlatego, że „wilczym łbem” nazywano czasem Robin Hooda. Wydaje się więc logiczne, że określenie „wilcze legowisko” odnosi się do miejsca, w którym mieszkał.

– W takim razie jedziemy do Nottingham.

Rozdział 48

Lazlo nie miał żadnych wątpliwości.

– Oczywiście, Remi ma absolutną rację - powiedział, kiedy rozmawiali z nim nazajutrz rano przez Skype'a. Akurat z ciemnoszarego nieba lunęło jak z cebra. Grube krople bębniły o szyby, więc Remi zwiększyła głośność w swoim tablecie, żeby lepiej słyszeć, co mówi do nich Lazlo. Po nagłym opuszczeniu zajazdu wczorajszej nocy pojechali prosto do Nottingham, pod przybranym nazwiskiem wynajęli apartament w hotelu i zdołali złapać kilka godzin snu przed czekającą ich wczesnym rankiem rozmową.

– Wilczy Łeb - ciągnął Lazlo - to przezwisko, pod którym znany był Robin Hood. Tak przynajmniej głoszą najstarsze legendy. A brakująca litera „f” pasuje, jak ulał. Gdybym odczytał ją prawidłowo, być może zaoszczędziłbym wam kłopotów.

– Zapewne tak właśnie by było - zgodził się Sam, po czym spróbował pokierować uwagę Lazła na ważniejsze sprawy. - Wróćmy do zaszyfrowanej mapy.

– Ma się rozumieć. Wilcze legowisko to Nottingham. Genialne. Że też sam na to nie wpadłem.

Selma chrząknęła, kładąc dłoń na ramieniu Lazła.

– Odkryłam powiązanie między Edmundem Herbertem a Nottingham. Konkretnie chodzi o wydarzenia, w których uczestniczył jego przyrodni brat, Roger Mortimer, i królowa Izabela po abdykacji swego męża na rzecz ich syna. Mortimer został aresztowany i osadzony na zamku w Nottingham, a królową Izabelę zesłano do Castle Rising.

Remi popatrzyła na mapę rozpostartą na stole, a Sam spytał:

– Co to ma wspólnego z Robin Hoodem i skarbem króla Jana?

– Dobrze pytanie - pochwalił go Lazlo. - Zwłaszcza wzięwszy pod uwagę, jak wiele powstało legend o Robin Hoodzie. Niektóre z nich umiejscawiają go w czasach króla Jana, zresztą zwykle jako jego antagonistę. Ale nasze odkrycia powoli zaczynają się zazębiać. Właśnie tam znajduje się klucz do naszej mapy.

– Gdzie? - spytali jednocześnie Remi i Sam.

– W Nottingham, a dokładniej gdzieś w obrębie tego miasta - odparł Lazlo. - Ma to jakiś związek z „czterema komnatami” i „śmiercią pod spodem”. Wciąż pracuję nad znaczeniem tych słów, przy założeniu, że przetłumaczyłem je prawidłowo. Oczywiście to jedynie hipoteza, bo część koła szyfrującego na zdjęciu jest niewyraźna.

Rozległ się sygnał leżącego na stole telefonu Sama. Popatrzył na ekran, zdziwił się niepomiarowo i włączył tryb głośnomówiący.

– Nigel, to ty?

– Mam mało czasu. On może wrócić w każdej chwili, do tego kończy mi się bateria.

– Gdzie jesteś?

– Gdzieś w okolicach Nottingham. Uwolniłem jedną rękę i wyciągnąłem swój telefon z kieszeni faceta, który mnie pilnuje. Mówili coś o czterech komnatach. Przekonałem ich, że chodzi o cztery jaskinie. Chcą się do nich dostać, pod warunkiem że je znajdą.

– Cztery jaskinie? - upewnił się Sam.

– Tak słyszałem - szepnął Nigel. - Skontaktujcie się z profesorem Aldridge'em.

Rozmowa została przerwana.

Sam wpatrywał się przez chwilę w telefon, a potem przeniósł wzrok na Selmę, widoczną na ekranie tabletu Remi.

– Słyszałaś?

– Każde słowo - potwierdziła Selma. Usłyszeli odgłos szybkiego

pisania na klawiaturze komputera. - Znalazłam, profesor Aldridge jest wykładowcą Uniwersytetu Nottingham.

Sam spojrzał pytająco na Lazła.

- Czy te cztery komnaty to to samo, co cztery jaskinie, o których mówił Nigel?

- Niewykluczone. „Wilcze legowisko” może oznaczać jaskinię, choć za schronienie Robin Hooda uznaje się las Sherwood.

- Mam numer telefonu do Aldridge'a - dodała Selma. - Spróbuję się z nim skontaktować.

- Doskonale - rzuciła Remi. - Zadzwońmy do niego.

* * *

Profesor Cedric Aldridge, siwowłosa mężczyzna pod siedemdziesiątkę, przyjął ich w swoim gabinecie na Wydziale Historii.

Gdy tylko usiedli, Sam od razu przeszedł do rzeczy.

- Może zabrzmie to dziwnie, ale czy poza nami kontaktował się z panem ktoś w sprawie króla Jana i jego skarbu?

- Zabawne, że o to pytacie - odrzekł profesor. - Pytała mnie o to tylko jedna osoba, w dodatku wiele lat temu. Chodzi o mojego byłego studenta z Kings Lynn. Nazywał się Nigel Ridgewell. Chciał się dowiedzieć, czy istnieje możliwość, że historia o zaginięciu skarbu króla Jana na mokradłach to dezinformacja, mająca na celu ochronę tego skarbu przed wpadnięciem w ręce wroga, czy jakoś tak. Nie pamiętam, do czego mu to było potrzebne. Zdaje się, że do książki. Więcej się do mnie nie odezwał.

Aldridge najwyraźniej nie był świadom skandalu, związanego z kradzieżą dokumentacji Madge Crowley przez Nigela. To się akurat dobrze składa, pomyślała Remi.

- Co mu pan odpowiedział?

- Wiem, że jestem odosobniony w swych poglądach, ale

przecież mam do tego prawo - powiedział profesor. - Uważam, że nasza wiedza historyczna jest niepełna. Zszywamy ją z kawałków, pochodzących z opracowań różnych historyków. Zdarza się, że jakieś wydarzenie jest solidnie udokumentowane. Wówczas nie da się mu zaprzeczyć. Wiemy na pewno, że król zmarł. Trudno powiedzieć, czy była to dyzenteria, czy coś innego. Istnieją dowody na to, że z powodu choroby odłączył się od reszty swego orszaku. Natomiast nie bardzo wiadomo, co się stało potem z samym orszakiem. Od tego momentu dalsze jego losy to czysta spekulacja, oparta na ustnych przekazach. Teoretycznie ktoś mógł ukraść skarb, a w celu odsunięcia od siebie podejrzeń sfabrykował plotkę o jego zatonięciu na bagnach. Można sobie wymyślić dowolną historię, byle tylko wyeliminować świadków.

- Założmy, że ogólnie przyjęta wersja to zasłona dymna, a skarb nie przepadł na bagnach... - Sam celowo nie dokończył zdania, chcąc poznać reakcję Aldridge'a.

- Czyli że było tak, jak twierdził Nigel?

- Właśnie.

- To byłoby odkrycie stulecia w dziedzinie historii. - Profesor wzruszył lekko ramionami. - To znaczy, pod warunkiem że skarb zostałby zlokalizowany. Prawdziwe marzenie archeologów.

Remi uśmiechnęła się do niego.

- A pańskie nie?

- Moje? - zdziwił się, odwzajemniając uśmiech. - Nigdy nie traktowałem tego w ten sposób. Moją nieustającą fascynacją jest praca ze studentami. Uwielbiam obserwować ich reakcje, słuchać ich teorii. Ale nie przyjechaliście tu, żeby rozmawiać o mnie. O ile dobrze zrozumiałem, szukacie informacji o Wilczym Łbie, znanym powszechnie jako Robin Hood. Zgodnie z poglądami części historyków żył w latach panowania króla Jana. Są tacy, którzy uważają, że dzieliły ich całe stulecia, i to w obie

strony. Kiedy mój kolega, profesor Percival Wendorf, odszedł na emeryturę, dodałem legendę o Robin Hoodzie do programu moich seminariów. Cieszę się sporym powodzeniem. Studenci łatwiej przyswajają wiedzę o średniowieczu, mając w tle tropienie losów Robin Hooda.

Remi zawsze podziwiała wykładowców, potrafiących wzbudzić zainteresowanie swoich studentów.

– Chętnie zapisałabym się na takie seminarium. Czy był on rzeczywiście bohaterem bez skazy, tak jak się to przedstawia w filmach?

– Dobrze pytanie. Całe to rabowanie bogatych i oddawanie biednym można włożyć między bajki. Zdaniem Percy'ego był bardziej piratem niż herosem. Stąd zresztą przydomek Wilczy Łeb.

– Doprawdy? Czuję się zawiedziona - powiedziała Remi.

– Nie dziwię się. Najprawdopodobniej ludzie tacy jak on byli zwykłymi przydrożnymi zbrojami.

– Czyli pirat, tyle że lądowy - zawyrokował Sam. - Czy on lub ktoś jemu podobny mógł zorganizować kradzież skarbu króla Jana?

– Muszę przyznać, że to ciekawa hipoteza, ale coś takiego trudno byłoby utrzymać w tajemnicy. Poza tym legendy, które przetrwały przez wieki w postaci ballad czy opowieści przy kominku, zwykle zawierają w sobie ziarno prawdy. Także ta o Robin Hoodzie. Tymczasem panuje ogólna zgoda co do tego, że skarb króla Jana zatonął na mokradłach wraz z ludźmi, którym powierzono opiekę nad nim. Natomiast to, co się z nim działo później, pozostaje w sferze domysłów. Dlaczego nie został odnaleziony? Praktycznie wspomina się o jego istnieniu tylko raz, kilkaset lat później. Wtedy to zaczęła szerzyć się pogłoska, że skarb znalazł Robert Tiptoft, trzeci baron Tibetot.

– Tibetot? - powtórzyła Remi. - Co to za pogłoska?

– Podobno ten baron, nagle i w niewyjaśniony sposób, dorobił

się ogromnej fortuny. Niewykluczone więc, że gdzieś w obrębie swoich włości natknął się na królewski skarb. Większość historyków kwestionuje prawdziwość tej opowieści.

– Wróćmy do Robin Hooda - wtrącił się Sam. - Czy to możliwe, że niektóre związane z nim legendy nie funkcjonują w głównym obiegu? Dajmy na to, gdyby to on ukradł skarb, czy istnieje jakieś miejsce, w którym mógłby go ukryć? Może są jacyś znawcy przedmiotu, którzy potrafiliby podać przypuszczalną lokalizację? Mam na myśli miejsce określane jako cztery jaskinie.

– Na poczekaniu mogę wymienić dwóch ekspertów od tych spraw, mieszkających w tej okolicy. Przede wszystkim wspomniany już przeze mnie profesor Percy Wendorf. Jakiś czas temu poleciłbym go bez wahania, ale teraz...

– Dlaczego nie? - spytała Remi, zdziwiona, że nie chce powiedzieć im tego wprost.

– No cóż... - Profesor wzruszył lekko ramionami i popatrzył jej prosto w oczy. - Mój przyjaciel jest, a raczej był, chodzącą encyklopedią w zakresie wieków średnich, ze szczególnym uwzględnieniem hrabstwa Nottingham. Wiedział wszystko o Robin Hoodzie, zamkach, królu Janie, o czymkolwiek, co przyszłoby wam do głowy. Niestety, ostatnio Percy zrobił się... trochę zapominalski. Dlatego przeszedł na emeryturę.

Zanim Remi zdołała się do tego odnieść, Sam spytał:

– A ten drugi ekspert?

– Malcolm Swift. Zna się na rzeczy, bez dwóch zdań. Co prawda ma pewne braki w kwestiach mniej oczywistych, z którymi Percy był za pan brat, mimo to mógłbym polecić go z czystym sumieniem. Ponieważ jednak jestem nieco stronniczy na korzyść Percy ego, zaprosiłem go tu, abyście mogli sami z nim porozmawiać. Właściwie to powinienem kogoś po niego posłać. Jak mówiłem, Percy ma trochę dziurawą pamięć.

Zerknął na zegarek, a potem sięgnął po telefon.

- Zadzwońię do jego żony. Najpierw miał się z nią spotkać, a potem przyjść tutaj. - Po chwili uzyskał połączenie. - Agatha? Mówi Cedric. Czy Percy jest gdzieś w pobliżu? Rozumiem... Jakiś kłopot? - spytał, poruszając brwiami w trakcie słuchania. - Nie. Oczywiście, że możemy do niego zajrzeć... Tak, zadzwonię, kiedy będziemy na miejscu.

Rozłączył się, ale wyglądał na zmartwionego.

- Nagrał żonie wiadomość, że musi zmienić plany. Twierdzi, że pojawił się pewien problem.

- Jakiego rodzaju? - spytał Sam.

- Tego akurat nie powiedział. Od tamtej pory żona nie może się z nim skontaktować. Nie odbiera telefonu i nie reaguje na esemesy.

- Mamy samochód - oznajmił Sam. - Chętnie pana podwieziemy.

- Doskonale. Dziękuję.

Percy Wendorf mieszkał niecałe dziesięć minut jazdy od uniwersytetu. Profesor Aldridge, siedząc z tyłu, pochylił się do przodu między fotelami i wskazywał drogę.

- Już dojeżdżamy. To zaraz za następnym zakrętem.

Ale na skrzyżowaniu stał policjant w mundurze.

- Przykro mi, nie ma przejazdu - poinformował Sama przez opuszczoną szybę. Niestety, dalej droga zakręcała i nie widzieli nic poza obłokiem czarnego dymu, wznoszącym się nad dachami domów ku ciemnym chmurom nabrzmiąym deszczem.

- Co się stało?

- Dom się pali.

- Próbujemy dostać się do przyjaciela, który tam mieszka. Nie wie pan, jak długo to potrwa?

- Nie mam pojęcia. Przejazd zostanie otwarty po opanowaniu pożaru.

Nie dowiedziawszy się nic ponad to, Sam popatrzył na

profesora.

– Przykro mi, ale dalej nie pojedziemy - stwierdził.

– Może da się podejść bliżej ścieżką przez park. Nie sędzę, aby ją zamknęli. A jeśli nawet, to przynajmniej zobaczymy stamtąd, co się dzieje.

Aldridge pokierował ich ku następnej ulicy prowadzącej pod górę. Stamtąd ruszyli pieszo chodnikiem między dwoma domami, prowadzącym na niewielki plac zabaw, za którym, po drugiej stronie ulicy, stał dom Percy'ego. Niestety, paliło się właśnie u niego. Dołączyli do kilkorga mieszkańców, którzy zgromadzili się w parku i obserwowali akcję strażaków. Piętrowy budynek z cegły wyglądał z zewnątrz na nieuszkodzony, a dym wyraźnie przerzedził się w porównaniu z tym, co widzieli przed chwilą. Remi miała nadzieję, że pożar został ugaszony.

Z boku stał wysoki, łysy mężczyzna w drucianych okularach i przyglądał się strażakom. Aldridge wyciągnął rękę w jego kierunku.

– To właśnie jest Percy.

Rozdział 49

Sam rozejrzał się, by sprawdzić, czy gdzieś w pobliżu nie ma Fiska i jego ludzi. Dopiero kiedy upewnił się, że nie ma zagrożenia, podszli do Percy'ego. Biedak stał jak skamieniały, a strażacy kręcili się po jego ogródku. Zwijali już ciężkie węże i zanosili je do wozów.

– Moje fiołki...

Profesor Aldridge położył mu dłoń na ramieniu.

– Kwiatki odrosną. Najważniejsze, że dom stoi, jak stał.

– Może i tak... - Odwrócił się ku nim i spojrzał niepewnie na Remi i Sama.

Aldridge przedstawił ich, a Sam uścisnął mu dłoń, mówiąc:

– Szkoda, że nie spotykamy się w przyjemniejszych okolicznościach.

– To prawda - przytaknął Percy z ciężkim westchnieniem. - Właśnie mi powiedzieli, że pożar ograniczył się do kuchni i salonu.

Sam popatrzył na strażaków.

– Czy mówili coś na temat jego przyczyny?

– Był wybuch, a potem pojawiły się płomienie. Dobrze, że nie stałem bliżej.

Po kilku minutach podszedł do nich jeden ze strażaków.

– Pan Wendorf?

– Tak.

– Niedługo kończymy. Zostawiamy spory bałagan, wszędzie pełno wody. Czy jest pan ubezpieczony?

– Oczywiście.

– Proszę zadzwonić do towarzystwa, w którym wykupił pan

polisę. Powinni polecić panu jakąś firmę sprzątającą.

– Dobrze - odpowiedział Percy, wpatrzony w dom, ewidentnie wciąż pogrążony w głębokim szoku.

Sam zorientował się, że w aktualnej kondycji psychicznej Percy nie jest w stanie zadać żadnego istotnego pytania, więc zwrócił się do strażaka:

– Przepraszam, że przeszkadzam. Czy znana jest już przyczyna wybuchu pożaru?

– Z tego, co powiedział pan Wendorf tuż po naszym przyjeździe, wynika, że doszło do eksplozji w kominku. Powodem było nadmierne nagromadzenie krezotolu.

– Jest pan tego pewien?

Mężczyzna zdjął kask i ściągnął kaptur, po czym przeczesał palcami włosy mokre od potu.

– Na sto procent.

To akurat była dobra wiadomość, pominąwszy szkody wyrządzone przez ogień. Mimo to Sam, aż do czasu naocznego sprawdzenia dowodów, nie był skłonny wykluczyć, że to sprawka Avery’ego lub jego ludzi.

Kiedy strażacy zezwolili Percy’emu i innym mieszkańcom na powrót do domu, poszkodowany naukowiec stanął bez słowa na środku salonu i przyglądał się zniszczeniom. W powietrzu wisiał ciężki swąd spalenizny, dlatego Aldridge wziął się do otwierania okien. Sam, taplając się w szarej brei pokrywającej podłogę, podszedł do prawdopodobnego ogniska pożaru. Na ścianie wokół kominka widać było czarne smugi kopcia, a drewniane klepki podłogi w bezpośrednim sąsiedztwie zostały zwęglone. Z tureckiego dywanu została tylko ciemna, grząska masa pod spalonym tapicerowanym fotelem, stojącym naprzeciwko paleniska.

Strażak miał rację, pomyślał Sam. Pożar zaczął się od kominka i postępował w głąb pokoju. Nie sądził, że ludzie Avery’ego zadawaliby sobie tak wiele trudu, aby upodobnić podpalenie do

przypadkowego zapłonu kominka.

Remi stanęła w zwieńczonym łukiem przejściu do jadalni.

– Sam, na stole leży lista rzeczy do zrobienia - powiedziała półgłosem. - Punkt pierwszy dotyczy wezwania ekipy kominiarskiej.

– To przesądza sprawę. Był to więc wypadek, a nie podpalenie.

– Możemy odetchnąć z ulgą.

– Niezupełnie, dopóki Nigel pozostaje w ich rękach.

Remi zerknęła na Percy'ego, który nie dał się wyprowadzić Aldridge'owi z salonu i wciąż stał nad pogorzeliem.

– Jeśli zdecydujemy się skorzystać z jego pomocy, nie możemy go tu zostawić.

– To prawda - przytaknął Sam. - Zakwaterujemy go wraz z żoną w naszym hotelu, dopóki ktoś tu nie posprząta.

Poinformowali Aldridge'a o swoim pomysle, ale ten natychmiast zaproponował.

– To bardzo szlachetne z państwa strony, ale nie sądzę, aby to było najlepsze rozwiązanie.

Zanim zdołał wyjaśnić, dlaczego tak uważa, do domu weszła sześćdziesięcioletnia kobieta. Tuż za progiem stanęła jak wryta i zaczęła rozglądać się dokoła.

– O, nie... - wyrwało jej się z ust na widok szkód wyrządzonych przez ogień. - Percy, mam nadzieję, że nie rozpałeś w kominku?

– Oczywiście, że rozpałem. Dlaczego miałbym tego nie robić?

– Napisałam ci na kartce, żebyś wezwał kominiarzy. Mówiłam przecież... - zaczęła, ale tylko westchnęła głęboko i popatrzyła na Remi, Sama i Aldridge'a. - Nieważne. Widzę, że mamy gości. Chodźmy do kuchni, tam jest trochę mniejszy bałagan.

– Masz rację, to dobry pomysł - zgodził się Percy.

Wzięła Percy'ego pod rękę. Sam był pewien, że lśnienie, które zauważył w jej oczach, to były z trudem powstrzymywane łzy. Ze spojrzenia, jakie Agatha wymieniła z Aldridge'em,

wywnioskował, że dzisiejszy pożar nie był dla nich kompletnym zaskoczeniem. Aldridge rozejrzał się po zalanej podłodze.

– Poszukam mopa i spróbuję przynajmniej częściowo usunąć tę wodę. Ale najpierw przedstawię was żonie Percy’ego.

Ruszyli za nim do kuchni. Percy siedział przy stole. Kiedy weszli, Agatha uśmiechnęła się przepraszająco.

– Paskudnie się zachowałam, zostawiając was samych. Zwykle jestem bardziej taktowna.

– Nie przejmuj się takimi drobiazgami - powiedział Aldridge i zwrócił się do Remi i Sama. - Poznajcie żonę Percy’ego, Agathę. Agatho, to są państwo Fargowie, Remi i Sam. Potrzebne im są informacje na temat pewnych archeologicznych artefaktów, dlatego umówiłem się z Percym na spotkanie, na które niestety nie dotarł.

– Trudno się dziwić - odpowiedziała, popatrując na męża. - Zwykle radzi sobie całkiem dobrze z listą czynności do wykonania. Chyba powinnam sama wezwać kominiarzy, a jemu napisać, żeby nie palił w kominku.

– Po prostu zapomniałem - tłumaczył się Percy.

– Wiem - odrzekła Agatha ze smutnym uśmiechem.

– Może czas już zatrudnić kogoś na stałe do pomocy? - spytał cicho Aldridge.

Oczy Agathy wyraźnie zwilgotniały. Odwróciła się i zajęła naczyniami w zlewozmywaku. Po chwili usiadła przy stole i znów na jej twarzy zagościł smutny uśmiech.

– Jakbyśmy siedzieli przy ognisku, sądząc po zapachu.

Percy popatrzył na żonę.

– Zapomniałem zadzwonić po kominiarzy.

– Rozumiem. - Poklepała go po dłoni. - Powiedz mi, Percy, o jakich artefaktach rozmawialiście?

– Artefakty? - zdziwił się Percy, patrząc podejrzliwie na Remi i Sama. - Aldridge, co to za ludzie?

– To ci państwo, o których mówiłem ci przedtem.

- A rzeczywiście... Mieliśmy się spotkać. Całkiem wyleciało mi to z głowy. Wszystko przez ten pożar.
- Oczywiście - zgodził się Aldridge. - Ale teraz oni są tutaj.
- No tak. - Percy zwrócił się do Remi i Sama. - Domyślam się, że chcielibyście obejrzeć to na własne oczy.
- Sam poczuł, że Remi kopie go w kostkę pod stołem.
- Być może jednak zmienimy plany.
- Remi uśmiechnęła się współczująco.
- Chyba ma pan teraz dość innych spraw na głowie.
- Tak naprawdę to byłoby dobrze, gdyby z wami poszedł i nie plątał mi się pod nogami - odezwała się Agatha. - Będę musiała zadzwonić w parę miejsc, a wy w tym czasie możecie robić, co się wam podoba.
- Doskonale - ucieszył się Aldridge. - Tak się umawiamy.
- Kiedy szli przez park do samochodu, Sam szepnął do Remi:
- Zaraz was dogonimy.
- Potem zwolnił, dając znak Aldridge'owi, że chce z nim porozmawiać na osobności.
- Mając na względzie problemy Percy ego z pamięcią, powinniśmy chyba zwrócić się do tego drugiego eksperta.
- W normalnych okolicznościach zgodziłbym się z panem - odparł Aldridge. - To, czego byliście świadkami, wykracza poza jego zwykłe roztargnienie. Zauważyłem, że pogarsza się mu, kiedy ktoś lub coś wytrąci go z równowagi. Na przykład pożar.
- No tak, ale jeśli ten drugi ekspert zechce nam pomóc...
- Dajmy szansę Percy'emu. On żyje tymi sprawami. Agatha też się ze mną zgadza, bo pierwsze, co zrobiłem, to skonsultowałem się z nią. Zresztą to ona nalegała, żeby go tym zająć. Percy czuje się najlepiej, będąc w swoim żywiole, którym bez wątplenia są tunele pod Nottingham.
- Czy to możliwe, żeby tylko pokazał nam wejście do właściwej jaskini?
- Chyba tak. Z tym, że on uwielbia chodzenie po tych

podziemiach. Wszystko będzie dobrze, zapewniam pana. O ile wiem, Percy sporządził coś w rodzaju mapy, na której zaznaczył większość z nich. Przypuszczam, że może się to wam przydać.

– Na pewno bardzo się przyda. - Sam obserwował Percy ego, który właśnie pokazywał Remi jakiegoś ptaka, siedzącego na żywopłocie. Oboje wybuchnęli śmiechem, kiedy odleciał. Mam nadzieję, że nie popełniam błędu, pomyślał Sam, po czym dodał:

– Chodźmy więc poszukać tej mapy.

Rozdział 50

Sam spodziewał się, że Percy i Aldridge będą chcieli wrócić do domu Percy'ego, tymczasem oni kazali mu jechać do dzielnicy handlowej. Percy pokazał mu, gdzie zaparkować.

– Do wejścia mamy stąd jakieś pięć minut piechotą - powiedział. Ruszyli brukowaną ulicą, obok wystaw sklepowych. Percy zatrzymał się przed zakładem krawieckim. - Mapa jest tutaj.

– To chyba jakiś żart - parsknęła Remi, patrząc na szyld nad wejściem.

– Najmniej prawdopodobne miejsce, prawda? - Uśmiechnął się Percy i przepuścił ją w drzwiach.

– Rzeczywiście, spodziewałam się chyba czegoś zupełnie innego - stwierdziła Remi, rozglądając się po zakładzie.

– Całe miasto stoi nad labiryntem podziemnych tuneli i jaskiń. Sporo miejsc do przeszukania.

Okazało się, że właściciel zakładu był krewnym Percy'ego, przyzwyczajonym do jego niespodziewanych wizyt. Zaprowadził ich na zaplecze i otworzył drzwi, za którymi znajdowały się kamienne schody, prowadzące w mroczną czeluść. Percy przystanął na chwilę i popatrzył w dół.

– Nie zapomnijcie wziąć latarek - napominał.

Aldridge otworzył stojącą nieopodal szafkę i wyciągnął z niej kilka latarek. Każdemu wręczył po jednej.

Ruszyli w dół. Czuli wyraźnie, jak temperatura spada z każdym kolejnym stopniem.

– To moja ulubiona jaskinia - zauważył Percy. - Pierwsza, jaką odwiedziłem w życiu. To tutaj powziąłem postanowienie, by

zbadać je wszystkie.

Sam schodził ostatni. Zaczynał się poważnie zastanawiać, gdzie właściwie Percy mógł ukryć mapę.

– Ile jest tych jaskiń? - zapytał.

– Ponad siedemdziesiąt pięć zbadanych, a ich liczba wciąż rośnie. Większość uległa zniszczeniu podczas rozbudowywania miasta. Niektóre zapadły się same w ciągu ostatnich ośmiuset lat. Niestety, większość ludzi w ogóle nie zdaje sobie sprawy z ich istnienia, z wyjątkiem tych, które przekształcono w atrakcje turystyczne.

– A ta konkretna jaskinia? - Sam oświetlał gładkie ściany z wykutymi półkami na składowanie towarów. - Do czego służyła?

– Poprzedni właściciele zakładu trzymali tu wino - odparł Percy. Prowadził ich tunelem do obszernej sali. - Ręcznie wydrążona w piaskowcu. Dawniej mieszkali tu ludzie. Tutaj i w wielu innych jaskiniach na terenie miasta. Wejścia znajdowały się nad poziomem gruntu, by zapobiec zalaniu na wypadek powodzi. Fascynujące.

– Z pewnością, ale dręczy mnie jedna kwestia - zastanawiał się Sam, widząc, że sala, do której weszli, była ślepyim zaułkiem. - Co to ma wspólnego z Robin Hoodem i pańską mapą?

– Robin Hoodem? - Zdezorientowany Percy poszukał wzrokiem Aldridge'a. - Myślałem, że oni chcieli zobaczyć moją ulubioną jaskinię. Czy mówiłem wam już, że to pierwsza jaskinia, jaką odwiedziłem w życiu?

– Owszem - potwierdził Aldridge.

Sam popatrzył na Remi, która z niewyraźnym uśmiechem przesuwiała dłońmi po ścianach jaskini. Trzeba było uprzeć się na drugiego eksperta, zwłaszcza po tym, co zastali w domu Percy'ego, pomyślał.

– Bardzo nam miło, że zechciał nas pan tu przyprowadzić - odezwał się taktownie - ale zależy nam na jaskiniach, które mogą mieć związek z Robin Hoodem, królem Janem, Williamem

Marshalem i czterema komnatami.

– Macie na myśli cztery groty? - zainteresował się Percy.

– Tak, chyba tak - przyznał Sam. Reakcja Percy ego świadczyła o tym, że byli na dobrym tropie. - Wie pan, gdzie się znajdują?

– Byłem tam bardzo dawno temu, ale sądzę, że umiałbym je odszukać. Nie polecam jednak ich zwiedzać. Są bardzo niebezpieczne. Jest w nich wiele zdradliwych miejsc, błędnych korytarzy. Znam wiele dużo piękniejszych jaskiń.

– Ale nam zależy na obejrzeniu tych szczególnie niedostępnych - skłamała gładko Remi. - Może zechciałby nam pan wskazać, gdzie je znajdziemy?

– Robi się już późno, nie sądzicie? Nie jadłem jeszcze obiadu. - Percy odwrócił się i ruszył w stronę tunelu prowadzącego do schodów. - Mam wrażenie, jakbym o czymś zapomniał, ale zabij mnie, nie pamiętam, co to było. Czemu oni chcą oglądać cztery groty? - zapytał Aldridge'a.

– Szukają artefaktów z przeszłości.

– Jasne, już sobie przypomniałem. Ale nie znajdą tam nic szczególnego. Tylko ciąg korytarzy, w których łatwo się zgubić. I kilka celtyckich wzorów na ścianach. Nic więcej. Żadnych artefaktów tam nie ma.

Gdy wchodzili po schodach z powrotem do zakładu, Sam zwrócił się dyskretnie do Aldridge'a:

– Jest pan pewien, że to był dobry pomysł?

– Weźcie pod uwagę, że Percy jest dziś szczególnie rozkojarzony. Ten pożar porządnie nim wstrząsnął. Jeśli jednak wolicie zwrócić się do drugiego eksperta, mogę do niego zaraz zadzwonić.

– Tak chyba będzie lepiej - odparł Sam. Nie chciał polegać na dziurawej pamięci emerytowanego profesora, gdy na szali ważył się los Nigela. Odciągnął na bok Remi i przekazał jej, co postanowił.

– Muszę przyznać ci rację - zgodziła się. - Chociaż...

– Chociaż co? - zapytał Sam.

– Przypomniał sobie od razu o czterech grotach i celtyckich wzorach. To by się zgadzało z tym, co mówił Lazlo o czterech komnatach i celtyckim symbolu na kole szyfrującym. Najwyraźniej stary profesor rzeczywiście zna się na rzeczy.

– Tak, o ile akurat zechce sobie o tym przypomnieć.

– Wydaje mi się, że on ma problem przede wszystkim z pamięcią krótkotrwałą. A jaskinie zwiedza, odkąd był małym chłopcem...

– Nie mogę się z tobą zgodzić. Przyszliśmy tu po mapę jaskiń, a dostaliśmy wycieczkę po nieużywanym składzie wina. A jeśli za chwilę przydarzy mu się jakiś nowy kryzys i znowu zaprowadzi nas do kolejnego ulubionego miejsca z dzieciństwa? To przez nas Nigel znalazł się w tarapatach i musimy zrobić wszystko, co w naszej mocy, by jak najszybciej go odbić. A Percy nie jest nawet na tyle świadomy, by zdawać sobie sprawę z niebezpieczeństwa, co tylko dodatkowo potwierdza moje obawy.

– Nie pomyślałam o tym w ten sposób. Miejmy nadzieję, że profesor Aldridge jak najszybciej umówi nas z tym drugim człowiekiem.

Aldridge rzeczywiście wyszedł od razu na zewnątrz, by skorzystać z telefonu, i wrócił po kilku minutach.

– Przykro mi, ale telefon odebrała żona Swifta. Profesora nie będzie do wieczora, ma jakieś spotkanie. Obiecała oddzwonić, gdy tylko się zjawi. Ale jestem pewien, że Percy będzie w stanie wam pomóc. Na pewno bardzo mu na tym zależy. Szczególnie jeśli istnieje możliwość, że przyczyni się w ten sposób do ważnego odkrycia.

Gdyby chodziło tylko o szukanie skarbów, Sam nie miałby nic przeciwko temu. Popatrzył na zegarek. Było kilka minut po dwunastej. Najwyraźniej nie mieli innego wyboru. Nigel potrzebował pomocy, a Percy stanowił ich jedyną szansę. Jeśli nie jest w stanie odnaleźć swojej mapy, to może przynajmniej

zdoła przypomnieć sobie położenie czterech grot i zaprowadzić ich we właściwe miejsce. Sam wyjaśnił powagę sytuacji Aldridge'owi, zaznaczając również, dlaczego nie chcieli powiadamiać policji.

- To zmienia postać rzeczy - zdenerwował się profesor. - Postaram się uspokoić go na tyle, by przypomniał sobie, gdzie trzyma tę mapę. Zgaduję, że musi to być gdzieś w tym zakładzie, skoro postanowił nas tu przyprowadzić. Schodzenie do jaskiń bardzo go rozprasza.

- Będę panu niezmiernie zobowiązany - podziękował Sam.

Wyszli z żoną na zewnątrz, by pozwolić profesorowi porozmawiać w spokoju ze starszym kolegą. Zaglądali co rusz przez okno, zastanawiając się, co zrobią, jeśli Percy nie znajdzie mapy.

- Może będzie umiał podać nam chociaż przybliżoną lokalizację czterech grot - zasugerowała Remi. - Pojedzie z Aldridge'em, a my ruszymy za nimi. Nie musiałby nawet wysiadać z samochodu, wystarczy, że pokaże nam, gdzie szukać, a potem może wracać do domu.

- To może być jedyne wyjście - przyznał Sam. Tymczasem Aldridge zawołał ich z powrotem do środka.

- Mam dobre wieści - powiedział. - Ucieliśmy sobie krótką pogawędkę z Percym na temat interesujących was grot.

Percy trzymał w ręku tekturową tubę.

- Mój przyjaciel mówi, że ciekawią was jaskinie Nottingham. To moje ulubione. Zwiedzałem jej jeszcze jako mały chłopiec.

- Pokaż im mapę, Percy. - Aldridge poklepał emeryta po ramieniu.

- Oczywiście. - Profesor podszedł do stołu i otworzył wieko tuby, po czym wysunął z niej drukowaną mapę miasta i rozwinął ją na blacie. Na całej jej powierzchni naniesione były linie, wykreślone czerwonym ołówkiem, a na marginesach znajdowały się notatki. - Notowałem swoje odkrycia, odkąd tylko

sięgam pamięcią. Ta jest moja ulubiona - dodał, wskazując na mapie miejsce, w którym właśnie stali.

Sam przyjrzał się mapie. Jego uwagę zwrócił symbol koniczyny wyrysowany w pobliżu zamku Nottingham i widniejący nad nim napis „Cztery Groty”.

– Czy może nam pan opowiedzieć o tym miejscu? - spytał.

Rozdział 51

– To cztery grotty - powiedział Percy. - Niebezpieczne miejsce. Sporo zdradliwych korytarzy. Niektóre komnaty kończą się pionowymi urwiskami. Łatwo o tragedię. Te natomiast - wskazał ponownie warsztat krawiecki - są o wiele bardziej przyjazne dla badaczy. To pierwsza jaskinia, jaką odwiedziłem w życiu. Kiedyś składowano w niej wino.

Remi położyła mu dłoń na ramieniu.

– Zdecydowanie moja ulubiona. Ale wracając do tych... - Wskazała na koniczynę wyrysowaną pod czterema grotami. - Gdzie znajdziemy wejście?

– Za bluszczem. Wiele jaskiń stało się niedostępnych, gdy pobudowali nowe domy. W parku są resztki starożytnego kamiennego muru. Obrasta go bluszcz. Widzicie ten krzyżyk?

Sam nachylił się bliżej i zauważył, że istotnie wejście było zaznaczone na mapie.

– Czy zgodzi się pan, żebym to sfotografowała?

– Ależ proszę. - Percy skinął głową.

Sam wyciągnął telefon i utrwalił stosowny fragment mapy, a tymczasem Remi kontynuowała rozmowę.

– Kiedy był pan tam ostatni raz?

– Wiele lat temu. Kiedyś pokazywałem je swoim studentom. Nic się nie zmieniły. Ty też tam ze mną byłeś, pamiętasz? - zwrócił się do Aldridge'a.

– Bardzo słabo. Przeciągnąłeś nas przez całą masę przeróżnych jaskiń.

– Lubię tę jaskinię, bo prawie nikt nie zdaje sobie sprawy z tego, że wciąż tam jest. Ukryta za bluszczem. Wiele z nich jest

tak schowanych. Ludzie o nich zapomnieli. Nie wiedzą nawet, co się kryje tuż pod ich ogródkami.

* * *

Remi i Sam pojechali do Nottingham Park, dzielnicy będącej dawniej parkiem łowieckim zamku Nottingham. Miejsce, które wskazał im Percy, stanowiło pas zieleni, przebiegający pomiędzy okazałymi domami. Niestety, nie potrafił im podać dokładnego adresu i teraz z rozczarowaniem przekonali się, że opis profesora pasuje do kilku miejsc w okolicy.

Dopiero niespodziewany telefon od Selmy sprezentował im brakujący element układanki.

Sam zatrzymał samochód.

– Możesz powtórzyć? - poprosił, uruchamiając tryb głośnomówiący. - Wolę mieć pewność, że czegoś nie pomylę.

– Kuzyn pani Grace Herbert-Miller, ten, który odziedziczył posiadłość w Nottingham.

– Zdaje się, że nazywał się McGregor, zgadza się? - zaryzykował Sam.

– Henry McGregor. Sprawdziłam go. Ta posiadłość znajduje się tuż obok was. - Podała adres. - Została wystawiona na sprzedaż i aktualnie nikt tam nie mieszka. Na wszelki wypadek zadzwoniłam do właściciela. Macie pełne zezwolenie na wstęp i poruszanie się po tym terenie.

Remi wpisała adres w nawigację na telefonie, a otrzymany obraz porównała ze zdjęciem mapy Percy'ego. Posiadłość znajdowała się na środku wyrysowanej przez profesora koniczyny.

– Miejsce jest oznaczone krzyżykiem - powiedziała.

Sam otworzył plecak i zaczął wyciągać z niego sprzęt niezbędny przy zejściu do jaskini, pod warunkiem że uda im się odnaleźć wejście. Każde z nich wyposażyło się w latarkę,

dziesięciocentymetrowy nóż i kompas. Sam wsunął pistolet do kabury zamaskowanej pod kamizelką wędkarską, a nóż do pochwy na pasku. Remi opasała się uprzężą płaskiej kabury z pistoletem P938 kaliber 9 milimetrów i przesunęła ją na plecy.

Tak przygotowani, pojechali pod adres posiadłości McGregora. Poza szyldem oznajmującym, że nieruchomość jest na sprzedaż, na pierwszy rzut oka nie zauważyli niczego niezwykłego. Remi stwierdziła po chwili, że granica posiadłości mogła się zmienić przez lata.

– Kto wie, czy któryś z poprzednich właścicieli nie podzielił tej ziemi. Wejście może znajdować się na terenie należącym dziś do kogoś innego. Poza tym nie widzę tu nigdzie bluszczu. Percy kilkakrotnie podkreślał, że wejście jest zakryte bluszczem.

Sam zdjął nogę z gazu i zapatrzył się na posiadłość McGregora.

– Więc co teraz? - zapytała Remi.

– Objedźmy teren dookoła i przekonamy się, czy gdzieś tu rośnie bluszcz.

Spojrzał w tylne lusterko i zauważył skręcający w ich ulicę samochód.

– Tam! - Remi wyciągnęła rękę, wskazując miejsce na prawo od posiadłości. - W tym parku jest sporo bluszczu.

Nie był to tak naprawdę park, tylko wąski pas zieleni przebiegający między dwoma domami, z wydeptaną ścieżką. W tym momencie myśli Sama zaprzętał przede wszystkim jadący za nimi samochód. Po chwili jednak pojazd skręcił na podjazd pod jednym z budynków, a w lusterku Sam zdołał zauważyć siedzącą za kierownicą kobietę i chłopca na miejscu obok niej.

Właśnie mijali pas zieleni, gdy zadzwonił Aldridge.

– Mamy problem - oznajmił, kiedy Remi przełączyła rozmowę na głośnik. - Skontaktowałem się przed chwilą z żoną Swifta. Wrócił właśnie ze spotkania z kimś bardzo zainteresowanym tutejszymi jaskiniami. Domyślam się, że chodzi o ludzi, którzy sprawili wam kłopot.

Sam nie miał wątpliwości, kto to mógł być, a tym samym było jasne, że Fisk i jego ludzie są już w drodze do jaskini.

– Dziękuję za informację.

Remi przesunęła się w fotelu, by przyjrzeć się okolicy, podczas gdy Sam jechał dalej.

– Nie widzę bluszczu nigdzie indziej. Może wejście znajduje się tutaj.

– Na pewno pasuje do opisu. Chciałbym tylko znaleźć jakieś dyskretne miejsce, żeby zostawić samochód.

– Myślisz, że tam jest?

– Chodzi ci o skarb? - upewnił się Sam. - Percy pewnie dawno by go znalazł podczas swoich wędrówek. A jeśli nie on, to ktoś inny, przez ostatnie osiemset lat.

– Myślałam raczej o jakiejś wskazówce - uśmiechnęła się. - Ale kto wie? Może tym razem dopisze nam szczęście?

Sam przejechał jeszcze kawałek i zawrócił. Zaczął padać deszcz.

– Czeka nas jeszcze wiele skarbów, nawet jeśli tego akurat nie odnajdziemy.

– Zwolnij - poprosiła Remi, sięgając po telefon. - Zrobię kilka zdjęć.

Sam posłuchał, a Remi sfotografowała pokryty bluszczem, kamienny mur. Przyjrzawszy się uważniej, doszedł do wniosku, że ten mur nie pasuje do niczego innego w okolicy. Być może był to relikwiny dawnych czasów, jeszcze zanim wybudowano wszystkie okoliczne domy.

Z zamyślenia wytrąciło go nadjeżdżające ulicą niebieskie bmw. Szybko włączył wsteczny bieg i ukrył się we wjeździe naprzeciwko parku.

– Co się stało? - zapytała Remi.

– Mamy towarzystwo.

Rozdział 52

Zalewający przednią szybę ich samochodu deszcz utrudniał widzenie, ale Sam nie zamierzał włączać wycieraczek i ryzykować zwrócenia na siebie uwagi. Bmw zatrzymało się tuż przed parkiem. Z przodu siedzieli Ivan i Alexandra, a z tyłu Jak z Nigelem. Ivan wysiadł z samochodu i otworzył tylne drzwi, by wyciągnąć Nigela brutalnie za rękę. Jak i Alexandra ruszyli za nimi w głąb parku.

Chwilę później za bmw zatrzymał się czarny mercedes Fiska. Herszt bandziorów wysiadł z niego razem z dwoma postawnymi, ciemnowłosymi typkami. Sam zauważył wybrzuszenia w miejscu, gdzie obaj skrywali broń pod skózanymi, brązowymi kurtkami.

– Fisk ściągnął posiłki.

Remi i Sam obserwowali, jak cała grupa zbliża się do pokrytego bluszczem muru. Najwyraźniej kazali Alexandrze pilnować Nigela, podczas gdy Jak i Ivan podnieśli z ziemi jakieś patyki i dźgali nimi gęstwiny winorośli. Szukali wejścia do jaskini. Ivan odwrócił się do Nigela i coś powiedział, a ten wskazał ruchem głowy kępy bluszczu, jakby wiedział, gdzie mają szukać. Jak stanął po drugiej stronie muru i macał patykiem pomiędzy pnączami.

– Musimy coś zrobić. Nie możemy pozwolić im zabrać Nigela pod ziemię.

– Nie spodziewałem się, że będzie ich aż tylu. Jeśli się teraz ruszymy, wdepniemy w gniazdo żmij.

– Przynajmniej nie są to żararaki wyspowe.

Fisk powiedział coś do Alexandry, a ta przysunęła się bliżej do

Nigela, podczas gdy pozostali badali skrupulatnie cały pas zieleni. Szanse pomyślnej akcji ratunkowej nie prezentowały się w tej chwili najlepiej. Gdyby wysiedli z samochodu i ruszyli w stronę parku, zostaliby zauważeni prawie natychmiast.

– Więc jaki mamy plan? - spytała Remi.

– Plan? Tu raczej potrzebny jest cud! - Próba odbicia Nigela z rąk pięciu uzbrojonych goryli i, być może, również uzbrojonej, kobiety, praktycznie bez żadnej osłony, nie licząc rzadkiego żywopłotu, okazała się o wiele bardziej niebezpieczna, niż się spodziewali.

– Pozostaje jeszcze Bree - zaproponowała Remi.

– Co masz na myśli? - zainteresował się Sam.

– Wcześniej bezwiednie przekazywała im informacje za pośrednictwem swojej kuzynki. Teraz mogłaby to zrobić świadomie. Oszukajmy ich, że są w złym miejscu. Odjadą stąd, a my ruszymy za nimi i będziemy czekać na lepszą okazję odbicia Nigela.

Sam próbował ocenić w myślach potencjalne ryzyko. Dzięki Lazlowi i Selmie Bree od kilku dni zapewniała swoją kuzynkę, że nie ma kontaktu z Remi i Samem. Mogli zastawić idealną pułapkę. Bree przekaże informację Larayne, a ta skontaktuje się natychmiast z Jakiem lub Ivanem. Jeśli fortel się powiedzie, bandyci powinni po kilku minutach odjechać w poszukiwaniu innej jaskini.

Jeśli się nie powiedzie, a któryś z nich znajdzie wejście do jaskini pod murem i zabiorą ze sobą Nigela pod ziemię, to nadzieja, że mężczyzna wyjdzie z tego żywy, spadała do zera.

– Chyba masz rację. Bree to nasza jedyna szansa.

Remi zadzwoniła do Selmy i wyjaśniła szybko, o co chodzi. Następnie podała telefon mężowi.

– Lazlo skończył tłumaczenie.

Cokolwiek udało mu się znaleźć, musiało teraz poczekać. W tej chwili liczyło się tylko bezpieczeństwo Nigela, więc przeszedł od

razu do rzeczy.

– Remi powiedziała ci, co planujemy. Sądziś, że to się uda?

– Powinno - odpowiedziała Selma. - Pilnowaliśmy wszystkich telefonów Bree do kuzynki od czasu Wyspy Węży. Larayne jest przekonana, że nie wiemy, gdzie jesteście.

– To się dobrze składa. - Powiał wiatr i lunął deszcz, ale złoczyńcy nie zaprzestali poszukiwań. - Postarajcie się to rozegrać w taki sposób, żeby pytanie o nas wyszło od Larayne. Jeśli Bree sama z tym wyskoczy, kuzynka może zacząć coś podejrzewać.

– Jasne. A kiedy Larayne już zapyta? Co dokładnie mamy jej powiedzieć?

– Coś, co sprawi, że przestaną szukać wejścia do jaskini w tym miejscu. Wiedzą, że jest gdzieś tutaj, ale nie mogą go znaleźć. Musimy ich stąd wykurzyć, bo inaczej nie zdołamy uratować Nigela.

– Możemy podsunąć im klasztor, w którym pochowano Robin Hooda.

– Myślę, że bardziej pasowałoby jakieś bliższe miejsce, najlepiej związane z królem Janem.

– A więc zamek Nottingham - podsunęła Selma. - Jest tam cała masa jaskiń i podziemnych tuneli, niektóre nawet pasują do opisu mapy.

– Niech będzie zamek. Jak już się stąd zabiorą, może uda nam się znaleźć okazję do odbicia Nigela.

– Nie zamierzacie sami przeszukać czterech grot?

– A po co? Nawet jeśli udałoby się nam wejść do środka, nie wiedzielibyśmy, czego szukać.

– Właśnie o tym chciałam z wami porozmawiać. Lazlo skończył tłumaczyć resztę tekstu. To jakaś zagadka. „Powyżej śmierci, poniżej śmierci i z moim ostatnim posiłkiem”.

– I co to ma niby znaczyć?

– Lazlo uważa, że celtycki węzeł wyrzeźbiony pośrodku koła

szyfrującego ma coś wspólnego z rozwiązaniem zagadki. Ten wzór nazywa się przeplatanką, podobnie jak przy wyrobie plecionych koszyków. Raz przeplata się powyżej, a raz poniżej, tak jak w zagadce. Celtowie mieli zwyczaj ukrywania znaczeń za pomocą wzorów. Po usunięciu warstw przeplotu ukazywał się właściwy wzór. Być może chodzi o wzór sieci tuneli, prowadzących do skarbu. Nie mamy jeszcze pewności, ale w dalszym ciągu próbujemy rozgryźć tę zagadkę.

– Niech Bree zadzwoni zaraz do swojej kuzynki - przypomniał Sam. Zagadka mogła poczekać.

Rozdział 53

Kilka minut później Selma oddzwoniła z wieścią, że rozmowa kuzynek przebiegła zgodnie z planem.

– Powinniście zobaczyć efekt, jak tylko informacja do nich dotrze. O ile kupią naszą bajeczkę.

Kupili. W pewnej chwili Jak wsunął swój patyk tak głęboko w bluszcz, że niemal cała ręka zniknęła pod zielonymi pnączami. Nagle odsunął się od muru i sięgnął do kieszeni po telefon. Po krótkiej rozmowie zawołał Fiska.

– Spójrz na Nigela - odezwała się Remi. - Chyba szykuje się do uciezki.

Alexandra przyglądała się rozmowie Jaka z Fiskiem. Nigel odsunął się od niej w kierunku bluszczu, a chwilę później skoczył pomiędzy pnącza i zniknął.

– Sam nie wiem, czy to, co zrobił, było mądre czy głupie - mruknął Sam, zaciskając dłoń na pistolecie, a drugą sięgając do klamki.

– Ani mądrzejsze, ani głupsze od naszego pomysłu przegonienia ich w inne miejsce - odparła Remi.

Jak i Ivan wahali się, czy ruszyć za uciekinierem, dopóki Fisk nie pogroził im bronią. Alexandra pokręciła głową z rezygnacją, po czym podeszła do bluszczu, rozsunęła go dłońmi i weszła za nimi. Fisk również zbliżył się do muru, ale po chwili się odsunął. Być może zastanawiał się, czy nie warto jednak sprawdzić zamku Nottingham, jak zasugerowała Larayne. Odwrócił się i rzucił coś jednemu z ludzi, z którymi przyjechał. Najwyraźniej były to kluczyki, bo obaj mężczyźni skierowali się do samochodu. Tymczasem Fisk wszedł do jaskini.

– A jednak nasz plan okazał się skuteczny - stwierdził Sam po odjeździe mercedesa.

– Nie do końca zgodnie z naszym zamierzeniem.

– Pozbyliśmy się dwóch opryszków, to już coś. Napisz Selmie, że schodzimy do jaskini odbić Nigela.

– Żeby przysłała nam wsparcie?

– Musimy się jakoś zabezpieczyć.

Odczekali jeszcze kilka chwil, by się upewnić, że żaden z bandytów nie zdecyduje się zawrócić, po czym wysiedli z samochodu i ruszyli do parku.

Remi weszła za Samem między ciężkie, splątane gałęzie bluszczu w głąb ciemnego tunelu. Przystanęli na moment z bronią w pogotowiu, przyzwyczajając oczy do panującego wewnątrz półmroku. Deszcz przybrał na sile i bębnił o liście bluszczu, skutecznie zagłuszając wszelkie inne dźwięki. Szli jedno za drugim zakręcającym korytarzem, żwir chrząścił im pod podszwami. Sam włączył latarkę, zasłaniając ją częściowo dłonią, przez co tylko wąziutki promyk blasku oświetlał im drogę.

Korytarz schodził ostro w dół, a po chwili wspiął się w górę. Po kilku minutach doszli do szerszego pomieszczenia, przypominającego piwnicę, do której zaprowadził ich Percy. Sam zatrzymał się i wyjrzał zza ściany w głąb korytarza. Cofnął się szybko i pokazał Remi gestem dłoni, żeby się schowała.

Usłyszeli kroki, a po chwili czyjś głos.

– Tędy!

Poczekali, aż echo kroków ucichnie, i wyszli z ukrycia.

Sam poświecił latarką po ścianach z piaskowca i zobaczył kilka niezdarnie wykutych tuneli, rozchodzących się z głównej komory w różnych kierunkach. Remi zauważyła coś nad jednym z tuneli. Wyrzeźbiony w piaskowcu celtycki węzeł, o którym wspominał Percy. Sprawdzili pozostałe tunele. Było ich razem pięć i nad czterema z nich widniał ten sam symbol. Ostatni,

pozbawiony znaku, prowadził z powrotem do wyjścia.

Sam przyglądał się symbolom. Musiały oznaczać, że tunele prowadzą do czterech komnat, o których mówił im Lazlo. Skierował snop światła na każdy z korytarzy, po czym skupił uwagę na trzecim z kolei. Na ziemi widać było wyraźnie odciski stóp. W pozostałych tunelach nie było żadnych śladów.

Korytarz był na tyle szeroki, że mogli iść obok siebie, ale skręcał jeszcze częściej niż poprzedni i ciągle schodził coraz niżej. Co jakiś czas mijali boczne tunele, odchodzące w różnych kierunkach.

Główny korytarz zwężał się nagle, tuż przy ostrym spadku w dół, po czym zakręcił w prawo dwadzieścia metrów dalej. Nagle trafili na stromiznę i oboje zaszurali nogami o podłoże. Dźwięk rozszedł się echem po tunelu.

Sam wyłączył latarkę i stanął jak wryty.

– Co to było?! - zawołał głos, chyba Jaka. - Ktoś nadchodzi od strony głównej komory.

– To Victor i Rogen - odpowiedział mu Fisk. - Powinni wracać z latarkami, bo wy kretyni wzięliście tylko swoje telefony.

Najwyraźniej ich plan nie powiódł się nawet częściowo. Potwierdziły to słowa Ivana:

– A co z informacją od Larayne? Czemu nikt nie sprawdza zamku?

– Bo szyfr mówił o czterech grotach.

– Raczej o czterech komnatach - poprawiła Alexandra. - Tak naprawdę może chodzić o zupełnie inne miejsce.

– Chcecie znaleźć skarb? To najpierw złapcie przewodnika - warknął Fisk. - Jeśli tu nic nie ma, to połamię mu każdą kość z osobna, zanim pozwolę umrzeć.

Cała grupa szła w głąb korytarza i po kilku chwilach ucichł odgłos ich kroków.

Remi i Sam ruszyli za nimi, ale nagle usłyszeli nowe kroki, tym razem ciężkich butów, dochodzące z przeciwnej strony.

Victor i Rogen rzeczywiście wrócili, a Fargowie znaleźli się w pułapce.

Rozdział 54

Sam chwycił Remi za rękę i ruszył z powrotem w kierunku głównej komnaty, sunąc drugą ręką po ścianie jak po przewodnicy. Po chwili dotarli do jednego z bocznych korytarzy i skryli się w nim. Sam stanął bliżej wejścia, a Remi za jego plecami.

Kilka sekund później w korytarzu pojawiło się ostre światło latarki. Sam popatrzył na ziemię i zauważył, że oboje zostawili wyraźne odciski stóp, prowadzące wprost do ich kryjóWKi. Uniósł broń i wycelował w wejście do tunelu.

Głównym korytarzem podążał tylko jeden człowiek. Sam zdjął palec ze spustu, kiedy mężczyzna poszedł dalej, a w korytarzu po chwili znowu zapadła ciemność.

Mieli już wyjść z ukrycia, ale usłyszeli cichy chrzęst żwiru, po czym poznali, że ten, kto przeszedł wcześniej, Victor albo Rogen, postanowił zawrócić i teraz stoi tuż przy wejściu do tunelu. Sam wyczuł ruch powietrza, gdy mężczyzna uniósł do góry swój pistolet, włączył latarkę i zaczął krzyczeć:

– Vic...

Sam nie dał mu skończyć. Chwycił go za kołnierz, pociągnął mocno i z całej siły uderzył jego głową o ścianę tunelu. Latarka pofrunęła w powietrze.

Trzymając rewolwer jak kastet, Sam trzasnął nim przeciwnika prosto w twarz. Rogen zachwiał się na nogach, ale lewą ręką chwycił Sama za koszulę i wycelował do niego z pistoletu. Sam złapał za zamek półautomatu i poczuł, jak metal rozcina mu skórę dłoni, gdy Rogen próbował pociągnąć za spust. Upuścił własną broń i przytrzymał zamek obiema dłońmi, by

uniemożliwić wystrzał. Następnie pochylił się i wykręcił pistolet przeciwnika z całej siły. Rozległ się trzask łamanych kości, a uścisk Rogena zwiotczał w jednej chwili. Sam odebrał mu broń i uderzył go nią w czaszkę, po czym znalazł się za jego plecami, objął ramieniem szyję i zacisnął mocno, by wykończyć go na dobre.

Remi pozbierała z ziemi broń, a Sam ukrył bezwładne już ciało w bocznym tunelu. Jeden z głowy, pozostało pięciu.

– Gdzie jest ten Victor, którego wołał? - zapytała cicho Remi, oddając Samowi jego rewolwer i pistolet bandyty.

– Dobre pytanie.

Przychodził mu do głowy tylko jeden powód, dla którego Victor nie zszedł w głąb jaskini z Rogenem. Ktoś musiał zostać na straży w głównej komorze.

Sam skinął w jej kierunku, a Remi kiwnęła głową. Ruszyli, wyłączając latarkę przed wejściem do komnaty. Na końcu tunelu widać było blask. Remi zatrzymała się, a Sam podszedł przodem.

Victor nie tylko został na czatach, ale udało mu się też złapać Nigela. Stał teraz za nim, trzymając go ramieniem za szyję, i celował światłem latarki prosto w twarz Sama. W drugiej dłoni trzymał pistolet, przyłożony do skroni przewodnika.

– Co zrobiłeś mojemu bratu?

– Och, więc ten na dole to był twój brat? - Sam celował w niego z rewolweru i przesuwał się bokiem pod ścianą pomieszczenia. Victor obracał się wraz z nim, zasłaniając się Nigelem.

– Gdzie jest Rogen?

Sam nie odpowiedział. Nadal poruszał się bokiem. Za chwilę Victor miał stanąć plecami do tunelu, w którym kryła się Remi.

– Gadaj, gdzie on jest?

Sam widział, jak lufa pistoletu Victora przesuwa się z głowy Nigela na niego. W tym samym momencie z tunelu wyszła Remi i, wzięwszy głęboki wdech, rzuciła w niego nożem.

Victor krzyknął, gdy ostrze trafiło go w sam środek pleców.

Latarka i pistolet wyleciały mu z rąk. Odchylił głowę w tył i zaczął osuwać się na ziemię. Pociągnął przy tym za sobą Nigela, ale ten odskoczył pospiesznie i stanął obok, nie odrywając wzroku od ciała niedawnego prześladowcy.

– Piękna robota, pani Fargo. - Sam zaśmiał się. - Czyżbyś uznała, że potrzebna mi pomoc?

– Przemknęło mi to przez myśl.

– Panowałem nad sytuacją - odparł Sam. Nigel podszedł do Remi.

– Czy on... jest martwy? - wymamrotał, blady jak kreda.

– Albo sparaliżowany, co na jedno wychodzi - stwierdził Sam, widząc szerokie ostrze noża, tkwiące głęboko w kręgosłupie bandyty. Facet na pewno nie narobi im już kłopotu. Tymczasem Nigel, który, zdawało się, za chwilę zemdleje, obszedł szerokim łukiem leżącego na ziemi Victora.

– Jak cię znalazł? - spytał Sam, starając się odciągnąć jego uwagę od ciała.

– Schowałem się w jednym z bocznych tuneli. Chyba zauważył ślady stóp.

– Nie chcesz go z powrotem? - Sam zapytał żonę, mając na myśli nóż.

– Niekoniecznie. Ale chętnie wezmę jego pistolet. - To powiedziawszy, podniosła broń i wcisnęła sobie za pasek.

– W takim razie zbierajmy się stąd.

– Czytasz w moich myślach, Fargo.

Jak na złość w tym właśnie momencie do jaskini wpadł Fisk z resztą ekipy.

Rozdział 55

Sam oddał kilka strzałów, co zmusiło Fiska, Ivana i Jaka do cofnięcia się do tunelu. Z kamiennego podłoża wytrysnęły w górę okruchy piaskowca.

– Plan awaryjny! - krzyknął, wskazując pierwszy korytarz.

Remi kiwnęła głową, wyłączyła latarkę i pociągnęła Nigela za sobą.

Jedyne światło padało teraz z trzeciego tunelu, w którym skryli się Fisk i jego ludzie. Bandyta szybko zrozumiał, że działa to na jego niekorzyść, i wyłączył latarkę. W jaskini zapanowała kompletna ciemność.

Sam celował cały czas w ich stronę, cofając się powoli do czwartego tunelu. Nie przeszedł więcej niż kilka kroków, gdy nagle ktoś wypadł z tunelu, oświetlając główną salę wątłym blaskiem wyświetlacza telefonu, który upadł na ziemię ekranem ku górze. Sam wycelował rewolwer, ale okazało się, że na środku stoi nieuzbrojona Alexandra. Złoczyńcy poświęcili ją i wypchnęli z tunelu, by rozświetlić mrok w komnacie, i teraz mieli go jak na widelcu.

– Zabiję was oboje, Fargo! Jak tylko ona lub ty ruszycie choćby palcem! - zawołał Fisk.

Alexandra znieruchomiała z rękami wzniesionymi do góry, wpatrując się w lufę rewolweru Sama. Przewaga, którą miał jeszcze przed chwilą, przepadła bezpowrotnie.

– Czego chcesz, Fisk?

– Oddaj koło szyfrujące. Byliście wtedy w zajeździe... Victor! - wykrzyknął Fisk, dostrzegłszy ciało pomagiera. - Coście mu zrobili?

– Przypadkiem nadział się na nóż - odparł Sam.

– Rzuć broń! Ale już!

Sam odłożył rewolwer na ziemię.

– Kopnij go w moją stronę.

Sam niezbyt zdecydowanie odepchnął nogą broń.

– Teraz pistolety Victora i Rogena.

Sam odrzucił schowany za pasem pistolet.

– Drugi też.

– Znalazłem tylko ten jeden.

Drugi pistolet zabrała Remi, ale nie zamierzał o tym mówić.

– Gdzie twoja żona?

– Sam chciałbym wiedzieć.

– Każ jej wyjść albo strzelam.

Sam nie zareagował.

– Zawołaj ją albo już nie żyjesz!

– Jestem tutaj! - krzyknęła Remi, stojąc tuż przy wejściu do pierwszego korytarza. Włączyła latarkę, uniosła obie ręce do góry i weszła do komnaty, kierując się w stronę Sama. Nigel pozostał w ukryciu.

– Wyrzuć swoją broń.

Remi schyliła się, by odłożyć pistolet.

– Powiedziałem wyrzuć!

Wykonała polecenie. Pistolet upadł niedaleko Sama.

Teraz Fisk włączył swoją latarkę i pojawił się w wejściu trzeciego korytarza. Celował do obojga z pistoletu. Po jego bokach stali Jak i Ivan.

– Zgaś swoją latarkę - rzucił do Remi.

Powoli opuściła rękę, kierując strumień światła na fotoluminescencyjny celownik swojego pistoletu, leżącego tuż przed Samem, i dopiero wtedy wyłączyła latarkę.

– A ty wyłącz komórkę - powiedział Fisk, wskazując bronią urządzenie. Alexandra schyliła się, wyłączyła świecący ekran i schowała telefon do kieszeni.

Teraz jedynym źródłem światła była latarka Fiska, spowijająca blaskiem całą trójkę stojącą pośrodku jaskini.

– Trzymać ręce w górze! - rozkazał.

Nagle Alexandra rzuciła Fiskowi gniewne spojrzenie.

– Zapomniałeś już o kole szyfrującym? Tak się składa, że to nie oni je zabrali.

– O czym ty mówisz? - zdziwił się Fisk.

Kobieta wyciągnęła przedmiot z kieszeni.

– Przewodnik twierdził, że koło wskazuje drogę do skarbu. Możesz je sobie wziąć. - To powiedziawszy, rzuciła koło niczym frisbee w głąb tunelu po swojej lewej stronie.

Fisk śledził jego lot promieniem latarki. Koło stuknęło o kamienne podłoże i poturlało się w ciemność.

– Przynieście je!

Ivan pobiegł do tunelu.

Sam błyskawicznie rzucił się przed siebie i chwycił oba pistolety. Dostosowane do strzelania w mroku przyrządy celownicze na broni Remi nie przestały jeszcze świecić. Wycelował w Ivana i oddał dwa strzały.

Fisk wyłączył latarkę, zatapiając wszystko w ciemności. Pociągnął za spust, a blask wystrzału rozświetlił na ułamek sekundy jego twarz.

Sam strzelił w stronę światła, po czym przeturlał się w kierunku ciała Victora, wykorzystując je jako osłonę.

Kątem oka zarejestrował kilka jaskrawych błysków po prawej. Po całej komorze rozniosło się echo wystrzałów. W blasku płomieni wylotowych rozpoznał twarz Jaka. Remi wypaliła dwukrotnie z przeciwległego tunelu i posłała Jaka na ziemię.

Fisk ponownie zaczął strzelać, więc Sam złożył się nad ciałem Victora i odpowiedział ogniem. Po chwili skończyły mu się naboje w pistolecie Remi, pozostał mu tylko jego smith & wesson.

Sam słyszał Fiska w tunelu przed sobą. Czego by nie dał w tej

chwili za odrobinę światła. Remi najwyraźniej czytała w jego myślach, bo w tej samej chwili kopnęła w jego kierunku swoją latarkę. Pomacał wokół siebie dłonią i po chwili poczuł pod palcami chłodną, metalową obudowę. Gdyby nie ciało Victora, zapewne dawno już oberwałby jednym z pocisków rykoszetujących od ścian jaskini. Nie była to najlepsza osłona, ale spełniała swoje zadanie.

Podniósł latarkę i wyciągnął rękę jak najdalej w lewo, wsuwając ją jednocześnie pod ramię Victora. Trzymał palec na włączniku, czekając na odpowiedni moment. Następnie uniósł pistolet tuż ponad ciałem zabitego. Celował w tunel, w którym ostatni raz słyszał Fiska.

Pomysł był bardzo ryzykowny, ale kończyły im się naboje. Nacisnął włącznik i zapalił latarkę na ułamek sekundy.

Ivan strzelił w stronę światła.

Sam wymierzył w jego kierunku i dwukrotnie pociągnął za spust. Usłyszał łoskot walącego się na ziemię ciała. Co prawda nie na niego polował, ale lepszy rydz niż nic.

Gdzie schował się Fisk? Jak wywabić go z kryjówki?

Sięgnął po leżący obok pistolet żony i krzyknął:

– Remi! Uciekaj! Skończyły mi się naboje!

Następnie rzucił pistolet na ziemię, by dźwięk rozszedł się po całej jaskini.

Po chwili ciszy Remi odpowiedziała:

– Mnie też. Biegnę po pomoc.

Ktoś faktycznie zaczął biec korytarzem, ale Sam cały czas celował w tunel przed sobą, nasłuchując jakichkolwiek odgłosów obecności Fiska.

Zaczynał wątpić w to, czy bandyta się pojawi, gdy nagle po prawej stronie sali dostrzegł niewyraźne, niebieskawe światło. To Alexandra uruchomiła swój telefon i szła wzdłuż ściany pomieszczenia.

– Wyłaż tchórze! - zawołała. - Musisz się ze mną rozliczyć!

Sam przyglądał się z niedowierzaniem, jak kobieta zbliża się do tunelu, w którym kilka chwil wcześniej zniknął Fisk. Popatrzył w głąb korytarza, ale nie dostrzegał niczego w ciemności. Wtem wynurzył się z niego Fisk z bronią gotową do strzału.

– Myślałaś, że możesz ukraść mi koło, a ja puszcze ci to płazem? - wycedził, celując prosto w jej głowę.

Sam strzelił pierwszy.

Fiska odrzuciło w tył. Spojrzał z niedowierzaniem na Sama, zachwiał się i wypuścił z ręki broń.

– Przecież skończyła ci się amunicja...

– Skłamałem.

Rozdział 56

– Mam nadzieję, że nie namęczyliście się zbyt, szukając tych jaskiń - powiedział Lazlo, gdy Remi i Sam zadzwonili do domu, by poinformować resztę o tym, co zaszło. - Obawiam się, że posłaliśmy was tam nadaremnie.

– Żaden problem - odparł Sam. Po chwili otaczało ich mnóstwo policjantów, w tym specjalnych funkcjonariuszy z oddziałów szturmowych, jedynej jednostki w Wielkiej Brytanii, której członkowie mogli nosić broń. - A co się stało?

– Wygląda na to, że popełniliśmy błąd. Teraz wiemy już na pewno, że w tekście chodzi o czwartą komnatę, nie o grootę. W parku na pewno nie ma żadnego skarbu. Nie wiem, dlaczego Nigel miałby was tam sprowadzić. To bez sensu.

Sam rozłączył się i wymienił z żoną porozumiewawcze spojrzenie, po czym oboje zwrócili się do Nigela.

– Czemu kazałeś im szukać tutaj? - zapytała Remi.

Nigel odwrócił wzrok od Alexandry, którą właśnie przesłuchiwał jeden z funkcjonariuszy.

– To jedyne miejsce, jakie przyszło mi do głowy, które na tyle pasowało do legendy, bym zdołał ich przekonać, że jestem im potrzebny. Dawno temu zwiedzałem cztery groty podczas jednej z wycieczek w ramach studiów. - Uśmiechnął się niewyraźnie i wzruszył ramionami. - Bałem się, że zechcą się mnie pozbyć, więc postanowiłem wmówić im, że skarb jest tutaj i potrafię ich do niego zaprowadzić...

– Tak czy inaczej, poskutkowało - zamknął temat Sam. Fisk trafił do aresztu, a Ivan i Jak byli martwi. Alexandra miała niewielkie rozcięcie na czole od odłamka skalnego, ale poza tym

nic jej się nie stało.

– Nieźle nam poszło. - Remi również się uśmiechnęła, wzdychając ciężko. - Prawie udało nam się odkryć tajemnicę króla Jana i jego skarbu.

– Nie inaczej. A teraz mamy sporo wolnego czasu. Gdzie chciałabyś pojechać na urlop?

– Sądziłam, że wszystko już zaplanowałeś.

– W zasadzie tak. Prawie. Na czym stanęło?

– Na Górze Karmel.

Jeden z detektywów wychynął właśnie z wejścia do jaskini. Bluszcz ściągnięto taśmą na boki, by ułatwić dostęp. Mężczyzna przywołał do siebie dwóch stojących w pobliżu policjantów. Kiedy podeszli, powiedział im coś ściszym głosem.

Remi przyglądała się im z głową na ramieniu męża.

– Nieźle strzelałeś, tak przy okazji.

– Ty również.

Jeden z policjantów podszedł do nich, otwierając swój notes.

– Chciałem zapytać o wasze pistolety...

– Mamy pozwolenia na wwóz - powiedział Sam. Posiadanie broni palnej było prawnie zakazane w Wielkiej Brytanii. Pewnie zamierzali je skonfiskować, a Sam był przywiązany do swojego rewolweru. - Powinny być zarejestrowane w Londynie.

– Doskonale. Sprawdzimy to. - Policjant skinął głową i odszedł do detektywa.

Sam zaczekał, aż funkcjonariusz odejdzie z zasięgu jego głosu, po czym zwrócił się do Remi.

– Kiedy tylko się stąd wyrwiemy, przypomnij mi, żebym zadzwonił do Rube'a.

Rube Hayward z pewnością będzie wiedział, za jaki sznurek pociągnąć, by odpowiednie wpisy pojawiły się w rejestrze.

Tymczasem Alexandra skończyła już składać wyjaśnienia i przycupnęła obok nich pod murem. Sam popatrzył na nią z zaciekawieniem.

– Dlaczego zdradziłaś Fiska?

Kobieta zaśmiała się nerwowo, dotykając dłonią niewielkiego plastra na czole.

– Nie chciałam, by komukolwiek stała się krzywda. Pod żadnym pozorem. Próbowałam tylko odszukać skarb, żeby zrobić na złość Charlesowi. A potem... - Popatrzyła na Remi. - Zrozumiałam, że kiedy tylko Fisk znajdzie to, czego szuka, zabije mnie bez mrugnięcia okiem. I zostawi moje ciało tam na dole. - Oczy zaszyły jej łzami, ale starła je pospiesznym ruchem dłoni. - To samo zrobiłby z wami. Wiedziałam, że muszę się mu sprzeciwić. Chciałam pokazać swoim dzieciom, że jednak potrafię zrobić coś tak, jak należy - westchnęła. - Ale mniejsza z tym. Charles może i nie dostanie swojego skarbu, ale wywinie się z próby zabójstwa, tak jak ze wszystkiego innego do tej pory.

– Akurat na to możemy chyba coś poradzić - zaprzeczył Sam.

– W jaki sposób?

– Zaufaj mi - odpowiedział, przypominając sobie treść raportów, jakie Archer przysłał mu do tej pory na temat Charlesa Avery'ego. - Od dłuższego czasu zespół moich zaufanych ludzi gromadzi dowody przeciwko twojemu mężowi.

– Gdybyście znaleźli ten skarb, to mam do was prośbę. Przyślijcie mi zdjęcie. Chciałabym pokazać je Charlesowi.

– Nie zanosz się na to - odparł Sam. - Odszyfrowaliśmy już mapę i jedyne, co z niej wywnioskowaliśmy, to ta jaskinia. Utknęliśmy w ślepym zaułku.

– Albo w jeszcze innym miejscu - dodała Remi.

W końcu trafili na posterunek, gdzie cała trójka złożyła oficjalne zeznania. Zwolniono ich dopiero kilka godzin później. Natychmiast po powrocie do hotelu Remi i Sam poszli spać. Zapomnieli nawet o jedzeniu.

* * *

– Udało się!

Entuzjazm, z jakim Lazlo wykrzyczał te słowa, natychmiast postawił Sama na nogi.

– Co się udało? - spytała Remi.

– Skończyliśmy tłumaczenie - wyjaśnił Lazlo. - „W zamkowej skale. Poza legowiskiem wilczego łba. Czwarta komnata. Powyżej śmierci. Poniżej śmierci. Wraz z ostatnim posiłkiem”.

Remi i Sam spojrzeli po sobie, po czym obrócili się ponownie w stronę szczerzącego się na tablecie Lazła.

– Świetnie - powiedział w końcu Sam. - I co to ma właściwie znaczyć?

– To miejsce ukrycia skarbu - odparł Lazlo. - Pomijając ten pierwszy fragment.

– To znaczy?

– Z tekstu wynika, że skarbu na pewno nie ma w siedzibie Robin Hooda.

– Szkoda, że nie doszliście do tego wczoraj - bąknął Sam.

– To gdzie powinniśmy szukać, porzucając wątek Robin Hooda? - zapytała Remi.

– Wskazówka jest bardzo niejednoznaczna, ale wydaje nam się, że chodzi o zamek Newark.

– Newark? - Remi popatrzyła z niedowierzaniem do Sama, po czym zwróciła się z powrotem do przyjaciół. - Czemu akurat tam?

– Mowa o śmierci, komnacie i ostatnim posiłku, powinno więc chodzić o miejsce, w którym zmarł król Jan.

– Przykro mi, kochanie - powiedział Sam - ale chyba będziemy musieli się jeszcze trochę wstrzymać z naszym urlopem.

Rozdział 57

Następnego dnia Sam, Remi i Nigel pojechali do Newark. Niebo zasnuwane ciemnymi chmurami zwiastowało kolejną ulewę. Po dotarciu na miejsce zostawili samochód na parkingu nad rzeką Trent, a następnie, smagani podmuchami wiatru, przeszli przez most prowadzący do imponującej twierdzy. Z daleka budowla sprawiała wrażenie nienaruszonej, ale gdy podeszli bliżej zdali sobie sprawę, że w istocie niewiele pozostało z tej niegdyś monumentalnej fortecy, nie licząc zewnętrznego muru nad brzegiem rzeki, wieży bramnej przy moście, wysokiej, sześciokątnej wieży w północno-zachodnim rogu oraz niższej na południowym skraju, w której to król Jan miał wydać swe ostatnie tchnienie.

– Same ruiny - stwierdził Sam, rozglądając się po płaskim terenie w miejscu, gdzie niegdyś znajdowała się główna warownia.

Remi, nie zważając na wiatr hulający pośród pozostałości budowli i tarmoszący ją za włosy, skinęła głową w stronę niższej wieży.

– Założę się, że skarb jest tam. gdzie zmarł król Jan. W zagadce kilkakrotnie jest mowa o jego śmierci.

– Czy to nie nazbyt oczywiste? - Sam nie był przekonany.

– Pamiętaj, że najlepsza kryjówka to taka, która wciąż znajduje się na widoku.

Sam zabrał ze stoiska kilka ulotek, by zachować pozory zwykłej wycieczki turystycznej. Nie chcieli obwieszczać otwarcie swoich zamiarów przedostania się cichaczem do tych części zamku, które były zamknięte dla zwiedzających.

– Od śmierci króla Jana zamek wielokrotnie przechodził z rąk do rąk i nie raz był przebudowany. Jak to się stało, że nikt do tej pory nie odnalazł skarbu?

– Właśnie po to tu jesteśmy, żeby się przekonać - odparła Remi.

Sam wyciągnął telefon i wyświetlił wiadomość od Selmy z treścią odszyfrowanej zagadki.

„Czwarta komnata. Powyżej śmierci. Poniżej śmierci. Wraz z ostatnim posiłkiem”.

Remi dotknęła palcem punktu na wyświetlaczu.

– „Komnata” to po prostu pokój. Może chodzić o pokój, w którym zmarł.

– Ale z kolei „ostatni posiłek” może wskazywać na salę jadalną.

– Która od dawna już nie istnieje.

– Wycieczka się zaczyna - zauważył Nigel, wskazując grupkę turystów zebranych pod południową wieżą.

Weszli ze wszystkimi do środka budowli. Gdy wspinali się coraz wyżej po schodach, przewodnik przybliżał im historię zamku.

– W 1646 roku, po zakończeniu wojny domowej, parlament nakazał zburzyć zamek. Prawdopodobnie nic by z niego nie zostało, gdyby w Newark nie wybuchła nagle zaraza.

Gdy wchodzili korytarzem do jednego z pomieszczeń, nagły powiew wiatru zawył przeciągle, niczym pokutująca dusza.

– Duchy! - zawołał ktoś, wywołując śmiech u większości zwiedzających.

– Rzeczywiście. - Przewodnik natychmiast podjął temat. - Panuje przekonanie, że ruiny zamku nawiedzają duchy nieszczęśników, straconych tutaj na przestrzeni wieków. A właśnie w tym pokoju zmarł król Jan, zdaniem niektórych otruty przez swoich wrogów. Z kolei głęboko pod nami znajdują się lochy, gdzie setki ludzi były poddawane torturom i

pozostawione na śmierć głodową. Ich ciała zostawiano na pastwę szczurów, dopóki nie zostały z nich same kości.

Sam odciągnął Nigela i Remi do tyłu, podczas gdy reszta wycieczki poszła dalej. Nigel stanął na czatach przy przejściu, a Fargowie zaczęli badać miejsce śmierci króla Jana, szukając ukrytych drzwi, poluzowanych desek w podłodze i tajemnych przejść. Przez dwadzieścia minut nie znaleźli niczego interesującego.

– Wygląda na to, że król Jan zabrał sekret swojego skarbu do grobu - podsumował Sam.

– Pozostają nam jeszcze pomieszczenia w głównej partii zamku - zauważyła Remi.

Wyszli pospiesznie na zewnątrz i dołączyli do grupy, kiedy przewodnik kończył opowiadać o zamkowej kuchni. Następnie poprowadził ich wąskimi, kręconymi schodami w dół, powtarzając opowieść o nawiedzających ruiny duchach. Minęli poziom, na którym znajdowały się kanały ściekowe i spizarnia. Przewodnik zaczął opowiadać o wymyślnych torturach, jakim poddawano więźniów politycznych, po czym zatrzymał się przy otworze w podłodze, w którym zamontowano drabinę prowadzącą do lochów.

– Ci z was, którzy odważą się zejść na dół, będą mogli zobaczyć napisy wyryte na ścianach przez rzekomo przetrzymywanych tutaj rycerzy z zakonu templariuszy.

Naturalnie Sam, Remi i Nigel zdecydowali się zejść po drabinie. Na dole powitał ich przeraźliwy jęk, brzmiący jak cały chór potępieńców. Zdawali sobie oczywiście sprawę z tego, że było to jedynie nagranie, odtworzone przez głośnik ukryty w jednej z cel.

Remi przyglądała się wypisanym na ścianach słowom, a Nigel i Sam sprawdzali same mury, naciskając je i ostukując w poszukiwaniu ukrytych schowków lub przejść.

– Czy zna pan może jakieś legendy o tym, że król Jan ukrył

tutaj swój skarb? - zapytał Sam przewodnika po powrocie na górę.

- Tutaj? - Brwi mężczyzny wygięły się w łuk. - Byłoby to całkowicie sprzeczne z ogólnie przyjętą wersją, zgodnie z którą skarb został zatopiony na bagnach. A teraz proszę za mną.

- Jeszcze jedno pytanie - wtrąciła Remi. - Słyszałam pewną zagadkę sprzed wieków, związaną ze śmiercią króla Jana.

Mężczyzna spojrzał na nią wyczekująco.

- „Czwarta komnata. Powyżej śmierci. Poniżej śmierci. Wraz z ostatnim posiłkiem”. Czy wie pan o jakie miejsce może chodzić, zakładając, że miałyby to być tutaj, w Newark?

- Oczywiście. - Przewodnik uśmiechnął się. - To byłaby spiżarnia. Jest na czwartym poziomie, nad lochami i pod wieżą, w której zmarł król.

- A gdzie ją znajdziemy?

- Spiżarnię? Przecież mijaliśmy ją po drodze. - Wskazał ku górze. - Możecie do niej zajrzeć, o ile pójdzie z wami pan Ridgewell.

Tak też zrobili, ale na miejscu, tak jak i w poprzednich pomieszczeniach, nie znaleźli nic, co wskazywałoby na istnienie ukrytego przejścia czy kryjówki. Wiekowe, kamienne mury, pokryte warstwą kilkusetletniego kurzu i pleśni, wyglądały na całkiem solidne i ani drgnęły.

Zbierali się już do wyjścia, ale Sam przystanął nagle i wpatrzył się w łuk widniejący na jednej ze ścian. Wielkością i kształtem przypominał otwór okienny, ale w całości zamurowany ceglami. Biorąc pod uwagę surowy wystrój spiżarni, nie potrafił sobie wyobrazić, dlaczego dwunastowieczny architekt miałby się wysilać na taki dekoracyjny detal w pomieszczeniu służącym do przechowywania warzyw.

- Remi, spójrz na to. Dziwne, nie sądzisz?

Remi poświeciła latarką na to ślepe okno i przyglądała mu się przez kilka chwil.

– Najwyraźniej budowniczy miał zacięcie artystyczne.

Sam pozostawił te słowa bez komentarza. Zamiast tego postukał drugim końcem latarki w cegły wypełniające łuk. Usłyszał głuchy odgłos, co mogło oznaczać, że cegły zostały luźno ułożone lub że znajdowała się za nimi pusta przestrzeń.

Zaczął naciskać, a potem kopać cegły. W końcu udało mu się poluzować jedną i po kilku minutach wyciągnął ją ze ściany. Następnie użył jej do wybicia kolejnych cegieł, by wreszcie utworzyć otwór, przez który dało się zajrzeć do środka.

– Co tam jest? - spytała z niepokojem Remi.

– Chyba nie będziemy już tracić więcej czasu na poszukiwanie skarbu króla Jana - odpowiedział Sam, wzruszając ramionami.

– Nic tam nie ma? - mruknął Nigel zawiedzionym głosem.

– Wprost przeciwnie. - Sam wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Podejdźcie bliżej i sami się przekonajcie.

Rozdział 58

Remi czuła, jak serce wali jej z całej siły, gdy przechodziła przez wąski otwór do ukrytego pomieszczenia. Sam i Nigel weszli tuż za nią.

W pierwszej chwili, świecąc dokoła latarkami, mieli wrażenie, że sala wypełniona jest stertami zakurzonych kamieni. Dopiero gdy przyjrzeni się bliżej, zrozumieli, że są to w istocie dziesiątki starych, metalowych skrzyń, ustawionych w co najmniej trzydzieści stosów i pokrytych grubą warstwą pyłu. Wypełniały całą przestrzeń od podłogi aż po sufit.

– Wszystkie są pozamykane na kłódki - zauważył Nigel. - Jak się przekonamy, co jest w środku?

Sam bez słowa podniósł jedną z cegieł i uderzył nią z całej siły w zamek stojącej najbliżej zardzewiałej skrzyni. Skobel puścił za pierwszym razem.

Sam uniósł wieko i aż westchnął z wrażenia na widok setek zmatowiałych, srebrnych monet, z wybitymi głowami królów Henryka I, Harolda II i Wilhelma I. W kolejnych trzech skrzyniach znajdowały się z kolei monety ze złota. Następne skrywały stosy pereł, srebrnej zastawy, złotych pucharów i mieczy w ozdobnych pochwach, wysadzanych klejnotami.

Historycy odnotowali, że król Jan miał słabość do rubinów, szmaragdów i diamentów i zbierał okazałą kolekcję rzadkich kamieni.

– Niewiarygodne. - Sam z trudem wydobył głos z krtani. Po chwili schylił się i podniósł coś, na co żadne z nich zwróciło wcześniej uwagi. - Spójrzcie na to.

Trzymał w ręku złotą strzałę, a dokładniej strzałę o złotych

piórach. Podał ją Remi, która wpatrywała się w artefakt z niedowierzaniem.

– To strzała Robin Hooda?

– Nikt inny nie przychodzi mi do głowy - powiedział Nigel. - Może legendy zawierają w sobie więcej prawdy, niż sądziliśmy.

– I oto mamy gwóźdź programu! - zawołał Sam, otwierając kolejną szkatułę. - Insygnia koronacyjne wraz z berłem i jabłkiem.

Uniósł wysoko złotą koronę, wysadzaną perłami i rubinami.

– Zobacz lepiej resztę ubiorów - odpowiedziała Remi, wskazując trzy potężne skrzynie, wypełnione królewską garderobą. Niektóre suknie nadgryzła pleśń, ale większość zachowała się w stanie nienaruszonym, prezentując niezwykle barwy tkanin i złote nici.

– Może powinienem którąś przymierzyć? - zaproponował Sam, śmiejąc się serdecznie.

– Ani się waż! - spiorunowała go Remi. - Minęło osiemset lat, odkąd król Jan po raz ostatni nosił koronę i szaty królewskie. To bezcenne znaleziska historyczne.

– Przecież on nie żyje od wieków. Na pewno się nie obrazi. - Sam nie przestawał się uśmiechać.

– Macie przed sobą i w swoich rękach skarby warte setki milionów funtów - stwierdził Nigel. - Gdyby władze tego kraju wiedziały, co chcecie z nimi zrobić, resztę życia spędzilibyście w więzieniu Nottingham.

– Nie byłabym tym zachwycona - stwierdziła Remi z nutą sarkazmu.

– Lepiej uprzątnijmy to miejsce, zanim zjawi się kolejna wycieczka - zaproponował Nigel.

Sam przytaknął, zerkając na zegarek.

– To dobry pomysł. Mamy niecałe dziesięć minut przed pojawieniem się naszego ulubionego przewodnika.

Remi zrobiła kilka zdjęć do ich prywatnej kolekcji, po czym

wróciła do spiżarni, by Sam i Nigel mogli poukładać na powrót cegły.

Znajomy przewodnik zastał ich, gdy właśnie kierowali się do wyjścia z piwnicy.

– I jak, znaleźliście skarb? - zapytał z lekką drwiną w głosie.

– Nie ta komnata - rzucił Sam.

– I pewnie nie ten zamek - dodała Remi.

Przewodnik rozjaśnił się w uśmiechu.

– A nie mówiłem?

Remi i Sam z trudem zachowali powagę.

Po chwili byli już na dworze. Z ulgą wciągali w płuca świeże, rześkie powietrze.

– No cóż - powiedział Sam, zwracając się do Nigela. - Zostawiamy to wszystko na twojej głowie.

– Nie rozumiem. - Nigel popatrzył na niego z zakłopotaniem.

Remi pocałowała go w policzek i pospieszyła z wyjaśnieniem:

– Zmykamy stąd, zanim tłumy zaczną szturmować bramę.

Rozdział 59

Następnego ranka wymeldowali się z hotelu i postanowili zajechać jeszcze pod zamek Newark, by przyjrzeć się rojom ochroniarzy i armii archeologów, uwijających się jak w ukropie wokół największego od setek lat znaleziska na terenie Wielkiej Brytanii. Zaparkowali możliwie jak najbliżej i podeszli do bramy, pilnowanej obecnie przez policję Nottinghamshire. Jeden z funkcjonariuszy zatrzymał ich gestem dłoni.

– Państwa godność? - zapytał.

– Longstreet - wypalił natychmiast Sam. - Lord i lady Longstreet.

– Chyba najwyższa pora przestać używać tego nazwiska, nie uważasz? - syknęła Remi.

Tymczasem policjant zajrzał na moment do swojego notesu i pokręcił głową.

– Niezmiernie mi przykro, ale nie mam państwa na liście osób uprawnionych do wstępu.

– Czy w takim razie mógłby pan zawiadomić o naszym przybyciu pana Nigela Ridgewella? - poprosiła Remi.

– Oczywiście, milady, z przyjemnością zrobię to dla pani - odpowiedział kurtuazyjnie mężczyzna.

Dziesięć minut później nadszedł Nigel wraz z Percym Wendorfem i Cedrikiem Aldridge'em.

– Dzięki Bogu, że wpadliście - powitał ich Nigel. - Te rządowe bubki nie dają nam chwili wytchnienia, od Ministerstwa Kultury po władze Muzeum Brytyjskiego. Wszyscy przypisują sobie prawo do zarządzania skarbem. Wszyscy deptają sobie po piętach, byle tylko rzucić okiem na kawałek historii zachowanej

w czasie.

– Jesteśmy obcokrajowcami, więc nie wiem, w czym moglibyśmy pomóc - zdziwił się Sam.

– Co ty wygadujesz! - zachnął się Aldridge. - Przecież odnalezienie skarbu to wyłącznie wasza zasługa!

– Za taki wyczyn z pewnością uhonorowano by was tytułami szlacheckimi - dodał po chwili.

– Sir Sam. - Remi uśmiechnęła się. - O nie, tego bym już nie zniosła.

Sam popatrzył na nią spod zmarszczonych brwi, po czym oznajmił:

– Powiedzcie, że to wy trzej znaleźliście i odszyfrowaliście mapę, która doprowadziła was do skarbu.

– I koniecznie wspomnijcie o Madge Crowley i jej teorii, że skarby królewskie zostały ukryte przez Williama Marshalla, hrabiego Pembroke - dorzuciła Remi.

– Dzięki niemu skarb nigdy nie opuścił Newark, choć wszyscy uważali, że zaginął na bagnach. Niestety, sam William zginął tydzień później podczas bitwy z Francuzami i zabrał prawdę o skarbie do grobu.

– Szkoda, że nie zostaniemy na czas katalogowania i przywracania skarbu do stanu świetności, ale na Heathrow czeka na nas samolot.

– Nie możecie zostać choć kilka dni? - spytał Percy.

– Niestety. - Sam pokręcił głową. - Bardzo nam przykro, ale czeka na nas coś bardzo ważnego.

– Ale odwiedzicie nas kiedyś? - Nigel nie dawał za wygraną.

– Masz na to nasze słowo - zapewniła Remi, po czym ucałowała każdego z nich w policzek, a Sam wyściskał ich mocno. Następnie wrócili do samochodu, pomachali trójce historyków na pożegnanie i odjechali.

Remi nie przestała machać, dopóki mężczyźni nie zniknęli jej z oczu.

– Mogłabym przysiąc, że Percy i Nigel mieli łzy w oczach, kiedy odchodziliśmy.

– Nie tylko oni - zauważył Sam.

– No tak, ja też - przyznała Remi, ocierając twarz chusteczką.

Po raz pierwszy od dwóch tygodni Sam sprawiał wrażenie w pełni odprężonego. Spojrzał na żonę, która właśnie sprawdzała coś w telefonie i zaśmiała się do siebie.

– Co cię tak ubawiło?

– A to - odpowiedziała, pokazując mu jedno ze zdjęć, jakie wykonała, kiedy otworzyli już ponad tuzin skrzyń, wypełnionych złotem, kamieniami szlachetnymi i klejnotami koronnymi króla Jana. - Wysłałem to zdjęcie Alexandrze, a ona przekazała je mailem Charlesowi. Napisała mi, że w tym samym momencie, w którym otworzył zdjęcie, przyszła po niego policja.

– Musiało go to zaboлеć - stwierdził Sam, spoglądając po raz ostatni na zamek Newark we wstecznym lusterku. - Skoro zrobiliśmy już wszystko, co do nas należało, chyba najwyższy czas wznović nasz obiecany urlop?

– Daj spokój Fargo. Niczym tego nie przebijesz - powiedziała Remi, ściskając go mocno za kolano. - W życiu nie miałam lepszych wakacji.